

# CHRIS

W MROKU TAJEMNIC

# TVEDT



CHRIS TVEDT TO NOWA GWIAZDA SKANDYNAWSKIEGO KRYMINAŁU

**Chris Tvedt**

**W mroku tajemnic**

Przełożyła Katarzyna Tunkiel

---



Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA

# **W mroku tajemnic**

Zajrzyj na strony

[www.wnk.com.pl](http://www.wnk.com.pl)



Znajdź nas na Facebooku

[www.facebook.com/WydawnictwoNaszaKsiegarnia](http://www.facebook.com/WydawnictwoNaszaKsiegarnia)



Poznaj naszą ofertę z serii MIKAEL BRENNE

<http://www.nk.com.pl/mikael-brenne/189/seria.html>

W serii  
**Uzasadniona wątpliwość**  
**Na własną rękę**  
**W mroku tajemnic**

W przygotowaniu  
**Łowca szczurów**

Dla Elisabeth za dobre pomysły,  
kreatywne rozwiązania i dużo miłości.  
I dla mojej matki, która w pewien sposób  
przyczyniła się do powstania tej powieści.

# Rozdział 1

Tego dnia, kiedy mnie opuściła, padał deszcz. Ulewny, ponury, monotony deszcz. Ranek nie zdążył się narodzić, pozostał gdzieś między nocą a dniem, światłem a ciemnością. Siedziałem w fotelu przy oknie, wpatrzony ślepo w cienie między bezlistnymi drzewami i ociekającymi wodą ozdobnymi krzewami, słuchając kroków Kari na piętrze. Szybkich, zdecydowanych kroków, tam i z powrotem po podłodze, stuku obcasów po parkiecie. Włożyła pantofle, a ja pomyślałem, że przez to stała się kimś obcym.

Nikt nie chodzi w butach po własnym mieszkaniu. Wracasz do domu i pierwsze, co robisz, to zrzucasz buty. Buty są częścią innego świata. W domu szurasz kapciami, znoszonymi, starymi i podartymi, i to nie ma znaczenia, jesteś u siebie, więc możesz chodzić, w czym tylko chcesz, dopóki jest ci ciepło i wygodnie. Kari na ogół nosiła skórzane kapcie wyglądające jak rozjechane zwierzątka. Ale nie dziś. Dzisiaj włożyła pantofle. Pakowała się.

Wprowadziła się do mnie ponad dwa lata temu i sądziłem, że już zostanie. Tym razem myślałem, że to przetrwa. Bo ją kochałem i chciałem, żeby to trwało. Dobrze mi się z nią żyło. Czasem się kłóciliśmy, jak każdy, ale o nic ważnego. Nigdy o sprawy fundamentalne, tylko o irytujące, bagatelne drobiazgi, dlatego nigdy nie musieliśmy mówić sobie najboleśniejszych prawd, tych, które latami przechowuje się w pamięci, by wywlec je na

usprawiedliwienie nowych ran, nowego bólu. Z nami tak nie było. Panowała wśród nas bliskość i otwartość. Dużo się śmialiśmy i kochaliśmy.

Aż coś nam umknęło.

Mówiłem sobie, że to nie moja wina, że to niczyja wina; może i była to prawda, ale tak tego nie odczuwałem.

Osiem miesięcy temu Kari była w ciąży. Chcieliśmy tego dziecka, mieliśmy być szczęśliwi. I może bylibyśmy, ale po tym, jak pewna morderczyni poddała mnie torturom i omal nie zabiła, spędziłem miesiąc w szpitalu. Wiązało się to ze sprawą, w której byłem obrońcą. Przeżyłem i wygrałem sprawę, ale chociaż fizyczne obrażenia się zagoiły, nie oznaczało to, że doświadczenie nie pozostawiło we mnie ran. Nie mogłem spać w nocy. Zasypiałem, co prawda, lecz za każdym razem budziłem się z krzykiem, zlany potem i drżący ze strachu, ponieważ na nowo przeżywałem swój koszmar. Co noc leżałem wycieńczony aż do nadejścia świtu. Moje nerwy z czasem zaczęły przypominać obwód elektryczny.

Wykańczało to zarówno mnie, jak i Kari. W dzień chodziłem nieprzytomny, senny, zmęczony i spięty. Jakoś funkcjonowałem w pracy, ale nic poza tym. W domu przemieniałem się w ducha, byłem tak wyczerpany, że ledwo obecny, a zarazem tak bałem się spać, że bez wytchnienia krążyłem od pokoju do pokoju, aż Kari zmuszała mnie, bym się położył.

Nalegała, abym poszukał profesjonalnej pomocy, ale odmawiałem. Nie wiem dlaczego, po prostu nie chciałem. Mówiłem, że samo mi przejdzie.

Wtedy straciła dziecko. Pewnej nocy obudziła się, gdy ból przeszył jej brzuch niczym nóż. Koszula nocna, prześcieradło i materac przesiąknięte były krwią. W karetce, przez całą drogę do



szpitala, ścisnąłem jej rękę i zatrzymano mnie dopiero w drzwiach do gabinetu. Powtarzałem Kari, że musi wytrzymać, że wszystko będzie dobrze, jednak w jej oczach widziałem, że mi nie wierzy, że wie, co się dzieje, co się stało... Miała rację.

Po powrocie ze szpitala stała się nieobecna i milcząca, a w nocy słyszałem, jak płacze. Moje koszmary minęły, lecz zamiast ulgi czułem w sobie pustkę, czarną dziurę, która wypełniała mnie, kradnąc siły i uczucia, tak jak czarne dziury we wszechświecie pochłaniają wszystko, co znajdzie się w ich pobliżu.

Nie potrafiłem przy niej być. Nie umiałem jej pocieszyć. Nie umiałem nawet z nią rozmawiać, a ona ze mną. Oboje trwaliśmy w żałobie, lecz nie potrafiliśmy dzielić się żalem. Wtedy ją straciłem. Nie z powodu czegoś, co zrobiłem, ale przez wszystko, czego nie zrobiłem.

Słyszałem jej obcasy na schodach. W dół i w górę, i znowu w dół. Wiedziałem, że skończyła. Weszła do salonu. Jej kroki stały się wolniejsze, pełne wahania, jak gdyby w ogóle nie miała ochoty do mnie zaglądać.

– Ale tu ciemno – zauważyła.

– Tak – zgodziłem się. – Smutny dzień. Kari... Nie możemy...?

Lecz ona mi przerwała:

– Mikael, nie... Nie ma tu już o czym mówić...

Odwróciłem się i kiedy spojrzałem na nią, zobaczyłem, ile ją to kosztuje. Była blada i zmęczona, miała szeroko otwarte oczy, jak wystraszone dziecko, jednak widziałem też, że się zdecydowała i nie zmieni zdania. Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Wszystko, co było warto, należało powiedzieć już dawno temu.

– Zamówiłam taksówkę – oznajmiła, więc odprowadziłem ją na korytarz. Przytrzymałem jej zielony aksamitny płaszcz z kapturem.

Otworzyłem drzwi jak obcej osobie. A ona, jak obca, pożegnała się i nadstawiła policzek. Moje usta musnęły jej skórę. Była zimna i sztywna, jakbym całował lalkę. Potem odwróciła się z walizkami w rękach i przeszła w deszczu do czekającej za bramą taksówki, a ja nie wydobyłem z siebie nawet jednego słowa.

Poszedłem do łazienki. Wziąłem prysznic, umyłem zęby. Przejrzałem się w lustrze, przeczesalem palcami włosy. Siwe fale z resztkami czerni. Włożyłem koszulę i garnitur. Zawiązałem krawat, stanąłem przed lustrem i poprawiłem węzeł. W korytarzu stała brązowa aktówka, na wierzchu leżała ładnie złożona adwokacka toga owinięta w folię. Zerknąłem na zegarek. W sądzie musiałem być dokładnie za godzinę. Włożyłem płaszcz, chwyciłem aktówkę, togę przerzuciłem przez ramię i wyszedłem z domu.

Na schodach zatrzymałem się, by odszukać w kieszeniach klucze, aż zdałem sobie sprawę, że zostały w środku. To wystarczyło, by wybić mnie z rytmu, z doskonale znanej porannej rutyny. Wszystko stanęło w miejscu, a ja gapiłem się tylko na lejący bez ustanku deszcz. Zarejestrowałem, że zatkała się rynna. Woda pluskała na zwir na lewo ode mnie, mały wodospad deszczówki tworzył kałużę na ogrodowej ścieżce.

Nagle przelała się przeze mnie fala obezwładniającej niemocy. W ustach miałem smak desperacji, jak gdybym tonął w smole. Po chwili odwróciłem się i z powrotem wszedłem do domu. Wybrałem numer sądu, poprosiłem o połączenie z odpowiednim oddziałem.

– Halo – odezwał się. – Mówi mecenas Mikael Brenne. Miałem być dziś obrońcą w sprawie karnej, rozprawą miał kierować sędzia Hellevang, ale niestety zachorowałem i nie będę mógł się stawić.

Rozebrałem się i zostawiłem stos ubrań na podłodze w sypialni. Następny numer wybrałem, siedząc na brzegu łóżka. Zadzwoiłem

do lekarza rodzinnego. Umówiłem się na wizytę następnego ranka. Kiedy odłożyłem słuchawkę, poczułem, że marznę. Wpełzłem pod kołdrę i się skuliłem. Nagle nie potrafiłem już utrzymać otwartych oczu. Zamknąłem je i świat zatrzymał się w biegu. Czułem, jakbym zsuwał się z krawędzi własnego istnienia i coraz szybciej spadał w nieznane, w ciemność. Wreszcie zasnąłem.

## Rozdział 2

Lekarz był moim starym znajomym, jeszcze z czasów liceum. Nie przerywając, wysłuchał mojej kulejącej, trochę niespójnej relacji, a kiedy skończyłem, westchnął i odchylił się w tył.

– Za dużo, Mikael, za dużo tutaj spraw, które trzeba byłoby zbadać, omówić... Powinieneś być przyjsć już dawno temu. Przypuszczalnie potrzebny ci psycholog.

Otworzyłem usta, aby się odezwać, ale mnie uprzedził.

– Pewnie zaprotestujesz, znam cię. Ale nie musisz się martwić. Dostać się do dobrego psychologa jest tak samo łatwo, jak wygrać w lotto. Wpiszę cię na listę oczekujących, a na razie wystawię ci zwolnienie.

– Ale... mam rozprawy...

– Zapomnij. Potrzebujesz urlopu. Trzymaj się z dala od kancelarii, wyjedź na parę tygodni, odpocznij. Zajmij się czymkolwiek, tylko nie idź do pracy, bo to może się skończyć prawdziwym kryzysem. Wróc za miesiąc, to zobaczymy, czy depresja minęła.

– Depresja?

– Tak, Mikael. Właśnie mi ją opisałeś. Starą, dobrą depresję. Może sama przejdzie, a może będziesz potrzebował leków. Zobaczymy.

Kiedy dostałem już zwolnienie i podniosłem się z krzesła, zerknął

na mnie zza biurka i rzekł:

- Jeszcze jedno, Mikael.
- Tak?
- Nie pij. Alkohol tylko pogorszy sprawę.

Peter to mój dobry przyjaciel, ale też jeden z partnerów w naszej kancelarii, obok Finna i mnie. Nie wyglądał ani trochę przyjaźnie, kiedy skończyłem mówić i podałem mu zwolnienie.

- Cholernie nie w porę, Mikael.

Wzruszyłem ramionami.

- Pewnie. Zawsze jest nie w porę.
- Co z klientami, z wyznaczonymi rozprawami?

– Synne się tym zajmie. Niektóre może przejąć, a inne się przełoży.

Pokręcił głową.

- Stracimy klientów.
- Co z tego?

W bladym świetle wydawał się zmęczony i poszarzały. Przez chwilę siedział cicho, spoglądając w zamyśleniu przed siebie.

- Kari się wyprowadziła, co?
- Tak.
- To smutne, Mikael. Lubiłem tę dziewczynę.

– Ja też.

Skinął głową.

- Co teraz zrobisz?
- Chcę trochę odpocząć, spróbuję się jakoś otrząsnąć.

– No dobra. Zadzwoń w razie czego. Idź już, ja zajmę się praktycznymi kwestiami, wdrozę Synne.

– Okej. Dziękuję.

Odchrząknął i pochylił się nad leżącymi na stole dokumentami.

– Wróć jak najszybciej, Mikael.

Kari wzięła z sobą tylko trochę ubrań i przyborów toaletowych, resztę rzeczy miała zabrać później, kiedy znajdzie sobie stałe lokum. Wędrowałem po domu, trafiając wszędzie na jej ślady. W łazience kosz na bieliznę był pełen ubrań Kari: majtek, podkoszulków, starych dzinsów. Półki w szafce nadal wypełniały kremy, płatki i pałeczki kosmetyczne.

Na blacie w kuchni stała paczka musli, które jadła co rano. W rogu kanapy, w jej rogu, leżał zwinięty błękitny koc, jakby dopiero co odpoczywała po obiedzie. Była wszędzie, a jednak dom zdawał się nagi, jak gdyby wzięła z sobą dużą część wyposażenia, zostawiając mi wielkie, puste sale, w których dźwięk moich własnych kroków odbijał się echem od ścian.

Włączyłem odtwarzacz CD, a wtedy z głośników popłynęła muzyka Kari. Joni Mitchell. *I've looked at love from both sides now...*

Zrobiłem sobie drinka. Lekarz powiedział, że nie powinienem pić, ale pomyślałem, że jeden drink nie zaszkodzi. Trochę pomógł, od razu poczułem wpływ alkoholu, lekki ucisk w głowie, welon spowijający rzeczywistość. Dolałem sobie, wziąłem butelkę i usiadłem na kanapie. Jeszcze raz puściłem Joni Mitchell. *It's love's illusions I recall, I really don't know love at all.* Wypiłem więcej wódki.

Kolejne dni jakby w ogóle się nie wydarzyły.

Obudziłem się na podłodze w łazience, nagi i drżący z zimna. Czuję się tak źle, że musiałem wpełznąć pod prysznic. Siedziałem tam, a ciepła woda spływała po mnie, aż w mojej głowie nastąpiła pustka, po czym rozpocząłem żmudny proces wracania do życia.

Mycie zębów. Czyste ubrania. Goląc się, maszynkę trzymałem oburącz.

Rzeczy, które na sobie miałem, były brudne od wymiocin. Podobnie jak muszla klozetowa i podłoga wokół niej. Wyrzuciłem ciuchy, otworzyłem okno i wziąłem się do sprzątanía, ale żołądek ciągle podchodził mi do gardła, więc spluwałem gęstą flegmą, odkrztuszałem i kaszlałem.

Jedzenie stanowiło problem. Wypiłem parę litrów wody i wmusiłem w siebie porcję jajecznicy, której za chwilę omal nie zwróciłem.

Salon nie wyglądał aż tak strasznie. Podłogę zajmowały kieliszki i butelki, które wyniosłem do kuchni, na kanapie i na dywanie spostrzegłem parę trudnych do zidentyfikowania plam. Zostawiłem je w spokoju. Na podłodze leżał też rozbity odtwarzacz CD. Obok niego młotek. Zebrałem pozostałości płyty, która znajdowała się w środku. Joni Mitchell. W ogóle nie pamiętałem, że bym używał młotka.

Przeszukałem szafkę w łazience i znalazłem pół listka tabletek nasennych. Połknąłem dwie. Poszedłem do sypialni, w której nadal panował porządek; najwyraźniej nie zachodziłem tam w ciągu ostatnich dni. Zasunąłem zasłony. Wpełzłem pod kołdrę. Czułem w sobie niepokój niczym wibrującą, napiętą strunę, miałem wrażenie, że zaraz coś pęknie. Wreszcie tabletki zaczęły działać, a ja wolno zapadłem w sen. Nic mi się nie śniło.

Gdy się obudziłem po raz kolejny, wokół panował mrok, a zegar na stoliku nocnym wskazywał wpół do czwartej. Byłem osłabiony i nieco drżałem, jak po długiej chorobie, ale czułem głód i nie dokuczały mi już mdłości. Znalazłem w zamrażarce dość składników, aby ugotować coś na kształt obiadu. Jadłem, czytając

gazety z ostatnich trzech dni. Później obszedłem salon na czworakach, zbierając resztki rozbitego odtwarzacza CD. Pod kanapą leżał telefon komórkowy z rozładowaną baterią. Podłączyłem go do prądu. Wypiłem herbatę z mlekiem i cukrem. Dalej przeglądałem gazety, bez większego zainteresowania wodząc wzrokiem po nagłówkach.

Po chwili włączyłem telefon. Nie wyświetlił żadnych nieodebranych połączeń. Gdy trzymałem go w dłoni, pisnął ostro, informując mnie o nowej wiadomości. Otworzyłem ją, zobaczyłem, że jest od Kari. Drgnąłem, a w uszach nagle poczułem pulsowanie krwi.

„Mikael – pokazał wyświetlacz – jeśli dalej będziesz do mnie dzwonił, skontaktuję się z prawnikiem”.

Ponownie przeczytałem wiadomość, nadal jej nie rozumiejąc. Nie przypominałem sobie, abym do niej dzwonił. Sprawdziłem listę wykonanych połączeń. Dzwoniłem. Nie mogłem ustalić ile razy, ale dzwoniłem, ostatnio o piątej rano, jakąś dobę wcześniej. Nie miałem pojęcia, co jej powiedziałem.

Poczułem przyływ wstydu, upokarzający ogromny niesmak spowodowany tą utratą kontroli, tym, że do niej zadzwoniłem. Nie wiedziałem, czy ją zwyzywałem, czy błagałem, aby wróciła; jedno i drugie byłoby równie fatalne. Nie potrafiłem ustać w miejscu, więc zacząłem chodzić niecierpliwie po całym domu, aż się uspokoiłem. Następnie poszedłem do swojego gabinetu, włączyłem komputer i internet. W niecałą godzinę zamówiłem i opłaciłem dwutygodniową wycieczkę na Wyspy Kanaryjskie.

Niemal dokładnie dobę później byłem już na lotnisku. Komórkę zostawiłem w domu.



## Rozdział 3

Po dwóch tygodniach wróciłem do domu, do deszczu i nisko wiszących chmur, żółtobrazowych pól, mokrego asfaltu i ludzi za oknem taksówki, idących z pochylonymi głowami pod zużyтыми parasolami. Popołudniowe światło było brudne i pozbawione wyrazu, a kiedy zamknąłem za sobą drzwi wejściowe, w środku zastałem zimno i ciemność. Chodziłem od pokoju do pokoju, zapalałem światło i włączałem ogrzewanie. Spostrzegłem, że coś się zmieniło, choć z początku nie potrafiłem określić co. Dopiero gdy otworzyłem łazienkową szafkę, aby odstawić przybory toaletowe, zrozumiałem. Półki ziały pustką. Kari tu była, spakowała swoje rzeczy i wyprowadziła się ostatecznie.

Ponownie obszedłem dom, by odnotować pozostałe po niej puste miejsca. Przerwy w kolekcji płyt CD i na półce z książkami. Wazon, stolik, parę kwiatów. Filiżanki, talerz, szmaciany dywanik, obraz. Właściwie to drobiazgi, nie przyniosła z sobą dużo, kiedy się wprowadzała. Nic takiego, co musiałbym od razu sobie odkupić, nic, co zauważyłby przypadkowy gość, jednak odniosłem wrażenie, jakby na nowo otworzyły mi się rany, i po raz pierwszy pojąłem, że to koniec.

Wyprowadziła się, a ja wiedziałem, że już nie wróci.

Nie rozplakałem się, nie zacząłem też pić. Wypakowałem jedynie

swoje rzeczy, przygotowałem sobie coś do jedzenia, wypilem kawę i włączyłem telewizor. Co innego mógłbym zrobić?

Później sprawdziłem komórkę, która nieprzerwanie ładowała się podczas mojej nieobecności. Ujrzałem czternaście nieodebranych połączeń i dziewięć nowych wiadomości. Dzwonili ludzie z kancelarii, paru przyjaciół. Kilku numerów nie znałem.

Zacząłem czytać wiadomości. Jedna była od Kari, z informacją, kiedy odbierze swoje rzeczy; w całkiem spokojnym tonie, nie zawierała nic osobistego. Zgłosili się też Peter i Synne z kancelarii, oboje trochę poirytowani. Wypytywali o sprawy i klientów. Powiedziałem im, że wyjeżdżam, ale nie wspomniałem, że telefon zostawię w domu. Następny SMS był od innego kolegi z pracy. „Słyszałem o Bjørnie. To smutne i niezrozumiałe”. Kolejna wiadomość, tym razem od sędziego, z którym studiowałem: „To przykre. Doszły mnie plotki, ale trudno w nie uwierzyć”.

Wreszcie SMS od Petera. „Mikael, nie wiem, czy słyszałeś, ale Bjørn Groven nie żyje. Zadzwoń”.

Siedziałem, gapiąc się z niedowierzaniem na telefon. Bjørn Groven był moim przyjacielem, przynajmniej kiedyś. Razem studiowaliśmy, mieliśmy wspólnych znajomych, chodziliśmy na te same imprezy, podrywaliśmy te same dziewczyny i jednocześnie skończyliśmy prawo. Obraliśmy tę samą ścieżkę kariery, w odstępie pół roku zostaliśmy adwokatami, chociaż mieliśmy różne specjalizacje. Ja zajmowałem się głównie prawem karnym, a Bjørn cywilnym, przeważnie sprawami budowlanymi i prawem spółek. Przez pierwsze lata często się spotykaliśmy, później rzadziej, ale nadal uważałem go za przyjaciela. Był w moim wieku, może nieco młodszy, a teraz zmarł.

Peter odebrał telefon po trzech sygnałach.

– Cześć, tu Mikael. Chyba cię nie obudziłem?

Chrząknął.

– Chociaż raz położyłem się o tej samej porze co żona. Dlaczego nie odbierałeś?

– Telefon został w domu. Wróciłem dziś po południu.

– To idiotyczne.

– Odebrałem... odebrałem wiadomość. O Bjørnie.

– Hm.

– Co takiego... co się stało? Na co zmarł, coś z sercem?

– Nie. – Po drugiej stronie na chwilę zapadła cisza. – Popęłił samobójstwo.

– Co?

– Zabił się. Zastrzelił się późnym wieczorem w kancelarii.

– Żartujesz!

– Niestety nie. To straszne.

– Tak. Straszne. Dlaczego...?

– Bóg raczy wiedzieć.

Nastąpiła krótka przerwa, żaden z nas nie wiedział, co powiedzieć.

Wreszcie zapytałem:

– A co z Kirsten, jak ona to znosi? Rozmawiałeś z nią?

– Nie, nie znam jej zbyt dobrze. Nie tak jak ty. Ale, Mikael...

– Tak?

– Jutro jest pogrzeb. O pierwszej. Chyba przyjdiesz?

– Tak, chyba muszę. Jasne, że przyjdę.

– Okej. To do jutra.

Nie sprawdziłem jeszcze tylko poczty głosowej. Zadzwoiłem i dowiedziałem się, że czekają na mnie trzy nowe wiadomości. Dwie pierwsze były od Synne, wydawała się trochę rozdrażniona i zmartwiona tym, że nie może się ze mną skontaktować. Ostatnia

wiadomość została nagrana dokładnie tydzień temu. „Ee... cześć, Mikael, tu Bjørn. Bjørn Groven”. Nastąpiła przerwa. Słyszałem jego ciężki oddech. „Ja... to... zastanawiam się, czy mógłbyś mi pomóc, czy moglibyśmy pogadać. Mam sprawę... problem, z którym nie mogę sam sobie poradzić. Nie wiem do końca, co z tym zrobić. Więc, w każdym razie, gdybyś mógł oddzwonić...”.

Kliknięcie, a po chwili bezosobowy kobiecy głos oznajmił, że nie mam więcej wiadomości. Dość długo siedziałem bez ruchu. Zastanawiałem się, co takiego sprawia, że ludzie, którzy odnieśli sukces, zarówno w pracy, jak i w życiu osobistym, decydują się zakończyć życie. Myślałem też o głosie Bjørna Grovena, jego lekkim wahaniu i zakłopotaniu, kiedy prosił o pomoc.

Ukradkiem ogarnęło mnie nieprzyjemne uczucie. Był późny wieczór, pokoje wokół mnie stały puste i zimne. A ja właśnie otrzymałem prośbę o pomoc od nieboszczyka.

## Rozdział 4

Do kaplicy dotarłem za dwie minuty pierwsza. Na zewnątrz stał już tylko Peter. Czekał na mnie i demonstracyjnie spojrział na zegarek, kiedy ruszyłem spiesznie w jego stronę.

– Musiałem uprasować koszulę – powiedziałem, a on tylko pokręcił głową i wciągnął mnie do środka.

Znaleźliśmy miejsca prawie na samym końcu. Między nagimi, szarymi ścianami z betonu panowała cisza, chociaż pomieszczenie było niemal pełne. Rozpoznawałem po kolei kolegów po fachu, adwokatów i sędziów, przyjaciół ze studiów, których nie widziałem przez lata. Większości przerzedziły się włosy, ich błyszczące potylice oraz karki stały się albo za wąskie, albo zbyt szerokie. Wszyscy się postarzeliliśmy, byliśmy dobrze za półmetkiem życia, a nastąpiło to niezauważenie, nawet nie mieliśmy czasu, by to odnotować. I oto nagle zmarł nasz stary przyjaciel, a kiedy kaplicę wypełniły pierwsze tony organów, po nich zaś czysty sopran, przeszedł mnie zimny dreszcz. Bardzo wyraźnie poczułem, że właśnie tutaj wszyscy zmierzamy. Że zaczęło się odliczanie i przez najbliższe lata będę oglądał tu tych samych ludzi, że będą odchodzić jeden po drugim, to na wylew, to na zawał, na raka czy ze starości, będzie nas coraz mniej, aż wreszcie wszystko się skończy. Znikniemy, całe moje pokolenie, wszyscy, których znałem, lubiłem, nienawidziłem i kochałem, nie zostawiając choćby jednej

trwałej rysy na powierzchni świata.

Pastor wstał. Mówił o Bjørnie, o tym, kim był, co zrobił. Nie miało to wiele wspólnego z tym Bjørnem Grovenem, którego znałem, ale to nic. Później przemawiał brat zmarłego, Simen. Również on przedstawił innego Bjørna, wspominał ich wspólne dzieciństwo, młodszego brata, opowiadał o ich rodzinnej miejscowości, gdzieś w Sunnmøre, o tym, jak ważne jest mieć korzenie, przynależać do jakiejś grupy ludzi. Mówił ładnie, ale sprawił, że poczułem się samotny i opuszczony przez wszystkich.

W pierwszym rzędzie widziałem Kirsten, żonę Bjørna. Spięła swoje blond włosy, siedziała spokojnie, ale coś w jej karku i ramionach zdradzało, ile kosztuje ją kontrolowanie emocji.

Kiedy pastor rozpoczął właściwą liturgię, modlitwy i czytania z Biblii, straciłem zainteresowanie. Nie miał mi nic do zaoferowania. To wszystko w ogóle nie miało związku z Bjørnem Grovenem. Odkąd go znałem, uważał się za ateistę, było więc coś niesmacznego w tym chrześcijańskim rytuale, w obietnicach wiecznego życia i zbawienia człowieka, który wierzył tylko w to, że wszystko ma swój kres. Podczas chrześcijańskich pogrzebów podoba mi się jedynie posypywanie trumny ziemią. „Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz” – zaintonował pastor. Z wszystkich słów, które wypowiedział, tylko te się dla mnie liczyły i nagle do oczu nabiegły mi łzy.

Później staliśmy na zewnątrz w małych grupkach, czując się trochę niezręcznie w tej sytuacji – nikt nie wiedział, co powiedzieć. Samobójstwo było przykrym faktem, nieprzyjemną prawdą, której nikt nie miał ochoty komentować. Kątem oka dostrzegłem krewnych zmarłego w nieco nieskładnym szeregu. Przyjmowali kondolencje od ludzi, których ledwie znali. Podszedłem do nich,

kiedy kolejka zaczęła się przersedzać. Za nimi stał Carlo Jensen, partner Bjørna. Trzymał ręce w kieszeniach beżowego płaszcza z wielbłądziej wełny i poniekąd pilnował, czy wszystko przebiega, jak należy. Skinąłem mu głową, nie znałem go zbyt dobrze. Simen wydawał się zagubiony, a kobieta, która, jak przypuszczałem, musiała być jego żoną, trzymała go kurczowo za ramię, jakby w obawie, że zostanie sama.

– Dziękuję, że przyszedłeś, Mikael – powiedział Simen. Znaliśmy się od paru lat, studiował ekonomię, podczas gdy brat wybrał prawo, więc przez pewien okres łądownaliśmy na tych samych imprezach, tych samych domówkach. – To moja żona, nie wiem, czy...?

– Nie – odparłem. – Nie mieliśmy okazji.

Przywitała się mechanicznie i posłała mi blady uśmiech.

Później podszedłem do starszej kobiety, niewysokiej i zgarbionej, z wyrazem całkowitego zdezorientowania na twarzy.

– Pani musi być matką Bjørna – zauważyłem. – Moje kondolencje. To przykre.

Przytaknęła i uśmiechnęła się do mnie niewyraźnie.

Kirsten była blada, ale nie płakała. Ładna, wysoka i szczupła, tego dnia skórę na kościach policzkowych miała napiętą, a usta wąskie i zaciśnięte, pokryte szminką, która odznaczała się jak krew na tle pozbawionej koloru cery.

– Dziękuję – odrzekła automatycznie, nieobecna, ale nagle jakby wreszcie mnie zobaczyła. – Mikael. Przyszedłeś.

– Jasne, że przyszedłem.

– Tak. Ktoś mówił, że wyjechałeś.

Pokręciłem głową.

– Już wróciłem. Jak się czujesz?

– Nie pytaj – odpowiedziała. – Posłuchaj, Mikael, idziemy później do nas... do mnie do domu. Chcesz się przyłączyć? Nie będzie zbyt wielu osób, tylko rodzina, paru przyjaciół...

– Dziękuję, Kirsten, ale naprawdę nie mogę. Praca, wiesz... Nie było to prawdą, lecz nie mogłem znieść myśli o stypie.

– Okej – odparła. – Ale dobrze było cię zobaczyć.

– Skontaktuję się z tobą za parę dni. Zadzwoń.

– Przyrzeknij, że to zrobisz, Mikael.

Przyrzekłem i uścisnąłem Kirsten. Jej policzek poraził mnie chłodem, ramiona zdawały się chude i ostre pod moimi dłońmi.

Później pomyślałem o wiadomości od Bjørna. Zastanawiałem się, czy powiedzieć o niej Kirsten. Wątpiłem, by jej to pomogło, ale czułem, że powinienem.

Zamiast do Kirsten poszedłem do pubu z Peterem i grupką starych przyjaciół ze studiów. To było bardziej na miejscu w tej sytuacji. Wybraliśmy się tam, gdzie zawsze kiedyś chodziliśmy, zamówiliśmy po piwie u kelnera, który pracował w tym lokalu, odkąd sięgaliśmy pamięcią. Wznieśliśmy toast za pamięć Bjørna Grovena. Ktoś opowiedział historię o Bjørnie z czasów studenckich. Zapoczątkowało to falę wspominek, opowieści, które wszyscy słyszeliśmy, upiększanych przez lata, nieco podrasowanych, ale to wcale nam nie przeszkadzało, i tak się śmialiśmy, co trochę poprawiło nam nastroje.

Po dwóch kolejkach Peter wstał i oznajmił, że musi wracać do kancelarii. Pochylił się ku mnie.

– Wpadnij pogadać z Synne. Męczy się z kilkoma twoimi sprawami.

Nieco później ktoś wspomniał samobójstwo. Wydawało się, jakbyśmy wszyscy tylko na to czekali, jakby poruszenie tego



tematu przyniosło nam ulgę. Byliśmy już trochę wstawieni, więc słowa przychodziły łatwiej. W rozmowie pobrzmiewał ton lekkiej agresji, nie rozumiałem do końca dlaczego, aż wreszcie pewien siwowłosy adwokat specjalizujący się w sprawach upadłościowych przechylił się przez stół i rzucił:

– Samobójstwo! Zawsze mnie to wkurza!

– Dlaczego?

– Dlaczego? Nie wiem... To takie tchórzliwe. Bo jaki sens ma w sumie życie? Pracuję za dużo, zawsze pracowałem. Żona i ja... mamy się całkiem dobrze, nie kłócimy się, ale ona żyje swoim życiem. Nie zostało w nas zbyt dużo namiętności i miłości. Mam dwa miliony do spłacenia za dom. Dzieciaki dzwonią raz na miesiąc prosić o kasę. Najfajniejsza rzecz, jaka mnie jeszcze spotka, to przejście na emeryturę. – Uniósł szklanke i ją opróżnił. – Ale nie popełnię, cholera, z tego powodu samobójstwa, nie?

– Nie – mruknąłem. – Chyba nie.

– Oni przynajmniej nie mieli dzieci – odezwał się ktoś.

– Facet postąpił okropnie wobec Kirsten. Lubilem Bjørna Grovena, ale... ostatecznie nie zachował się jak należy.

Nie mieliśmy nic do dodania, więc wyszliśmy w zapadający zmrok, do połyskujących świerków i kołyszących się na wietrze żarówek, do metalicznego dźwięku kolęd płynącego z kiepskich głośników, do zagonionych ludzi obładowanych pakunkami, na deszcz, który spadł na nas, jak gdyby pałając żądzą zemsty.

Nadchodziły święta. Postawiliśmy kołnierze i się rozeszliśmy.

## Rozdział 5

Gdy parkowałem na podjeździe, dom stał ciemny i pusty, jakby nikogo nie było w środku. Zadzwoiłem do drzwi, odczekałem, zadzwoniłem raz jeszcze, ale nic się nie działo. Minęło ledwie parę godzin, odkąd zatelefonowałem do Kirsten i ona poprosiła, bym przyjechał.

„Muszę cię o coś zapytać – powiedziała. – Potrzebuję pomocy”. Jej słowa brzmiały niczym echo zostawionej na moim telefonie wiadomości jej męża, więc obiecałem, że przyjadę jeszcze tego samego wieczoru.

Kiedy wreszcie otworzyła drzwi, na ustach miała krzywy i nieco smutny uśmiech.

– Długo czekasz? Byłam w piwnicy, szukałam... pewnych dokumentów. Wejdz, Mikael, i odwieś płaszcz.

Dom był duży i nowoczesny. Podążałem za Kirsten przez ciemne, pachnące kwiatami pokoje, podczas gdy ona mówiła trochę nerwowo i nieskładnie:

– Tutaj. Tu możemy usiąść. Zapalę światło i... możemy napalić w kominku. Zrobisz to, Mikael? Chyba jest tu zimno, co? Czego się napijesz? Drinka, a może kieliszek wina? Nie, na pewno prowadzisz. Kawy?

– Chętnie wypiję filiżankę kawy.

Zanim wróciła, zdążyłem już rozpalić w kominku i usiąść

w fotelu. Podała mi napój, po czym stanęła pośrodku pokoju, nieco bezradna. Nagle zabrakło jej słów po tym strumieniu oczywistości, którym mnie przywitała. Wszędzie widać było kwiaty, bukiety stały na każdym stole.

– To po pogrzebie – wyjaśniła, zataczając łuk ręką. – I po stypie. Tyle kwiatów...

Miała na sobie znoszone dzinsy i luźny sweter, a jednak wyglądała elegancko i zamożnie, jak to często bywa z kobietami sukcesu w pewnym wieku. Przypuszczam, że to kwestia dodatków, biżuterii i butów oraz tego, że te kobiety zawsze są zadbane i umalowane. Kirsten była szczupła i wysportowana, jednak jej długie palce poruszały się niespokojnie, wskutek czego wydawała się spięta, niemal drżała.

– Jak się masz, Kirsten? Dajesz jakoś radę?

Znowu ruch dłonią, w bok.

– Jak się mam? Nie wiem, Mikael.

– Ktoś ci pomaga?

– Pomaga?

– Czy z kimś rozmawiasz, nie wiem...?

Przez chwilę kontynuowaliśmy tę prowadzącą donikąd rozmowę, aż wreszcie sama z siebie utknęła w miejscu. Piłem kawę, wpatrując się w ogień. Kirsten nadal stała pośrodku pokoju.

Po kilku minutach zerknąłem na nią.

– Kirsten?

– Tak?

– Co się stało? To znaczy z Bjørnem. Naprawdę odebrał sobie życie?

Jakbym nacisnął przycisk. Zaczęła chodzić tam i z powrotem, obcasy stukały o parkiet.

– Tak. Albo... nie wiem. Nie rozumiem tego. Ale oni mówią, że popełnił samobójstwo.

– Oni?

– Policja. Mówią, że...

– Tak?

– Że się zastrzelił. W kancelarii. Za swoim biurkiem. Tak mówią.

– Dlaczego?

– Właśnie w tym rzecz, Mikael, w tym rzecz! Nie pojmuję tego. Nie mogłam pojąć... On... znałeś go... Nie wiem, nie umiem sobie wyobrazić... Nie zauważyłam, żeby cokolwiek było nie tak, nie wspomniał ani słowem o jakichkolwiek problemach, nie powiedział nawet słowa, a zawsze mi o wszystkim mówił, o wszystkim! Zachowywał się normalnie, Mikael, wszystko było w porządku, a teraz mi mówią, że zniknęły pieniądze, malwersacja czy oszustwo, do kurwy nędzy, kurwa, kurwa, kurwa mać...

Stała pośrodku pokoju, klnąc jak szewc, ze zwiniętymi w pięści dłońmi, z ramionami trzęsącymi się z wściekłości czy smutku, a może z poczucia winy, więc wstałam, ostrożnie ją objąłem i posadziłem na krześle. Nalałem jej koniaku, ukląknęłam, wcisnąłem szklanekę w dłoń.

– Wypij.

– Nie wiem, co...

– Wypij, Kirsten.

Zrobiła, jak kazałem.

– Właśnie tak. Jeszcze jeden łyk. A teraz weź głęboki oddech i opowiedz mi wszystko od początku. Składnie, tak żebym zrozumiał.

Historia okazała się dość prosta. Bjørn Groven zastrzelił się pewnego wieczoru w biurze, bez ostrzeżenia. Żona nie

przypuszczała, by miał jakieś problemy, zachowywał się zupełnie normalnie, był może trochę rozkojarzony i zamyślony, ale nie bardziej niż zwykle, kiedy zajmował się trudnymi sprawami. Nie zostawił listu, niczego, co wyjaśniłoby, dlaczego to zrobił.

Dwa dni wcześniej odwiedził ją policjant. Wypytywał o budżet domowy. Z początku odpowiadała bez oporów, ale po pewnym czasie zachciała wiedzieć, dlaczego zadaje jej te wszystkie pytania. Udzielił wymijającej odpowiedzi, a wtedy ona odmówiła podania mu dalszych informacji. Dopiero wówczas wyjawiał, że na koncie dla klientów Bjørna Grovena brakuje trzech i pół miliona koron, a oni próbują ustalić, co stało się z tymi pieniędzmi.

– Policja uważa, że to był motyw samobójstwa? – upewniłem się.

– Tak. Śledczy powiedział mi to wprost.

– A ty, Kirsten? Co o tym sądzisz?

Spojrzała na mnie zrezygnowana.

– Nic się tu nie zgadza. Nie rozumiem, po co by mu było trzy i pół miliona koron. O ile mi wiadomo, nie mieliśmy problemów finansowych. Ja zarabiam przyzwoicie jako prawnik w Statoilu. Bjørn też dobrze sobie radził. Zupełnie mi to nie pasuje.

– Mmm – mruknąłem. – A jednak czasem zdarza się, że czegoś nie wiemy, nawet o naszych najbliższych. Ciągle się z tym spotykam w pracy.

Pokręciła głową.

– To pewnie prawda, Mikael. Ale, Boże drogi, mówimy tutaj o Bjørnie Grovenie! Ty też go znałeś. Był zdolny, miły, można było na nim w stu procentach polegać, ale nie miał najbardziej złożonej osobowości świata. Niespodzianki... ani też przygody... to nie w stylu Bjørna. Układał plany i je realizował. Trzymał się swoich przyzwyczajzeń. Na wakacje jeździliśmy co roku w to samo miejsce,

o tej samej porze. Jeśli chcieliśmy coś zjeść na mieście, chodziliśmy zawsze do tej samej restauracji. Zawsze, Mikael! Boże mój, nawet seks uprawialiśmy co piątek. Raz w tygodniu, ni mniej, ni więcej.

– Przemawia przez ciebie gorycz.

Miała ostre, niemal gniewne spojrzenie.

– Nie jestem zgorzkniała. Wiedziałam, czego chcę i co dostanę, jeśli wyjdę za Bjørna. Gdybym pragnęła dramatów i niepewności, wybrałabym ciebie, Mikael. Byłam w tobie strasznie zakochana.

Drgnąłem. Spotykaliśmy się na samym początku studiów, przez parę krótkich, intensywnych tygodni, dopóki nie poznała Bjørna. Wtedy ze mną zerwała, nagle i bez dania racji. Od tamtej pory żadne z nas do tego nie wracało. Aż do teraz.

– Ale byłeś, jaki byłeś, Mikael, gorący i zimny, romantyczny i cyniczny, raz na wozie, raz pod wozem. Miałam już dość niepewności. Wybrałam Bjørna, a on okazał się dokładnie taki, jak się spodziewałam. Może nie darzyliśmy się ogromnym uczuciem, ale dobrze się nam żyło, to było... stało się... swego rodzaju miłością.

Zdałem sobie sprawę, że nic nie wiem o jej życiu sprzed czasów studenckich, ale nie był to odpowiedni moment, by pytać.

– Ludzie się zmieniają, napotykają przeszkody, przechodzą kryzysy. Wielu osobom się to zdarza.

– Tak, wiem, Mikael. Miałam swoje... okresy, jak każdy. Rozumiem, że Bjørn też mógł mieć... Ale że bym nic nie zauważyła? Nie potrafię tego pojąć...

Wstałem z krzesła, czułem, że muszę rozprostować kości.

– Coś go trapiło, Kirsten – powiedziałem.

– To znaczy?

– Kiedy mnie nie było, nagrał mi wiadomość. Odsłuchałem ją dopiero po jego śmierci. – Trochę się zawahałem. – Możesz...

posłuchać, jeśli chcesz. Mam ją w komórce, ale nie wiem...

– Chcę posłuchać. – Jej odpowiedź była kategoryczna.

Zadzwoiłem na pocztę głosową, odszukałem właściwą wiadomość i podałem aparat Kirsten. Słuchała w milczeniu. Bez ruchu. Kiedy wyjąłem telefon z jej dłoni, posłała mi dziwne spojrzenie.

– Nie spodziewałam się... że znów go usłyszę. – Uśmiechnęła się.  
– Jakby tutaj był.

Łzy napłynęły jej do oczu.

Po chwili wstałem i ją objąłem. Zanosila się głębokim, spazmatycznym szlochem. Zastanawiałem się, czy płacze po raz pierwszy od śmierci męża. Pociągała nosem, łkała, pojękiwała. Szybko zmoczyła mi szyję i kołnierzyk koszuli. Mocno ją obejmowałem, a ona wisiała w moich ramionach jak szmaciana lalka. Długo tak staliśmy.

Z czasem spazmy stały się rzadsze, łkania – sporadyczne. Wreszcie ostrożnie uwolniła się z moich objęć i poszła do łazienki. Ogień w kominku prawie zgasł, więc pochyliłem się, dołożyłem polano i lekko dmuchnąłem w żar.

Zmyła makijaż i przebrała się w stary, poplamiony sweter i spodnie od dresu. Miała zaczerwienione oczy, ale lekko się do mnie uśmiechała.

– Przepraszam – powiedziała. – Nagle poczułam się tak...

– Jeszcze drinka? – zapytałem, a ona skinęła głową.

– Może małego.

Siedzieliśmy w ciszy naprzeciwko płomieni. Teraz, kiedy opowiedziała mi już swoją historię i się wyplakała, takie wspólne milczenie było w porządku. Odniosłem wrażenie, jakbyśmy mieli z sobą kontakt przez cały ten miniony czas.

Nieco później się odezwała.

– Pomożesz mi, Mikael?

– To znaczy? Jak?

– Chcę, żebyś zbadał dla mnie tę sprawę.

– Bjørna, pieniądze, to wszystko?

– Tak. Zrobisz to?

– Policja się tym zajmuje, Kirsten. Nie ma sensu.

– Tak. Ale ja nie ufam policji.

– Dlaczego nie?

– Nie z powodu ich braku kompetencji czy ponieważ nie chcą dotrzeć do prawdy, nie o to chodzi. Ale znam duże organizacje. Ludzie idą po linii najmniejszego oporu. Jeśli znajdą zadowalające wyjaśnienie, to im wystarcza.

– No nie wiem, Kirsten...

Odwróciła się i spojrzała prosto na mnie.

– Muszę wiedzieć, Mikael. Muszę jakoś dalej z tym żyć. Proszę.

– Dobrze, postaram się.

Parę minut później znów przerwała milczenie.

– Poza tym gra toczy się o pieniądze. Jeżeli Bjørn sprzeniewierzył trzy i pół miliona, kwotę pokryje ubezpieczenie, prawda? Wypłacą pieniądze klientowi, który... ucierpiał w wyniku defraudacji?

– Pewnie tak.

– Ale wtedy firma ubezpieczeniowa będzie mnie ścigać, żeby te pieniądze odzyskać, czyż nie?

– Wszystko dziedziczysz?

– Tak.

– Rozumiem – odparłem. – Zobaczą, co da się zrobić. Te pieniądze muszą przecież gdzieś być. Trzy i pół miliona koron nie może sobie tak po prostu zniknąć.



## Rozdział 6

– A więc jesteście pewni, że to samobójstwo?

Śledczy spojrzał na mnie i ziewnął. Wykorzystałem wszystkie swoje znajomości w komendzie, żeby umówić się na rozmowę z właściwym człowiekiem, i ktoś postawiony wyżej w hierarchii poprosił go o spotkanie z mecenasem Brenne. Zgodził się, co nie znaczy, że był zadowolony.

– Nic nie wskazuje na inną możliwość.

– Co to znaczy? Że nie wiecie, co się stało?

Westchnął.

– Proszę posłuchać. Facet nie żyje. Zmarł od strzału w skroń, który rozwalił mu mózg. Strzał oddano z bliskiej odległości, na pistolecie znajdują się odciski palców zmarłego. Pistolet leżał na podłodze obok ciała. Kula, która zabiła Grovena, pochodziła ze znalezionej broni. Nic nie sugeruje, że to nie było samobójstwo. Nie wiemy nic o jego wrogach, nie znaleźliśmy innego motywu, żadne ślady nie wskazują na to, że popełniono czyn karalny. – Znowu westchnięcie. – Ale nie, nie wiemy, co się stało. Nie było mnie tam i nie jestem jasnowidzem. Jednak jeśli nie pojawią się nowe informacje, uznam sprawę za wyjaśnioną. Ma pan coś do dodania?

Nie miałem, więc pokręciłem głową.

– A co z bronią? – zapytałem.

– Jak to co?

- Należała do Bjørna Grovena? Miał na nią pozwolenie?
- Nie. Nie wiemy, skąd się wzięła. Ale na rynku krąży mnóstwo broni.
- Tak, ale nie w środowisku adwokatów od prawa spółek. Wzruszył ramionami.
- Chce pan wiedzieć coś jeszcze?
- Tylko parę rzeczy. Nie zostawił listu pożegnalnego. Nawet słowa o tym, dlaczego... Czy to nie dziwne?
- Nie. Niektórzy piszą listy, inni nie. Jeśli chodzi o proporcje, to wypada mniej więcej pół na pół.
- Okej. A pieniądze?
- Co z nimi?
- Z tego, co wiem, z konta dla klientów zniknęło trzy i pół miliona koron. Przypuszczam, że to właśnie uznaliście za motyw samobójstwa.
- Zgadza się. Groven dopuścił się defraudacji. Musiał wiedzieć, że to wyjdzie na jaw.
- Owszem. Wydaje się to idiotyczne, ale czasem się zdarza. Zastanawia mnie jednak, po co mu były te pieniądze? To znaczy jego żona twierdzi, że nie mieli problemów finansowych. Dlaczego miałyby więc sprzeniewierzyć trzy i pół miliona?
- Śledczy zastanowił się chwilę.
- Nie wiem. Ludzie są chciwi, kradną, nawet kiedy nie potrzebują pieniędzy. Takie rzeczy dzieją się cały czas.
- To prawda. Ostatnie pytanie i nie będę już pana męczył. Gdzie podziały się pieniądze?
- Nie mam pojęcia. W zasadzie to nie moja działka, tym zajmuje się wydział finansowy. O ile mi wiadomo, nie wytropili ani korony. Cała kwota została przelana na pewne konto firmowe na

Kajmanach. Wszystko od razu przesłano dalej, ale nie wiemy gdzie. To skomplikowane sprawy, trudno zdobyć w nie wgląd.

Wstałem i podziękowałem, a on bez entuzjazmu skinął głową i mruknął, że to nic takiego.

Rozmyślałem o zdobytych informacjach nad filiżanką kawy. Nie było ich zbyt wiele. Wszystko wskazywało na to, że Bjørn Groven popełnił samobójstwo. Prawdopodobnie w związku ze sprzeniewierzeniem. Adwokaci już wcześniej częstowali się pieniędzmi klientów, to nie pierwszy ani ostatni raz. Taka opcja wydaje się kusząca dla osób w finansowych tarapatach – pieniądze leżą na koncie, którym dysponuje adwokat, i wielu ulega pokusie w kryzysowej sytuacji. O ile znałem Bjørna Grovena, nie był on tego typu osobą, ale nigdy nie wiadomo, co mogą wymyślić ludzie postawieni pod ścianą. Problem w tym, że Bjørn Groven, jeśli wierzyć jego żonie, w ogóle nie stał pod ścianą. Nie potrzebował pieniędzy.

Znad kawiarnianego stolika przy oknie miałem widok na cały port. Zimny wiatr wzburzał drobne fale, które mocno biły w nabrzeże, przechodnie zaś szli spieszenie w obydwu kierunkach, z pochylonymi głowami i postawionymi kołnierzami – obcy ludzie zmierzający przed siebie w nieznanym celach, ludzie, których życie i problemy stanowiły dla mnie zagadkę. Pomyślałem, że tak naprawdę nic nie wiem o Bjørnie Grovenie. Znałem go, ale nie wiedziałem zbyt wiele o jego marzeniach, tajemnicach czy problemach. Dopilem kawę i zadzwoniłem do Kirsten.

– Hej – przywitałem się. – Tu Mikael. Potrzebuję od ciebie pełnomocnictwa.

– Po co?

– Żeby uzyskać wgląd w konta, pobrać wyciągi, anulować

tajemnicę zawodową obejmującą bank i inne instytucje finansowe. To samo dotyczy księgowego i rewidenta firmy. Rozumiesz, nie?

– Jasne, załatwię to.

– Poza tym powinno ono dotyczyć też partnera Bjørna, bo chcę mieć wgląd w sytuację i finanse firmy.

– Dobrze. – Głos miała cichy i bez wyrazu.

– Wszystko w porządku, Kirsten?

– Tak, tak. Jest okej. Pogadamy później, Mikael.

Następnego ranka w banku wicedyrektor Lundekvam patrzył na mnie smutno z za grubych szkieł okularów. Siedział z dłońmi złożonymi na blacie stołu, wolno kręcąc głową.

– Znałem Grovena – rzekł. – No, oczywiście nie prywatnie, ale jako wieloletniego klienta. Z czasem wytwarza się pewna relacja. Nie mogłem uwierzyć w wieści o jego śmierci. – Zamilkł na moment, nerwowo poprawił okulary. – Mówiono mi, że... nie wiem, czy to prawda, ale słyszałem, że...

– Że się zabił? – podsunąłem.

Skinął głową, spoglądając na mnie z wdzięcznością, szczęśliwy, że nie musiał powiedzieć tego wprost.

– Niestety na to wygląda – dodałem, a on wywrócił oczami i znów pokręcił głową.

– Możemy zerknąć na jego sytuację, na dokumenty? – zapytałem, zanim zdążył uprzejmie stwierdzić, że to smutne i niezrozumiałe. Drgnął, wyprostował się i od razu nabrał bardziej profesjonalnego wyglądu.

– Tak, oczywiście. Mam nadzieję, że znalazłem to, czego nam potrzeba. Przeanalizujemy wszystko, ale generalnie mogę powiedzieć, że sytuacja finansowa Bjørna Grovena przedstawiała się bardzo dobrze i pewnie. To był ostrożny człowiek.

Przejrzenie wszystkiego zajęło nieco ponad pół godziny. Lundekvam miał rację. Sytuacja finansowa Bjørna Grovena była na tyle dobra, że aż mu trochę pozazdrościłem. Rezydencja, domek letni nad morzem, dwa samochody, wszystko obciążone kredytami, ale niewielkimi. Kwota kredytów mieszkaniowych nie wynosiła więcej niż jakieś trzydzieści procent przypuszczalnej wartości rynkowej nieruchomości. Do tego konto oszczędnościowe, na którym znajdowało się sto dwanaście tysięcy koron, i akcje na około sześćdziesiąt tysięcy. Przeanalizowaliśmy wyciągi z konta z ostatnich sześciu miesięcy i nie odkryliśmy żadnych niezwykłych wpłat czy wypłat. Wszystko wydawało się całkowicie normalne.

– Ostatnie pytanie – powiedziałem. – Gdyby Bjørn Groven znalazł się w nagłej potrzebie i musiał szybko zdobyć trzy i pół miliona koron, czy mógłby wziąć u was kredyt na taką kwotę?

Lundekvam chwycił długopis i papier, zanotował parę liczb, wystukał coś na kalkulatorze i spojrzał przed siebie, żując długopis.

– Hmm – mruknął. – Chyba tak. Miał dość aktywów na zabezpieczenie pożyczki, chociaż gwarancja nie byłaby zbyt duża. Problem stanowiłaby pewnie obsługa, ale przy obecnym oprocentowaniu raczej dałoby radę, chociaż istniałoby ryzyko w przypadku wzrostu oprocentowania. Tak, dostałby kredyt, chociaż odradzałbym mu tak dużą pożyczkę.

Zastanowiłem się chwilę.

– Ale przypuszczam, że warunkiem byłaby zgoda żony?

Przyznał mi rację.

– Tak. Pani Groven musiałaby zgodzić się na zabezpieczenie kredytu. Może też ponosiłaby współodpowiedzialność za pożyczkę. – Posłał mi nieoczekiwanie ostre spojrzenie zza szkieł okularów. – Skąd to pytanie?

– Nie ubiegał się o kredyt, prawda?

– Nie, a dlaczego...?

Wstałem.

– Musiałem to sprawdzić – wyjaśniłem ogólnikowo. – Chciałem potwierdzić pewne informacje, które otrzymałem. Dziękuję za pomoc.

Moja odpowiedź nie była zadowalająca i Lundekvam zdawał sobie z tego sprawę, ale nie drażył tematu. Wstał tylko grzecznie i się pożegnał.

Po lunchu zaszedłem do księgowego Bjørna Grovena, a później do rewidenta. Po tych wizytach też nieszczególnie zmądrzałem. Wpływy z działalności prawniczej Bjørna od lat utrzymywały się na tym samym wysokim poziomie. Nigdzie nie czaiły się ukryte miny, żadne problemy, nikt nie żądał odszkodowania, nie miał miejsca żaden audyt księgowy, fiskus też nie domagał się więcej niż trzeba. Obaj specjaliści potwierdzili, że Bjørn Groven był nadzwyczaj porządnym i wyjątkowo uważnym człowiekiem, który zawsze postępował zgodnie z ich wskazaniem.

– Mówią, że to samobójstwo – powiedział księgowy, ciężki i przysadzisty mężczyzna z Sogn. – Ale trudno mi przyjąć to do wiadomości.

– Dlaczego?

– Po prostu w to nie wierzę. Bjørn Groven był... – Spojrzał przed siebie, szukając właściwych słów. – Był zrównoważony – rzekł w końcu. – Tak najlepiej mogę to ująć. Zrównoważony. Żył w harmonii z sobą.

Zgadzałem się z nim, ale nic nie powiedziałem, tylko podziękowałem mu za pomoc.

Rewident obrzucił mnie uważnym spojrzeniem i oznajmił, że kontaktowała się już z nim policja.

– Mówią, że Bjørn zdefraudował trzy i pół miliona z konta dla klientów. Ani trochę w to nie wierzę i dałem im to do zrozumienia.

– Tak – odparłem. – Mnie też się to nie zgadza. Ale jeśli... jeśli to zrobił, ile czasu zajęłoby wykrycie przestępstwa?

– Najwyżej parę miesięcy. Dopóki nie uzgodnilibyśmy stanu konta. Może trzy czy cztery, gdyby zwlekał z przesyłaniem dowodów kasowych. No, może nawet sześć, ale wtedy zaczęlibyśmy coś podejrzewać.

– Ale zostałyby to wykryte?

– Zdecydowanie.

Skinąłem głową.

– Tak też myślałem.

## Rozdział 7

Cały następny dzień spędziłem w kancelarii Bjørna Grovena. Zaanonsowałem się poprzedniego dnia. Carlo Jensen był już na miejscu, gdy przyjechałem, przyniósł nam kawę i zaciągnął mnie do swojego gabinetu.

– Smutna sprawa – powiedział. Był wysoki, mierzył może z metr dziewięćdziesiąt, miał potężne kończyny, mocne szczęki i gładko zaczesane do tyłu włosy, tak ciemne, że podejrzewałem go o farbowanie. Nie dało się nie zauważyć worków pod oczami, przez które zdawał się smutny i wycieńczony, ale ponieważ spotkałem go już wcześniej, wiedziałem, że zawsze tak wygląda.

Kiwnąłem tylko głową i upiłem łyk kawy.

Po chwili zapytał:

– Co właściwie pana tu sprowadza, Brenne? Wie pan, że policja tu była, zabrała materiały księgowo, akta i tym podobne?

– Tak – odrzekłem. – Liczyłem się z tym. Chciałem tylko spojrzeć na bardziej prywatne papiery, sprawdzić, czy natrafię na jakiś ślad. Coś, co wyjaśniłoby, dlaczego się zabił. Zauważył pan coś?

– Nie. To znaczy może przez ostatnie dni był nieco cichszy niż zwykle, ale nie jakoś strasznie. – Pokręcił głową. – Bjørn był rozważnym, sumiennym człowiekiem. Nie widzę powodu, żeby... Musiało mu odbić.

Jego głos nagle się załamał i Jensen bez ostrzeżenia wybuchnął



placzem. Zdębiałem. Wydawał się taki opanowany, niemal obojętny, a teraz łzy ciekły mu po policzkach, pociągał nosem i ocierał twarz wierzchem dłoni.

– Przepraszam – mruknął niewyraźnie. – Długo znałem się z Bjørnem...

– Oczywiście – odparłem, trochę zakłopotany, jak to często zdarza się mężczyznom, kiedy widzą płaczącego przedstawiciela swojej płci. Po chwili uspokoił się, a ja zapytałem: – Co z kancelarią? Ma pan problemy z powodu defraudacji?

Pokręcił głową.

– Nie, nic poza odrobiną plotek na mieście. Każdy z nas prowadził własną, zupełnie niezależną firmę. Nasza współpraca polegała tylko na dzieleniu biura. Mieliśmy wspólne wydatki, to wszystko.

Wstałem.

– Wobec tego lepiej już zacznę.

Rozłożył ręce i spojrzał na mnie swoimi zmęczonymi oczyma, które nadal były trochę zaczerwienione.

– Proszę dać mi znać, jeśli czegoś będzie panu trzeba. Jestem tu cały dzień.

Wszyscy adwokaci mają sterty rozmaitych nieposortowanych dokumentów, listów informacyjnych, reklam, prywatnej korespondencji i tym podobnych. Często zalega to latami, nim zostanie uprzątnięte i wyrzucone. Bjørn Groven zachowywał większy porządek niż większość prawników, ale i on miał swoje stosy papierów, na parapecie za firanką, w szafie, na górze szafki na akta. Przypominało to mój gabinet, tyle że u mnie stert było więcej i pięły się wyżej.

Mimo wszystko praca zajęła mi sporo czasu. Poza tym była

nieprawdopodobnie wręcz nudna. Nie wiedziałem, czego szukam, więc musiałem sprawdzać każdy świstek. Po trzech godzinach nie znalazłem ani jednego śladu, który pomógłby mi wyjaśnić, co stało się z Bjørnem.

W porze lunchu sekretarka Bjørna przyniosła mi kawę i kanapkę.

– Słyszałam, że pan tu jest – powiedziała, po czym przedstawiła się jako Harriet Øen. Młode lata miała dawno za sobą, zgadywałem, że zbliża się do siedemdziesiątki. Zapytałem ją o wiek, a ona uśmiechnęła się trochę smutno.

– Mam sześćdziesiąt siedem lat – odparła. – Emerytura za pasem. Dla mecenasa Grovena pracowałam osiemnaście lat, odkąd tylko zaczął jako adwokat. To był dobry człowiek. Zdarzyła się prawdziwa tragedia. Myślę o jego żonie... Musi czuć się okropnie.

– Tak – przyznałem. – To co będzie pani teraz robić? Dalej tutaj pracować?

– Obiecałam mecenasowi Jensenowi, że wytrzymam jeszcze parę miesięcy. Zostanę tu, dopóki nie skończę sześćdziesięciu ośmiu lat, i ani dnia dłużej. Ale wolałabym, żeby tak się to nie skończyło. Mam stąd wiele dobrych wspomnień.

– Jeszcze jedno, pani Øen – odezwałem się, kiedy wychodziła. – Czy zauważyła pani jakieś zmiany w zachowaniu Bjørna... mecenas Grovena... niedługo przed jego śmiercią?

– Tak – potwierdziła zdecydowanie. – Coś go trapiło od kilku dni, a może tylko tego ostatniego dnia, nie pamiętam zbyt dokładnie. Dobrze go znałam, zawsze wiedziałam, kiedy coś szło nie tak. Ale nie było sensu pytać. Mówił tylko wtedy, kiedy i jeśli chciał.

– Jak było tym razem? Powiedział, co go gryzie?

Pokręciła głową.

- Nie, ale coś go martwiło, to pewne.
- I nie ma pani pojęcia co?
- Niestety.

Po lunchu przejrzałem wszystkie teczki, które nie dotyczyły klientów. Były tam rachunki, broszury budowlane, rozmaite ulotki biur podróży, wszystko, co tylko możliwe, ale nic ciekawego.

Ziewnąłem, po czym włączyłem komputer, aby rozpocząć bezcelową pracę polegającą na sprawdzaniu osobistych plików. Przy odrobinie szczęścia mogło się okazać, że Bjørn systematycznie umieszczał w osobnych folderach wszystko, co nie miało związku z klientami. Komputer domagał się hasła. Wstałem, poszedłem do recepcji i zapytałem młodą kobietę o panią Øen.

– Poszła do domu – powiedziała. – Nie czuła się zbyt dobrze.

– Okej. Czy zna pani hasło do komputera Bjørna Grovena?

Zerknęła na mnie ostrożnie.

– Niech pan porozmawia z Carlem – odparła. Nie wiedziałem, czy to oznacza, że nie zna hasła, czy też nie chce odpowiadać za wyjawienie go mnie, ale nie miało to żadnego znaczenia. Zapukałem do drzwi Jensena, jednocześnie je otwierając, i wetknąłem głowę do środka.

– Można? Zastanawiałem się tylko, czy...

Carlo Jensen odwrócił się w moją stronę. Nie siedział za biurkiem, tylko w jednym z foteli stojących pod oknem i przedzielonych niedużym stolikiem. Drugi fotel zajmował jakiś mężczyzna.

– O! Przepraszam. Nie wiedziałem, że ma pan gościa. Mogę wrócić później.

– Nie, nie! – Carlo Jensen wstał. – Proszę wejść.

Jego gość również się podniósł. Był wysoki, niemal chudy, miał

krótko przystrzyżone ciemne włosy, zapadnięte policzki i zadbaną krótką brodę. W zaroście ani we włosach nie dostrzegłem cienia siwizny. Nosił elegancki, drogi garnitur, beżową koszulę oraz chustkę pod szyją. Rozpoznałem go, gdy tylko uważniej mu się przyjrzałem.

– Nie przeszkadza pan – ciągnął Carlo. – To nie spotkanie z klientem, ale... zwykła wizyta. – Wskazał dłonią gościa. – Nie wiem, czy panowie się znacie. To Jesper Juul.

Podąłem Juulowi rękę.

– Nie, nie znamy się, ale wiem, kim pan jest... między innymi z prasy.

Jesper Juul był lokalnym biznesmenem pochodzącym ze starej, bardzo zamożnej rodziny. Swego czasu Juulowie posiadali jeden z większych domów handlowych w mieście, ale to nie dlatego go znałem. Jesper udzielał się w polityce. Przez wiele lat zasiadał w radzie miasta z ramienia jednej z partii, był zaangażowany i aktywny.

Teraz mocno uścisnął mi dłoń.

– Nawzajem, panie mecenasie. Pojawia się pan w mediach chyba równie często, jak ja. Miło pana poznać. – Uśmiechał się w szczery i zadziwiająco chłopięcy sposób. – Właściwie to jestem pana wielbicielem.

– Naprawdę?

– Tak. Pasjami czytam reportaże kryminalne i sądowe. Swego czasu marzyłem o tym, żeby zostać obrońcą, oczywiście najlepiej genialnym i sławnym. – Wzruszył ramionami. – Los chciał inaczej. Ale marzenie pozostało.

Odwzajemniłem uśmiech.

– Cóż, mogę pana pocieszyć, że ten zawód nie jest tak fascynujący

i ekscytujący, jak przedstawiają go dziennikarze. Dominuje codzienna rutyna i harówka.

– Bez wątpienia – przyznał Jesper Juul. – Jak to bywa ze wszystkim w życiu.

Znów wymieniliśmy uśmiechy. Trudno było go nie lubić.

– Jesteśmy z Jesperem starymi znajomymi – wyjaśnił Carlo Jensen.

– Starymi przyjaciółmi – poprawił Jesper Juul. – Zaczęło się od tego, że byłem klientem Carla, ale teraz należy chyba powiedzieć, że łączy nas przyjaźń, co?

Jensen skinął głową. Wyglądał na dumnego i zadowolonego, jak gdyby deklaracja przyjaźni ze strony Jespera Juula była wyróżnieniem. Pomyślałem, że Juul jest mężczyzną pełnym uroku osobistego.

– Czym mogę panu służyć, Brenne?

– Potrzebuję hasła do komputera Bjørna. Nie mogę się zalogować i miałem nadzieję, że mi pan w tym pomoże.

Carlo Jensen nagle spowaźniał, jakby samo wymienienie nazwiska Bjørna uczyniło nasze uśmiechy oraz lekką atmosferę w pomieszczeniu nieco niestosownymi.

– Tak. Kirsten. Hasło brzmi: „Kirsten”.

Oczywiście. Beznadziejne zabezpieczenie, ale Bjørn Groven był mężczyzną pozbawionym fantazji. Za to kochającym i wiernym.

Podziękowałem, po czym pożegnałem się z Jesperem Juulem.

– Może jeszcze się spotkamy, panie mecenasie – powiedział poważnie, jakby od razu wyczuł zmianę nastroju. – Oby w miłszych okolicznościach.

Bjørn miał osobny folder na prywatne pliki, ale i tak przejrzenie ich zajęło całą wieczność i nic nie przyniosło. Żadnych śladów,

wskazówek, które pomogłyby mi zrozumieć, czym zajmował się przez ostatnie dni życia, co chciał zrobić z pieniędzmi, co go martwiło. Nic. Pod koniec dnia przekopałem się przez stos notatników i kalendarzy, ale i tym razem musiałem przyznać się do porażki. Nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym zrobić.

O szóstej Carlo Jensen zastukał do drzwi.

– Jestem ostatni, właśnie wychodzę. Może wróci pan jutro, Brenne?

Ziewnąłem i przeciągnąłem się.

– Nie, w porządku. Właściwie już skończyłem, siedzę tylko i gapię się w przestrzeń.

– Nic?

– Nic. Nawet najmniejszej wskazówki.

Stał, spoglądając na mnie smutnym wzrokiem.

– Dziwna sprawa. Jak już mówiłem, myślę, że mu odbiło.

Wstałem z krzesła, chwyciłem płaszcz.

– To więcej niż dziwne – powiedziałem, kiedy razem wychodziliśmy z kancelarii. – Bjørn był w dobrej sytuacji finansowej, mógłby pożyczyć trzy i pół miliona, gdyby musiał. Nic się tutaj nie zgadza.

– To znaczy?

– Nie wiem – ciągnąłem zmęczony. – Coś tu w każdym razie zgrzyta. Cała ta sprawa jest nielogiczna. Zastanawiam się, czy powinienem spróbować nakłonić policję, żeby raz jeszcze się jej przyjrzała.

Zatrzymał się, zamrugał, nagle wydał mi się zakłopotany.

– Taak... Sądzi pan, że będą chcieli?

– Mam całkiem dobre kontakty na komendzie. Zobaczymy.

Przez chwilę stał bez słowa, patrząc bezmyślnie przez moje

prawe ramię.

– Myśli pan, że to nie było samobójstwo?

– Nie wiem – odparłem. – Nie wiem, co myślę. Po prostu nic mi się nie zgadza. A pan co uważa? W ostatnich latach spotykał go pan dużo częściej niż ja.

Spojrzał na mnie trochę bezradnie.

– Co uważam? Nie... nie wiem. Bjørn... Nigdy nie pomyślałbym, że coś takiego zrobi, ale... – Rozłożył ręce. – Życie nauczyło mnie jednego, a mianowicie, że rzadko wiadomo, co tak naprawdę tkwi w ludziach, nawet w naszych najbliższych.

Wiał lodowaty wiatr z północy, więc postawiłem kołnierz i szybko poszedłem na przystanek autobusowy, by wrócić do pustego, cichego domu. Domu bez Kari.

## Rozdział 8

Następnego dnia podjechałem do kancelarii. Miałem wyrzuty sumienia, bo już dawno powinienem był to zrobić. Zobaczywszy mnie, Peter uniósł brwi.

– W samą porę, Mikael. Proszę, idź do Synne. Potrzebuje cię.

Synne rozmawiała przez telefon. Siedziała z nogami na parapecie, powtarzając tylko „tak” i „nie” do słuchawki. Dłonią wskazała mi miejsce w fotelu dla klientów, na palcach pokazała pięć minut i wywróciła oczami.

Była u nas od kilku lat, już dawno dostała licencję adwokacką i prowadziła własne sprawy, ale nadal uważałem ją za „moją” aplikantkę. Towarzyszyła mi w większości dużych spraw. Jak zwykle gdy widziałem ją po dłuższej nieobecności, uderzyło mnie, jaka jest młoda. Młoda i trochę niezgrabna, o wąskich biodrach i małym biuście. Kiedy chciała, potrafiła się ładnie ubrać, ale tego dnia miała na sobie dzinsy i luźny sweter, przez co wyglądała jak dziewczynka.

– Hej, Mikael – przywitała się, kiedy wreszcie odłożyła słuchawkę. – Rzadki widok.

Niespokojnie poruszyłem się w fotelu.

– Wiem, że powinienem był wpaść już dawno, ale...

– W porządku. Jakoś to przeżyłam.

– Może więc jestem tu zbędny? To znaczy jeśli wszystko idzie



świetnie beze mnie...

Uśmiechnęła się.

– No cóż, ty masz nazwisko. Nazwisko przyciągające klientów.

– Dobrze wiedzieć, że jednak na coś się przydaje. Opowiedz mi pokrótce, co się działo.

Przez następną godzinę omawialiśmy wszystkie moje sprawy. Podczas nieobecności straciłem dwóch klientów, czego się też spodziewałem. Reszta najwyraźniej była pod kontrolą, co od razu powiedziałem Synne.

– Pewnie – zgodziła się. – Zasadniczo chyba tak. Jedynie...

– Aha?

Uśmiechnęła się w nieco wymuszony sposób.

– Dwie rzeczy. Po pierwsze chciałam cię prosić o przysługę.

– Słucham.

– Chodzi o chłopaka, który jest moim klientem. Zastanawiałam się, czy nie mógłbyś przejąć tej sprawy.

– Synne, jestem na zwolnieniu.

– Tak, wiem. Ale to mała rzecz i bardzo by mnie ucieszyło... To dużo dla mnie znaczy. – Lekko się zarumieniła. – Nieczęsto cię o coś proszę, Mikael.

Westchnąłem.

– O co chodzi z tym chłopakiem? I dlaczego nie możesz się tym zająć?

– Nazywa się Erling Iversen i ma tylko szesnaście lat. Jakiś czas temu wykorzystał seksualnie chłopca z sąsiedztwa, dziewięciolatka. Zwabił go do domu, pokazał mu film pornograficzny, kazał... się dotykać.

– Hm. Nic gorszego?

– Nie, to sprawa z paragrafu dwieście, ale coś podobnego, choć

nie aż tak poważnego, zrobił już wcześniej. Miało to miejsce, zanim skończył piętnaście lat, więc sprawę przekazano Służbie Ochrony Praw Dziecka.

– A dlaczego nie możesz się tym zająć? – powtórzyłem.

– Znam go. Zawsze mówiłeś, że nie wolno bronić osób, które się zna. Mieszkałam kiedyś w bloku obok, przez lata pilnowałam go jako opiekunka do dziecka. Znam jego i jego rodzinę.

Spojrzałem na nią nieco zdziwiony.

– W bloku obok? Myślałem, że dorastałaś w snobistycznej dzielnicy willowej, sama tak mówiłaś...

Niecierpliwie poruszyła dłonią.

– Przeprowadziliśmy się. Mój ojczym miał pieniądze. Ale zanim się pojawił, mieszkałam w bloku. Pomożesz mi, Mikael?

Westchnąłem.

– Tak, tak, pomogę.

– Świetnie. Umówiłam cię na spotkanie w poniedziałek o dziesiątej.

– W poniedziałek? Jeszcze będę na zwolnieniu.

– Dasz chyba radę odbyć jedno spotkanie, co?

– Pewnie tak. Okej. A ta druga rzecz?

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Powiedziałaś, że chcesz mnie zapytać o dwie sprawy.

– Ach! – Wyglądała niepewnie. – To... W sumie to głupota, ale...

– No, dalej!

– Kojarzysz Steinara Taulego?

Kojarzyłem. Steinar Taule był drobnym przestępcą, którego kilkakrotnie reprezentowałem. Raz aresztowano go za sprzedaż narkotyków, rozmaitych pigułek. Za drugim razem sprawa okazała się poważniejsza, chodziło o atak nożem. Ani ja, ani policja nie

dowiedzieliśmy się nigdy, dlaczego do tego doszło. Przypuszczalnie zaczęło się od kłótni o narkotyki czy pieniądze, a może jedno i drugie. Taulego zwolniono dzięki temu, że powołaliśmy się na obronę konieczną.

– Tak, dobrze go pamiętam. Co zrobił tym razem?

Synne wzruszyła ramionami.

– Sprzedawał pigułki.

– Norma. Z tego żyje.

Skinęła głową.

– Rozumiem. Ale oprócz tego groził referentowi z zakładu ubezpieczeń społecznych. Ubiegał się o rentę i stwierdził, że jest źle traktowany. Wyciągnął nóż.

– Niedobrze, ale w czym problem? Dla mnie zazwyczaj był uprzejmy, wręcz miły, właściwie to nawet dość skromny facet, chociaż ma poprzestawiane w głowie. Chyba ci nie groził, co?

– Nie, nie, nic z tych rzeczy. Jest w porządku, bardzo mało mówi, zachowuje się poprawnie.

– To o co chodzi?

– Chyba się we mnie kocha.

Uśmiechnąłem się.

– Żartujesz?

– To nie powód do żartów, Mikael. Przysyła mi do pracy kwiaty i liściki.

– Co pisze? Daj mi przeczytać.

Znów wzruszyła ramionami.

– Nie ma tam zbyt wiele. Że jestem fantastycznym adwokatem i fantastyczną kobietą. Że jestem mądra, inteligentna i rozumiem go lepiej niż ktokolwiek inny.

– Chyba powinnaś to zignorować. Przejdzie mu, Synne. Ten

chłopak nie jest przecież do końca zrównoważony.

– No właśnie. Wczoraj czekał na mnie pod kancelarią.

– Co?

– Twierdził, że to przypadek, ale mu nie wierzę. Uważam, że to okropnie niezręczne.

Zastanowiłem się.

– Tak, rozumiem. Zaproś go na spotkanie. Ja albo Peter możemy ci towarzyszyć. Powiedz mu, że... że jakikolwiek związek jest wykluczony. Że to nieprofesjonalne. Że go lubisz, ale nie w ten sposób. Wiesz, tego typu gadki.

– Okej – westchnęła Synne. – Okej, załatwię to sama. Wystarczy dać mu wyraźnie do zrozumienia. – Próbowала mówić zdecydowanie, ale widziałem, że cała ta sprawa wcale jej się nie podoba.

Wieczorem zadzwoniła Kirsten.

– Chyba nie poszedłeś jeszcze spać?

– Nie, nie, co ty.

– To dobrze – zaczęła, ale się zawahała.

– Kirsten...

– Zastanawiałam się tylko, czy...

– Tak?

– Wszędzie szukaliśmy czegoś, co mogłoby wyjaśnić... to, co się stało z Bjørnem. Ty szukałeś w kancelarii, ja w domu, ale nie zbliżyliśmy się do odpowiedzi.

– I?

– Wiem, że to mało prawdopodobne, ale pomyślałam jeszcze o domku letniskowym. Może dla pewności powinniśmy tam zajrzeć?

– Oczywiście. Założyłem, że już tam szukałaś.

– Nie, po prostu nie wpadło mi to wcześniej do głowy. – Krótka

przerwa. – Możesz ze mną pojechać, Mikael? Nie chcę być tam sama.

– Okej. Pasuje ci czwartek?

– Świetnie. Dobranoc, Mikael.

– Dobranoc.

## Rozdział 9

Zanim dotarliśmy na miejsce, przestało padać. Zaparkowaliśmy przed nazwiskiem „Groven” na artystycznie wyrzeźbionym szyldzie, dokładnie takim samym jak pozostałe tabliczki z nazwiskami na parkingu.

– Osiedle domków? – zapytałem, a Kirsten skinęła głową.

– Tak. Jest ich chyba czternaście, ale działki są duże. Nie przeszkadzają nam sąsiedzi.

Szliśmy wąską żwirową ścieżką wijącą się wśród niskich, pochylonych sosen. Między pniami prześwitywały plamy brudnego śniegu. Co jakiś czas ścieżka się rozgałęziała. Wśród drzew dostrzegałem pojedyncze domki letniskowe. Żwir trzeszczał pod naszymi stopami, poza tym panowała zupełna cisza. Po kilku minutach wyszliśmy z lasu. Przed nami rozciągała się urocza zatoczka, nad którą, przy samej wodzie, jeden przy drugim stały stare hangary na łodzie.

– Tam – powiedziała Kirsten, wskazując na prawo. – Tam jest nasz domek.

Znajdował się na pagórku z pięknym widokiem na morze i wyglądał jak wszystkie inne nowoczesne domy letniskowe w kraju. Był niski, pomalowany ciemną bejcą, wyposażony w wychodzące na taras przeszklone drzwi. Minęliśmy róg, Kirsten chwilę szukała kluczy pod daszkiem, aż wreszcie wpuściła nas do

środka.

– Zrobię kawy – oznajmiła.

Rozejrzałem się wokół, otworzyłem kilkoro drzwi, włączyłem światła. Dwie sypialnie, łazienka i sauna, magazyn. Bez poddasza i piwnicy. Otwarta kuchnia była połączona z salonem. Niezbyt wiele miejsc do przeszukania. Zacząłem od narożnej szafy. Przejrzałem listy zakupów, broszury, reklamy. Pomimo włączonego ogrzewania w domku panował chłód. Kirsten podała mi kubek kawy. W szafie nie znalazłem nic ciekawego.

Przy jednej ze ścian stał regał ze sporą ilością książek oraz kilkoma szufladami pełnymi dokumentów: zaproszeń na zebrania współwłaścicieli osiedla domków, referatów z zebrań, korespondencji z architektem na temat możliwości postawienia dobudówki. Cierpliwie przekopywałem się przez to wszystko, list za listem, kartka za kartką.

– Pójdę zerknąć na łódź – rzekła Kirsten, a ja skinąłem głową i powiedziałem, że skończę za pół godziny.

List leżał między dwoma kopertami, jedna zawierała rachunek za konserwację silnika motorówki, a druga informację z gminy. Pojedynczą kartkę złożono tak, że tekst był niewidoczny, dlatego prawie ją przeoczyłem. Przeczytałem dobrych parę zdań, zanim zarejestrowałem treść, ale wtedy pojąłem, że wreszcie znalazłem to, czego szukałem.

„Już czas wyrównać rachunki – głosił list. – Myślałeś, że ujdzie ci to na sucho, świniu? Nie spodziewałem się tego po tobie. Ciekawe, czy sądziłeś, że mnie też się to podoba, a może po prostu miałeś to w dupie? Wszystko jedno. Wiedz, że każdego dnia, odkąd wykorzystasteś mnie po raz pierwszy, trzeciego maja 2002 roku o czternastej (tak, dokładnie pamiętam datę i godzinę, i wszystko,

co ze mną zrobiłeś), cieszę się na wyrównanie rachunków.

Twojej karierze chyba nie pomoże, kiedy po mieście rozejdzie się, że pieprzysz małych chłopców, co? Może policja też się tym zainteresuje?

To nie jest konieczne. Ale trochę będzie cię to kosztować”.

Całość napisano eleganckimi drukowanymi literami. Sam list wyglądał na kopię. Siedziałem pod oknem w jasnych promieniach jesiennego słońca, spoglądając na zatokę, stalowoszarą wodę i wystające z niej czarne skały, ledwie widoczne nad powierzchnią. Wszystko pod taflą morza pozostawało ukryte, schowane w ciemnej głębi, w mule, szlamie i czarnych wodorostach. Pomyślałem, że nigdy nie znamy do końca innych ludzi.

Kirsten siedziała całkiem cicho. Kiedy wróciła, położyłem list na stole w salonie, a ona go przeczytała, najpierw bez zrozumienia, później coraz bardziej marszcząc czoło, gdy pojmowała sens kolejnych słów. Skończywszy, oznajmiła, że chce jechać do domu. Wielokrotnie próbowałem rozpocząć rozmowę w samochodzie, ale odpowiadała półsłówkami albo wcale.

Zatrzymawszy się na podjeździe przed domem, położyłem jej dłoń na ramieniu.

– Poczekaj, Kirsten. Posłuchaj mnie chwilę.

Nie odpowiedziała, ale nie wysiadła też z auta.

– Rozumiem, że to dla ciebie szok. Dla mnie też, choć dla ciebie to na pewno dużo gorsze, ale nic nie można z tym zrobić. Chciałaś... chciałaś wiedzieć, co się stało, a teraz wiesz. – Wciągnąłem powietrze, po czym kontynuowałem. – Nie jestem w stanie zrobić więcej, Kirsten, ale musisz zastanowić się nad paroma sprawami. Bjørn padł ofiarą szantażu. A pieniądze... te trzy i pół miliona... z pewnością przekazał szantażyście. Jeżeli chcesz go dorwać,



musisz zgłosić się na policję. Problem w tym, że wtedy... wszystko wyjdzie na jaw. Musisz być gotowa na przeciek z komendy. Nie wiem, co jest dla ciebie ważniejsze, pieniądze czy dobre imię męża. Nie wiem, co...

Przez cały czas kręciła głową, powoli, ale wyraźnie. Wreszcie mi przerwała.

– Nie! – warknęła, a ja spojrzałem na nią zdezorientowany.

– Co nie?

– Nie zgadzam się na to wszystko. Na całą tę historię. Nie kupuję jej. Nie wierzę.

– Posłuchaj, Kirsten... Dużo przeszłaś, to naturalna reakcja, ale musisz zaakceptować fakty...

– Nie. Nie wierzę w to, Mikael. Znałam swojego męża. Pół życia spędziłam z Bjørnem, spałam z nim, płakałam, przeżywałam wzloty i upadki. To nieprawda. On nie robi... nie robił czegoś takiego.

– Kirsten, myślę...

– Mam w dupie, co myślisz! – wrzasnęła. – Spierdalaj, Mikael! Ja wiem swoje. Bjørn tego nie zrobił. Nigdy w życiu.

Zatrzasnęła za sobą drzwi samochodu i pomaszerowała po żwirowej ścieżce, nie odwracając się. Było mi jej żal, ale czułem też irytację. Jej reakcja była naturalna. Nie po raz pierwszy miałem do czynienia z członkiem rodziny, który nie chciał zaakceptować prawdy. Poświęciłem jednak czas i siły, aby pomóc Kirsten, więc nie cieszyło mnie za bardzo, gdy wyzwała mnie tylko dlatego, że nie spodobały jej się uzyskane odpowiedzi. Wrzuciłem bieg i zawróciłem na podjeździe.

## Rozdział 10

Dobrze było wrócić do pracy w poniedziałek rano. Uśmiechy, sposób, w jaki ludzie witali się z sobą, mieszanka zawodowego pośpiechu i dobrze znanej bliskości – wszystko to wprawiło mnie w dobry nastrój i zdałem sobie sprawę, że bardzo mi tego brakowało. O dziesiątej usiadłem w swoim gabinecie, by zaczekać na Erlinga Iversena. O wpół do jedenastej wszedłem do pokoju Synne.

– Erling Iversen – odezwałem się.

– Tak?

– Nie zjawił się.

Synne zmarszczyła brwi.

– Nie? To dziwne. Może pomylił godziny?

– Może. Sprawdź, co się stało?

– Jasne. Zostaniesz tutaj czy...?

Zawahałem się.

– Tak. Chwilę. Zostanę parę godzin.

Peter wetknął głowę do mojego pokoju.

– Mikael – powiedział. – Słyszałem, że przyszedłeś. Już wyzdrowiałeś?

– Dlaczego odnoszę wrażenie, że nie bierzesz mojego zwolnienia poważnie?

Wzruszył ramionami i wszedł do środka.

– To nie tak, Mikael. Biorę je poważnie. Wiem, że byłeś smutny, przybity, zdołowany, przygnębiony, wypalony i znękany. Cały zestaw. Ale...

– Tak?

Zawahał się.

– Z mojego doświadczenia wynika jednak, że niezbyt dobrze jest... za bardzo się wczuwać w takich sytuacjach.

– Co to za durna postawa macho?

Uśmiechnął się nieco krzywo.

– Wiedziałem, że tak powiesz, ale ja nie twierdzę wcale, że nie należy serio traktować uczuć, tylko że czasami nas to przerasta. Można chodzić w koło, być smutnym i przybitym i tylko się w ten sposób pograżać. Czasem zamiast skupiać się na sobie, lepiej po prostu zająć się pracą.

Zdziwiłem się nieco, ale powiedziałem tylko:

– Może masz rację, Peter.

– To co? Wróciłeś?

– Zostało mi dziesięć dni zwolnienia.

– Nikt ci nie każe wykorzystywać go do końca.

Nagle zrozumiałem, że właściwie nie chce mi się wracać do domu, że mam dość błędzenia bez celu od pokoju do pokoju w pustym domu, patrzenia, jak dni wleką się jeden za drugim.

– Chyba mogę zacząć pracować od razu, skoro już tu jestem – stwierdziłem ostatecznie.

Wraz z upływem godzin przybywało mi zajęć. Czuję, jakby kancelaria potrzebowała trochę czasu, aby na nowo dostosować się do mojej obecności. Moją pocztę, sprawy i wiadomości przekazano innym osobom, a teraz wszystko musiało wrócić do mnie, najpierw

drobną strużką, później szybkim strumieniem, aż wreszcie zalała mnie powódź papierów, telefonów i krótkich spotkań. Pod koniec dnia byłem wykończony i spocony, a jednak zadowolony. Miałem wrażenie, że wróciłem do rzeczywistości.

O czwartej zajrzała do mnie Synne.

– Jak tam? Skontaktowałaś się z nim?

– Nie. – Zmarszczyła czoło z troską. – Nie odbiera komórki.

– A rodzina? Chyba wie, gdzie jest?

– Nie. Mieszka z matką. Rozmawiałam z nią, ale nie widziała go od tygodni.

– Szesnastoletni chłopak, którego matka nie wie, gdzie podziewa się jej syn? Szaleństwo.

Pokręciła głową.

– Niekoniecznie. Rozumiesz... Iversenowie... nie są właściwie...

– Jacy?

Opadła na jeden z foteli dla klientów.

– Erling dorastał z matką i starszym bratem. Ojciec zmarł, chyba kiedy Erling był całkiem mały. Matka... Katrine... nie jest zła, ale lubi poimprezować i ma słabość do facetów. W tym domu nigdy nie panował porządek, a chłopcy musieli w zasadzie radzić sobie sami.

– Cóż – odparłem. – Pewnie oddzwoni.

– Oby – powiedziała Synne.

– Na pewno – dodałem, po czym zmieniłem temat. – A co ze Steinarem Taulem? Pogadałaś z nim i rozwiązałaś problem czy nadal uważa cię na najwspanialszego adwokata i kobietę na świecie?

– Porozmawiałam z nim, tak jak ustaliliśmy.

– I?

– Chyba pomogło.

- Chyba? To raczej nie wystarczy, co?
- Dobra, pomogło. Wyłożyłam kawę na ławę. Dotarło do niego.
- Jesteś pewna? – Nie byłem przekonany. Gdy wymieniłem nazwisko Steinara Taulego, jej twarz przesłonił cień niepokoju.
- Wszystko będzie dobrze, Mikael. – Głos Synne dawał wyraźnie do zrozumienia, że nie chce drażnić tej sprawy.

Erling Iversen nie oddzwonił. Synne codziennie telefonowała do jego matki i w nieskończoność zostawiała mu wiadomości na komórce, wszystko na nic. Z każdym dniem była bardziej zmartwiona. Próbowałem ją uspokajać, a Synne przytakiwała moim słowom, ale w jej oczach widziałem niepokój.

Pewnego dnia przyszła do kancelarii ubrana w dżinsy i golf.

– Idę szukać Erlinga – oznajmiła. – Dłużej nie dam rady. Chłopak zniknął, a nikt się tym nie przejmuje.

Miała z sobą jego fotografię. Popatrzyłem na zdjęcie. Młody chłopak, szczupły, całkiem ładny, o półdługich, zupełnie jasnych włosach i niebieskich oczach. Posyłał do obiektywu szczery, szeroki uśmiech, ale coś w tej twarzy – lekka niepewność wokół ust, wstyd w spojrzeniu – sprawiało, że wyglądał na wrażliwego.

– Idę z tobą – zdecydowałem.

– Nie trzeba – mruknęła, ale gdy zacząłem nalegać, w jej oczach pojawiła się wdzięczność.

Miasto spowijała zimowa ciemność, było chłodno i nieprzyjemnie. Szliśmy ulicami, zatrzymując się przy każdej napotkanej grupce młodzieży. Trzymałem się trochę z tyłu. Synne pokazywała fotografię, podawano ją sobie z ręki do ręki, ale dzieciaki wciąż kręciły głowami. Tylko raz ktoś zareagował inaczej – jeden pryszczaty chłopak stwierdził: „Tak, znam go, ma na imię Erling”,

ale zapytany, kiedy ostatnio go widział, także pokręcił głową, mówiąc, że wiele tygodni temu.

Z czasem zmalała liczba ludzi na ulicach. Stopy mi zmarzły, a dłonie wcisnąłem głęboko w kieszenie płaszcza. Po drugiej stronie ulicy, na chodniku przed knajpą, stała grupka zaciekłych palaczy, obejmujących się dla rozgrzewki rękoma. Wyglądali, jakby było im zimno. Okna za nimi jaśniały żółto i zachęcająco.

– Może zasłużyliśmy na przerwę? – zapytałem, wskazując w tamtą stronę. – Napiłbym się ciepłej kawy.

Odwróciła głowę, zerknęła we wskazanym przeze mnie kierunku i drgnęła.

– To Jarle! – zapaliła się.

– Kto?

– Jarle Iversen! Brat Erlinga. Poczekaj tu chwilę.

Przebiegła przez ulicę do krótko ostrzyżonego młodego mężczyzny w czarnej skórzanej kurtce. Chwyciła go za ramię, a kiedy ten ją rozpoznał, uśmiechnął się i ją uściskał.

Widziałem, jak Synne rozmawia, mocno gestykułując. Młody mężczyzna kręcił powoli głową. Jeszcze chwilę mówiła, machnęła dłonią ku mnie, a mężczyzna zerknął na mnie przez ulicę i posłał mi krótkie, pełne rezerwy skinienie. Odwzajemniłem gest. Synne znów go uścisnęła, po czym wróciła do mnie z rozczarowaniem wypisanym na twarzy.

– Nie wiedział, gdzie jest Erling?

– Nie – przyznała. Po krótkiej chwili dodała: – Ale to dziwne...

– Co?

– Jarle jest starszym bratem, prawda? Zawsze zajmował się Erlingiem, wstawiał się za nim, pomagał mu. A teraz jakby wcale się nie martwił. Albo... jakby był na Erlinga zły... Sama nie wiem.

Wzruszyłem ramionami.

– Może się pokłócili.

– Może. Ale ta matka... Jarle był dla Erlinga bardziej ojcem niż bratem. Właściwie sam wychował tego chłopaka.

– Widziałem go kiedyś.

– Jarlego?

– Tak. Skądś go znam, jestem tego pewien.

Zawahała się.

– Możliwe. Jest... w co nieco zamieszany.

– Jarle Iversen jest przestępcą? – zdziwiłem się. – Masz dziwnych znajomych, Synne.

Uśmiechnęła się blado.

– Był dzieciakiem, kiedy go poznałam. Dzikim, co prawda, ale też miłym. Zawsze go lubiłam i nadal lubię, bez względu na to, kim się stał i czym się zajmuje.

Stopy miałem przemarznięte, byłem wyczerpany, i nie omieszkałem jej tego powiedzieć.

– Starczy na dziś, Synne. Możemy ewentualnie kontynuować jutro.

– Jeszcze troszkę.

– Nie – zaprotestowałem. – Marznę. Tobie też jest zimno, przecież aż szcękasz zębami. To bez sensu. Prawie nikt już nie chodzi po ulicach. Czas dać sobie spokój.

## Rozdział 11

Miejsce, które kiedyś było dworcem autobusowym z kilkoma sklepami, przekształciło się w centrum handlowe. Autobusy przeniesiono na tyły budynku. Żeby je znaleźć, trzeba zanurkować w przejście podziemne i odszukać właściwy peron. Centrum handlowe nie jest gorsze ani lepsze niż większość tego typu obiektów, tyle że – z powodu niepisanego prawa mówiącego, że terminale autobusowe zawsze przyciągają wykolejeńców i ludzi bez korzeni – częściej niż w innych śródmiejskich galeriach przesiadują tutaj awanturujące i odurzające się grupki młodzieży.

Stałem w dworcowej aptece z numerkiem w dłoni, zdając sobie sprawę, że jeszcze długo poczekam, zanim dane mi będzie uzupełnić topniejące zapasy wydawanych tylko na receptę tabletek na migrenę. Przez chwilę chciałem nawet przełożyć zakupy na inny dzień, ale wiedziałem, że nic to nie zmieni, że kolejki zawsze będą tak samo długie. Dlatego wziąłem numerki i postanowiłem zaczekać. Włóczyłem się po sklepach, oglądałem sprzęt sportowy i telefony komórkowe, których nie potrzebowałem, ale jednak miałem na nie lekką ochotę, wiedziony łagodnym konsumenckim impulsem, który zawsze dochodzi do głosu, kiedy ma się nadmiar czasu do zabicia w centrum handlowym.

Wróciłem do apteki. Wcześniej w kolejce było przede mną osiemnaście osób, a teraz sześć, więc poszedłem jeszcze trochę



pooglądać wystawy.

Starsza część centrum ma pośrodku otwartą przestrzeń. Spacerowałem powoli wzdłuż poręczy w stronę holu wejściowego, spoglądając na kłębiące się przede mną roje ludzi spieszących się na autobus lub wracających z podróży, albo po prostu zagonionych, jak to czasem bywa w galeriach, kiedy trzeba coś załatwić, zrobić zakupy. Przechyliłem się przez poręcz i spojrzałem w dół. Patrzyłem na kobiety, starsze i młodsze, niektóre eleganckie, inne wyzywające. Przesunąłem wzrokiem po krągłej damie w średnim wieku, która sunęła przez tłum niczym fregata, pewna siebie i kołysząca biodrami, aż zniknęła w przejściu prowadzącym na dworzec. Wzdłuż ścian, przy zejściu, stały ławki, na których można było chwilę odpocząć. Siedziały tam dwie starsze panie o zmęczonych nogach, podpierające się łaskami. Były niemal identycznie ubrane w czarne płaszcze i małe kapelusiki i raz po raz spoglądały na młodą parę na ławce za nimi. Dziewczynę o długich blond włosach zakrywających twarz i chłopaka obejmującego ją ramieniem.

Erlinga Iversena rozpoznałem po wyjątkowym kolorze włosów, tak jasnych, że niemal białych. Chociaż para siedziała spokojnie, z jakiegoś powodu nie było wątpliwości, że oboje są mocno odurzeni. Zdradzała ich postawa, a może niepewne ruchy. Albo podejrzliwe spojrzenia i wyrażająca niechęć mowa ciała starszych pań obok.

Szybko wróciłem do apteki i sprawdziłem tablicę wyświetlającą numerki. Mój był następny. Znowu wyszedłem, zbliżyłem się do poręczy i zerknąłem w dół. Nadal tam siedzieli, w tej samej pozycji, jakby w ogóle nie zamierzali się stamtąd ruszyć. Długo czekałem na swoją kolej i nie miałem ochoty zaczynać od nowa, więc powiedziałem sobie, że na pewno zostaną tam, dopóki trochę nie

oprzytomnieją.

W aptece wyświetlił się mój numer. Podeszedłem do lady i uśmiechnąłem się do stojącej tam zapracowanej kobiety. Odpowiedziała mi zmęczonym, odruchowym uśmiechem.

Po wyjściu podeszedłem do poręczy, żeby sprawdzić, czy Erling Iversen nie ruszył się z miejsca. Był tam, ale nie obejmował już dziewczyny. Wyprostował się i niemo spoglądał na mężczyznę stojącego przed nim. Rozpoznałem Jarlego Iversena, a jego ciało zdradzało wzburzenie – szeroko rozstawione nogi, wysunięta naprzód szczeka, palec wskazujący podstawiony aż pod twarz chłopaka.

Erling też nie wyglądał na zbyt zadowolonego. Kręcił głową, unosił wzrok i mówił coś do brata, ale byłem zbyt daleko, żeby dosłyszeć słowa. Bez względu na to, co powiedział, Jarle zareagował ostro.

Chwycił braciszka za poły kurtki, postawił go na nogi, potrząsnął. Dziewczyna także wstała, dobiegł mnie jej wyrażający protest, uniesiony głos. Żaden z chłopaków nie zwrócił na nią uwagi. Erling odepchnął brata. Uniósł prawą rękę w niekontrolowanym zamachu, ale Jarle odsunął się nieco w bok, uniknął ciosu i wymierzył chłopakowi dwa szybkie policzki. Erling padł na ziemię. Dziewczyna zawyła. Erling też ryczał, kopiąc brata. Starsze panie już dawno wstały z ławki i się wycofały. Obok zatrzymywały się kolejne osoby, kątem oka dostrzegłem dwóch strażników zmierzających w kierunku bójki, jeden z nich rozmawiał przez radio.

Puściłem poręcz i szybko poszedłem w stronę ruchomych schodów. Straciłem ich przez to z oczu na kilka minut. Na schodach kłębiło się od ludzi, mogłem więc jedynie cierpliwie stać, powoli

jadąc w dół.

Znalazłszy się na parterze, dostrzegłem, że strażnicy zdążyli chwycić Jarlego, każdy z jednej strony. Erling wstał i zaczął się cofać w stronę drzwi prowadzących na dworzec, obejmując ramieniem przyjaciółkę. Zachwiał się, niemal upadł, po czym krzyknął do brata: „Spierdalaj! Trzymaj się ode mnie z daleka, gnoju!”. Wreszcie odwrócił się, by pobiec tunelem ku peronom.

Widziałem, jak ramiona Jarlego się napinają, ale po chwili zmienił zdanie, uspokoił się i dał się wyprowadzić z budynku, nie stawiając oporu.

Szedłem za nim, zachowując odpowiednio duży odstęp. Strażnicy coś do niego mówili, on odpowiadał już całkiem spokojnie, aż wreszcie skinęli głowami i go puścili. Wygładził ubranie, przeczesał palcami włosy. Stał tak przed wejściem do centrum handlowego, jakby czas się zatrzymał, jakby nie wiedział, co dalej robić, niczym wyspa otoczona z obu stron przez strumienie ludzi, niezatrzymujących się i niezwracających na niego uwagi.

Zawahałem się chwilę, po czym do niego podszedłem.

– Hej, nie wiem, czy mnie pamiętasz...

Odszukał wzrokiem moją twarz, ale zdawał się mnie nie rozpoznawać.

– Brenne. Mikael Brenne – przedstawiłem się. – Jestem adwokatem twojego brata. Parę dni temu spotkałem cię, gdy byłem z Synne. Synne Bergstrøm.

Teraz mnie rozpoznał, przypomniał sobie tamtą sytuację.

– Możemy odejść trochę na bok?

Jakby się obudził. Rozejrzał się nieco zdezorientowany, a potem wydostaliśmy się z tłumu.

– Czego chcesz, Brenne? – Nie był zły, ale też nie brzmiał

przyjaźnie. Po prostu czekał na to, co powiem.

– Właściwie chcę tylko pomóc twojemu bratu. Problem w tym, że nie mogę się z nim skontaktować. Musimy porozmawiać, przygotować się... No, wiesz, że będzie miał proces?

Skinął głową.

– Tak. To aktualnie jego najmniejszy problem.

– To znaczy?

Pokręcił głową.

– Ten zasrany gówniarz nie słucha w ogóle...

– Widziałem, co stało się tam, w środku, Jarle. O co chodziło? W czym problem?

– Pilnuj swoich spraw, Brenne – odparował Jarle Iversen, ale w jego słowach nie było słyhać złości. Wyglądał na zrezygnowanego, trochę nieobecnego i smutnego. Odruchowo przeczesał palcami krótko ostrzyżone włosy, gestem z czasów, kiedy jeszcze były dłuższe. – Pilnuj swoich spraw – powtórzył, po czym odwrócił się i odszedł.

## Rozdział 12

– To co robimy? – zapytała Synne.

Właśnie zrelacjonowałem jej wydarzenia poprzedniego dnia. Wydawała się zmartwiona i zamyślona.

– Co robimy, Mikael? Przecież ten chłopak musi być w fatalnym stanie. Dzwonimy po Służbę Ochrony Praw Dziecka czy co? I co z Jarlem? Żeby pobić dzieciaka w środku centrum handlowego? Odwaliło mu?

– Właściwie to on go nie pobił – wyjaśniłem. – Bardziej jakby parę razy go... może nie do końca spoliczkował... ale nie były to też prawdziwe ciosy, jeśli wiesz, co mam na myśli. Bardziej jak... Ojciec raz mnie spoliczkował... Uderzył tylko ten jeden raz, a zrobił to bardziej z niemocy i rozpaczony niż z wściekłości. Podobnie mogło być z Jarlem, rozumiesz?

Nie rozumiała.

– Co to za różnica? Dopiero co powiedziałaś, że go pobił, a teraz temu zaprzeczasz?

Uniosłem dłonie.

– Uspokój się, Synne. Mówię jedynie, że nie do końca pojmuję, co się tam wydarzyło. Jarle robił wrażenie bardziej zrezygnowanego niż wkurzonego. Niezbyt uśmiecha mi się też dzwonienie po Służbę Ochrony Praw Dziecka, w końcu jesteśmy jego adwokatami.

Synne nie była zadowolona.

– Chłopak ma szesnaście lat, szlaja się po mieście naćpany, matka nie wie, gdzie mieszka, nikt nic nie robi, a my umywamy ręce? Naprawdę tak to widzisz?

– Wiemy przynajmniej, że żyje, że nic mu się nie stało. To już coś.

– Jasne...

– Chciałbym z nim porozmawiać, zanim posuniemy się dalej. Proces się zbliża.

Parę dni później zjadłem na mieście, po czym wróciłem do kancelarii, żeby popracować jeszcze parę godzin. Na chodnikach stały grupki palącej papierosy i rozmawiającej młodzieży, dorośli zaś powoli przemierzali ulice, jak gdyby nastąpiła już wiosna. Zastanawiałem się, czy nie pójść potem na piwo, ale tymczasem zagrzebałem się w stertach dokumentów. Pisałem listy, odbierałem telefony i piłem za dużo kwaśnej kawy.

Nie miałem nic przeciwko siedzeniu w pracy. W domu nikt na mnie nie czekał, znudziło mi się też oglądanie bezsensownych programów w telewizji. O wpół do dziewiątej byłem wyczerpany i bolało mnie w krzyżu. Przeciągnąłem się, ziewnąłem i zdecydowałem, że na dziś wystarczy.

Na zewnątrz zrobiło się przyjemnie, na ulice wyległo nadzwyczaj dużo ludzi. Kilku młodych mężczyzn stało pośrodku sądowego dziedzińca. Coś w ich postawie mnie zdziwiło, więc zwolniłem tempo. Zatrzymałem się po zewnętrznej stronie placu przed wystawą sklepową i udałem, że przyglądam się odtwarzaczom CD.

Kątem oka nadal widziałem tę grupę, zwróciłem uwagę na ich niespokojną energię – ktoś chodził drobnym krokiem tam i z powrotem, ktoś podskakiwał w miejscu, inni wymachiwali rękoma. Nawet po drugiej stronie dziedzińca wyczuwałem panujące między nimi napięcie i wiedziałem, że zaraz coś się wydarzy.

Zdałem sobie sprawę, że grupki są dwie, zwrócone ku sobie, oddzielone może kilkumetrową przerwą. Jakaś pogrążona w myślach kobieta przecięła plac, kierując się w ich stronę, i nagle spostrzegła przed sobą mężczyzn. Zatrzymała się, skrzyła ostro w lewo, po czym ominęła ich szerokim łukiem. Również inni przechodnie zauważyli grupki; wyczuwali, co się święci, i instynktownie reagując na zbliżający się wybuch przemocy, przystawali, aby popatrzeć, lub spiesznie odchodzili. Ja zostałem.

Cała scena przypomniała mi stary film dokumentalny, który kiedyś widziałem, o konflikcie plemiennym w Nowej Gwinei. Podobieństwo tkwiło w postawie stojących naprzeciwko siebie grup, w ich agresywności oraz wrażeniu mającego się właśnie odbyć rytuału.

Właściwie nie zaskoczyło mnie to, że wśród mężczyzn rozpoznałem Jarlego Iversena. Iversenowie wkroczyli w moje życie przypadkiem, a teraz ciągle się w nim pojawiali, jakby czegoś ode mnie chcieli lub odgrywali w mojej egzystencji jakąś nieznaną rolę.

Dobrze znałem nieco pogardliwy wyraz twarzy Jarlego, podobnie jak sposób, w który pochylał głowę i wystawiał podbródek. Jedną stopę wysunął lekko naprzód, ręce zwisały luźno wzdłuż ciała. Wydawał się zrelaksowany, niemal zadowolony, jakby cieszył się tą sytuacją, zainteresowaniem i zwróconymi w swoją stronę spojrzeniami, poza tym odniosłem wrażenie, że wyczekuje tego, co miało nastąpić.

Powiedział coś do stojącego metr przed nim mężczyzny. Nie słyszałem słów, widziałem tylko ruch jego ust. Nagle ten drugi drgnął, podniósł wzrok, jakby nie wierząc własnym uszom.

Z początku wziąłem go za niskiego, kanciastego typu, jednak pomyliłem się – mężczyzna był równie wysoki, co Jarle, tylko dużo

silniej zbudowany, tak szeroki w barach, że wyglądał na niższego. Miał okrągłą, gładko ogoloną głowę, wąskie dżinsy ciasno opinały jego muskularne uda. Był jednym zwojem mięśni i testosteronu, a kiedy zadał Jarlemu Iversenowi pierwszy cios, przygarbił się i przeniósł ciężar ciała w przód. Wysunął jedną nogę przed siebie niczym bokser wagi ciężkiej, po czym ponownie ruszył w stronę Jarlego, żeby się zbliżyć i wykorzystać przewagę swojej masy mięśniowej i postury.

Otaczący ich ludzie wydali jęk, a może okrzyk oznajmujący wyładowanie zbiorowego napięcia i będący zarazem ostrzeżeniem dla Jarlego Iversena, które jednak nie było potrzebne. Jarle zniknął. Nie stał już przed swoim przeciwnikiem, przesunął się na bok i w przód, jednocześnie unosząc łokieć. Uderzał nim w twarz tamtego – raz za razem, tak szybko, że prawie nie widziałem ciosów. Po chwili zrobił kilka kroków w tył, by przyjrzeć się krwi, która pojawiła się na twarzy rywala jak za sprawą magii. Była ciemnoczerwona w świetle ulicznych latarni. Jarle Iversen się uśmiechnął.

Łysy pokręcił głową, przesunął dłoń po twarzy, w niedowierzaniu popatrzył na zakrwawione palce, po czym zgarbił się, uniósł pięści i ostrożnie ruszył w stronę Jarlego Iversena. Zataczał kręgi – to w lewo, to w prawo, próbował zmniejszyć dystans, zaatakować, ale bez skutku.

Jarle był tancerzem, matadorem. Poruszał się lekko i oszczędnie, zawsze wyprzedzał rywala o krok, kiwał się, robił uniki, jego korpus nigdy nie pozostawał bezczynny, stopy utrzymywały takt, krocząc jakby w rytm muzyki, którą tylko on słyszał. Stale wysuwał też przed siebie zaciśnięte pięści. Zwodziły przeciwnika, płały, tkwały niewidzialny wzór cieni, raz po raz uderzając



w twarz mężczyzny, aż jego kości policzkowe nabrzmiały, oczy się zamknęły, a ze zmiażdżonej wargi połała się krew.

Nadal się bili w pustym miejscu między dwoma grupkami, gdy wtem rywal Jarlego poślizgnął się, a może zakręciło mu się w głowie od tych wszystkich ciosów, w każdym razie zachwiał się i opadł na jedno kolano. To wystarczyło. But Jarlego trafił go w twarz z przyprawiającym o mdłości, stłumionym odgłosem. Łysy runął na ziemię jak rażony gromem, a na ten sygnał otoczył go rój młodych mężczyzn, którzy tłukli się, kopali i wrzeszczeli.

Wokół nich na placu zgromadziła się garstka zwykłych ludzi – osób wyprowadzających psy, przypadkowych przechodniów, trzymających się za ręce par. Była tam nawet starsza pani z wózkiem w drodze do domu z zakupów. Wszyscy gapili się z niedowierzaniem na ów niespodziewany chaos i rozprzestrzeniającą się na ich oczach niepohamowaną przemoc, tak nieoczekiwaną i niepasującą do znanego świata, jakby ktoś odsunął zasłonę skrywającą naszą codzienność i ukazał rzeczywistość, z którą nikt nie chciałby się zetknąć.

Mieli kije, ktoś wymachiwał metalową rurą, dostrzegłem także coś, co mogło być błyskiem noża. W centrum tego zgiełku widziałem głowę Jarlego. Przez moment pokazał mi się w całości, uniósł stopę, po czym z impetem opuścił ją na głowę łysego mężczyzny, który teraz leżał zakrwawiony i całkiem nieruchomy na ziemi. Z moich ust niemal bezwiednie wydobyło się krótkie: „nie!”.

Zdawało się, jakby minęła wieczność, chociaż w rzeczywistości pewnie już po sześciu czy siedmiu minutach usłyszałem syreny. Uczestnicy bójki też zwrócili uwagę na narastający, intensywny sygnał i jakby za jakimś cichym porozumieniem wszystko nagle się skończyło. Jeszcze tylko ostatni kopniak czy cios i wycofali się,

rozpierzchli po bocznych uliczkach, z dala od przeszywającego wycia syren. Niektórzy biegli, inni jedynie szli prędkim krokiem, kogoś podtrzymywali koledzy. Utykając i słaniając się, oddalali się z miejsca zdarzenia.

Jarle Iversen podbiegł do rogu. Nagle mnie zobaczył i rozpoznał. Pozdrowił mnie skinieniem głowy niczym starego znajomego, a jego twarz przybrała niezwykły wyraz, jak gdyby półuśmiech, który coś mi przypominał. Dopiero kiedy zniknął, zrozumiałem, o co chodziło. Takie miny mają mali chłopcy, kiedy przyłapie się ich na gorącym uczynku. Są trochę zawstydzeni, widać ich poczucie winy z powodu spletanego figla, a jednak nie mogą przestać się uśmiechać. Muszą, bo chociaż wiedzą, że zrobili coś złego, strasznie im się to podobało. Taki właśnie był ten uśmiech.

Na dziedzińcu zostało trzech mężczyzn. Dwaj się poruszali, ale trzeci, łysy, leżał nieruchomo w kałuży czarnej krwi, podczas gdy wycie syren rozdzierało mrok.

## Rozdział 13

Wyszędłszy z windy, zobaczyłem, że Synne kieruje się do drzwi. Stała pośrodku recepcji, elegancka i profesjonalna w granatowym kostiumie i kozaczkach na dokładnie tak wysokich obcasach, jakie wolno nosić w sądzie, z togą przewieszoną przez ramię. Pozdrowiłem ją, a ona uśmiechnęła się i kiwnęła głową, ale widziałem, że myślami jest zupełnie gdzie indziej.

Dwa kroki za nią, z ustami skrzywionymi w lekkim uśmiechu i wzrokiem wbitym w Synne, czujny jak psiak, stał Steinar Taule, dzierżąc w ręce jej aktówkę. Przywitałem się.

– Dzień dobry, Steinar. Idziecie do sądu?

– Tak. Teraz się zacznie.

– Na pewno wszystko pójdzie dobrze, jesteś w dobrych rękach. Synne jest zdolna.

Rozpromienił się.

– Wspaniała. Na pewno pójdzie nam znakomicie.

– Steinar, nie pójdzie nam znakomicie – powiedziała Synne z rezygnacją. – Zostaniesz skazany. Pytanie tylko, jaką dostaniesz karę.

Po jej twarzy widziałem, że nie po raz pierwszy odbywają tę rozmowę. Steinar Taule kiwnął głową, nadal szczerząc zęby, jak gdyby naprawdę się z nią zgadzał. Zaniepokoiło mnie coś w tym uśmiechu i uwadze skupionej wyłącznie na Synne. Jakby w gruncie

rzeczy wcale mnie tam nie było. Drobny, trochę przygarbiony mężczyzna wbijał w nią swoje brązowe oczy. Miał cienkie, dość jasne włosy i już głębokie zakola, chociaż nie dobiegł jeszcze trzydziestki, a także niewyraźny podbródek i małe usta schowane częściowo pod rzadkim wąsem.

– Synne – odezwałem się. – Znajdziesz dla mnie chwilę, zanim wyjdiesz?

Poszła za mną do kuchni.

– O co chodzi, Mikael? – zapytała, nalewając mi kawy. – Idę do sądu.

– Wiem. Masz jeszcze dużo czasu.

– Lubię mieć dużo czasu. Co jest?

– Steinar Taule. – Podmuchałem na kawę. – Myślałem, że się go pozbyłaś. Chyba to ustaliliśmy?

– Nie. Powiedziałam mu, że może zapomnieć o jakiegokolwiek innej relacji niż czysto zawodowa. Tylko tyle ustaliliśmy.

Spojrzałem na nią z lekkim powątpiewaniem.

– Tak... może... ale nie podoba mi się sposób, w jaki na ciebie patrzy.

Westchnęła.

– Jakbym była najpiękniejszą i najcudowniejszą kobietą na świecie? To jego idiotyczne psie spojrzenie, którego nie da się wytrzymać?

– Tak.

– Mnie też się to nie podoba, Mikael. Ale chyba trochę za późno, żeby coś z tym zrobić, co? Muszę iść z nim do sądu za... – zerknęła na zegarek – ...dziesięć minut. Uciekam.

– No dobra. Może wsadzisz go za kratki na parę lat? Tak byłoby najlepiej.

Uśmiechnęła się przelotnie i ciepło.

– Nie martw się, Mikael. Już prawie po wszystkim. Teraz muszę lecieć.

Wyszła, stukając obcasami. Przez otwarte drzwi dostrzegłem, jak Steinar Taule drgnął i pospieszył za nią z aktówką w dłoni. Była tak elegancka, tak pewna siebie i opanowana, a Steinar Taule wyglądał tak mizernie, drepcząc za nią, że nieco się uspokoilem.

– Jakiś facet pyta o pana, Brenne – powiedział głos w słuchawce.  
– Może pan do nas podejść? – Głos należał do jednego z obrońców z aresztu policyjnego.

Zerknąłem na zegarek. Dochodziło wpół do czwartej. Dzień dobiegał końca.

– Mogę wpaść nieco później. Kto mnie szuka i co zrobił?

– Nazywa się Jarle Iversen i jest oskarżony o udział we wczorajszej bójce. Może czytał pan o tym w prasie?

Westchnąłem.

– Tak. Okej, proszę go pozdrowić i poinformować, że przyjdę, ale zajmie mi to parę godzin. Najpierw muszę załatwić kilka spraw, a później coś zjeść. Powiedzmy, że... około szóstej. Pasuje?

– Jasne. – W słuchawce zabulgotał śmiech. – Nigdzie się nie wybiera.

Synne wetknęła głowę do środka.

– Zajęty?

– Wejdz – odparłem. – Siadaj. Jak poszło?

Usiadła, przyciągnęła fotel, na którym położyła nogi.

– Dlaczego wizyty w sądzie są tak wyczerpujące? Większość czasu tylko się siedzi i słucha. Nie jest to może praca fizyczna, a jednak czuję się, jakbym wspięła się na górę. Mogę zdjąć buty?

Nogi okropnie mnie bolą.

– Jasne – zgodziłem się.

Uniosła jedną stopę, rozsunęła zamek błyskawiczny i z westchnięciem zadowolenia zdjęła kozaczek.

– Nie wiem, dlaczego to takie męczące, ale tak już jest. Nawet w przypadku drobnych spraw po jednym dniu w sądzie jestem totalnie padnięta.

Walczyła z drugim butem, pochylona, a firana jasnych włosów zasłaniała jej twarz. Spódnica podjechała lekko w górę, przez co ujrzałem skrawek uda, długiego i spowitego w warstwę nylonu – idealny łuk, krągłość, na której widok moje spojrzenie powędrowało jeszcze wyżej, lecz po chwili szybko odwróciłem wzrok.

– Wychodzę coś zjeść, a potem idę do aresztu – oznajmiłem. – Pójdiesz ze mną?

Ziewnęła.

– Chyba nie. Obawiam się, że mam dzisiaj siłę jedynie na danie z mikrofali i telewizję w starych spodniach od dresu i brzydkiej bluzie.

– Okej – powiedziałem. – Jak ci dzisiaj poszło?

– Nieźle. Ale Steinar Taule... jest kompletnie beznadziejny. Zeznawał, jakby wszystko, co zrobił, było w porządku, jakby inni musieli zrozumieć, że jego reakcje są normalne i rozsądne. Ani cienia refleksji, ani cienia żalu.

– Ale był z ciebie zadowolony?

Wykrzywiła twarz w grymasie.

– Jeszcze nigdy nie wygłosiłam lepszej mowy końcowej. Byłam znakomita.

– No, no. To chyba się go pozbyłaś.

– Dzięki Bogu – westchnęła, ugniatając stopy. – To ohydny typ.

Chyba na trochę go zamkną.

– Super. Na pewno na to zasłużył. Ale...

– Co?

– Bo wiesz, na odsiadkę się czeka. Tak od razu nie trafi za kratki.

Wzruszyła ramionami.

– To nie mój problem. Jeżeli znowu coś zrobi, oddam go któremuś aplikantowi. Na przykład Hansowi Olavowi. Chyba nie zniosę już tego człowieka. W porządku?

– W porządku.

Jarle Iversen siedział dość zrelaksowany, odchyłony w tył, z nogami wyciągniętymi przed siebie, marszcząc mocno czoło.

– Nie do końca rozumiem – powiedział. – W czym problem? Nie chcesz czy nie możesz być moim adwokatem?

Siedzieliśmy w pokoju odwiedzin w areszcie policyjnym, w pomalowanym na żółto, ciasnym pomieszczeniu, w którym zapach przepełnionej popielniczki i niedopitej kawy w plastikowych kubeczkach mieszał się z wonią niemytych ciał i strachu. Odwiedzałem to miejsce wielokrotnie, z wszelkiej maści klientami. Niektórzy byli przerażeni i zagubieni, inni okazywali rezygnację, znalazłszy się tam, gdzie za nic nie chcieli znów trafić, chociaż w głębi ducha wiedzieli, że przez kolejne lata to miejsce będzie częścią ich życia. Jeszcze inni, stanowiący niewielką grupę, trzęśli się ze strachu i zdenerwowania wywołanego zrozumieniem konsekwencji swoich czynów, krwawych, potwornych czynów, które na zawsze miały odmienić ich los.

Jarle Iversen nie należał do żadnej z tych kategorii, był po prostu pewny siebie i arogancki, nie żałował ani się nie bał. Był dokładnie tym, kim chciał być – jednym ze złych chłopaków.

Pochyliłem się ku niemu.

– Jesteś oskarżony o uszkodzenie ciała, prawda? Po wczorajszej bójkę pod sądem? Tak przynajmniej mi powiedziano.

– Tak.

– Mówili już coś konkretniejszego? Kogo pobiłeś, jaki jest jego stan?

Wzruszenie ramion, grymas ust.

– Jednego kolesia z Doliny. To ten łyсы skurwiel, kojarzysz, z kolczykami i tatuażami.

Doliną nazywają jedno z okolicznych miasteczek.

– Jest w szpitalu?

– Pewnie tak.

– O co poszło? Dlaczego się biliście?

Kolejne wzruszenie ramion.

– Chłopaki stamtąd w ogóle nie słuchają. Potrzebna im była nauczka.

– Jarle, skup się. Widziałeś mnie przecież. Byłem tam, wiem, co się stało. Nie mogę być twoim obrońcą, jestem świadkiem. Nie mogę pójść do sądu i bronić cię w złej wierze, a to pewnie okazałoby się konieczne, gdybym wziął tę sprawę. – Oparłem się na krześle. – Po prostu się tak nie da. Nie chodzi o to, że nie chcę. Nie mogę.

– Zamiast tego chcesz zeznawać na policji jako świadek?! – Wyglądał, jakby mi nie wierzył.

– Nie, Jarle, nie będę zeznawać, chyba że ktoś mnie zmusi. Mówię jedynie, że nie mogę wziąć twojej sprawy, ponieważ ryzykuję krzywoprzysięstwo, a na to nie mogę sobie pozwolić.

– Aha. Okej, rozumiem.

– Nie masz stałego adwokata?

– No, takiego debila. – Wymienił nazwisko, a ja musiałem się



z nim zgodzić. – Możesz kogoś polecić?

– Jasne. Załatwię ci porządnego obrońcę.

– Dobra. – Zerknął na mnie. – Dlaczego w ogóle tu przyszedłeś? Przecież mogłeś odmówić przez telefon?

– Tak. – Zawahałem się chwilę. – Chciałem skorzystać z okazji... Twój brat... Erling...

Jego twarz przybrała zacięty wyraz.

– No?

Westchnąłem.

– Nie bądź tak negatywnie nastawiony, Jarle. Obiecałem Synne, że pomogę chłopakowi. Słyszałem na mieście, że ostatnio ostro bierze. A ta jego sprawa... Chyba potrzebna mu pomoc.

Siedział przez chwilę w milczeniu. Widziałem, jak mięśnie jego szczęk pracują, wydawał się zawzięty i nieco zły. Nagle wybuchnął:

– Ten gówniarz... to zupełny świr!

– Co masz na myśli?

– Ta sprawa... żeby kręcić z dziećmi... Kurwa mać! Przydałby mu się porządny wpierdol, żeby się ogarnął.

– Potrzebna mu pomoc, Jarle, nie wpierdol.

Powietrze uszło z niego równie szybko, jak nastąpił wybuch.

– Może, nie wiem. Nie kapuję, co się z nim dzieje.

– Przyjaźnicie się?

Wzruszył ramionami.

– Jest ode mnie sporo młodszy. Ale dobrze się między nami układało. Tylko że teraz...

– To prawda, że bierze?

– Tak, zupełnie wyszedł z siebie. To znaczy wszyscy trochę biorą, co nie? Czasem na imprezie, żeby się nakręcić. Ale Erling zaczął ćpać, co tylko popadnie. Nie ma hamulców. – Kręcił się przez

chwilę na krześle. – Znam ludzi, co nie? W środowisku. Powiedziałem im, żeby przestali mu sprzedawać.

– Coś to dało?

– Nikt u nas ani w parku mu nie sprzedaje. Ludzie wiedzą, że się nimi zajmę, jeśli ktoś by to zrobił. Ale i tak jakoś zdobywa towar.

– Skąd?

– Ostatnio słyszałem, że kupuje od kolesia, który mieszka przy drodze na lotnisko, handluje w domu. Nie wiem, co to za jeden, ale się dowiem. A wtedy z nim pogadam.

– To dlatego kłóciliście się na dworcu?

Posłał mi mroczne spojrzenie, jednak pod fasadą agresji dostrzegłem rozpacz.

– Gówniarz w ogóle nie słucha. Trzeba było mu wpięprzyć.

– Ma dziewczynę?

– Tak, Margaret. Ten sam typ. Razem ćpają, co tylko wpadnie im w ręce.

Siedzieliśmy chwilę w milczeniu, aż zapytałem:

– A co z twoją matką?

– Jak to co?

– Nie wiem... Czy ona nie może czegoś zrobić? Porozmawiać z nim?

Jego śmiech był szczery i równie gorzki, co palona kawa.

– Dość ma swoich problemów. Matka... lepsza jest na imprezę od święta niż na co dzień.

– Aha, okej. – Wstałem. – Załatwię ci dobrego adwokata. Jeśli... kiedy cię wypuszczą i dowiesz się, gdzie przebywa Erling, dasz mi znać? Naprawdę potrzebna mu pomoc.

– Potrzebny mu wpierdol – powtórzył Jarle Iversen, ale bez przekonania.

## Rozdział 14

Kiedy Peter w poniedziałek rano zajrzał do mojego gabinetu, miałem za sobą już kilka godzin spędzonych za biurkiem.

– Rany, Mikael – powiedział. – Słyszałem, że siedziałeś tu całą noc.

– Niezupełnie. Ale przyszedłem wcześniej. Za parę dni mam na północy rozprawę, do której powinienem był zacząć się przygotowywać już tydzień temu.

– Okej – odparł. – Ale znajdziesz czas na kawę?

– Jasne. Byle szybką.

Zatonął w fotelu i przez kilka minut siorbał gorący napój, gadając o niczym. Myślałem, że coś mu leży na sercu, ale najwidoczniej wcale tak nie było. Wreszcie zerknąłem na zegarek na tyle ostentacyjnie, żeby zrozumiał aluzję.

– Już zostawiam cię w spokoju – obiecał, wstając. – A tak w ogóle... W piątek spotkałem Kari. Byliśmy na imprezie u sąsiadów, ona też tam była.

– Aha – mruknąłem, po czym nastąpiła chwila ciszy. Wiedziałem, że właśnie to przyszedł mi powiedzieć.

– Wyglądała... na dość zmęczoną. – Kiedy tego nie skomentowałem, dodał: – Trochę zmęczoną i przybitą. Ale twierdziła, że czuje się dobrze. Pytała o ciebie, o to, jak się masz.

– I co jej powiedziałaś, Peter?

Zignorował pytanie.

– Miałem ci przekazać pozdrowienia.

– Okej. – Pochyliłem się nad stertą dokumentów.

– Widzimy się na lunchu. – Peter westchnął i wyszedł.

Wieczorem zapadłem przed telewizorem w stan podobny do letargu, pozwoliłem obrazom przesuwac się przed moimi oczami, bez oporu wpuszczałem głosy do uszu. Był to pewien rodzaj codziennego znieczulenia, forma zastępcza dla myślenia i czucia. Wiedziałem, że coraz częściej zdarzają mi się takie wieczory, jednak nie potrafiłem nic z tym zrobić.

Trzy tygodnie wcześniej ujrzałem siebie w lustrze. Po prysznicu wszedłem nagi do sypialni, zupełnie zatopiony w myślach, aż dostrzegłem swój półprofil w lustrze na drzwiach szafy. Obraz dopadł mnie zniecka, gdy nie zdążyłem wciągnąć brzucha czy wyprostować pleców, i zdradzał wszystko – fałdy tłuszczu, pochyloną postawę, wszystkie moje lata, każdą godzinę spędzoną bez ruchu, każde niedotrzymane postanowienie poprawy i nieodbyty spacer – wszystko to zostało bezlitośnie obnażone w bladym, chłodnym, zimowym świetle, nie pozostawiając miejsca na złudzenia.

Następnego dnia kupiłem karnet na siłownię oraz nowy strój treningowy, ale nie zdążyłem go jeszcze wykorzystać. Tak naprawdę nawet go nie rozpakowałem.

Zadzwoił telefon.

– Halo, Brenne – powiedział męski głos. – To ja.

Nic mi to nie mówiło.

– Halo – odparłem. – Kto mówi?

– To ja! Jarle! – Głos brzmiał niecierpliwie.

– Ee... – zawahałem się.

– Halo! Czy rozmawiam z Mikaelem Brennem?

– Tak.

– Śpisz czy co? Tu Jarle Iversen.

Wreszcie moja głowa zaczęła działać.

– Jarle – mruknąłem. – To ty. Po prostu trochę mnie zaskoczyłeś. Nie spodziewałem się, że zadzwonisz.

– No, okej. – Jego ton ze zdecydowanego i zaangażowanego stał się nagle niepewny, jakby facet nie wiedział do końca, co dalej powiedzieć.

– Jak tam? – zapytałem. – Nadal w areszcie?

– Nie, nie. Wyszedłem już kilka dni temu.

– Świetnie. Byłeś zadowolony z adwokata, którego ci załatwiłem? Musiał chyba wywiązać się z zadania, skoro cię wypuścili.

– Był w porządku. – Cień niecierpliwości w głosie, widocznie nie po to do mnie zadzwonił.

– Dobrze. To o co chodzi? W czym mogę ci pomóc, Jarle?

– Pomóc? – Nieco się zdziwił. – W niczym. Nie w tym rzecz.

– Aha...

– Prosiłeś, żebym dał znać, jak się dowiem, gdzie jest Erling, co nie?

– Tak. Czy...

– Jeśli powiem... nie mów nikomu, że to ja...

– Gwarantuję, że nie pisnę ani słówkiem. Gdzie jest?

– No bo nie byłoby to chyba zbyt mądre. Nasze relacje już wcześniej nie były za dobre...

– Obiecuję, Jarle. Gdzie jest?

Powiedział. Erling mieszkał w małym domku kempingowym pół godziny jazdy od centrum.

– Jesteś pewien? – spytałem.

– Tak słyszałem.

– Ale sam tam nie byłeś?

– Nie... Myślałem... Nic dobrego z tego nie wyjdzie. – Na chwilę zamilkł. – Strasznie się wkurzam na samą myśl o tym, co zrobił. Żeby z dziećmiakami... Ale zastanowiłem się nad tym, co powiedziałaś. Że potrzebna mu pomoc. Może faktycznie tak jest.

– Spróbuję mu pomóc, Jarle – obiecałem. – Choć nie mogę nic zagwarantować. Nie wspomniałeś o tym matce?

– Matce? Nie, na co by się to, kurde, zdało? W ogóle się nim nie przejmuję.

– Okej. Pojadę tam jutro. Do usłyszenia.

Odległość w linii prostej do celu nie była duża, ale po drodze musieliśmy przedostać się przez góry, spore góry o szczytach sterczących o tej porze roku białą ponad granicą drzew. Pociągiem przejechalibyśmy prosto przez nie, ale samochodem musieliśmy objeżdżać je wokół, serpentynami schodzącymi w dół, aż w dolinę pogrążoną w cieniu zbocza, trasą, która kiedyś stanowiła główną wylotówkę z miasta, jednak teraz stała się drugorzędną dróżką, nadal tak samo wąską i pełną zakrętów jak w moim dzieciństwie.

Przejaśniło się, a temperatura spadła do zera. Asfalt był ciemny i błyszczący w żółtym świetle lamp, jednak gdzieś tam, w pobliżu wody, migotał niczym czarny aksamit pokryty diamentami, na jednym zakręcie poczułem też, że tylne koła straciły przyczepność na lodzie. Zmniejszyłem prędkość, zerknąłem na Synne. Dotarliśmy do miejsca, w którym zbocza doliny zacieśniały się wokół nas, droga zaś ciągnęła się wąska i kręta.

– Zaraz, tuż za zakrętem – odezwałem się – po prawej będziemy mijać jezioro. Jest długie i wąskie, otoczone z obu stron prostymi ścianami gór. Kiedy byłem mały, zawsze jeździliśmy tędy na

wakacje i za każdym razem matka opowiadała mi tę samą historię o kobiecie, która urodziła nieślubne dziecko i w rozpaczy rzuciła się z nim w morze. Niedaleko jest taka zatoczka z małą plażą. To tam, zdaniem matki, zginęła. Zawsze wskazywała to miejsce, kiedy je mijaliśmy. Zaczynałem się bać jeszcze przed opuszczeniem domu.

Synne uśmiechnęła się lekko.

– Co za straszna historia. Jest prawdziwa?

– Nie wiem. Może. Ale jezioro... ciemne, spokojne i głębokie, wciśnięte między strome zbocza gór. Zawsze wydawało mi się nieprzyjemne.

Zaczął padać śnieg, lekkie płatki tańczące w blasku reflektorów. Po prawej ledwie dostrzegaliśmy jezioro i śnieżynki sypiące z wolna w dół, pochłaniane przez ciemną, połyskliwą, nieruchomą tafłę, znikające w otchłani. Wzdrygnąłem się.

– Daleko jeszcze? – zapytała Synne.

– Nie. Miniemy to jezioro, dalej będzie szeroka dolina. Jeszcze parę kilometrów i dotrzemy do następnego jeziora, tym razem po lewej. Tam znajduje się kemping, na niewielkiej polanie na brzegu. Właściwie to dość idylliczne miejsce.

## Rozdział 15

Może latem i było tam idyllicznie, ale tego wieczoru z trudem dostrzegaliśmy jakiegokolwiek ślady sielankowości. W zamieci śnieżnej pojechałem za daleko, przeoczyłem znak, ale kilkaset metrów dalej stał następny. Skręciłem w lewo, minąłem stare tory kolejowe i wjechałem na wąską żwirową ścieżkę, biegnącą równolegle do głównej drogi. Powoli sunąłem w kierunku odwrotnym do tego, z którego przyjechaliśmy. Po paru minutach w świetle reflektorów pojawił się znak z odpadającą farbą.

„Kemping. Domki letniskowe do wynajęcia” – głosił napis z niemal niewidoczną strzałką wskazującą w prawo. Pojechałem w tamtą stronę, po czym skręciłem na wyboisty parking. Pośrodku stał jakiś samotny, nieoznakowany samochód dostawczy.

Przez śnieg dostrzegałem zarys budynków. Wysiedliśmy. Szliśmy z pochylonymi głowami, osłaniając się przed zamiecią. Synne miała na głowie robioną na drutach, czerwoną czapczkę i wyszydełkowany szalik owinięty wokół szyi. Ja nie wziąłem czapki, więc marzłem. Ślizgaliśmy się i potykaliśmy na nierównej nawierzchni; musieliśmy przekroczyć nieduży rów pokryty cienką warstwą lodu na zebranej w dole brunatnej wodzie.

Synne chwyciła mnie za ramię, po czym spieszenie skierowaliśmy się w stronę samotnej latarni, obiecującej nam ciepło i jasność, jak gdybyśmy byli zagubionymi duszami, które wreszcie wyczekały



ratunku. Jednak na miejscu znaleźliśmy tylko zamknięte drzwi z napisem „Recepcja” i ciemne okno z zasuniętymi firankami.

Drzwi osłaniał niewielki daszek, pod którym można było skryć się przed śniegiem. Stanęliśmy tam, blisko siebie, i rozejrzeliśmy się wokół.

Przed nami znajdowało się kilka małych domków. W żadnym nie dostrzegałem światła.

– Co teraz? – zapytała Synne. – Wygląda na to, że jest tu całkiem pusto.

– Zostań tutaj – powiedziałem, ostrożnie oswobadzając się z jej uścisku. – Sprawdzę okolicę, ktoś musi gdzieś być. Zaraz wrócę. – Ale po kilku sekundach usłyszałem za sobą jej kroki, a kiedy odwróciłem głowę, zobaczyłem, że za mną idzie. Wzruszyłem ramionami i wyciągnąłem dłoń. Chwyciła ją.

Okrążyliśmy róg najbliższego położonego domku i odkryliśmy, że w stronę morza ciągną się dwa równoległe rzędy takich budynków. Śnieg padał coraz mocniej, prawie zakrywał już ziemię. Kładł się grubą warstwą na przejściach między domkami, na dachach z papy smołowej, na drzewach i krzakach. Wyglądał ostre krawędzie, wymazywał nierówności, malując świat w czerni i bieli.

Zauważyliśmy, że w dwóch domkach palą się światła, wąskie żółte smugi między zasłonkami w oknie obok drzwi wejściowych.

Gdy zapukaliśmy do pierwszych drzwi, nikt nam nie otworzył. Zastukałem ponownie, mocno i długo, później chwyciłem klamkę. Napotkałem opór. Przysunąwszy oko do szyby, dostrzegłem szary, prosty stół przykryty niedużym obrusem w niebieską kratkę i biały żłobiony świecznik bez świeczek. Po prawej ukazał mi się koniec niepościelonego łóżka i rozrzucone po wezglowiu ubrania. Poza tym nic.

– Chyba nikogo nie ma – powiedziałem. – Sprawdźmy ten drugi.

Był to ostatni domek po prawej stronie. Stał tak blisko lasu, że nad kalenicą zwisały ciężkie gałęzie, jak gdyby roślinność połykała budynek.

Zapukałem. I jeszcze raz.

– Ktoś tam jest – mruknęła Synne. Przytykała twarz do szyby, zasłaniając oczy przed refleksami na szkle. – Widzę... Ktoś leży na łóżku.

Klamka opadła, a drzwi otworzyły się cicho pod moją dłoń.

Wewnątrz panował przejmujący chłód. Staliśmy w zimowych płaszczach, z naszych ust unosiła się para, i patrzyliśmy na śpiącego na łóżku chłopaka. Był nim Erling Iversen. Leżał całkowicie ubrany pod dwiema kołdrami, obejmując poduszkę, rozdzierająco młody, chudy i zaniedbany. Miał nieładną cerę wokół ust i na skroniach, a jego prawie białe, przetłuszczone włosy opadały na twarz. Otworzył usta i lekko pochrapywał. Zauważyłem suche, spękane wargi i błękitną tętnicę szyjną zarysowaną pod bladą skórą, poruszającą się rytmicznie, równo i szybko jak u małego ptaka.

Nie można było się z nim porozumieć.

Wołałem, najpierw cicho, później głośniejsze, aż wreszcie nim potrząsałem. Jediną odpowiedzią, jaką udało mi się uzyskać, był cichy bełkot protestu, zanim chłopak na powrót wpełzł pod kołdrę.

Przez moment trochę panikowaliśmy, zastanawiając się, czy jest chory, czy może przedawkował, ale po chwili uznałem, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Oddech miał spokojny i głęboki, puls regularny.

– Myślisz, że to coś groźnego? – zaniepokoiła się Synne.

Pokręciłem głową.

– Nie sądzę. Poczekajmy chwilę, to zobaczymy. Ewentualnie możemy wezwać lekarza.

Domek składał się z jednego pomieszczenia. Poza łóżkiem i stołem znajdowała się tam ustawiona pod ścianą kanapa i maleńki, delikatny stolik przed nią. Kącik kuchenny wypełniała nieduża kuchenka i mała lodówka. Brudne sztućce i naczynia tworzyły stos na blacie. Obok łóżka leżały sterty ubrań.

– Popatrz – powiedziała Synne, unosząc wieżę papierowych kubeczków. – Czajnik i kawa w proszku. Chcesz?

– Czemu nie – odparłem.

Siedzieliśmy więc, pijąc kawę z papierowych kubków, po obu stronach chybotliwego kuchennego stołu, a para z naszych oddechów mieszała się z oparami unoszącymi się z napoju. Znajdowaliśmy się tak blisko siebie, że aż stykaliśmy się kolanami, podczas gdy młodociany, odurzony narkoman chrapał tuż obok. Synne wybuchnęła śmiechem.

– Co? – zdziwiłem się.

Zaśmiała się głośniej.

– obrońca sądowy to doprawdy świetny zawód – wyjaśniła z ironią.

– Tak. Żeby to ludzie wiedzieli.

Chwilę później wstała, by sprawdzić stan śpiącego.

– Co z nim zrobimy, Mikael? – spytała. – Nie możemy chyba go tu tak samego zostawić, co? Przecież to jeszcze dziecko.

– Nie. Nie wiem dokładnie, ale coś trzeba zrobić. Wolałbym jednak najpierw z nim pogadać.

Po jakimś czasie udało mi się nawiązać kontakt z chłopakiem. Znowu nim potrząsnąłem, a on lekko uchylił powieki i odrobinę uniósł głowę.

– Co się dzieje? – wymamrotał. – Co?

Powiedziałem, kim jestem, wolno i wyraźnie, ale zanim skończyłem, na nowo zasnął.

– To bez sensu – stwierdziłem. – Nie możemy zostać tutaj całą noc. Spróbujmy może później.

– Mamy tak po prostu sobie pójść?

– Tak. Jeszcze wiele godzin minie, zanim da się z nim porozmawiać. W każdym razie wystarczy spokojnie pozwolić mu spać. Już jest bardziej przytomny niż wtedy, kiedy przyszliśmy.

Synne otuliła Erlinga kołdrami, przez chwilę stała, spoglądając na niego, po czym pogłodziła go po policzku. I wyszliśmy.

Na zewnątrz nadal sypał śnieg. Biała warstwa równo i cicho kładła się na ziemi, kryjąc wszystko, co brzydkie i zepsute.

Mocno ścisnąłem kierownicę. Czułem, jak śliska jest droga, jak niewiele trzeba, żeby koła straciły przyczepność. W ślimaczym tempie posuwaliśmy się naprzód, a białe, ciężkie płatki wirowały w świetle reflektorów, by zaraz wylądować na przedniej szybie i stworzyć tak zbitą masę, że musiałem zwiększyć prędkość wycieraczek.

– Cały... cały czas miałaś z nim kontakt? – zapytałem.

– Z Erlingiem? Nie, w sumie nie. Spotkałam go parę razy przez przypadek, ale nic poza tym. Właściwie częściej widywałam Jarlego niż Erlinga.

– Ale dobrze go znałaś, gdy byłaś młodsza?

– Tak. Codziennie opiekowałam się nim przez półtorej godziny. Dostawałam dwadzieścia koron za godzinę i prawie wszystko odkładałam na wymarzony rower. – Zaśmiała się. – To był rozkoszny chłopiec. Chodziliśmy na plac zabaw. Najbardziej lubił huśtawkę. Popychałam ją i wzlatywał coraz wyżej. Cieszył się, ale

zawsze następował taki moment, kiedy dopadał go lęk, i wtedy zaczynał płakać. Musiałam go pocieszać, przytulać, aż znowu stawał się wesoły. Jego matka... Wszyscy mężczyźni, z którymi mieszkała... Czasami miałam wrażenie, że jestem jedynym stałym punktem jego życia. – Pokręciła głową. – Ten chłopak nie miał łatwo. Ale ja byłam tylko młodą dziewczyną, jego opiekunką. Tak naprawdę nie mogłam mu pomóc. Pewnego dnia moja matka oznajmiła, że się przeprowadzamy. Poznała ojczyma, chcieli zamieszkać razem. Dostałam własny pokój w dużej willi i ten nowy rower, na który oszczędzałam, chociaż daleko było mi do uzbierania pełnej kwoty. Miałam piętnaście lat.

– Ile lat miał wtedy Erling?

– Pięć. Pamiętam, że nie chciał się ze mną pożegnać, że gdzieś się schował. Szukałam go, wydawało mi się straszne, że się z nim nie pożegnaj. Wiele lat minęło, zanim zrozumiałam, jak bardzo musiał czuć się oszukany.

Zamilkła. W świetle reflektorów nieważkie płatki śniegu tańczyły wirującego walca.

– Na pewno nie było mu łatwo, Mikael. Wiem, że teraz wpadł w tarapaty, przez narkotyki i sprawę, ale mam nadzieję, że zdołamy mu pomóc. Chyba nie jest za późno, żeby mu pomóc.

– Spróbujemy, Synne – obiecałem, lecz przed oczami stanęła mi jego twarz, blada, niezdrowa cera, i pomyślałem, że raczej jest już za późno. Jednak nie powiedziałem tego Synne.

## Rozdział 16

Wczesnym rankiem następnego dnia jechałem na lotnisko nadal gładkimi jak lustro drogami. Samolot miał lekkie opóźnienie, więc z kafejki obserwowałem żółte, migoczące światła odśnieżarek jeżdżących tam i z powrotem po pasie startowym. Popijałem kawę i regularnie spoglądałem na zegarek, aż wreszcie mój lot wywołano przez głośnik.

Lecieliśmy na północ wzdłuż wybrzeża, w ciemnych, niskich chmurach. Z okna widać było tylko blask światełek na końcach skrzydeł, powiększonych i odbitych przez chmury, a także moją twarz w szybie. Na pół spałem, wracając myślami do Erlinga Iversena, do tego, jak młodo wyglądał zeszłego wieczoru. Młodo, a jednak z zauważalnymi oznakami upadku wyrytymi na twarzy – wyraz ust, zapadnięte policzki, łączące narkomanów, trudne do określenia piętno – wszystko to widoczne było u tego śpiącego chłopaka. Pomyślałem o Synne. O tym, jak otuliła go kołdrą, gdy wychodziliśmy, z miną wyrażającą troskę, ale także rozdrażnienie i frustrację.

Próbowałem się skupić na rozprawie, do której została mi tylko godzina, na dowodach i argumentach, pytaniach, które zadam świadkom, i nagle obudziłem się, czując mocne uderzenie kół o pas startowy, lekko zdezorientowany, z łomocącym sercem, jakby właśnie śnił mi się koszmar. W autobusie do miasta musiałem

walczyć z sennością i dopiero na sali sądowej moja głowa ponownie zaczęła działać, ale wciąż byłem zmęczony, a ciepło panujące w pomieszczeniu wraz z wilgocią przemoczonego płaszcza sprawiały, że utrzymanie trzeźwości i bystrości umysłu przypominało prawdziwą batalię.

Po lunchu znów zaczął sypać śnieg, rozpętała się nawałnica, płatki wirowały w dzikich podmuchach, ograniczając widoczność do zera. Miasto za oknami zniknęło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Świadkowie przychodzili i odchodzili. Przedstawiciel prokuratury po drugiej stronie sali przemawiał wolno i zawile, ostrym, trochę nieprzyjemnym głosem. Miałem wrażenie, że nigdy nie skończy. Kiedy wreszcie wstałem, by wygłosić mowę końcową, zarówno sędzia główny, jak i jego pomocnicy wyglądali na wycieńczonych. Z trudem brnąłem przez gąszcz słów, usiłowałem nawiązać kontakt z ławnikami, wywołać zainteresowanie, ale atmosfera w pomieszczeniu mnie przytłaczała, głos ginał, a wszystkie przerwy i gesty przypominały melodramatyczne, tanie chwytły. Nawet mój klient chyba odczuł ulgę, kiedy skończyłem. Szybko uścisnął mi dłoń i zniknął, jakby strasznie mu było spieszo do celi.

Na zewnątrz wpadłem na ścianę śniegu, która wepchnęła mnie na powrót za szklane drzwi. Prędko telefon potwierdził moje podejrzenia. Wszystkie odloty zostały tymczasowo wstrzymane. Kobieta po drugiej stronie linii nie sądziła, bym zdołał wydostać się z miasta tego wieczoru.

Zadzwoiłem do Synne z hotelowego łóżka.

- Więc wrócisz dopiero jutro?
- Zgadza się, mamy tu burzę śnieżną.
- Okej – powiedziała. – Niewiele da się na to poradzić.

- Właśnie. Możemy pojechać na kemping jutro po południu.
- Nie. Pojadę dziś wieczorem.
- Jesteś pewna, że tego chcesz? Nie zaszkodzi, jeśli poczekamy do...
- Nie martw się, Mikael. Chcę tylko z nim pogadać.
- W porządku. Rób, jak uważasz. Może porozmawiamy wieczorem?
- Dobrze. Zadzwonię.
- Świetnie, Synne – ziewnąłem. – To na razie. – Odwróciłem się na bok i od razu zasnąłem.

Wieczorem wyszedłem, żeby coś zjeść. Nadal śnieżyło i wiało, więc szedłem zgarbiony przez opustoszałe ulice, z obiema dłońmi wciśniętymi głęboko w kieszenie płaszcza. Wiatr kłuł lodowatym i wilgotnym morskim powietrzem, które przeszywało ubrania i wywołało u mnie dreszcze, zanim znalazłem poleconą restaurację.

W drodze powrotnej wiatr wiał mi w plecy, co trochę pomogło. Przez ulice przetaczały się odśnieżarki i pojedyncze taksówki, poza tym miasto wydawało się wymarłe i opuszczone, jakby mieszkańcy uciekli w bardziej przyjazne strony. W pokoju hotelowym długo przełączałem kanały, miałem masę programów do wyboru, ale nic mnie nie ciekawiło. Na dwóch kanałach rozlegały się głośne jęki zza czarnych kwadratów. To najlepszy sposób oglądania pornografii – bez nadmiernie wyeksponowanych organów płciowych, bez wyszczerzonych mężczyzn czy kobiet udających orgazm, które wyglądają przy tym, jakby się śmiertelnie nudziły. Przy brzegach ekranu widać było tylko przelotne mignięcia nagich ciał, czyjaś dłoń, kawałek piersi, czerwone usta, resztę musiała dopowiedzieć fantazja.

Kwadrans po dziesiątej Synne zadzwoniła do mnie z samochodu,



trochę podekscytowana.

– Cześć – powiedziała. – To ja. Pogadałam z nimi. To znaczy w każdym razie z jego dziewczyną, Margaret. Teraz wracam do domu.

– Świetnie – odparłem. – Mów.

Pojechała tam dość późno. Margaret akurat odwiedzała Erlinga i od razu ją wpuściła. Byli odurzeni, ale nie na tyle, żeby całkiem stracić świadomość.

– Przynajmniej Margaret – wyjaśniła. – Erling... był dość otepiały.

– Za bardzo, żeby rozmawiać?

– Tak, przynajmniej za bardzo, żeby rozmawiać o czymś sensownym. Z nią było lepiej, ale i tak niewiele nam to da.

– Więc co...

– Umówiłam się z nim na jutrzejsze przedpołudnie – przerwała mi. – Mam tam być o dwunastej. Pewnie wtedy będzie bardziej przytomny. Margaret stwierdziła, że to lepsza pora.

– Dobrze, Synne.

– Aha.

– Coś jeszcze?

– Nie... tylko...

– Tak?

– W każdym razie chłopak nie jest w ciężkiej potrzebie. Walały się tam resztki gotowych dań, kartony po pizzy. To znaczy, że je. A poza tym...

– Co?

– Są w sobie zakochani. Bardzo.

– No, w końcu są parą.

Zaśmiała się.

– Wiem, Mikael, ale nie wszystkie pary są w sobie tak samo zakochane. Poza tym mają chyba poważne obawy w związku z tą sprawą, w której oskarżono Erlinga... Nie spodziewałam się...

– Czego?

– Tyle miłości – westchnęła, po czym zaśmiała się z samej siebie, jakby zażenowana. – Sorry... Gadam głupoty.

– Są na haju, ale to też ludzie – przypomniałam.

– Wiem. Margaret jest tu ze mną w samochodzie. Patrzy na mnie, jakbym była niespełna rozumu.

– Masz ją tam koło siebie?

– Tak. Odwożę ją do rodziców. Boże drogi, Mikael, ta dziewczyna ma tylko piętnaście lat. Przecież oni muszą odchodzić od zmysłów ze zmartwienia.

– Może. A może nie. Może w ogóle się nią nie przejmują. Przestały mnie dziwić takie rzeczy.

– Pewnie masz rację. Ale i tak ją odwożę.

– Porozmawiamy jutro, Synne. I...

– No?

– Dobrze, że ją odwozisz.

– Wiem – powiedziała.

## Rozdział 17

Następnego ranka pogoda się zmieniła. Śnieg, który poprzedniego wieczoru wirował w powietrzu, teraz opadł, stał się ciężki i mokry, a ślady, które za sobą zostawiałem, wyglądały jak szare, powoli wypełniające się wodą wykrzykniki na białej powierzchni.

Poranny samolot ospale i niechętnie oderwał się od pasa startowego, by po chwili zniknąć w szarości – niewyraźny i lecący w niewiadomym kierunku. Przysypiałem na nieco zbyt ciasnym siedzeniu, z głową opartą o ścianę. Obudziłem się dopiero, gdy poczułem miękkie uderzenia kół o asfalt. Siedziałem z przekrzywioną szyją i śliną ciekącą z kącika ust, jakbym w ciągu tego krótkiego lotu stał się zgrzybiałym starcem.

W oczach czułem piasek. Ziewnąłem rozdzierająco, podczas gdy kolejka w przejściu w ślimaczym tempie przesuwała się do drzwi.

– Dziękujemy za wspólny lot – powiedziała stewardesa, uśmiechając się do mnie uprzejmie, ja zaś skinąłem głową, odruchowo odwzajemniając uśmiech.

W drodze na parking przemoczyłem nogi. Po śniegu pozostała tu tylko brązowawa chlupa zatykająca odpływy i studzienki kanalizacyjne, przez co wszystkie drogi były zalane.

Poranny ruch uliczny włókł się naprzód zrywami. Bezmyślni kierowcy rozpryskiwali wodę z kałuż, sprawiając, że piesi skakali

po chodnikach jak zające. Radio informowało o podtopieniach i korkach na wszystkich wylotówkach.

W połowie drogi do centrum zadzwonił telefon. Leżał w kieszeni garnituru, pod płaszczem, dodatkowo odgradzony pasem, więc nie bardzo miałem jak się do niego dostać. Przeklinałem, kręcąc się w fotelu, a kiedy wreszcie go wydobyłem, było już za późno. Próbując sprawdzić, kto dzwonił, omal nie wjechałem w samochód przede mną. Za mną zabrzmiał ostry klakson. Telefon znowu zabrzączał.

– Tak! – krzyknąłem. – Tu Brenne.

Nie zrozumiałem tego, co rozległo się w słuchawce. Korek przede mną ruszył.

– Proszę poczekać – poprosiłem, odłożyłem komórkę, po czym wrzuciłem pierwszy bieg. – Tak, halo! Kto mówi?

– Mikael?

– Tak, to ja. O co chodzi, Synne?

Nie odpowiedziała, ale usłyszałem jakieś dźwięki i nagle dotarło do mnie, co to takiego.

– Synne, ty płaczesz? Halo! Synne! Co się, do cholery, stało?

Znowu łkanie.

– Synne, do diabła! Jesteś u Erlinga?

– Taak! – doszło mnie zawodzenie.

– Co się stało?

Nagle jej głos zabrzmiał wyraźnie.

– On chyba nie żyje – jęknęła i znów się rozpląkała.

– Będę tam za kwadrans – odparłem. – Czekaj na mnie. Już jadę.

Znowu utknąłem w korku. Przed sobą w nieprzerwanym rzędzie aut widziałem czerwone światła hamowania. Dwieście metrów dalej znajdował się pierwszy zjazd. Cofnąłem o pół metra, aż

kierowca za mną znów nacisnął klakson, teraz miałem jednak w sam raz miejsca, by skrócić przednie koła w prawo i zjechać na pobocze.

Powoli mijałem stojące w korku samochody, cały czas czując, jak prawe opony boksują w chlapie, żwirze i błocie. Niektórzy trąbili, zirytowani moim manewrem. Ignorowałem ich, prześlizgiwałem się naprzód, aż wreszcie wjechałem na utwardzoną nawierzchnię zjazdu z autostrady i mogłem wcisnąć gaz.

Po omacku odszukałem telefon, szybko rzuciłem na niego okiem i wpisałem numer alarmowy.

– Więc nie wie pan, co się stało – powtórzył spokojny głos z centrali.

– Nie – przyznałem. – Wiem tylko, że osoba, z którą rozmawiałem, powiedziała, że chłopak nie żyje. Ale mówimy tu o narkomanie. Jestem prawie pewien, że to przedawkowanie.

– Ach tak – rzekł głos.

– Jest bardzo młody – dodałem, nie wiedząc właściwie dlaczego. – Musicie się pospieszyć.

– Już ktoś jedzie – oznajmił głos.

Pędziłem najszybciej, jak mogłem, po wąskiej, krętej drodze. O tej porze ruch w kierunku granic miasta nie był duży, ale raz po raz musiałem wyprzedzać auta poruszające się z normalną prędkością, trąbiąc, dopóki mnie nie przepuszczono. Gnałem, czując niemal panikę, jakby wszystko zależało od mojego prędkiego dotarcia na miejsce.

Mojemu myśleniu brakowało logiki, bo nie miałem ani uprawnień ratownika, ani sprzętu potrzebnego, by poradzić sobie w razie przedawkowania, ale nic to nie pomagało. Niepokój pchał mnie naprzód, zmuszał do podejmowania ryzyka, do testowania aż

do granic zarówno możliwości samochodu, jak i moich umiejętności kierowcy.

Gdy po chwili usłyszałem za sobą syreny, wiedziałem, że to karetka. To powinno było mnie uspokoić, ale dźwięk tylko mnie ponaglił, zawodząca syrena zdawała się mnie gonić, więc jeszcze mocniej wcisnąłem gaz, nasłuchując zbliżającego się sygnału.

Niebieskie światła zobaczyłem w lusterku zaledwie kilometr od celu, a kiedy skręciłem na kemping, nagle zahamowałem i wybiegłem z auta, karetka była już tuż za mną.

Ujrzałem Synne. Siedziała na schodach przed recepcją, skulona, obejmując rękoma kolana, jakby marzła. Pomachałem do niej, wykrzyknąłem jej imię, ale nie zareagowała. Nie zatrzymałem się jednak, przebiegłem obok niej, zwirową ścieżką prosto do domku, w którym mieszkał Erling.

Minąłem róg, chciałem pójść skrótem przez trawę, ale poślizgnąłem się i wylądowałem na kolanie. Musiałem podeprzeć się dłonią. Na wpół zgniła, pożółkła, zimowa trawa była śliska jak mydło. Odwróciłem prędko głowę i ujrzałem biegnących za mną dwóch mężczyzn w czerwonych kombinezonach. Natychmiast wstałem i pobiegłem dalej.

Drzwi do domku były otwarte. Jednym susem pokonałem schody i właśnie zbliżałem się do drzwi, gdy stanąłem jak wryty.

Za sobą usłyszałem kroki i ciężki oddech ratowników medycznych.

Zagroziłem im drogę i ostrym głosem rzuciłem:

– Stójcie!

Wysoki, brodaty facet idący na przedzie spojrzał na mnie z irytacją, odsunął moją rękę i już chciał przecisnąć się obok, gdy też się zatrzymał.

Przez telefon powiedziałem, że spodziewam się przedawkowania. W gruncie rzeczy nie przypuszczałem, że mogłoby to być coś innego. Liczyłem się z tym, że przybędę za późno. Przygotowałem się na zobaczenie Erlinga martwego.

Rzeczywiście nie żył. Jednak nie sądziłem, że domek będzie wyglądać, jakby ktoś pomalował go czerwoną farbą w sprayu. Nie spodziewałem się, że ktoś zaszlachtuje chłopaka jak jagnię.

Nie byłem przygotowany na widok Erlinga Iversena w półmroku, leżącego na plecach w łóżku, z głową zwisającą z krawędzi i poderżniętym gardłem, na materacu przesiąkniętym czarną, zakrzepłą krwią, która spłynęła na brud, na linoleum – było jej tyle, że pokrywała niemal całą podłogę malutkiego domku. Na ścianie obok chłopaka także dostrzegłem wzór czerwonych, rozprysniętych kropelek, aż na chwilę poczułem zawrót głowy, jakbym znajdował się na skraju przepaści, czuł zasysającą mnie otchłań.

Stałem na schodach z dwoma ratownikami. Wyższy z nich, brodacz, ciągle przełykał ślinę.

– Może sprawdzimy, czy... – zaczął, ale pokręciłem głową.

– On nie żyje – oznajmiłem. – Nikt nie ma prawa tu wejść przed przybyciem policji. Powiedzcie przez radio, co się stało.

– Dobrze – zgodził się. – Tak zrobimy.

Ale się nie ruszył. Nikt się nie ruszał. Staliśmy tak, ciasno skupieni, spoglądając na scenę, której nikt z nas nie chciał widzieć. Każdy dałby wiele, żeby uniknąć tego przeżycia, a jednak obraz porwał nas, zahipnotyzował i wrył się nam w pamięć, ja zaś wiedziałem, że jeszcze długo nie będę mógł pozbyć się go z myśli. Że ten widok będzie mnie prześladował, zjawiał się nieproszony bladym świtem, kiedy opór i wola życia są najsłabsze – wtedy ta

sytuacja, ten chłopak, ten pokój cuchnący krwią i śmiercią będą mi towarzyszyć, czy tego chcę, czy nie.



## Rozdział 18

Dłoń Synne była drobna i zimna jak lód. Gdy ją ująłem, Synne spojrzała na mnie zagubionym wzrokiem, uśmiechnęła się słabo i powiedziała: „Cześć, Mikael”, jakbyśmy spotkali się przypadkiem na spacerze.

– Marzniesz – zauważyłem łagodnie, a ona popatrzyła na mnie nieco zdziwiona, jakby wcale o tym nie pomyślała, ale miała posiniałe usta i szczękała zębami. Podniosłem ją na nogi, objąłem i mocno uścisnąłem, czując, jak trzęsie się z zimna lub szoku, a może z jednego i drugiego.

– Chodź, trochę się przejdziemy – zaproponowałem.

Spacerowaliśmy w kółko, aż powróciło jej właściwe krążenie. Wtedy usiedliśmy w moim aucie. Silnik pracował na jałowym biegu, ogrzewanie działało na pełnych obrotach. Nie rozmawialiśmy z sobą, siedziałem tylko obok, trzymając ją za rękę, patrząc na zaparowaną przednią szybę i czekając.

Przyjechały radiowozy, najpierw kilka na sygnale, później kolejne w bardziej umiarkowanym tempie, a po godzinie na kempingu roilo się od ludzi. Byli tam gliniarze w mundurach i po cywilu, technicy kryminalistyczni w ochronnych strojach, dziennikarze i gapie. Cały obszar nagle pokryła taśma odgradzająca, jakby gigantyczny pająk zbudował sieć wokół miejsca zbrodni. Policyjne radia trzeszczały, wydawano rozkazy, oficerowie

na służbie chodzili zdecydowanie tam i z powrotem.

Po kolejnej dłuższej chwili na miejsce przybył patrol z popiskującym psem, który z ekscytacji załatwił się na środku parkingu, po czym zniknął razem ze swoim opiekunem w krzakach za domkami.

W otoczeniu kordonu policji stali dwaj ratownicy z karetki. Brodacz wymachiwał rękoma, składając wyjaśnienia. Wyglądał, jakby przywykł już do opowiadania swojej historii. Do nas nikt nie podchodził. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie powinienem po prostu odjechać, ale nagle dostrzegłem w tym całym chaosie znajomą postać, w drodze ku ogrodzeniom.

– Poczekaj – poprosiłem Synne, wysiadłem z auta i spiesznym krokiem poszedłem w tamtą stronę.

Mężczyzna zniknął za taśmami, a mnie zatrzymał umundurowany strażnik, kładąc mi dłoń na piersi.

– Stać!

– Munk! – zawołałem. – Chwileczkę! Hej, panie inspektorze!

Przystanął, odwrócił się na pięcie i pomaszerował ku mnie.

– Co tutaj robisz, Brenne?

– Ja... to ja wezwałem karetkę. Moja aplikantka... to ona go znalazła... – Wskazałem na domek.

– Gdzie jest?

– Siedzi w moim aucie.

– Poczekaj. Ktoś z wami porozmawia.

– Dobra – zgodziłem się. – Poczekam dziesięć minut.

– Co?

– Dziesięć minut. Jesteśmy tu od dwóch godzin. Moja aplikantka jest w szoku. Dziesięć minut i jadę.

Ktoś zjawił się po pięciu minutach. Młoda kobieta z notesem

i długopisem w dłoni zadawała krótkie pytania i pracownicy zapisywała odpowiedzi. Wyjaśniłem, jak się tam znaleźliśmy. Synne nie miała wiele do powiedzenia. Przyjechała o dwunastej, zgodnie z umową, zapukała do drzwi, ale nikt nie odpowiadał, więc nacisnęła klamkę i otworzyła.

– ...i zobaczyłam... zobaczyłam...

Przerwała. Zaczęła się trząść.

– Lepiej już pojedziemy – stwierdziłem. – To moja wizytówka. Proszę zadzwonić.

Kobieta chciała zaprotestować, ale spojrzawszy przeciągle na Synne, nagle skinęła głową.

– Dobrze. Skontaktujemy się.

– Mój samochód... – Synne odezwała się, gdy włączyłem silnik. – Mój samochód tam stoi.

– Wrócimy po niego jutro – odparłem.

W drodze do miasta zaczęła ziewać, a kiedy zaparkowałem pod jej domem, ledwo się trzymała na nogach. Ze zmęczenia zataczała się na schodach, a później stała jak mała dziewczynka pod drzwiami, kiedy szukałem kluczy w jej torebce.

– Lepiej chwilę u ciebie zostanę – stwierdziłem.

– Tak. To dobrze. Ale ja się muszę zdrzemnąć. – Upuściła płaszcz na podłogę i poszła do sypialni. – Muszę się zdrzemnąć. – I zamknęła mi drzwi przed nosem.

Przez kwadrans błąkałem się niespokojnie po mieszkaniu, przeglądałem czasopisma, zerknąłem na półkę z książkami. Później zajrzałem ostrożnie do sypialni. Przed łóżkiem leżał stos ubrań. Widziałem tylko czubek głowy Synne wystający spod kołdry. Chwilę stałem w drzwiach, patrząc, jak kołdra lekko się porusza, słuchając równego oddechu dziewczyny. Spała głęboko i spokojnie.

Napisałem wiadomość na karteczce, po czym cicho wyszedłem i pojechałem do domu. Opuściłem go rankiem poprzedniego dnia i myślałem, że wrócę wieczorem, więc nadal chodziłem w tym samym garniturze i bieliźnie, którą miałem na sobie, wyjeżdżając.

Gdy zrzucałem ubrania i szedłem pod prysznic, czułem kwaśny zapach własnego potu. Potem długo stałem pod strumieniem ciepłej wody, z zamkniętymi oczami, pozwalając jej po mnie spływać. O niczym nie myślałem. Nie było łatwo, ale ostatnio sporo to ćwiczyłem.

Kiedy wróciłem do mieszkania Synne, nadal spała. Wyglądała, jakby nie poruszyła się, odkąd wyszedłem. Zdążyłem zrobić zakupy, więc teraz wyciągnąłem garnki i zacząłem grzebać w szafkach w poszukiwaniu oleju, przypraw oraz innych rzeczy potrzebnych do ugotowania obiadu. Szybko zorientowałem się, że Synne nie jest zbyt dobrą gospodynią domową, ale znalazłem wszystko, czego potrzebowałem.

Gdy ziemniaki stały już w piekarniku, dwa razy zapukałem do jej drzwi, po czym wetknąłem głowę do sypialni.

– Co...? – dobiegł mnie głos spod kołdry.

– Zaraz będzie obiad! – zawołałem i wróciłem do kuchni. Po kilku minutach usłyszałem, jak drzwi się otwierają, a zaraz potem zaszumiało w rurach.

Obiad był gotowy, kiedy weszła do ciasnej kuchni, nieumalowana i z mokrymi włosami. Ubrana w szeroką bluzę i znoszone dżinsy wyglądała na bardzo młodą i nieco zawstydzoną, jakby nagle uznała, że ta sytuacja jest zbyt intymna i prywatna. Usiadła przy stole, a ja podałem zapiekane ziemniaki, wołowinę i sałatkę.

– Nic wykwintnego – powiedziałem.

– To nie wiesz, jakie obiady zazwyczaj sobie robię – odparła,

uśmiechając się po raz pierwszy tego dnia.

Później piliśmy kawę i słuchaliśmy muzyki. Zapytałem, czy chce porozmawiać o tym, co się stało, ale pokręciła głową.

– Nie. Może później, za kilka dni. Ale nie teraz.

Odpowiadało mi to. Gadaliśmy w roztargnieniu o wszystkim innym, o pracy i swoich sprawach, później oglądaliśmy telewizję, choć nie wiadomości. O dziesiątej Synne zaczęła ziewać.

– To niemożliwe, że znów jestem zmęczona! Przecież przespałam pół dnia.

Pokręciłem głową.

– To nic takiego, Synne. Doznałaś szoku i taka jest reakcja twojego organizmu. Połóż się. Zostanę na noc, jeśli chcesz.

– Naprawdę?

– Tak. Mogę sobie pościelić na kanapie.

Zakrzętnęła się i znalazła dla mnie kołdrę, pościel i czysty ręcznik, po czym znów zniknęła w swoim pokoju. Oczekałem parę minut, nim zapukałem.

– Mogę wejść?

– Tak.

Leżała pod kołdrą w ciemności rozpraszanej tylko słabym blaskiem latarni. W skąpym świetle jej oczy były duże i ciemne, a twarz mała i blada. Pochyliłem się, żeby pogłodzić ją po policzku. Poczułem pod palcami ciepło jej skóry.

– Wszystko w porządku? – zapytałem.

– Tak – odparła, próbując się do mnie uśmiechnąć, ale wtedy coś w niej pękło i zaczęła płakać. – Kto mógł zrobić coś takiego? To zupełnie bez sensu. Przecież to tylko chłopiec! – załkała. – Nawet nie zaczął żyć. A ktoś... ktoś...

Obejmowałem ją, gdy płakała. Wiedziałem, że musi to z siebie

wyrzucić. Dużo później, gdy zabrakło już łez, ziewnęła.

– Śpij – powiedziałem.

– Chyba muszę, chociaż czuję, że to niewłaściwe, jakbym nie mogła tak po prostu spać, jakby to był wyraz całkowitego braku uczuć... Ale jestem strasznie zmęczona.

– Śpij – powtórzyłem. – To dla ciebie najlepsze. Dobranoc, Synne.

Poszedłem przygotować się do snu. W otoczeniu flakonów, kremów i różnych sprzętów wypełniających łazienkę młodej kobiety poczułem, że jestem samotny, że tam nie pasuję, przez co poruszałem się niezdarnie, w obawie, że strącę coś z przepelnionych półek. Zgasilem światła, uchyliłem okno i w ciemności położyłem się na kanapie.

Z zewnątrz dochodziły odgłosy miasta. Samochody. Kroki. Jakiś śmiech, jakiś krzyk. Pomyślałem, że Synne śpi i dobrze jej to robi. Zamknąłem oczy, by oddać się nocy, przyjąc obrazy zmarłych.

Była to doskonale znana mi procesja, moja prywatna kolekcja strachów, a tej nocy dołączył do niej Erling w całej swej krwawej okazałości. Wiedziałem, że nie ma sensu z tym walczyć. Synne potrafiła zasnąć, jej umysł najwidoczniej był w stanie odsunąć od siebie lęk i pozwolić jej odpocząć, ja jednak nie miałem tyle szczęścia. Mój podsuwał mi tylko nieskończone, gorączkowe powtórki, ciągle na nowo przeżywany widok, który przywitał mnie przez na wpół otwarte drzwi, w cieniu, w pokoju o czerwonych ścianach.

Gdy tylko zamykałem oczy, za każdym razem, gdy już miałem zasnąć, budził mnie ten sam dźwięk, powolny i rytmiczny, który z jakiegoś powodu okropnie mnie przerażał. Długo trwało, nim zrozumiałem, że tym, co słyszę, jest kapiąca na szare linoleum krew.

## Rozdział 19

Następnego dnia Synne i ja zostaliśmy przesłuchani przez policję. Skończyłem dużo szybciej niż ona. Na korytarzu spotkałem inspektora Munka. Skinąłem mu głową, a on zatrzymał się na chwilę.

– Brenne – odezwał się. – Zostawiasz za sobą mnóstwo trupów.

– Co przez to rozumiesz?!

Westchnął i uniósł dłoń w uspokajającym geście.

– Nic – odparł. – Tak mi się wymknęło. Niefortunne sformułowanie.

Moja irytacja zniknęła tak samo szybko, jak się pojawiła.

– Cóż, w sumie to nawet prawda. Wolałbym jednak, żeby tak nie było.

– Też tak sędzę. Byłeś chyba na przesłuchaniu? Powiedziałeś coś pomocnego?

– Nie wydaje mi się. Erling Iversen... zmarły... był naszym klientem. Ale ledwo go znałem. Nie wiem nic, co mogło mieć związek z tym morderstwem.

– Mhm. A twoja aplikantka?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie potrafiła rozmawiać o tym wczoraj, więc nie wiem, ale wątpię, żeby posiadała jakieś cenne informacje.

Powoli pokiwał głową.

– No właśnie. Pewnie się tym zajmiemy. Tak na ogół bywa. – Wydawał się wycieńczony, miał poszarzałą skórę i worki pod oczami.

– Chyba jesteś zmęczony. Pracowałeś całą noc?

– Dni są długie, gdy coś takiego się zdarzy.

– To prawda.

– Nie cierpię, kiedy umierają tak młodo – dodał. – Do zobaczenia, Brenne.

Zapukałem do drzwi pokoju przesłuchań, w którym siedziała Synne, i zabrałem kluczyki od jej wozu. Rozwahałem, czy nie wziąć taksówki, ale chociaż dzień był szary i zimny, to jednak nie padało, więc pomyślałem, że byłoby to marnotrawstwo pieniędzy. Dlatego podreptałem przez miasto na dworzec i poczekałem dwadzieścia minut na autobus jadący tam, dokąd się wybierałem.

Kemping znowu był opustoszały.

Od morderstwa minęła ledwie doba, ale nie zauważyłem już ani policji, ani dziennikarzy, jedynie łopoczącą na zimnym wietrze czerwono-białą taśmę, która zdradzała, co się tu stało. Samochód Synne stał samotny i opuszczony na niewielkim parkingu na lewo od recepcji. Po prawej, częściowo skryty za rzędem sosen, znajdował się większy parking, gdzie zatrzymałem się naszego pierwszego wieczoru tutaj. Za drzewami dostrzegłem żółty wrak pozbawionego tablic rejestracyjnych auta dostawczego, poza tym tam również było pusto.

Tym razem w recepcji paliło się światło. Odruchowo zastukałem do drzwi i wszedłem. Starszy pan, może po sześćdziesiątce, spojrzał na mnie krzywo. Miał nalaną twarz, głębokie zmarszczki, gęstą, siwą brodę i długie, tłuste włosy opadające na kołnierzyk.

– Tak? – odezwał się. – O co chodzi?



– Chcę tylko odebrać samochód, który tu stoi. Starego golfa. Należy do kobiety, która znalazła ciało.

– Okej. – Przeniósł wzrok na gazetę.

– Zastanawia mnie jedna rzecz – ciągnąłem. – Zabity chłopak...

Erling Iversen... był dość młody.

– No i co?

– Czy zajmowali się nim rodzice albo opieka społeczna?

– Nie.

– Nie sądzi pan, że był za młody, żeby mieszkać samotnie?

Wśród zmarszczek zabłysła para małych, ciemnych, podobnych do guzików oczu.

– Jest pan z policji?

– Nie, jestem...

– To idź pan do diabła – warknął.

Nie zrobiłem tego, ale wyszedłem. Po trzech próbach uruchomiłem starego golfa Synne. Ogrzewanie zaczęło działać dopiero, gdy dojeżdżałem do miasta.

Synne przyszła do kancelarii następnego dnia, ale była blada i nieobecna duchem, a kiedy zajrzałem do niej, siedziała z wyrazem beznadziei na twarzy, wpatrzona w leżące przed nią stosy dokumentów.

– Co tutaj robisz, Synne? Chyba nie powinno cię tu być.

– Myślałam... Siedzenie w domu wydawało się bez sensu. – Lekko poruszyła dłońmi. – Sądziłam, że praca pomoże, ale mam problem z koncentracją.

– Idź do lekarza po zwolnienie.

– Ja...

– Nie protestuj, Synne. To, co przeżyłaś... Nie możesz tak po prostu udawać, że nic się nie stało, bo wspomnienia wrócą do ciebie

ze zdwojoną siłą. Z takim rzeczami... trzeba sobie jakoś radzić. Masz lekarza, na którym możesz polegać?

Skinęła głową.

– Tak.

– Świetnie. Idź do niego, powiedz, że to pilne, wyjaśnij mu wszystko i przyjmij pomoc.

Nie miałem problemu z odgadnięciem znaczenia jej spojrzenia.

– A ty, Mikael? Jak ty radzisz sobie z tym, co ci się przytrafiło?

– Idź już, Synne. Nie chcę cię tutaj widzieć przez miesiąc.

Dwa dni później zaatakował mnie nagłówek porannej gazety. Wielkie litery głosiły: „Mężczyzna aresztowany za zabójstwo na kempingu”. Przeczytałem cały artykuł, ale nie stałem się dzięki temu dużo mądrzejszy. Ten jeden raz gazeta nie przedstawiła obszernie szczegółów, co mnie zaskoczyło. Zazwyczaj przecieki z lokalnej komendy płynęły wartkim potokiem. Zwróciłem uwagę tylko na pewien drobiazg, a mianowicie że zdaniem dziennikarza podejrzany znał ofiarę. Przez chwilę zastanawiałem się, czy aresztowano któregoś z moich klientów, ale odrzuciłem tę myśl. W takim wypadku już dawno by do mnie zadzwoniono.

Był ładny ranek, spokojny i dość pogodny jak na tę porę roku, więc zdecydowałem się pójść do pracy pieszo. Zamiast wybrać krótszą drogę, chodnikiem pełnym spalin, wspiałem się aż do ścieżki biegnącej wzdłuż góry do centrum. Pode mną drogi rozciągały się we wszystkich możliwych kierunkach niczym olbrzymia kałamarnica. Widziałem niekończący się strumień samochodów posuwających się ślimaczym tempem naprzód w godzinach porannego szczytu. Wolałem podnieść wzrok, by objąć nim centrum, położony dalej półwysep przecinający fiord, wyspy osłaniające miasto i szlak ku morzu na zachodzie, a wreszcie blade

chmury piętrzące się jak zbocza gór na horyzoncie.

To piękne miasto, którego widok raduje duszę. Nagle droga stała się łatwiejsza, a ja cieszyłem się na czekający mnie dzień, wypełniony jedynie rutynowymi zajęciami.

Skręciłem w lewo, zszedłem stromą skarpą do centrum, minąłem starą szkołę katedralną, przeciąłem główną drogę, a za rogiem wyszedłem na ulicę biegnącą na tyłach komendy policji. Przemknęło mi przez głowę, że nie powinienem tędy iść, że to kuszenie losu, ale odrzuciłem ten pomysł jako głupi przesąd. Samochód z umundurowanymi funkcjonariuszami wyjechał z bram podziemnego parkingu, bez pośpiechu, w drodze na zwyczajny patrol.

Zerknąłem na nieprzezroczyste okna niemal na poziomie ulicy, wiedząc, że znajduje się tam areszt, że wszyscy wewnątrz mogą spojrzeć w górę i zobaczyć moje nogi, poruszające się niewyraźnie za chropowatym szkłem.

Zadzwoił mój telefon. Zatrzymałem się, by poszukać go w kieszeniach, bez zdziwienia rozpoznałem numer. Głos przedstawił się jako ktoś z aresztu, po czym poinformował, że mają u siebie mojego klienta, który o mnie pyta.

– O co chodzi? – chciałem wiedzieć. Z uczuciem rezygnacji przyjąłem wiadomość, że sprawa dotyczy zabójstwa na kempingu.

– Będę u was za... dwie minuty – powiedziałem.

– Szybko! – zdziwił się głos. – Pana klient nazywa się Iversen. Jarle Iversen.

– Spałeś dziś w ogóle? – zapytałem.

Pokój dla adwokatów był zajęty. Siedziałem na plastikowym krześle wstawionym przez strażników do celi. Jarle Iversen chodził w kółko po małym pomieszczeniu, trzy kroki w przód i trzy

z powrotem. Jego materac leżał na podłodze, pościel była zwinięta w kłębek, jakby ktoś skopał ją z wściekłości i rozpacz. Śmierdziało tam potem i brudnym mężczyzną.

– Jarle, spałeś?

Zignorował pytanie, nadal tylko miotał się tam i z powrotem. Jego dłonie nie mogły się uspokoić choćby na sekundę, to przeczesywały krótko przystrzyżone włosy, to lądowały w kieszeniach albo ścisnęły się nawzajem. Byłem prawie pewien, że jest na spidzie.

– Możesz mi pomóc? – rzucił nagle.

– Nie znam jeszcze sprawy – odparłem, ale on energicznie pokręcił głową.

– Nie, nie rozumiesz. Możesz być moim adwokatem? Poprzednio nie chciałeś.

Zastanowiłem się chwilę, po czym przytaknąłem.

– Mogę przyjąć tę sprawę. To zupełnie inny przypadek. Teraz chodzi o coś dużo poważniejszego.

– Tak – zgodził się. – Tak. Wiesz, co oni mówią?! – Jego twarz wyrażała szczere przerażenie. Po raz pierwszy się zatrzymał i rozłożył ręce. – Mówią, że zabiłem brata! Pojmujesz to?

– Wiem. A zabiłeś?

Zrobił krok w moją stronę; był tak blisko, że czułem nieprzyjemny zapach jego oddechu. Najwyraźniej nie umył zębów.

– Co to, kurwa, za pytanie? – powiedział cicho. – Chyba rozumiesz, że nie. Czy wszystkim tu zupełnie odbiło?!

Wzruszyłem ramionami.

– W porządku, Jarle. Pójdę się dowiedzieć, kiedy zostaniesz przesłuchany, i zaraz wracam, okej?

– Jasne – wymamrotał, a ja wstałem, żeby wcisnąć przycisk

wzywający strażnika, ale wtedy on dodał: – Już mnie przesłuchiwali.

– Co?

– Przesłuchali mnie wczoraj wieczorem, po zatrzymaniu.

– I nikt nie zadzwonił? Byłeś bez adwokata? W sprawie o zabójstwo?!

Chyba usłyszał niedowierzenie w moim głosie, gdyż spojrzał na mnie wyzywająco.

– Dobrze mi poszło.

– Co powiedziałaś, Jarle?

– Nic. Nic nie powiedziałem. Nie było problemu – powtórzył. – Ci faceci to skończeni idioci.

– Kto? Śledczy?

Skinał głową.

– Tak.

– Nie, Jarle, to nie idioci. Wręcz przeciwnie, niektórzy są bardzo bystrzy. Przynajmniej równie bystrzy, co ty.

Nie odpowiedział, tylko popatrzył na mnie wzrokiem nadąsanego chłopca.

– No dobrze, jeszcze zobaczymy. Może nic takiego się nie stało – mruknąłem bez przekonania.

Skinał głową. Zanim mnie wypuszczono, znowu zaczął chodzić tam i z powrotem, niespokojny i zdenerwowany. Słyszałem, jak mamrocze pod nosem:

– Skurwiele! Zastrani skurwiele!

## Rozdział 20

Zaraz po rozpoczęciu przesłuchania zdałem sobie sprawę, że nie jest dobrze. Sposób, w jaki śledczy siedzieli, ich postawa wskazująca na stłumione wyczekiwanie – wszystko to zdradzało, że coś mają. Rozpoczęli łowy i wytypowali ofiarę. Uśmiechali się, byli uprzejmi i sympatyczni, nawet dyskretni, ale stanowiło to jedynie fasadę. Za nią szykowali się do zadania śmiertelnego ciosu. Zrozumiałem to od razu, więc po pięciu minutach miałem ochotę zakończyć przesłuchanie.

Jarle Iversen przechodził od defensywnego dąsu do drobnych wybuchów agresji. Nie wiedziałem, co planuje, ale najwidoczniej nie był zrównoważony, co wcale mi się nie podobało. Przeczytałem raport z poprzedniego krótkiego przesłuchania, podczas którego Jarle opowiedział o swoich poczynaniach w dniu morderstwa. Jego zeznanie było dość niejasne. Odwiedził kumpla, a później znajomą dziewczynę. W nocy poszedł do domu. Nie pamiętał, o której tam dotarł.

Nie widział brata. Nie miał nawet pojęcia, gdzie ten przebywa. To ostatnie mnie zaniepokoiło, bo wiedziałem, że Jarle kłamie.

– Czy możemy raz jeszcze przeanalizować, gdzie byłeś i co robiłeś w środę i czwartek, Jarle? – zapytał starszy śledczy. Nazywał się Olsen, był szczupły, miał przerzedzone włosy i wyglądał bardziej na rewidenta niż policjanta.

Mówił przeważnie Olsen. To on spisywał również zeznanie. Młodszy nazywał się Hammer, był kanciasty i piegowaty, o dużych dłoniach i obgryzionych paznokciach. Głównie się przysłuchiwał, kiwając głową na potwierdzenie słów Olsena.

– Przerabialiśmy to wczoraj – burknął Jarle.

Olsen cierpliwie kiwnął głową.

– Wiem, ale zrobimy to raz jeszcze. Dokładności nigdy dość.

Przez kolejne pół godziny skrupulatnie analizował zeznanie Jarlego. Za każdym razem, gdy jego wypowiedź nie zgadzała się do końca z poprzednim wyjaśnieniem, Olsen chwycił się danego wątku, wypytywał, drażył, próbował zmusić Jarlego do określenia szczegółów z jak największą precyzją. Jarle wykręcał się, stawiał opór, mówił coraz większymi ogólnikami i coraz bardziej się irytował.

– Czas na przerwę – oświadczył Olsen. Jarle był spocony i czerwony na twarzy. – Chyba masz ochotę na papierosa.

Po przerwie było tylko gorzej.

– Zdaniem matki wróciłeś do domu dopiero po pierwszej w nocy – powiedział Olsen. Jarle wzruszył ramionami. – Sam twierdzisz, że wróciłeś o wpół do jedenastej. – Znowu cisza. – Nie skomentujesz tego?

– Tak. Matka się myli.

Olsen uniósł brwi. Robił to, ilekroć Jarle odpowiadał, przez co wydawał się wątpić i dziwić zarazem, jakby zaskoczony słowami podejrzanego. Zaczęło mu to drażnić.

– Naprawdę? Do pierwszej była u niej koleżanka... – szybkie spojrzenie do notesu – ...niejaka Elsa Støle. Ona także jest pewna, że nie wróciłeś, zanim poszła do domu około pierwszej.

Długie milczenie.

– Na pewno były spite – stwierdził wreszcie Jarle. – Zazwyczaj są.

Brwi Olsena powędrowały aż pod nasadę włosów.

– Tak bardzo, że nie zauważyły twojego powrotu?

Jarle wzruszył ramionami. Olsen postukał w klawiaturę.

– Co piszesz? – zapytał Jarle.

– Przeczytasz później. A co z tą dziewczyną, z którą byłeś tamtego wieczoru? Lene, tak się chyba nazywała?

– Tak.

– Mhm. Co u niej robiłeś? Uprawialiście seks?

– Tak.

– Chociaż jej rodzice byli w domu?

– Tak. Nigdy nie wchodzi do jej pokoju.

– Aha. To twoja dziewczyna?

– Nie. Tylko znajoma.

– Z którą uprawiasz seks.

– Tak.

– Między innymi w tę środę.

– Tak.

– Nie zdaniem Lene.

– A i owszem.

– Nie. Jej zdaniem odwiedziłeś ją we wtorek, nie w środę.

– Pomyliło jej się.

Brwi Olsena zatańczyły.

– Doprawdy, Jarle? – Wymuszona cisza ciążyła niczym ołów. – Problem w tym, że w środę była w kinie z koleżankami. Dwoma, i obie potwierdzają, że spędziły ten wieczór razem. Dodatkowo matka poświadcza, że odwiedziłeś Lene we wtorek. Nie może tylko potwierdzić, że uprawialiście seks.



Jego ironia na nic się nie zdała. Jarle Iversen siedział na swoim krześle milczący i krnąbrny, ze zwieszoną głową, jak wściekły byk nękany przez mężczyznę z czerwoną płachtą tak bardzo, że nie mógł już tego znieść. Wiedziałem, że zaraz wybuchnie.

– Jarle – odezwałem się – czy nie lepiej...

– Dlaczego nie możesz po prostu przyznać, że wykończyłeś braciszka? – zapytał nagle Hammer. – Wszyscy rozumiemy, że zwyczajnie łiesz! Jaki w tym sens?

Olsen zareagował równie szybko, co ja, chociaż siedział po drugiej stronie stołu. Chwyciliśmy każdy za jedno ramię, ale i tak z trudem utrzymaliśmy Jarlego Iversena na krześle.

– Ty skurwielu! – wrzasnął do Hammera. – Ty skurwielu! Zmiażdżę ci mordę!

Hammer wstał i pochylił się, podtykając twarz aż pod nos Jarlego, po czym krzyknął:

– Tylko spróbuj, mały gnoju, no, dalej!

Drzwi za mną otworzyły się z trzaskiem, pokój wypełnili zaalarmowani śledczy. Odepchnęli mnie, rzucili się na Jarlego, aż wreszcie wyciągnęli go na zewnątrz, chociaż przeklinał i kopał.

Już po wszystkim spojrzałem na Hammera i rzekłem:

– To pana ostatnie przesłuchanie z udziałem jakiegokolwiek klienta, którego będę reprezentował.

Wzruszył ramionami, otworzył usta, by odpowiedzieć, ale Olsen go uprzedził.

– Wracaj do siebie, Geir. Już cię nie potrzebuję.

Hammer zamilkł i wyszedł. Olsen westchnął.

– Przepraszam, panie mecenasie.

– Super – warknąłem. – Ale na razie koniec z przesłuchiowaniem Jarlego Iversena.

– Jasne. Raczej nie będziemy kontynuować. – Posłał mi uśmiech.  
– W zasadzie nie potrzebujemy. Mamy chyba więcej niż dość.

– Ach tak? To co takiego macie? Jak na razie nie wyłożyliście ani jednej karty.

Znów się uśmiechnął.

– Prawda. I chyba na tym polega ta gra, co? Wyłożymy karty, kiedy będzie to konieczne, na pewno nie wcześniej. Nic w tym dziwnego.

– Zgadza się. Ale musicie określić, czy zostanie aresztowany. Powinien się o tym dowiedzieć dzisiaj, najpóźniej jutro. Wtedy będziecie musieli wyłożyć karty na stół.

– Tak. Chyba może się pan liczyć z aresztowaniem. – Nagle przybrał zmęczony wyraz twarzy, ziewnął głośno. – Najpierw musimy się tylko uporać z jedną sprawą.

– Czyli?

– Konfrontacją osobistą. Mamy świadka, kierowcę taksówki, który obejrzy sobie pańskiego klienta.

Usiadłem na powrót na krześle.

– Niech pan da spokój, Olsen – powiedziałem. – Dość tych zagadkowych sformułowań. Wie pan, że mam prawo być przy tym obecny. Co się dzieje?

– Okej – odparł. I wszystko mi wyjaśnił.

## Rozdział 21

Taksówkarz miał szeroko rozstawione nogi, figurę gruszki i brzuch zakrywający sprzączkę paska. Stał przed lustrem fenickim, niecierpliwie czekając.

– Co oni tam robią? – burknął.

Nikt mu nie odpowiedział. My też czekaliśmy. Olsen, młoda kobieta, która przedstawiła się jako Karen, i ja.

– Halo! Zawsze przychodzę na czas. Nie znoszę niepunktualnych ludzi. Marnują tylko czas innych, to nonsens. Dzisiaj też byłem punktualny, więc oczekuję, że policja zachowa się tak samo. Ile jeszcze mamy...

– Aż będą gotowi – uciął Olsen zdecydowanym tonem. – Czekamy tutaj, aż będą gotowi.

Taksówkarz wyglądał, jakby miał ochotę dalej narzekać, ale Olsen zdążył się od niego odwrócić i teraz rozmawiał cicho z kolegą. Ja wpatrywałem się w ścianę, uważając, żeby nie napotkać spojrzenia kierowcy, z obawy, że go sprowokuję i zacznie znowu marudzić.

Otworzyły się drzwi, ktoś wetknął głowę do środka i wymamrotał coś do Olsena. Policjant wyprostował się, podszedł do taksówkarza i stanął obok niego. Ja ustawiłem się za nimi, żeby móc patrzeć im przez ramię. Odsunięto zasłonę.

– Zobacz pan szereg pięciu osób, każdą z numerem na piersi –

powiedział Olsen. – Proszę dobrze się zastanowić i jeżeli rozpozna pan...

– Numer cztery – oświadczył głośno kierowca. – To był numer cztery.

Olsen westchnął.

– Bez pośpiechu. Jest pan pewien? Proszę dobrze się im wszystkim przyjrzeć, możliwe, że...

– Numer cztery.

Był to numer Jarlego Iversena.

Zasunięto zasłonę. Osoby w środku zamieniły się numerami i miejscami. Zasłona powędrowała w górę. Następnie znów powtórzono całą procedurę.

Taksówkarz za każdym razem wskazywał Jarlego Iversena. Bez wahania.

Olsen uśmiechnął się, gdy skończyliśmy. Ja westchnąłem.

– Jutro z samego rana odbędzie się aresztowanie, Brenne – rzekł.  
– Pewnie sąd poinformuje pana telefonicznie o dokładnej godzinie.  
Do zobaczenia.

Wiedziałem, że nie mogę zbyt wiele zrobić.

– Jego zeznania – odezwałem się. – Będą mi potrzebne.

Olsen skinął głową, podając mi zieloną teczkę.

– Proszę. Lektura do poduszki.

To był wieczór, jakiego nie lubi żaden kierowca. Lał rzęsisty deszcz, bezustannie, godzina za godziną. Śnieg, który spadł poprzedniego dnia, szybko zmienił się w chlapę, a później w szarą maź zatykającą odpływy i studzienki ściekowe, wskutek czego droga przypominała gdzieniegdzie ujście rzeki.

Morten Harry Ness odczuwał ból pleców i głowy. Zawsze tak było, kiedy widoczność pogarszała się tak bardzo, jak tego

wieczoru, gdy czarny asfalt połyskiwał od wilgoci, a deszcz padał strumieniami. Przechodnie nie zwracali na nic uwagi, przemykając jak czarne koty wzdłuż ulic, tak że prawie nie dało się ich zauważyć i zanim się człowiek zorientował, wychodzili prosto na jezdnię, jakby byli w pełni oświetleni i niezniszczalni. Idioci! Morten Harry potarł skroń i zerknął szybko na zegarek. Wybiła jedenasta, ruch zaczął się zmniejszać. Planował jeździć do północy, ale teraz miał ochotę skończyć i wrócić do domu.

Właściwie nie zauważył postaci na skraju drogi, kątem oka zarejestrował jedynie ruch, coś przemieszczającego się z boku rzucanego przez reflektor snopa światła. Prawa stopa Mortena Harry'ego zdążyła wcisnąć hamulec, na długo zanim obserwacja została przetworzona przez mózg. Zniosło go nieco na lewo po śliskiej nawierzchni, samochód skręcił, a Morten Harry zaklął i gorączkowo poruszył kierownicą, aby wyprostować koła. Minął osobę na skraju ulicy, teraz dobrze widoczną w świetle lamp – młodego mężczyznę unoszącego rękę. Widział już wcześniej ten ruch – rękę uniesioną, aby zwrócić uwagę kierowcy. Stał przed nim dzieciak, zdecydowanie za lekko ubrany jak na taki wieczór.

Dziwne miejsce wybrał sobie na łapanie taksówki, z dala od ludzi i latarni. Morten Harry zawahał się sekundę, już prawie wciskał gaz, żeby odjechać, ale potrzebował pieniędzy, miał słaby dzień, więc zmienił zdanie. Zahamował. Zatrzymał się. W lusterku obserwował, jak postać pojawia się w słabym, czerwonym świetle, podbiega, pragnąc jak najszybciej schronić się przed deszczem.

Otworzyły się tylne drzwi i młody mężczyzna wślizgnął się na siedzenie. Morten Harry wykrzywił głowę, czuł sztywność karku i ramion. Kręgi chrupnęły. Pasażer był przemoczony, krople kapały z jego krótko ostrzyżonych włosów. Przesunął ręką po twarzy, żeby

usunąć wodę z oczu. Miał na sobie tylko cienką czarną kurtkę z połyskliwego materiału, bez jednego rękawa. Morten Harry zauważył brudne, poplamione dzinsy; wyglądały, jakby chłopak wcześniej pełzał po ziemi.

– Dokąd jedziemy? – zapytał, lecz tamten tylko spojrzał na niego bezmyślnie, jakby nie dosłyszał lub nie pojął pytania. „Dragi – pomyślał Morten Harry. – Albo pieprzony cudzoziemiec”. Sam w to jednak nie wierzył, nie pasowało mu spojrzenie tego chłopaka, odległy cień... przerażenia. Morten Harry nie znalazł lepszego słowa, później powtórzył je policji. „Przerażenie – powiedział. – Tylko to słowo opisuje wyraz jego oczu”.

Zapytał o to samo, głośniej. Po kilku sekundach chłopak odpowiedział. Cichym, chrapliwym głosem podał adres na przedmieściach na północ od centrum. Morten Harry tylko westchnął – nie zdziwił się, że ma jechać w kierunku przeciwnym, niżby chciał.

– Okropny wieczór – stwierdził po kilku minutach. – Co robiłeś na dworze w taką pogodę?

Nie otrzymał odpowiedzi, a kiedy zerknął w lusterko wsteczne, zobaczył, że chłopak siedzi z zamkniętymi oczami. Morten Harry nie próbował więcej zagadywać pasażera, ale dla pewności zerkał na niego co jakiś czas. Nie był przekonany, ale odniósł wrażenie, jakby chłopak płakał, to znaczy siedział całkiem spokojnie, nie łkając ani nie drżąc, lecz łzy płynęły mu po twarzy. Sytuacja wydawała się Mortenowi Harry’emu nieco nieprzyjemna, lecz taksówkarze niejedno widują i szybko uczą się, żeby pilnować własnych spraw. Kiedy dotarli pod wskazany adres, chłopak wyciągnął z kieszeni kurtki zwitek banknotów, wydobyl banknot pięćsetkoronowy, który podał Mortenowi Harry’emu bez słowa, po

czym wypadł z auta, nie czekając na resztę.

Dopiero nazajutrz, rozliczając poprzedni dzień, Morten Harry zauważył plamę na banknocie. Plamę koloru rdzy.

A jeszcze później, kolejnego dnia, podczas lektury porannej prasy, dowiedział się o morderstwie.

– Dopiero po dwóch kawach załapałem – wyznał. – Wtedy zdałem sobie sprawę, że zabrałem tego chłopaka zaraz po tym, jak dokonał morderstwa. Z pobocza tuż przy drodze, gdzie do tego doszło. – Pokręcił głową. – Było w nim coś dziwnego. Wiedziałem to, gdy tylko go zobaczyłem. – Przyłożył palec wskazujący do nasady nosa, spoglądając znacząco na śledczego. – Widzi pan, jeżdżąc taksówką, można nauczyć się rozumieć ludzi. Zawsze powtarzam, że wiemy o ludziach więcej niż lekarze czy psycholodzy. Psycholodzy powinni obowiązkowo jeździć na taksówce, wtedy może by coś zrozumieli.

– Tak – powiedział śledczy cierpliwie. – Pewnie. Ale te pięćset koron... Skąd pan wie, że to Jarle... że to ten młody człowiek zapłacił tym banknotem?

Morten Harry uśmiechnął się z zadowoleniem.

– To proste. W dzisiejszych czasach większość osób używa kart płatniczych, gotówka nie zdarza się tak często.

– Naprawdę?

– To była jedyna pięćsetka w tamtym rozliczeniu. Doskonale ją zapamiętałem z powodu napiwku. Był dość spory.

Śledczy przytaknął.

– Rozumiem. Dobrze, panie Ness. Dziękuję.

Morten Harry kiwnął głową.

– Jedna sprawa – zaczął.

– Tak?

– Co z moją pięćsetką?

– Z banknotem? Musimy go zatrzymać. To ważny dowód.

– Rozumiem – rzekł Morten Harry. – Ale to moje pieniądze. Nie potrzebuję dokładnie tego banknotu. Mogę wziąć jakikolwiek. Jednak chcę dostać swoje pieniądze. Chętnie dopełnię swojego obywatelskiego obowiązku, ale nie zamierzam być na tym stratny.

Policjant westchnął.

– Zapytam szefa działu – oznajmił. – Zadzwonię do pana.

– Tylko niech pan nie zapomni – powiedział Morten Harry Ness.



## Rozdział 22

Ojciec ucieszył się na mój widok i chociaż miałem wyrzuty sumienia, ponieważ długo go nie odwiedzałem, mnie też było przyjemnie. Przez ostatni rok ogromnie się zmienił. Stał się otępiały. Może wszystko zaczęło się dużo wcześniej, ale zwróciłem na to uwagę dopiero niecały rok temu, a od tamtego czasu choroba postępowała szybko.

Sądziłem, że na początku zaniknie tylko jego pamięć krótkotrwała, że przeszłość zostanie nienaruszona, ale nie było wcale tak dobrze. Duża część jego własnej historii została wymazana, wyparowała bez śladu. Nie dostrzegałem w tym żadnej reguły, żadnego wzoru, który podpowiedziałyby mi, co pamiętać, a co zapomnieć. Otępienie było jak wirus losowo kasujący dane w pamięci ojca, przypadkiem, bezlitośnie i nie zwracając uwagi na to, co warto zachować, a co lepiej usunąć.

Rozmowa z ojcem przypominała teraz wędrówkę przez nieznaną dom. Nigdy nie wiedziałem, kiedy otwarte drzwi zaprowadzą mnie do pustych, niezamieszkałych pokoi. Manewrowałem najlepiej, jak potrafiłem, na tych niebezpiecznych wodach, ale nie udawało mi się uniknąć bólu i dezorientacji w jego spojrzeniu, gdy nie pamiętał rzeczy, co do których zgadywał, że musiały stanowić część jego życia.

Próbowałem sobie wyobrazić, jak to jest, ale nie umiałem.

Czasami starał się opisać swoje odczucia, jednak nie potrafił znaleźć właściwych słów.

Było z nim raz lepiej, raz gorzej, a tego dnia – całkiem nieźle. Nad kubkiem kawy opowiedziałem mu o Kari, o jej wyprowadzce. Czasami ledwie pamiętał, kim ona jest, ale teraz tylko pokręcił głową.

– To smutne, Mikael. Lubiłem ją.

– Wiem – przyznałem. – Z wzajemnością.

Przytaknął.

– I pasowała do ciebie. W ostatnich latach miałeś się chyba lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. – Znowu pokręcił głową. – To bardzo smutne wieści.

– Tak, tato. Ale nic nie da się z tym zrobić.

Posłał mi niespodziewanie ostre spojrzenie.

– Naprawdę? Zastanowiłeś się nad tym, dlaczego odeszła? Co jest z tobą nie tak?

– Tato! To nie było... dlatego. To bardziej skomplikowane... A poza tym nie chcę o tym rozmawiać. Nic ci do tego.

– Masz rację, to nie moja sprawa. Przepraszam – powiedział, ale nie wyglądał, jakby naprawdę było mu przykro, a po chwili dodał: – Zawsze chodzi o to, co można było zrobić inaczej. Zawsze.

Dorastałem tylko z nim. Moja matka, jego żona, opuściła nas, kiedy byłem całkiem mały. Wychowywał mnie sam, a był przy tym surowym i trzymającym się na uboczu mężczyzną. Dopiero w ostatnich latach się zmienił, otworzył i spokojnie stał się bardziej przystępny. Jego słowa mnie zirytowały. Całe życie trwało, zanim on się zmienił, jednak nie wypomniałem mu tego. Zamiast tego wstałem.

– Już idziesz?

– Tak, czeka mnie aresztowanie klienta. Ale niedługo wrócę, tato.

Siedziałem tak, żeby móc widzieć Jarlego z boku. Zdawał się nie poruszać, dłonie trzymał złożone na blacie stołu, ale z mojej pozycji widziałem, jak macha stopą w prędkim, niespokojnym rytmie, jakby skupiał całą swoją niecierpliwą energię właśnie w tej jednej nodze.

Trwało posiedzenie dotyczące aresztowania, w małym, przepełnionym pomieszczeniu unosiło się gęste powietrze, a Jarle Iversen był poirytowany i agresywny.

Nie wybrał sobie najlepszej postawy. Sędzia zaczął mieć go dość.

– Dlaczego nie odpowie pan po prostu na moje pytanie, panie Iversen?

– Bo to cholernie głupie pytanie.

Ujrzałem, jak sędzia robi wdech, unosi ramiona i powoli je opuszcza.

– Nie, panie Iversen, wcale nie. Jest całkiem normalne i tylko na panu się to odbije, jeśli nie zechce pan odpowiedzieć na to i inne pytania, jakie panu zadamy. – Westchnął. – Wybór należy do pana. Nie ma pan obowiązku składania zeznań, tak jak powiedziałem na wstępie, ale sam pan stwierdził, że chce to zrobić. W takim razie nie widzę powodu do bycia bezczelnym i upartym. Jak już mówiłem, odbije się to tylko na panu, na nikim innym.

Sędzia zachowywał się racjonalnie, usiłując przemówić Jarlemu Iversenowi do rozsądku, ale Jarle nie był rozsądny, przynajmniej nie tego dnia. Jego głowa, do tej pory pochylona nad blatem stołu, uniosła się powoli. Chłopak gapił się na sędziego, jakby nigdy wcześniej go nie widział, jakby dopiero teraz zarejestrował jego

obecność w sali.

Zrzucił stojący przed nim plastikowy kubek z wodą, która rozlała się na podłogę. Nie wiedziałem, czy zrobił to przypadkiem czy celowo.

– Mój brat nie żyje – warknął. – Rozumie pan?! Mój brat nie żyje! Dziennikarze notowali. Fotografowie grzebali przy aparatach i lampach błyskowych. Sędzia znów westchnął.

– Panie prokuratorze – rzekł. – Ma pan jakieś pytania?

– Cóż. Nie wiem do końca, czy...

Jęknąłem w duchu, absolutnie pewien, że jeżeli prokurator zacznie po raz kolejny zadawać te same pytania o przejazd taksówką, o niezgadzające się alibi, o pieniądze, plamy krwi i ubrania, sytuacja tylko się pogorszy.

– Nie ma sensu pytać znowu o tematy, które już omówiliśmy – powiedział sędzia, jakby czytając w moich myślach. – Chyba że ma pan coś nowego, w przeciwnym razie...

– Nie mam pytań – oświadczył prokurator.

– Panie mecenasie? Jakies pytania do klienta?

Zastanowiłem się chwilę, chociaż wiedziałem, że nic to nie da. Żadne pytanie nie mogło zmienić biegu tej sprawy. Należało po prostu jak najszybciej wydostać stamtąd Jarlego.

Pokręciłem głową.

– Nie mam pytań, wysoki sędzie.

– W porządku – odparł i chyba dojrzałem ulgę na jego twarzy. – Proszę zaczekać do ogłoszenia decyzji.

W poczekalni roilo się od dziennikarzy, więc policja odprowadziła nas na sąsiedni korytarz. Siedzieliśmy tam, każdy na swoim krześle, wpatrzeni prosto przed siebie. Spróbowałem porozmawiać z Jarlem, kiedy tylko wyszliśmy z sali.

– Jarle – odezwałem się – musisz zrozumieć, że...

Machnął ręką.

– Nie teraz – powiedział jedynie. – Nic do mnie nie mów.

Dlatego siedzieliśmy w milczeniu, ale jego noga nadal poruszała się jak dziki metronom, do tego zaciskał umięśnione szczęki.

Było ciepło, więc miał na sobie tylko podkoszulek. Wokół jego szyi ciągnął się tatuaż przedstawiający drut kolczasty, który na pierwszy rzut oka wyglądał jak naszyjnik. Nie pojmowałem, jak mogłem wcześniej go przeoczyć. Spojrzałem na dłonie Jarlego – mocne, szerokie dłonie o silnych palcach. Gładka obrączka na prawym kciuku. Strupy na dwóch kłykciach, może pozostałości po bójce przed sądem, zaledwie kilkadziesiąt metrów stąd.

Pamiętałem, jaki był wtedy arogancki i agresywny, ale także zadowolony z uwagi, z tego, że znalazł się w centrum zainteresowania. Teraz zachowywał się inaczej. Był zamknięty w sobie, opanowany, wyciszony. Tylko wściekłość została ta sama, wyczuwałem ją tuż pod powierzchnią, jak bulgoczącą ciecz bliską punktu wrzenia, która zaraz wykipi.

Zdecydowałem się znowu spróbować.

– Jarle – mruknąłem, wyciągając dłoń, żeby dotknąć jego ramienia, ale rozmyśliłem się i zamiast tego powtórzyłem jego imię.

Zwrócił ku mnie pozbawioną wyrazu twarz.

– Musisz wiedzieć... – Odchrząknąłem i zacząłem na nowo. – Chcę po prostu, żebyś wiedział, że zostaniesz aresztowany, kiedy tam wrócimy. To pewne.

Spojrzał na mnie, wolno kręcąc głową.

– Dowody – powiedziałem z naciskiem. – Dowody nie dopuszczają...

Za mną otworzyły się drzwi.

– Proszę wejść – zaprosił sekretarz sądu. – Decyzja została podjęta.

– ...niezgodne z pozostałymi zeznaniami w sprawie... zeznanie kierowcy jest wiarygodne... plamy krwi... co prawda nie wiadomo, do kogo należą... jednak w zupełności wystarczą, by orzec o prawdopodobieństwie... prawdopodobieństwie winy... – Głos sędziego rozbrzmiewał w moich uszach monotonnym szmerem. Wiedziałem, co zaraz nastąpi, jaka będzie konkluzja, więc nie uważałem za bardzo. Wyłącznie na tyle, żeby zorientować się, kiedy sędzia dobrnie do końca.

– ...oskarżony nie ma stałej pracy... nie będzie to nadmierna ingerencja...

W myślach zakończyłem już to posiedzenie. Jarle trafi do więzienia i najpewniej spędzi tam sporo czasu. Próbowałem ułożyć listę rzeczy, które będę musiał w tej sprawie zrobić, z kim porozmawiać i tak dalej.

Ostry trzask wyrwał mnie z zamyślenia, aż drgnąłem.

Jarle wstał tak nagle, że jego krzesło przewróciło się i runęło na podłogę.

Powinniśmy byli się na to przygotować, zarówno ja, jak i strażnicy, ale nie zrobiliśmy tego. Strażników było czterech, czyli więcej niż zazwyczaj. Najwyraźniej ktoś powiadomił ich, że przy Jarlem Iversenie trzeba zachować ostrożność. Podczas zeznania Jarlego siedzieli na samym brzegu krzeseł, gotowi zainterweniować w razie czego, ale sytuacja się ustabilizowała. Później, podczas odczytywania decyzji przez sąd, Jarle siedział zgarbiony, z głową zwieszoną niemal na piersi. Może jego bierna, zrezygnowana postawa dawała fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Może w połączeniu z ciepłem panującym w sali i monotonnym, śpiewnym

głosem sędziego przyczyniła się do zmniejszenia ich koncentracji.

Nie wiem. W każdym razie wydawali się zupełnie zaskoczeni.

Kiedy jego krzesło upadło na podłogę, moją pierwszą myślą było, że Jarle chce uciec. Do drzwi miał najwyżej trzy metry, przeciwko sobie ani jednego strażnika – dwóch zajmowało miejsca z tyłu sali, a pozostali dwaj stali za mną, oparci o ścianę. Tę samą, w której znajdowały się drzwi wyjściowe.

Strażnicy pomyśleli najwyraźniej to samo co ja. Ci za mną spróbowali rzucić się do drzwi, żeby zastąpić drogę Jarlemu; dostrzegłem ich kątem oka, usłyszałem też ich przekleństwa, gdy usiłowali precyzyjnie się przez grupę przeszkadzających im dziennikarzy. Oczywiście nie mogli dogonić Jarlego, który zdążył już okrążyć swój stolik i był zaledwie dwa metry od drzwi.

Jednak nie miało to znaczenia. Jarle Iversen wcale nie spieszył się do drzwi i wolności.

Biegł w stronę sędziego.

W tej sali rozpraw sędzia i sekretarz sądu zawsze siedzą przy krótszej ścianie, na niewielkim podeście. Po lewej stronie sędziego znajdują się oddzielne drzwi wyjściowe dla osób zajmujących miejsca za barierką. To konieczne, ponieważ stojąca przed sędzią poręcz ciągnie się przez całą szerokość sali, oddzielając go od reszty ludzi. Nie jest to zbyt wysoka przeszkoda.

Nie stanowi wystarczającej ochrony przed rozzłoszczonym młodym mężczyzną.

Jarle w dwóch susach dopadł barierki. Popatrzyłem na strażników, którzy siedzieli z tyłu sali – wreszcie zrozumieli, co się święci, i rzucili się do przodu. Ci za mną również zorientowali się w sytuacji, gdyż zmienili kierunek i właśnie mijali mój stolik w drodze do Jarlego. Żaden nie miał szans dotrzeć do niego na czas.

Jarle Iversen chwycił poręcz oburącz i odbił się, żeby przez nią przeskoczyć. Patrzył wyłącznie na sędziego, który odsunął się na krześle, aż uderzył plecami o ścianę. Nie zdążył wstać, ledwie uniósł dłonie na podłokietniki. Doskonale wiedział, że nie da rady uniknąć ciosu. Widziałem w jego oczach, że to wie.

Jarle się poślizgnął. W chwili gdy miał przeskoczyć przez barierkę, poślizgnął się w kałuży wody, którą sam utworzył na podłodze. Nogi zniknęły pod nim i zamiast pokonać przeszkodę ładnym łukiem, wylądował z rumorem na brzuchu, prosto na stole sędziego.

Ryknął z wściekłości i frustracji. Zrobił ręką ruch w stronę sędziego, który na wpół stał, a na wpół siedział pod ścianą, i zdołał tylko pociągnąć za togę. Sędzia rzucił się bokiem do drzwi z twarzą wykrzywioną ze strachu.

Toga się podarła, a sędzia padł na podłogę, więc straciłem go z oczu.

Czterech strażników dotarło na miejsce mniej więcej w tym samym czasie, a Jarle Iversen zniknął pod ich ciałami.

Błyskały flesze. Wszyscy krzyczeli, panował chaos. Dziennikarze kręcili się wokół, jednocześnie zaszokowani i pełni podziwu. Jarlego Iversena zakuto w kajdanki. W tym całym zamieszaniu najwyraźniej od kogoś oberwał, bo z nosa ciekła mu krew. Wyrywał się trzymającym go strażnikom, szarpał się z kajdankami, ryczał nieskładne, nieartykułowane przekleństwa. Dotarło do mnie jedynie jego ciągle powtarzane: „Mój brat nie żyje, mój brat nie żyje!”.

Rzucił się, aby się oswobodzić, a krew z jego nosa trysnęła drobnymi kropelkami na stół sędziowski i na samego sędziego, który już się podniósł i teraz stał w podartej todze, w oszołomieniu



patrząc na rozgardiasz panujący w sali rozpraw.

Sędzia musiał poczuć na sobie krople, bo uniósł dłoń i rozmazał je po policzku, by później w niedowierzaniu spojrzeć na zakrwawione palce, z takim wyrazem twarzy, jakby zaraz miał się rozpłakać.

Strażnicy zaczęli wlec Jarlego ku wyjściu, otoczeni kamerami telewizyjnymi, które podtykano mu prosto pod nos.

Ja nadal siedziałem na swoim miejscu. Przyglądałem się tej scenie, temu, co jeszcze przed chwilą było zwyczajną salą sądową, ale przeistoczyło się w istny chaos pełen krwi, fruwających papierów i przewróconych mebli. Nagle zacząłem się śmiać. Nie wiedziałem dlaczego, miałem świadomość, że sytuacja wcale nie jest zabawna, ale nie mogłem się powstrzymać.

Sędzia popatrzył na mnie, jakbym postradał zmysły, więc spróbowałem się opanować, lecz nie zdołałem i znów wybuchnąłem śmiechem.

## Rozdział 23

Synne i ja wysiedliśmy z samochodu i poleciliśmy pod wiatr przez parking jak dwie czarne wrony. Był strasznie mokry dzień. Wybieraliśmy się na pogrzeb, czego wolałbym uniknąć, ale Synne nalegała, a ja nie chciałem, żeby szła sama.

Przed kaplicą stała mała, rozproszona grupa żałobników. My stanęliśmy trochę dalej i czekając, aż otworzą się drzwi, zerkaliśmy z ukosa na ludzi, którzy skupili się blisko siebie dla ochrony przed wiatrem i deszczem. Zobaczyłem ubraną na czarno kobietę po czterdziestce, o czerwonej, spuchniętej twarzy, jakby właśnie płakała albo za dużo piła.

– Tak. – Synne odpowiedziała na moje pytanie. – To matka. Katrine Iversen.

Opierała się o młodszą, wysoką i szczupłą kobietę o ostrych rysach i płomiennie rudych włosach. Wydawało się, że podtrzymuje matkę Erlinga, jakby ta biedaczka mogła upaść w każdej chwili. Kobieta pochyliła się, szepnęła coś do ucha Katrine, która wyprostowała się i kilka razy skinęła głową.

Większość uczestników ceremonii była młoda. Zjawili się tam głównie chłopcy, pewnie przyjaciele i koledzy z klasy, niezdarni w ciemnych garniturach pożyczonych na tę okazję albo po prostu za ciasnych, bo minęło już trochę czasu od konfirmacji. Dwóch, również ubranych na czarno, ale nie w garnitury, tylko

standardowe stroje gotów – jeden z kolczykiem w nosie, brwi i dolnej wardze – podobnie jak my trzymało się trochę z boku. Zauważyłem też kilka dziewcząt w tym samym wieku, bardziej pewnych swojego stylu.

Margaret, jeszcze chudsza, niż kiedy widziałem ją w centrum handlowym, miała na sobie czarne spodnie i kurtkę, a jej ciemnoblonde włosy zwisały w strąkach wokół twarzy.

Obecni dorośli chyba nie czuli się zbyt dobrze, nie rozmawiali z sobą ani z Katrine. Raczej nie byli bliską rodziną, obstawiałem nauczycieli, może pracowników opieki społecznej – osoby, które przyszły na pogrzeb, ponieważ uznały, że wypada to zrobić.

Tak samo jak ja.

Trudno powiedzieć coś właściwego, kiedy umiera szesnastolatek. To chyba w ogóle niemożliwe, a na pewno w przypadku tak krwawej i bezsensownej śmierci jak ta. A ponieważ również życie Erlinga było prawie pozbawione sensu, przemawianie podczas tego pogrzebu nie należało do najwładniejszych zadań, jednak oczekiwałem, że pastor nakreśli chociaż częściowy obraz Erlinga Iversena, którego poznałem. Nie uczynił tego.

Mówił, jakby Erling był którymkolwiek bądź dobrze dostosowanym uczniem. Jakby jego życie nie wypadło z utartych torów, jakby cała ta rozpacz, wściekłość i bezradność składająca się na Erlinga Iversena, jakby wszystko, co pchnęło go ku narkotykom i zapomnieniu, co sprawiło, że molestował młodsze od siebie dzieci – w ogóle nie istniało.

Można było odnieść wrażenie, że sam Erling nigdy nie istniał, jakby po śmierci został podmieniony na innego, lepszego chłopca. Pomyślałem, że to właśnie jest ostateczna zdrada, że nawet po śmierci odrzuciliśmy go takiego, jaki był naprawdę.

Ceremonia pozostawiła mi posmak popiołu w ustach i płomień wściekłości w piersi.

Zastanawiałem się, co myślą jego przyjaciele i koledzy. Ich puste twarze nic nie wyrażały. Niektórzy wiercili się niespokojnie, nieprzywykli do tak długiego tkwienia w jednym miejscu. Jediną osobą, która zdawała się słuchać, był got w kolczykach, siedzący z uśmiechem na ustach, jakby odbierał to wszystko jak jeden wielki żart. Bo tak też było.

Kiedy maszyna ruszyła i na naszych oczach wolno opuściła w dół trumnę z doczesnymi szczątkami Erlinga Iversena, zobaczyłem, że ramiona Margaret drżą, że pochyła się naprzód, jakby nagle rozbolał ją brzuch. Obok stał potężny mężczyzna o bujnych czarnych włosach, przypuszczalnie ojciec, obejmując ją i podtrzymując. Nachylił się ku niej z bezradnym wyrazem twarzy, wolną ręką poklepał ją po głowie, niezręcznie i sztywno, jakby poklepywał obcego psa.

Na zewnątrz, na wietrze, wśród wirujących liści, nie uniknęliśmy składania kondolencji Katrine Iversen. Żałobników było tak niewielu, że po prostu nie dało się uciec, ale źle się z tym czułem. Wydawało mi się to niewłaściwe, gdyż zupełnie jej nie znałem.

Niepotrzebnie się martwiłem. Jeszcze zanim do niej dotarliśmy, zobaczyłem jej puste, nieobecne oczy. Synne stała w kolejce przede mną. Pochyliła się i uścisnęła Katrine, przedstawiła się, ale nic nie wskazywało na to, by została rozpoznana, a kiedy ja sam stanąłem przed matką Erlinga, mamrocząc wyrazy współczucia, poczułem od niej woń alkoholu. Jej wzrok pozbawiony był ciekawości i życia. Tylko wysoka rudowłosa kobieta obok niej posłała mi ostre, pytające spojrzenie, które zignorowałem.

Synne podeszła do Margaret. Trzymała oburącz jej dłonie, cicho

z nią rozmawiając.

W drodze do domu Synne się nie odzywała. Posłałem jej szybkie spojrzenie i zobaczyłem na jej policzku łzy.

– Wszystko w porządku?

– Nie wiem, Mikael – odparła. – Wolałabym...

– Co?

– Mam wrażenie, jakbym dwa razy go zdradziła.

– Jak to?

– Najpierw kiedy się wyprowadziłam i zostawiłam go samego. A teraz znowu. Myślałam, że możemy mu pomóc... i wtedy... go zabili.

– Nie mogliśmy nic zrobić, Synne. Skąd miałaś wiedzieć, że ktoś go zabije? Nikt nie mógł tego wiedzieć. To bez sensu obwiniać się za wszystko, co się stało.

– Wiem.

– A wtedy... Boże, byłaś tylko dzieckiem! Przecież musiałaś pojechać z matką, kiedy się przeprowadzała.

– Wiem.

– Absolutnie nie powinnaś mieć wyrzutów sumienia.

Nie odpowiedziała, a kiedy wysadziłem ją pod domem, pożegnała się, nie patrząc mi w oczy.

Wracałem tą samą drogą, którą przyjechałem. Zamierzałem odwiedzić Jarlego w areszcie, żeby złożyć mu raport z pogrzebu brata.

Nie dowierzał mi, kiedy powiedziałem, że nie może wziąć w nim udziału.

– Żartujesz – stwierdził. – To mój brat. Mój brat!

Pokręciłem głową i wreszcie dotarło do niego, że to prawda. Wtedy znowu wyszedł z siebie, krzyczał i przeklinał, ciskał

przedmiotami o ścianę, aż strażnicy przybiegli i otworzyli drzwi na oścież, żeby sprawdzić, czy nic złego się nie dzieje. Machnąłem ręką, żeby sobie poszli.

– Wszystko w porządku – zapewniłem. – Dajcie nam tylko trochę czasu.

Wycofali się niechętnie, ale poinformowali, że jeden z nich zostanie pod drzwiami celi, dopóki nie skończę.

– A ty lepiej się uspokój – przykazał któryś Jarlemu, na co chłopak posłał mu wściekłe spojrzenie.

– Po prostu nas zostawcie – wtrąciłem szybko, żeby uniknąć awantury.

Później, kiedy się uspokoił, udało mi się zmusić go do słuchania.

– Oni myślą, że go zabiłeś, Jarle. Nie, nie przerywaj, wiem, że jesteś wkurzony, ale tak właśnie myślą. A ja rozumiem dlaczego.

Nagle podniósł głowę.

– Co?! Też myślisz, że...?

– Nie. Uspokój się. Nic takiego nie mówię. – Usiadłem obok niego na pryczy. – Musisz skończyć z tymi ciągłymi wybuchami. To ci nie pomoże. Musisz po prostu zacząć słuchać i myśleć. To konieczne, jeśli chcesz wyjść z tego cało – oznajmiłem. Po krótkiej chwili dodałem: – Słyszysz, co do ciebie mówię, Jarle?

– Tak – odezwał się cicho. – Spróbuję.

– Dobrze. – Wstałem, zacząłem chodzić tam i z powrotem po kilku metrach betonowej podłogi. – Myślą, że zabiłeś Erlinga. Może dałbym radę załatwić ci przepustkę na pogrzeb, w końcu nie zostałeś jeszcze skazany, ale nie po tym cyrku, który urządziłeś w sądzie.

Nie odpowiedział.

– I... nie wiem, czy byłoby ci przyjemnie brać udział w pogrzebie

w kajdankach i w eskorcie policji.

Siedział cicho, trąc czoło.

– Posłuchaj, Jarle... Nic nie da się z tym zrobić. Ja tam pójde i później wszystko ci opowiem, okej?

– Okej.

Dlatego jechałem do swojego klienta, ale nie miałem mu zbyt dużo do powiedzenia.

– A matka? – zapytał. – Co z matką?

– Nie wiem. Wyglądała na wykończoną. I smutną też, oczywiście. Ale chyba jakoś się trzyma.

– Tak. Na ogół daje sobie radę.

Nie skomentowałem gorczy w jego głosie.

– Była tam też kobieta... młodsza od twojej matki... rudowłosa... Wyglądało, jakby jej pomagała.

– Tak. – Skinął głową. – To Elsa... Elsa Støle, sąsiadka.

– Chyba ją wspiera.

Wzruszył ramionami.

– Czasem się spotykają. Wypiją parę drinków, sporadycznie wyjdą na miasto.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Wstałem.

– Starczy na dziś, Jarle. Może to nieodpowiedni moment, ale niedługo musimy omówić sprawę.

– Tak? – Był czujny, czekał na ciąg dalszy.

– Nie wiem, co właściwie się stało. Ale wiem, że nie mówiłeś prawdy. Nie mogę cię do niczego zmusić, jednak chyba powinieneś rozważyć, czy nie warto wyznać mi, co się naprawdę wydarzyło.

Milczał.

– Zastanów się, Jarle. W tej chwili twoja sytuacja nie jest zbyt dobra. Przemyśl to, za parę dni pogadamy.

Minął tydzień, zanim do mnie zadzwonił.

– To ja, Jarle. To, co ostatnio mi powiedziałaś...

– To znaczy?

– O prawdzie. O mówieniu prawdy.

– Tak?

– Przyjedziesz? Powiem ci, co się stało.

– Już jadę.



## Rozdział 24

Cały dzień chodził nerwowo po ulicach, niespokojny, odkąd tylko się obudził, o wiele za wcześnie. Czuł mrowienie ciała i tępy ból głowy, jakby coś było nie tak, jak powinno, jak gdyby coś musiał zrobić, cokolwiek. Doskonale wiedział, co go dręczy.

Chociaż starał się nad tym nie zastanawiać, myśli ostrożnie wiodły go w nieprzyjemny rejon, krążyły wokół tematu. Podobnie jak doświadczony wędrowiec unika trudnego terenu, omija bagniste, błotniste miejsca, gdzie mógłby utknąć w śmierdzącej, brudnej mazi, tak Jarle pilnował, żeby nie myśleć o swoim zmartwieniu.

Z czasem wprawił się w niedopuszczaniu do siebie czarnych myśli, na ogół szło mu dobrze. A jeśli tak nie było, wiedział, co mu pomoże. Dragi. Aktywność, jakieś zajęcie, jakiś projekt. Przemoc. Dzięki niej czuł się lepiej, to ona przywracała mu poczucie, że kontroluje swoje życie. Przemoc zawsze pomagała. Ale tego dnia musiał się pilnować, właśnie wypuszczono go z aresztu po bójce na placu sądowym, więc nie mógł ryzykować, że znów się w coś wmiesza, wtedy pewnie poszedłby siedzieć. Nie chciał tego, dlatego musiał się zadowolić wspomnieniami.

Świetnie pamiętał to poczucie kontroli, krew tryskającą prosto w twarz przeciwnika po ciosie łokciem, rozkwitającą na jego oczach szkarłatną różę i świadomość posiadania władzy nad wrogiem,

kiedy ten padł na ziemię. Gdy leżał na asfalcie, zdawało się, jakby czas płynął wolniej, prawie stanął w miejscu, dzięki czemu Jarle nie musiał się spieszyć, gdy podnosił prawą nogę, wysoko, kolanem sięgając klatki piersiowej. Miał czas, żeby pomyśleć. Wiedział, że może zostać mordercą, jeśli to zrobi, że leżący przed nim mężczyzna najpewniej umrze. Wiedział, że nie powinien. Z tą świadomością spojrział na łysego, na krew ciekącą z nosa i ust, spojrział w jego mętne oczy z ledwie dostrzegalnym cieniem strachu, jakby facet nie do końca rozumiał, co się dzieje, i z całej siły opuścił nogę tuż obok nieruchomego ciała.

Władza.

Później biegł, lekki jak ptak, adrenalina buzowała w nim aż po koniuszki palców. Nie mógł przestać się śmiać, wszystkie zmysły miał wyostrzone, słyszał zbliżające się syreny, widział twarze ludzi zebranych wokół placu, starszą panią z otwartymi ustami, chłopaka, który bał się spojrzeć mu w oczy, nagle rozpoznał kogoś, adwokata... jak on się nazywał... Mikael Brenne. Jego twarz przybrała dziwny wyraz. Na chwilę ich spojrzenia się skrzyżowały. Jarle biegł dalej, tylnymi uliczkami, nagle jednak zdał sobie sprawę, co przypominała mu mina prawnika. Ojca, kiedy złapał syna, który coś przeskrobał.

Było to jedno z nielicznych wspomnień o ojcu. Surowa, ściągnięta twarz, pełna dezaprobaty, ale również z odrobiną smutku, jakby coś go rozczarowało.

Mógł znowu sięgnąć po dragi, ale z jakiegoś powodu wcale go nie kusiły. Były nieprzewidywalne, czasami działały w sposób odwrotny od zamierzonego, gdyż zamiast otępić i ogłuszać, otwierały drogę wszystkiemu – wspomnieniom, myślom, temu, czego wolałby nie doświadczać. Tamten dzień był właśnie taki

i Jarlemu wydawało się, że odurzenie wiązałoby się z pewnym ryzykiem. Wolał go uniknąć.

Dlatego chodził ulicami. Witał się ze znajomymi, zatrzymywał się, żeby pogadać o byle czym, ktoś zaproponował mu piwo, które wypił, ale bez smaku, rozmowa zaś wcale go nie ciekawiła – plotki, pogłoski, dragi, zwyczajne bzdury. Poszedł dalej.

Wszystko przez to, że odkrył, gdzie aktualnie mieszka Erling. Stało się to przypadkiem. Spotkał jedną znajomą, zaczęli gadać. Okazało się, że dziewczyna ma kontakt z Margaret, że jest jej przyjaciółką z dawnych czasów. Zabrał ją na imprezę, postawił piwo, później spid. Uprawiali seks w sypialni w bloku, gdzie ciągle ktoś im przeszkadzał. Przeklinał intruzów, ale ona się tym nie przejmowała i pomyślał, że może nawet jej się to podoba. Była mocno odurzona, a w ciągu nocy powiedziała mu niewyraźnym głosem, gdzie mieszka Margaret. Margaret i Erling.

Zostawił ją tam, nagą i tak otumanioną, że nawet nie zareagowała, kiedy sobie poszedł. Zastanawiał się, czy ktoś jeszcze do niej przyjdzie, weźmie ją. Tak przypuszczał, ale wcale go to nie obeszło.

Zadzwoił do adwokata, Brennego. Zdecydował, że jemu zostawi tę sprawę. Wiedział, że to rozwiązanie jest właściwe. Że adwokat miał rację, mówiąc, iż Erling potrzebuje pomocy. I że on sam nie zdoła mu pomóc, bo nie zna się na tym, nie rozumie, nie wie, co powinien zrobić. Ale też tak strasznie wkurzał się na samą myśl. Dzieci. Molestować dzieci. Do kurwy nędzy! Jarle parę razy siedział, nie były to długie wyroki, jednak wystarczająco długie, by zrozumieć, co w środowisku sądzi się o ludziach wykorzystujących dzieci. I co się z nimi robi.

Jego własny brat.

Nie potrafił tego pojąć.

Że Erling mógł coś takiego zrobić.

Że chciał...

Gdyby to był ktoś inny, ktokolwiek, bez mrugnięcia okiem zatłukłby świnie na śmierć.

Ale chodziło o Erlinga.

Którym zawsze się opiekował najlepiej, jak umiał.

W tym tkwił problem. Ojciec zniknął. Matka piła. Piła, imprezowała i szczerze mówiąc, pieprzyła się na prawo i lewo. Nie była złą kobietą, nigdy jej nie nienawdził, Erling też nie, tylko od małego nauczyli się, że na matce nie można polegać. Nie można jej ufać. Przytulała ich, potrzebowała bliskości, miała dobre zamiary i snuła wspaniałe plany, z których jednak nigdy nic nie wychodziło. Coś zawsze się psuło, przeszkadzało, stawało na drodze. Jakaś impreza, kolejny mężczyzna, który ją zdradził, albo pieniądze, które nie nadeszły. Zawsze coś.

Dlatego został sam z Erlingiem. I starał się, jak mógł. Nauczył go tego, co niezbędne, by sobie poradzić w domu i poza nim. Pilnował go. Pomagał mu, kiedy było to konieczne. Ale nie był, do cholery, niańką, nie mógł siedzieć przy bracie cały czas, zajmować się wszystkim.

I wtedy wydarzyła się ta historia z dzieciakiem.

I jeszcze raz.

Wściekłość i agresja skumulowane w najodleglejszym zakamarku jego umysłu nagle zaczęły wyciekać. Ściany niespodziewanie popękały, wypuszczając na zewnątrz truciznę. Zacisnął pięści i przyspieszył kroku, próbując uciec od własnej furii.

Zostawił sprawę Mikaelowi Brennemu. Niech on się nią zajmie, zrobi, co może. Tak będzie najlepiej. Najlepiej.

Szedł więc przed siebie, a pęknięcia się powiększały, aż ściana się zawaliła, przeistoczyła się w gruz i ruiny. Wściekłość narastała. Szedł cały czas, podczas gdy dzień dobiegał kresu, a noc nadchodziła niczym choroba, niczym złodziej, bezgłośny morderca.

Skierował się na dworzec, cierpliwie poczekał na właściwy autobus. Był w nim prawie sam. Siedział, spoglądając w ciemność, na światła ulicy, reklamy i reflektory samochodów, poza swoje odbicie w szybie, jakby stał się przezroczysty. Jakby on sam i świat wokół niego złączyły się w jedno.

Pomyślał, że tym razem nie powinien się złościć, a jedynie zapytać o przyczynę, uzyskać wyjaśnienie wszystkiego, czego nie pojmował. Nie mógł dać się ponieść złości. Ani bić. Obojętnie, co by się stało, nie chciał bić.

Zacisnął pięści.

I jeszcze jedno. Musiał uzmysłwić Erlingowi, że powinien skończyć z prochami. Odrobina nikomu nie zaszkodzi, każdy czasem bierze. Trochę spidu, jakieś pigułki na poprawę humoru, żeby się rozruszać, rozbijać. I żeby się ostudzić – on też często sięgał wtedy po tabletki. Albo po odrobinę haszu. Każdy od czasu do czasu pali coś na wyciszenie, na odzyskanie spokoju... Nic w tym złego.

Ale nie można tak jak Erling, nie codziennie, nie można cały czas wciskać w siebie, co popadnie, również ciężkie dragi. Wiedział, że brat kupuje już heroinę. Raczej jeszcze jej sobie nie wstrzykiwał, Jarle słyszał, że tylko ją pali, ale przecież to, kurde, żadna różnica, tylko iluzja.

Musiał z nim o tym pogadać. Przekonać do skończenia z nałogiem. Potrząsnąć tym przeklętym bachorem, sprawić, by odzyskał kontrolę.

Miał sztywne ramiona, mięśnie go bolały, podobnie jak szczęki, jak gdyby spędził dużo czasu u dentysty. Wsiadł z autobusu, sam w ciemności. Poruszył ramionami, żeby się zrelaksować, rozluźnić. Zaczęło padać, więc postawił kołnierz w drodze na kemping. Zorientował się, że wysiadł przystanek za wcześnie, zaklął. Szedł po ciemku wzdłuż drogi, nieoświetlonej i pustej.

Padało coraz mocniej, przemókł do suchej nitki, zanim wreszcie dotarł do znaku. Prawie wtedy zawrócił, omal się nie rozmyślił, ale wzdrygnął się i poszedł dalej wiedziony niepokojem oraz narastającą wściekłością.

Minął biuro z pojedynczą latarnią na zewnątrz, poza tym ciemne i zamknięte na głucho. Wszedł między domki, ujrzał światło w najdalej położonym. Wolno posuwał się po żwirowej ścieżce i kałużach, z trudem orientując się w mroku. Jeszcze bardziej przemoczył nogi, czuł przedostającą się do butów deszczówkę.

Trzy stopnie do niewielkiej werandy. Zasunięte firanki. Zapukał i poczekał na odpowiedź. Zapukał raz jeszcze. Położył dłoń na drzwiach i poczuł coś, wibrację, jakiś prąd, jakby jego dłoń bezpośrednio połączyła się z tym, co znajdowało się po drugiej stronie. Nagle włosy na karku stanęły mu dęba. Pchnął drzwi i wszedł do ciasnego pomieszczenia.

Patrzył na wzór złożony z kończyn – powykręcanych, pozbawionych stawów, spoczywających w niezwykłych pozycjach – i barw: zieloną narzutę, białe poduszki, materac pod prześcieradłem w niebiesko-białe pasy, czerwień. Nic nie rozumiał. Stał z otwartymi ustami, jak wiejski głupek, jak półgłówek, nie pojmując tego, co zobaczył.

Jego ciało zareagowało przed głową, padł na kolana, jakby pchnęła go jakaś zewnętrzna siła. Pófleżał tak przed progiem,

z tułowiem wewnątrz pokoju, podpierając się ręką. Próbując utrzymać się na powierzchni.

Ujrzał swoją dłoń pośrodku plamy krwi, krwi brata, i drgnął, szybko przyciągnął ją do siebie, bez zastanawiania przycisnął do uda. Zobaczył twarz Erlinga i ranę na gardle; musiał odwrócić wzrok. Wezbrał w nim krzyk, krzyk jak fala, jak tsunami. Poczul pękający fundament, odrywające się i dryfujące mentalne kontynenty, zderzające się z siłą, która do cna nim wstrząsnęła.

Nie krzyknął.

Niczym wymykający się spod kontroli reaktor jądrowy, w którym wszystkie lampki mrugają na czerwono, jego układy zaczęły się jeden po drugim zamykać, wyłączać. Uczucia. Myśli. Dźwięki. Światła. Przez chwilę miał wrażenie, że oślepie i ogłuchnie, właściwie nawet tego pragnął, ale nic takiego się nie stało, wszystko tylko się przytłumiło, kolory straciły swój żar, szczegóły stały się niewyraźne. Nagle obraz przed oczami wydał mu się bardzo odległy.

– Erling – powiedział, ale z gardła nie wydostał się głos, słowo rozbrzmiało jedynie w jego głowie. I znowu: – Erling.

Nikt mu nie odpowiedział. Erlinga już tam nie było.

Zobaczył coś na podłodze, coś niepasującego do tego miejsca. Bez namysłu chwycił to, schował do kieszeni. Wstał. Zamknął drzwi. Poszedł przed siebie.

W złym kierunku. W stronę jeziora. Zorientował się dopiero, gdy poczuł lodowatą wodę sięgającą połowy łydek, wtedy skreślił w prawo, dezorientowany i wystraszony. Ogarnął go lęk, większy niż kiedykolwiek wcześniej. Zataczał się wzdłuż jeziora, w krzakach, biegł i upadał, wstawał i pędził dalej, aż zmęczył się tak, że prawie nie mógł się ruszyć, a deszcz cały czas lał. Otaczała

go ciemność nieprzenikniona jak ściana i chociaż dobrze wiedział, że nie on to zrobił, myślał wyłącznie o tym, że stało się to z jego winy, że jego wściekłość, jego własne mroczne myśli w jakiś sposób wywabiły demona, potwora. Coś, co zmieniło podły, biedny pokoik Erlinga w udekorowaną szkarłatem piekielną salę balową.

W którymś momencie wydostał się z lasu i trafił na główną drogę. Jakiś czas później nadjechała taksówka, a jego dłoń uniosła się sama. Przez chwilę myślał, że wóz się nie zatrzyma, zdążył go minąć, ale wtedy światła stopu zapłonęły na czerwono. Jego nogi ruszyły w stronę auta, doszły do niego, wsiadły do środka.

Podał adres.

Pojechał.

Wetknął dłoń do kieszeni, znalazł zwitek pieniędzy, których obecność cały czas wyczuwał jakąś częścią siebie. Wysupłał jedną pięćsetkę i wysiadł.

Wszedł do domu.

Matka spała.

On spał.

Bez snów, bez myśli.

Jakby on również nie żył.

Westchnąłem. Siedziałem wpatrzony przed siebie, porwany przez jego historię, obrazy i wspomnienia, które we mnie wywołała.

– Uwierzą mi? – zapytał Jarle z chrypą w głosie, która pojawiła się chyba tylko od zbyt długiego opowiadania.

– Nie wiem – odparłem. – Nie wiem. Byłoby lepiej, gdybyś powiedział to od razu.

Przez chwilę milczeliśmy, aż nagle wyrzucił z siebie:

– A ty? Czy ty wierzysz, że to prawda?

Nie wiedziałem, czy mu wierzę, ale w jego głosie usłyszałem



drżenie, a w oczach dostrzegłem błysk desperacji oraz nagiej rozpacz, jakby był małym chłopcem, dzieckiem pragnącym, by ktoś mu zaufał. Dzieckiem, które samo potrafiło zaufać. Nie miałem wyboru.

– Wierzę ci, Jarle – zapewniłem. – Wierzę ci.

## Rozdział 25

– Bardzo możliwe, że to prawda – stwierdziłem, choć słyszałem defensywny ton swojego głosu, lekko urażonego i nieco poirytowanego, jeszcze zanim prokurator zdążył powiedzieć, czy wierzy Jarlemu czy nie. – Żadna część zeznania nie jest sprzeczna z innymi faktami w sprawie, czyż nie?

Prokurator rozłożył ręce. Wyraz jego twarzy mówił, że jako rozsądny człowiek nic nie może na to odpowiedzieć.

Westchnąłem.

– Nie wierzysz mu.

Pokręcił głową.

– Tego nie powiedziałem.

– Ale tak myślisz.

– Co z tobą, Brenne? Nie chcesz, żebym wierzył twojemu klientowi?

– Okej, nie mów w ogóle, co uważasz. Widzimy się w sądzie za... tydzień? Czy to nie wtedy przypada koniec zatrzymania w areszcie?

– Rozluźnij się, Brenne, naprawdę. Wcale nie mówię, że nie wierzę twojemu klientowi. – Wstał, przeszedł się po pokoju i stanął pod oknem. Stał tak z dłońmi w kieszeniach spodni, wpatrując się przed siebie. – Z drugiej strony jego zeznanie ma pewne... słabe punkty.

– To co zrobisz? Wniesiesz o dalsze aresztowanie?

– Tak myślę, Mikael.

Siedziałem chwilę w miejscu, ani zdenerwowany po otrzymaniu odpowiedzi, ani też zdziwiony.

Prokurator odwrócił się, pochylił do parapetu i skrzyżował ręce na piersi.

– Nie powiesz mi, że to nierozsądne, Mikael. Dowody są przecież...

– Dowody wystarczą oczywiście, żeby został w areszcie – przerwałem mu. – Wystarczy do tego prawdopodobieństwo winy i przyznaję, że wymóg ten został spełniony. Ale nie sądzę, żeby ci się udało z tym oskarżeniem o zabójstwo. Jesteś daleki od otrzymania wyroku skazującego i chyba już się do niego nie zbliżysz.

Prokurator był zadbanym, dobrze ubranym mężczyzną z prostym przedziałkiem z boku i guzikami mankietów połyskującymi raz po raz przy nadgarstkach, jednak był też obyty, zdolny i rozważny. Rzadko dawał się ponieść emocjom. Posłał mi nieprzeniknione spojrzenie.

– Co? – zapytałem. – Czemu tak dziwnie na mnie patrzysz?

– Jesteś zdolnym adwokatem, Brenne, doświadczonym, kompetentnym i dobrym w sądzie.

– Ale...?

Uśmiechnął się krótko.

– Ale wydaje mi się, że w ostatnich latach... traktujesz swoje sprawy bardziej osobiście niż kiedyś. To groźny luksus w tej branży. Do tego to nieprofesjonalne. W takich przypadkach tracimy dystans, perspektywę, której klienci mają prawo od nas oczekiwać, a której potrzebujemy, aby jak najlepiej im doradzać.

Znałem go szmat czasu i szanowałem, ale i tak jego słowa mnie

zirytowały.

– Nie sądzę, żebym w ostatnich latach się zmienił. Każdy miewa czasem sprawy, które... w jakiś sposób są dla niego ważne. Zdarza się to wszystkim obrońcom, oskarżycielom zresztą również.

– Owszem.

– Więc w czym rzecz?

– Zaobserwowałem u ciebie większe... no nie wiem... zaangażowanie emocjonalne. Może się myłę. Może nie powinienem o tym wspominać. Długo się znamy i chyba mamy wobec siebie zawodowy szacunek. Dlatego pomyślałem, że mogę sobie pozwolić...

– Tak, oczywiście – powiedziałem, z trudem utrzymując rozdrażnienie pod kontrolą. – Po prostu uważam, że to nieścista obserwacja.

Wzruszenie ramion.

– W każdym razie nie wydaje mi się, żeby miało to jakiś związek z tą sprawą – uzupełniłem.

– Okej. – Przyjrzał mi się badawczo. – Ale twierdzisz, że nie mamy sprawy.

– Właśnie.

– Mamy pieniądze, Brenne.

– Pieniądze?

– Jarle Iversen wziął pieniądze. Złapano go z ponad ośmioma tysiącami koron w kieszeni, z pieniędzmi zabranymi z miejsca zbrodni. Jest na nich krew, i to dosłownie. W moim odczuciu takie zachowanie nie pasuje do historii twojego klienta.

Otworzyłem usta, ale zaraz je zamknąłem. Wiedziałem, że ma rację, że zidentyfikował słaby punkt opowieści Jarlego.

– To rzeczywiście słaby punkt – mruknąłem wreszcie.

– Ziejąca dziura – poprawił prokurator. – I ty dobrze o tym wiesz.

W końcu do zabójstw często dochodzi z chciwości w takiej czy innej formie. Obawiam się, że oznacza to, iż jednak mamy sprawę. Zobaczymy jeszcze, co powie mój szef, ale raczej spotkamy się w sądzie.

Później tego samego popołudnia szedłem z Peterem przez wielki, otwarty plac w centrum miasta. Latem roiło się tam od ludzi, jednak teraz, w promieniach bladego, anemicznego, zimowego słońca i w lodowatym wietrze z północy, plac był tylko miejscem, przez które przechodziło się spiesznym krokiem, smaganą wichrem równiną, którą przecinało się w drodze ku schronieniu i ciepłu.

Weszliśmy w ciasną uliczkę, na schody i znaleźliśmy schronienie przed kominkiem w lokalu, w którym wystarczyło, że pokazałem barmanowi dwa palce, aby zmaterializowały się przede mną dwa piwa.

– Ostatnio nieczęsto zdarza mi się widywać panów razem na mieście – stwierdził barman, a wtedy nagle unieśliśmy na niego wzrok, gdyż zdaliśmy sobie sprawę, że to prawda, że w pewnym momencie przestaliśmy wychodzić razem się napić, porozmawiać, przywitać się ze wspólnymi znajomymi, prowadzić życie towarzyskie. Teraz łączyła nas jedynie praca.

– To twoja wina – powiedziałem do Petera. – To ty nigdy nie chcesz ze mną wychodzić, wolisz iść do domu.

Wzruszył ramionami.

– No i co z tego? Dorosłem, Mikael. Mam żonę i dzieci, prowadzę firmę. Nie mogę ciągle biegać po mieście.

– Boże drogi, Peter. Jak bardzo można dorosnąć? Nie brakuje ci tego?

Pokręcił głową.

– Nie, Mikael, wcale. Nie brakuje mi gadania o pierdołach

i flirtowania z panienkami, które w sumie mi się nie podobają. Nie brakuje mi zataczania się do domu bladym świtem ani przeżyć z pogranicza śmierci następnego dnia. – Nachylił się ku mnie. – Dorosłe życie bardzo mi odpowiada. Kocham żonę i dzieci. Niestety prowadzę życie, w którym mam dla nich o wiele za mało czasu. Nie chcę dodatkowo go marnować na łażenie po pijaku po mieście. Dorosłem, Mikael. A ty się tego boisz.

Spojrzałem na niego, na rzadkie włosy i chudą szyję z wyraźną grdyką, niezgrabną, kościstą sylwetkę pełną kolan i łokci. Peter nie jest przystojny, ale za to nieustannie kipi niecierpliwą energią i trzeźwą inteligencją, która mimo wszystko czyni go atrakcyjnym.

– Więc wolisz, żebym siedział w pustym domu i był tam dorosły?  
– zapytałem, a on drgnął.

– Nie, Boże, nie to miałem na myśli – wymamrotał. – Chodziło mi raczej...

– Na zdrowie, Peter.

Wypił spory łyk, westchnął i wytarł usta.

– Okej. Trochę mi tego brakuje. Czasami.

Uśmiechnąłem się.

– To, co powiedziałem... – zaczął niezręcznie. – Nie chciałem...  
Kari. Wiem, że ci jej brakuje.

Machnąłem ręką, chcąc zbyć jego słowa jakimś żartem, ale nagle usłyszałem własny głos:

– Tak, bardzo mi jej brakuje.

W tej samej chwili zrozumiałem, że to prawda, ścisnęło mnie w piersi i gardle, więc musiałem ukryć to za kolejnym łykiem, schować swoje uczucia za pianą i złotym piwem, zanim na powrót spojrzałem Peterowi w oczy.

Nieco później, gdy opowiedziałem mu już o rozmowie

z prokuratorem, zapytał:

– Co takiego dręczy cię w związku z tą rozmową, Mikael? W czym problem? Okej, a więc nie chce wypuścić twojego klienta. Okej, nie zgadzacie się co do dowodów. W porządku, będzie proces. Tak już jest, z tego żyjesz. W czym problem?

– Problem w tym, że sam o tym nie pomyślałem.

– To znaczy?

– O pieniądzach. Zarejestrowałem zabranie pieniędzy z miejsca zbrodni jako część zeznania Jarlego, ale nie przywiązałem do tego większej wagi. To był szczegół. Z jakiegoś powodu nie dotarło do mnie, że ten... szczegół... można widzieć zupełnie inaczej. Że sugeruje on zabójstwo na tle rabunkowym. Po prostu to zignorowałem.

– Jak myślisz, dlaczego?

– Jak to dlaczego?

– Myślisz, że jesteś głupszy niż kiedyś? Że twoje zdolności umysłowe z jakiejś przyczyny zmniejszyły się przez ostatni rok?

– Nie, jasne, że nie.

Upił duży łyk.

– To tylko zmęczenie, Mikael. Wyczerpanie. Nie dopuszczasz myśli o następnej dużej sprawie o zabójstwo. Dlatego ignorujesz wszystko, co ci nie odpowiada. Twoja podświadomość podkolorowuje nieco rzeczywistość w nadziei, że nie będziesz musiał stawić jej czoła, bo nie masz na to sił. – Kolejny łyk. – Jesteś po prostu wykończony, Mikael, nic więcej.

– Tak sądzisz?

– Aha. – Skinął głową. – Albo niegdyś wysoko przeceniano twoje umiejętności jako obrońcy. Taka możliwość też istnieje.

Zaśmiał się głośno i serdecznie. Mój uśmiech był blady i trochę

wymuszony.

- Nie idziesz do domu, do Unn?
- Jeszcze tylko po jednym, Mikael. Twoja kolejka.

Później, kiedy już prawie zamykali, kupiliśmy sobie po kebabie i poplamiliśmy sosem krawaty oraz białe koszule. Peter miał teorię, że opłaci się nam przejść przez wzgórze uniwersyteckie, żeby złapać taksówkę jadącą do centrum. Poszedłem z nim, chociaż nadkładałem w ten sposób drogi. Skręciliśmy w bramę prowadzącą do ogrodu botanicznego, między cienie i drzewa, i przystanęliśmy na moment, by – chwając się lekko – wysikać się na klomb. Jacyś młodzi ludzie wydawali z siebie nieartykułowane ryki w dalszej części ulicy.

Przeszliśmy ścieżką pod muzeum, przez nieduży tunel. Po drugiej stronie roztaczał się widok na ramiona fiordu obejmujące centrum miasta oraz most łączący śródmieście ze starymi dzielnicami robotniczymi. Staliśmy tam, patrząc na ruch uliczny płynący przed nami jak czteropasmowe, czerwono-żółte rzeki, zmienny, pulsujący niespokojnym rytmem. Nocne niebo było ciemne i usiane odległymi gwiazdami.

- Powinieneś spróbować ją odzyskać – powiedział Peter.
- Kari? Chyba nie da rady.
- Może i nie. Ale nawet nie spróbowałeś, prawda? Odeszła, a ty to zaakceptowałeś, tak jak akceptuje się trzęsienie ziemi lub powódź. Jak nieuniknioną karę od Boga.
- Nie wierzę w Boga.
- Dobra, nie o to chodzi. Odeszła, a ty się poddałeś.
- Nie mogłem nic zrobić, Peter.
- Może i racja, skąd mam wiedzieć? Ale wiesz, dlaczego jesteś takim zajebistym obrońcą?



– Dlaczego?

– Bo nigdy się nie poddajesz. Jeżeli wierzysz w jakąś sprawę, to nigdy się nie poddajesz, bez względu na wszystko. Trwasz na posterunku aż do samego końca.

Przez chwilę staliśmy obok siebie w milczeniu.

– Myślisz, że mogę ją odzyskać?

Westchnął.

– Nie wiem, Mikael. Nie wiem. Może. Nie jest szczęśliwa, tego jestem pewien. Mówię tylko, że nawet nie spróbowałeś. Po prostu dałeś za wygraną.

Zszedł w dół wzgórza, żeby złapać taksówkę, ja zaś zawróciłem w stronę domu. Spacerowałem cichymi ulicami, a w uszach dźwięczały mi własne kroki. Próbowałem nie myśleć, odnaleźć swój fatalistyczny spokój, mentalną równowagę, dzięki której jakoś się trzymałem przez ostatnie miesiące, ale nie potrafiłem.

Wciąż powracały do mnie słowa Petera o tym, że mogę odzyskać Kari. Powracały, jakby stanowiły stały punkt, wokół którego wszystko się kręci. Słyszałem je, nawet kiedy udawało mi się o tym nie myśleć. Idea wydała mi się tak świeża i zaskakująca jak diament nagle znaleziony w górze nawozu. Tak samo zdumiewająca, błyszcząca, jasna i czysta.

## Rozdział 26

Spojrzałem na dłonie Jarlego. Ciągłe się poruszały. Zamykały się, otwierały, pocierały o siebie, drapały stary strup. Silne, szerokie, niecierpliwe dłonie. Poza tym chłopak wydawał się spokojny i pozornie opanowany, lecz jego dłonie opowiadały zupełnie inną historię. Nagle zacisnęły się tak mocno, że aż zbieleły mu kłykcie.

– Więc powiedzenie prawdy nic nie pomogło?

– Tylko to mogłeś zrobić, Jarle. Staliśmy pod ścianą. Mieli dowody, a twoje zeznania były pełne dziur.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale. Nie miałeś wyboru. Zeznanie prawdy to niekoniecznie magiczna formuła. Nigdy nie obiecywałem, że cię wypuszczą lub nie będą mieć podejrzeń, prawda?

– Powiedziałeś, że...

– Że twoja sprawa będzie wyglądała lepiej, jeżeli wyznasz prawdę. I tak też jest. Problem w tym, że oczekujesz cudów. – Westchnąłem, po czym usiadłem na krześle przed nim. – Nie słuchasz, Jarle. Skupiasz się na wybranej części tego, co mówię, i zamiast się nad tym zastanowić, dajesz się ponieść emocjom. Musisz zacząć myśleć.

Nie spodobało mu się to. Teraz to on wstał, zaczął chodzić tam i z powrotem po ciasnym pokoju odwiedzin, bez wytchnienia, niespokojnie. Z czasem się na nim poznałem, wiedziałem, że ma

ochotę wrzeszczeć, bić i niszczyć, by pozbyć się napięcia, które się w nim nagromadziło. W ten sposób zwykł sobie radzić z problemami i przeciwnościami losu – za pomocą agresji i wściekłości – ale czuł, że nie ma na kogo się wściekać, jedynie na system, bezosobowy, nieruchomy, niezmienny. Równie dobrze mógłby się złościć na Boga. Jediną osobą, na którą mógł wylać swoją frustrację, byłem ja.

Milczał, ale zorientowałem się, że przyjął moje słowa do wiadomości.

– Złożyłeś zeznanie, które stanowi dla mnie punkt wyjścia do dalszej pracy. Sprawa wygląda nie najgorzej, ale musisz się pogodzić z tym, że zostaniesz w areszcie jeszcze kilka miesięcy, dopóki nie pójdziemy do sądu.

Zatrzymał się, a wtedy popatrzyłem mu prosto w oczy.

– Tak już jest, Jarle, musisz to zaakceptować. Przekleństwa i krzyki nic tu nie dadzą. Pomóc może nam tylko praca.

Usiadł ciężko na krześle.

– Nie sądziłem, że sprawy zajdą tak daleko. To jakiś absurd.

– Wiem. Ale tak już jest.

– Nie zrobiłem tego.

– Wiem. Zadbamy o to, żeby cię uniewinniono, dobrze?

Uśmiechnąłem się do niego i po chwili odpowiedział mi bladym uśmiechem.

Rozejrzałem się, ponownie sprawdziłem adres – zgadzał się. Nie tego się spodziewałem. Dzielnica, przez którą jechaliśmy, miała reputację jednej z najgorszych w mieście. Była niewyczerpanym źródłem podopiecznych służb społecznych oraz trybików w maszynie prawa karnego. Jednak tego dnia, w słonecznym świetle, miejsce robiło naprawdę przyjemne wrażenie. Niskie bloki

otoczone zielenią, nieskażona natura między osiedlami, szare skaliste pagórki i kępy sosen.

Dopiero gdy zaparkowałem i wysiadłem z samochodu, ujrzałem drobne, lecz wymowne znaki zapuszczenia. Plac zabaw, który z daleka wyglądał przyjemnie, z bliska straszył zepsutymi, zniszczonymi sprzętami, w piaskownicy nie było piasku. Na klombie leżały szczątki dziecięcego rowerka. Trzech chłopaków paliło, siedząc na płocie. Spojrzeli na mnie obojętnie, ani wrogo, ani czujnie, jakby zastanawiali się, z jakiego urzędu jestem.

Na klatce schodowej znaki stały się jeszcze wyraźniejsze. Śmieci i niedopałki papierosów pod schodami, graffiti na ścianach i słaba, lecz niedająca się z niczym pomylić woń moczu. Jedna ze skrzynek na listy została otwarta siłą, a plamy rdzy na zniszczonych drzwiczkach sugerowały, że stało się to dawno temu.

Dzwonek rozległ się echem w mieszkaniu, ostrym, mocnym brzękiem, wyraźnie słyszalnym na klatce. Oczekałem moment, zadzwoniłem raz jeszcze, jednak bez rezultatu. Z jakiegoś powodu byłem pewien, że Katrine Iversen jest w domu. Wyobraziłem ją sobie w łóżku, z poduszką na głowie, desperacko próbującą zagłuszyć irytujący, nachalny dźwięk. Niecierpliwie, raz po raz wciskałem przycisk.

Kroki na schodach były powolne i przez chwilę myślałem, że schodzi do mnie jakaś emerytka, jednak gdy tylko mi się ukazała, rozpoznałem kobietę o płomiennorudych włosach i ostrych, wyraźnych rysach, przyjaciółkę Katrine, której daleko było do wieku emerytalnego. Zatrzymała się na mój widok.

– Pan do Katrine?

Skinąłem głową.

– Tak, ale nie wiem, czy jest w domu. Nie otwiera. – Zrobiłem

krok w jej stronę, wyciągnąłem rękę. – Mikael Brenne, adwokat Jarlego. Widziałem panią na pogrzebie.

– Tak, wiem, kim pan jest. – Podała mi suchą, ciepłą dłoń o wąskich palcach. – Elsa Støle. Sąsiadka. – Uniosła palec z paznokciem o odpryśniętym lakierze. – Mieszkam tam. Chyba jest w domu, tylko trudno ją dobudzić. Łatwo się ostatnio męczy. Bierze tabletki nasenne, które całkiem zwalają ją z nóg.

– Rozumiem.

Staliśmy tak oboje, jakby na coś czekając. Ona zdawała się wahać, aż wreszcie podjęła decyzję.

– Zapraszam do mnie, a ja tymczasem zobaczę, czy uda mi się ją obudzić. Mam klucz.

W mieszkaniu było ciepło i duszno, w powietrzu unosił się stary papierosowy dym. Panował nieład, ale Elsa Støle się tym nie przejmowała. Z gracją przeszła ponad stosami ubrań i wskazała mi miejsce.

– Niech pan siada. Kawy?

Zgodziłem się, przeniosłem stertę starych gazet z krzesła na podłogę, podczas gdy ona zrzuciła płaszcz prosto na stół w jadalni.

Teraz mogłem jej się lepiej przyjrzeć i zobaczyłem, że jest starsza, niż początkowo sądziłem. Myślałem, że jest sporo młodsza od Katrine, ale myliłem się, po prostu nieźle się trzymała – jedna z tych szczupłych, niemal chłopięco wyglądających kobiet, które dobrze znoszą upływ lat. Miała na sobie podniszczone dżinsy i luźny zielony podkoszulek. Jej piersi były małe, a biodra wąskie. Jedynie kilka zmarszczek wokół ust i w kącikach oczu zdradzało jej wiek.

– Mam tylko rozpuszczalną – powiedziała i usiadła na kanapie.

– Może być rozpuszczalna. Też taką piję.

– To chyba mieszka pan sam – stwierdziła. – Tylko my, samotni, pijemy rozpuszczalną. Małżeństwa i mieszkające razem pary używają zaparzaczy. – Wykrzywiła usta, mówiąc to, jakby picie kawy z zaparzacza było najnudniejszą i najbardziej mieszczańską rzeczą na świecie.

– Zaparzacze też mam – wyznałem. – Tylko nie używam go już tak często.

Uśmiechnęła się, odchylając się ku oparciu kanapy, założyła nogę na podłokietnik, zapaliła papierosa i głęboko się zaciągnęła. Odetchnęła i ściągnęła usta, z których jasny dym wypływał jak słup pary. Pozostawiony na białym filtrze papierosa ślad pomadki był czerwony jak krew.

– Mentolowe – wyjaśniła. – Palę pięćdziesiąt dziennie i sama się oszukuję, że tak będzie zdrowiej. – Ponownie się zaciągnęła, głęboko i zmysłowo. – Słabe są, ale już się przyzwyczaiłam i nie zamienię ich na nic innego.

Było w niej coś – w jej bezpośrednim spojrzeniu, w sposobie, w jaki siedziała, we wszystkim, co mówiła i robiła – dzięki czemu odniosłem wrażenie, iż mógłbym wstać, podejść i jej dotknąć, i nic by się nie stało, tylko dalej patrzyłaby na mnie tym świadomym, taksującym wzrokiem. Musiałem spuścić oczy, chwycić filiżankę i podmuchać na parującą powierzchnię kawy, aby skryć nagłą żądzę.

– Katrine Iversen – powiedziałem. – Czy mogłaby pani...

– Tak – odparła. – Zejdę sprawdzić, czy jest w domu.

Mówiła całkiem neutralnym tonem, lecz jej spojrzenie zdradzało, że dokładnie wie, dokąd zbłądziły moje myśli, i że w ogóle jej to nie przeszkadza.

Długo to trwało. Kiedy wreszcie wróciła, ciągnęła za sobą Katrine

Iversen, która, pomimo odważnej próby ogarnięcia się i umalowania twarzy, wyglądała, jakby od naszego ostatniego spotkania przybyło jej dziesięć lat. Nieudolnie wykonany makijaż nie pomógł. Podała mi rękę, mamrocząc coś pod nosem.

Chwyciłem dłoń Katrine, przedstawiłem się i wydało mi się, że czuję drżenie jej nerwów, jakby pijackie drgawki przenikały prosto do mojej ręki.

– Przepraszam za kłopot – odezwałem się. – Ale musimy chwilę porozmawiać.

Znów wymamrotała coś niedosłyszalnego, co musiało chyba oznaczać zgodę.

– Może zejdziemy do pani, pani Iversen – ciągnąłem – żeby porozmawiać na osobności?

– Okej – zgodziła się. – Jeżeli tak pan woli.

Elsa Støle odprowadziła nas do korytarza. Żegnając się, stała w półmroku dość blisko mnie i przytrzymała moją dłoń nieco dłużej, niż to było konieczne, a kiedy podziękowałem za pomoc, rzekła:

– Może jeszcze się spotkamy, Mikaelu Brenne. Chciałabym tego. Zastanawiałem się, czy właśnie otrzymałem zaproszenie.

## Rozdział 27

– Niech pan wejdzie. Jest tu trochę... nie posprzątałam, ale...

Rzeczywiście. Nie sprzątała chyba od dość dawna. Na komodzie w przedpokoju leżał wielki stos nieotwartej poczty. Na podłodze piętrzyły się buty. Poszedłem za nią do salonu. Tam wszędzie walały się ubrania, na krzesłach i na kanapie, nawet na stole. Była to głównie damska odzież, sukienki, spodnie, podkoszulki i bielizna, ale także ubrania należące do co najmniej jednego młodego mężczyzny, bluzy z kapturem i dżinsy. Pomiedzy stertami rzeczy stały puszki po piwie, brudne filiżanki po kawie i przepełnione popielniczki. W pokoju panował kwaśny zaduch.

– Proszę spocząć... – zaczęła, ale przerwała, żeby uprzątnąć ubrania z krzesel, zrzucić je na podłogę.

Stałem, przyglądając się jej. Była chyba w moim wieku, ale nie dało się stwierdzić tego z pewnością, gdyż miała jedną z tych twarzy, na których papierosy, alkohol, nieprzespane noce i liczni mężczyźni zostawili wyraźne ślady. Kiedyś musiała być atrakcyjna, w zasadzie nadal była, jednak kontury jej ciała zatarły się z braku ruchu, miała też w sobie, w wyrazie ust, coś ostrego, niemal brutalnego.

– O, proszę – powiedziała. – Proszę bardzo, niech pan siada. Może przynieść coś do picia?

Lekko się zatoczyła i nagle zdałem sobie sprawę, że jest pijana.



– Nie, dziękuję, pani Iversen.

– Katrine. Możesz mi mówić Katrine.

– Okej. Usiądź, Katrine. Nic mi nie trzeba. Jak się czujesz?

Siedziała z łokciami wspartymi na kolanach, wypuszczając dym ustami, wpatrzona przed siebie. Jej wzrok nie napotkał mojego.

– Jakoś leci. Elsa mi pomaga.

– Masz lekarza, który...

– Mam to, czego potrzebuję – przerwała mi. – O czym chciałeś rozmawiać?

– O sprawie. O twoich synach.

– Moich synach?

– Tak. Jeżeli dasz radę. Muszę dowiedzieć się co nieco o obydwu, jeśli mam pomóc Jarlemu. Czy mogłabyś najpierw opowiedzieć coś o nim?

– O Jarlem?

– Tak.

– On tego nie zrobił.

– Tak, ale nie to chciałem...

– Jak oni mogą w ogóle myśleć, że on zabił brata? Nie są zbyt bystry.

Spojrzałem na nią. Miała zaciętą minę, na jej policzkach wykwitły intensywne czerwone plamy, ale wzrok nadal wbijała w punkt gdzieś z boku nade mną, który tylko ona sama widziała.

– Więc myślisz, że on nie...

– Oszukali mnie.

– Kto?

– Policja. Gdybym wiedziała, jak to się skończy, nigdy nie powiedziałabym im, o której Jarle wrócił wtedy do domu. Oszukali mnie.

Westchnąłem.

– To nie ma znaczenia, Katrine. Kłamstwo w żadnym razie by mu nie pomogło...

– Same oślizgłe wieprze.

Zaprzestałem argumentacji, a zamiast tego spróbowałem z innej strony.

– Co możesz mi powiedzieć o Jarlem i Erlingu? Jakie panowały między nimi relacje?

Długo się namyślała.

– Dobrze – stwierdziła w końcu. – Całkiem normalne. Jak to na ogół między braćmi.

– Można trochę konkretniej?

Zwróciła ku mnie pustą, nierozumiejącą twarz podobną do białej ściany.

– To znaczy?

– Czy... Jarle kochał brata?

– Był... – Na chwilę się zacięła. – Erling był jego bratem. Jasne, że go kochał – mruknęła, jakby całe jej doświadczenie nie potwierdzało, że relacje między bliskimi krewnymi bywają nadspodziewanie trudne. Nie znałem jej, a jednak byłem pewien, że Katrine Iversen nie miała łatwo w życiu, że wie coś o tym, jak trudna może być miłość w rodzinie, jak krótka droga dzieli ekstremalne uczucia, miłość i nienawiść. Mimo to o swoich synach mówiła same banały, które w ogóle mi nie pomagały. Albo nie chciała mi opowiedzieć o prawdziwych stosunkach w swojej małej rodzinie, albo nie potrafiła.

Spoglądałem na jej napuchniętą, rozmytą twarz. Miała bezbarwne, pozbawione wyrazu spojrzenie i pomyślałem, że należy do kobiet, które nie rozumieją swojego otoczenia, nawet własnych

dzieci. Katrine Iversen była jedną z osób, którym życie po prostu się przydarza.

– Zastanów się nad tym, Katrine, i zadzwoń, jeśli wpadniesz na coś, co może mi się przydać.

Pochyliła się, nagle chwyciła moją rękę i odszukała wzrokiem moje oczy, z odrobiną desperacji, jakby chciała wypatrzeć w nich odpowiedzi na niezadane jeszcze pytania.

– Oczywiście go zwolnią?

– Jarlego? Mamy... pewne szanse. Nie jest beznadziejnie. Ale nie mogę zagwarantować uniewinnienia.

Prychnęła pogardliwie, nagle ożywiona. Wstała.

– Co za bzdury! Mówię przecież, że on tego nie zrobił. Jasne, że go zwolnią. Może powinnam znaleźć innego adwokata, który nie będzie tak... negatywnie nastawiony.

– To Jarle wybiera sobie adwokata – powiedziałem sztywno. – Jest pełnoletni. Ma prawo do zmiany obrońcy. A ty masz prawo zaproponować mu taką zmianę.

– Mogę zadzwonić do Carla!

– Carla Jensena? Skąd go znasz?

– Był moim adwokatem, kiedy Służba Ochrony Praw Dziecka chciała odebrać mi Erlinga. I on mi pomógł! Załatwiliśmy ich!

– Zadzwoń więc, jeśli sądzisz...

Ale krótka chwila energii minęła, wzrok Katrine przygasł. Opadła na krzesło i lekko machnęła ręką.

– Nie, nie, na pewno tak jest dobrze. Jesteś w końcu szanowanym obrońcą...

Zanim wyszedłem, poprosiłem ją o informację, gdzie mieszka Margaret, dziewczyna Erlinga.

– Dwa bloki dalej – wymamrotała. – Nie ma sensu jechać.

Możesz się tam przejść.

Minąłem ten sam zniszczony rower i zapuszczony plac zabaw. Stara łódka do zabawy, kiedyś pomalowana na jaskrawe kolory, teraz była przegniła i pełna odprysków, a huśtawka brązowieła od rdzy. Brakowało tu dzieci, śmiechu i płaczu, był jedynie rozkład i zepsute zabawki, niczym na wpół wymazane wspomnienia szczęśliwszych czasów.

Zadzwoiła moja komórka. Młody głos mówiący wschodnim dialektem przywitał się w tak prędko i entuzjastyczny sposób, że musiałem poprosić jego posiadaczkę o powtórzenie. Zrobiła to i teraz zrozumiałem od razu.

– Dyskusja? W telewizji?

– Tak. W lokalnej telewizji. W następnym wtorek, za tydzień. Na pewno zauważył pan, że ostatnio bardzo stawia się na lokalną telewizję. Mamy naprawdę sporą widownię.

Zauważyłem. Miejscowa stacja należała do dużej lokalnej gazety, która dzięki wielkim i częstym reklamom zadbała o to, aby każdy dowiedział się o ich zaangażowaniu w promocję telewizji. Zatrudnili nawet znanego prezentera z ogólnokrajowej stacji. Był jednym z niewielu prezenterów, których darzyłem sympatią, dlatego nie rozłączyłem się od razu.

– Więc o co chodzi?

– O narkomanów z parku. Jak może się pan zorientował, ostatnimi czasy lokalni politycy coraz częściej sugerują oczyszczenie parku z narkomanów. Pomyśleliśmy, że pan, jako obrońca sądowy, może się z tym do końca nie zgadzać. Albo że przynajmniej ma pan... bardziej zróżnicowany pogląd na tę sprawę.

– Mam.

– Świetnie. To jesteśmy umówieni.

- Chwileczkę. Spokojnie. To z kim mam się spotkać?
- Z Jesperem Juulem. To mieszczkański polityk z...
- Wiem, kto to. – Jesper Juul, przyjaciel Carla Jensena.

Pamiętałem, że polubiłem go, kiedy się poznaliśmy.

– W porządku? Możemy na pana liczyć? – Głos brzmiał nieco ostrożniej.

- Jak długo ma to trwać?
- Niedługo. Jakies dziesięć minut.
- Okej. Przyjdę.
- Świetnie. Znakomicie.

## Rozdział 28

Pamiętałem ojca Margaret z pogrzebu, jego ciężkie ciało, gęste czarne włosy, ale wtedy był trzeźwy i miał na sobie garnitur, a teraz – brudną bluzę z reklamą piwa. W dodatku stał tak niepewnie, że musiał oprzeć się o framugę.

– Już rozmawiała z policją – burknął. – Dlaczego miałyby rozmawiać też z panem?

– Nie musi, jeżeli nie chce – odparłem. – Ale chciałbym... – Zaczął już kręcić głową, więc dodałem: – Mogę oczywiście poprosić policję, żeby ją przyprowadziła, jeśli okaże się to konieczne...

To było kłamstwo, ale ten człowiek przywykł do tego, iż instytucje publiczne nadużywają swojej władzy. Dlatego nie zadawał więcej pytań, popatrzył na mnie z rezygnacją, otworzył drzwi, odsunął się na bok i rzekł:

– Skoro trzeba... Ale ona nie jest sobą, odkąd...

– Nie będę jej męczył bardziej niż to konieczne – obiecałem, wkraczając do ciemnego korytarza.

Była w swoim pokoju. Z wieży płynął ciężki rock, grał telewizor. Kiedy wszedłem, jej twarz nie zdradziła zaskoczenia ani ciekawości, jakby dziewczyna jedynie obojętnie odnotowała kolejne zakłócenie ze świata dorosłych. Wnętrze było ciasne i ciemne, okno zasłonięte. Jedyne źródło światła stanowił ogromny ekran LCD

zasłaniający niemal całą ścianę. Obrazy migające tak szybko, że z trudem postrzegało się je jako całość, wywołały u mnie uczucie klaustrofobicznego niepokoju.

– Możesz to ściszyć?! – zawołałem.

Wywróciła oczami, ale wyciągnęła rękę w stronę nowiutkiego sprzętu audio w rogu i zrobiła, o co poprosiłem. Rozejrzałem się w poszukiwaniu miejsca, w którym mógłbym usiąść, lecz jedyne krzesło pozostawało niewidoczne pod stertą ubrań, więc stałem dalej pośrodku pokoju.

– Nazywam się Mikael Brenne – przedstawiłem się – i jestem...

– Wiem, kim pan jest. Adwokatem Jarlego.

– Tak. Możemy chwilę porozmawiać?

Kolejne zrezygnowane spojrzenie.

– Pewnie musimy.

Czułem się, jakbym brodził w ruchomych piaskach. Odpowiadała półsłówkami, często wywracając oczami i ciężko wzdychając. Nie wiedziała, kto to zrobił, i nie miała żadnej teorii na temat tego, co się stało. Nie wiedziała, czy Jarle zabił Erlinga.

– Może. Był na niego wściekły – powiedziała.

– Dlaczego?

– Chodziło o jakieś tam... o sprawę, w której Erling był oskarżony. O coś w związku z nią.

– Okej. Coś jeszcze?

– Nieee...

– Czy uważał, że Erling za dużo bierze? Był zły z tego powodu?

– Może. Nie wiem.

– Taak. – Zastanowiłem się chwilę. – Czy możesz mi powiedzieć coś jeszcze?

– Co? – W głębi jej oczu ujrzałem nieokreślony błysk.

– Nie wiem. Czy wydarzyło się coś odbiegającego od normy albo z czym się zmagał Erling. Może miał jakieś problemy, ktoś chciał go dorwać? Cokolwiek.

– Nie. Nic z tych rzeczy.

Coś zobaczyłem. Zaraz zniknęło, ale byłem pewien, że coś zobaczyłem.

– Ukrywasz coś przede mną, Margaret? – Znow ten sam błysk, tym razem wyraźniejszy.

– Nie.

– Chyba o czymś mi nie powiedziałaś.

– Nie.

– Margaret...

– Niech pan już sobie idzie.

Jej ojciec nadal stał w korytarzu, kiedy wyszedłem z pokoju.

– Dobrze poszło? – chciał wiedzieć.

– W miarę. Nie wyciągnąłem z niej za dużo.

– Aha.

– Czy ona... Z tego, co wiem, przez pewien czas dość intensywnie narkotyzowała się z Erlingiem. Czy Margaret... Myśli pan, że ona kontroluje przyjmowane przez siebie ilości?

– Dlaczego pan pyta? – Jego młoda twarz pociemniała z podejrzliwości.

Wzruszyłem ramionami.

– Pomyślałem tylko, że po tym, co przeszła, po morderstwie chłopaka, musi jej być dość ciężko. Że może potrzebuje pomocy. Gdyby była moją córką, obawiałbym się, że będzie ćpać, aby jakoś poradzić sobie z tą sytuacją.

– Ale nie jest pańską córką – uciał, odwrócił się do mnie plecami, po czym poszedł do salonu. Do telewizora, kanapy i stołu pełnego



pustych butelek po piwie, na wpół opróżnionych torebek chipsów i zapełnionych popielniczek.

Zaczął padać równy, szary, rześisty deszcz. Przytrzymałem płaszcz przy szyi, pędząc do auta z pochyloną głową. Przebiegłem skrótem za zielonym kontenerem i zderzyłem się z ciemną postacią nadchodzącą z naprzeciwka, młodym chłopakiem osłaniającym głowę kurtką, tak że prawie nic nie widział.

Wykrzyknął coś, jakby w wyniku kolizji uszło z niego powietrze, stracił równowagę i runął na kontener, a teraz stał z wykrzywioną twarzą, masując ramię.

– Co, kurwa...?

– Patrz, gdzie idziesz! – odezwałem się poirytowany. Nagle go rozpoznałem – kolczyki, wąską, bladą twarz o policzkach pokrytych bliznami po starych pryszczach. – Hej! – zacząłem i wycelowałem w niego palec. – Widziałem cię na pogrzebie Erlinga. Jesteś jego kolegą? Czy mógłbyś mi powiedzieć...

– Spierdalaj – burknął chłopak, po czym śmignął koło mnie i pobiegł dalej.

Przez chwilę go wypatrywałem, ale w końcu wzruszyłem ramionami i poszedłem do auta.

Wieczorem zadzwoniła Kirsten. W jej głosie słychać było wahanie, lekkie wyczekiwanie, kiedy się przedstawiała, jakby bała się, że rzucę słuchawką.

– Kirsten – powiedziałem. – Długo się nie odzywałaś. Jak się czujesz?

– Jakoś sobie radzę. Nie jesteś na mnie zły?

– Zły? Skądże znowu. Myślałem, że to ty jesteś na mnie zła.

Krótko się zaśmiała.

– Nie. A może trochę. Ale w sumie to nie na ciebie, Mikael. Tylko na... wszystko, co się stało... i na ten list...

– Tak. Tak, rozumiem. Oczywiście, że rozumiem. Już dawno powinienem był zadzwonić.

Chwilę gadaliśmy o tym i owym. Zapytała o moje samopoczucie i sprawę Jarlego, o której przeczytała w prasie. Zapewniłem ją, że i ze mną, i ze sprawą wszystko w porządku.

– Posłuchaj, Mikael – zaczęła. – Pewnie powinnam zapytać kogoś innego, ty już zrobiłeś dla mnie bardzo dużo, ale tak myślę, czy mogłabym jeszcze czymś zawrócić ci głowę...

– Zawracaj.

– Chodzi o jego portfolio, wszystkie sprawy, całą działalność.

– Tak?

– Carlo zaproponował, że je ode mnie kupi. Nie wiem zbyt wiele o działalności kancelarii, o tym, co ile może być warte. Myślisz, że mógłbyś mi z tym nieco pomóc? Oczywiście ci zapłacę.

– Jasne, że ci pomogę, Kirsten. I jasne, że nic za to nie wezmę.

Kłóciliśmy się o to chwilę, aż wreszcie ustaliliśmy niską stawkę godzinową. Uzgodniliśmy, że następnego dnia zadzwonię do Carla. Nie spytałem jej o list, o to, czy zmieniła zdanie, czy pogodziła się z jego treścią. Uznałem, że najprawdopodobniej udało jej się wyprzec jego istnienie ze świadomości.

## Rozdział 29

Synne uśmiechnęła się, gdy przywitałem ją po powrocie ze zwolnienia, jednak wydała mi się chuda i wymęczona, jakby w ciągu ostatniego miesiąca postarzała się o kilka miesięcy.

– Gotowa na nowe wyzwania? – zapytałem, a ona skinęła głową.

– Chyba tak. A co z tobą? Widziałam w gazecie, co się stało po... śmierci Erlinga.

– Jeżeli chcesz usłyszeć najświeższe wieści, musisz poczekać do popołudnia. Mam dzisiaj mnóstwo spotkań.

– To może obiad?

– Włoska knajpa?

– Okej. O piątej.

Kątem oka zauważyłem pierwszego tego rana czekającego na mnie klienta. Machał niecierpliwie stopą, raz po raz zerkał na zegarek. Byłem już kilka minut spóźniony.

– Umowa stoi – powiedziałem i poszedłem rozpocząć dzień pracy.

Piliśmy razem wino, co do tej pory nam się nie zdarzało. Na ogół zadowalaliśmy się czymś bezalkoholowym lub wodą, ale tego dnia nalegałem.

– Musimy uczcić twój powrót – wyjaśniłem.

Po skończeniu posiłku uniosłem kieliszek.

– Brakowało mi cię.

– Bo musiałeś sam wykonywać najczarniejszą robotę – odparła, ale widziałem, że się cieszy.

Uśmiechnąłem się.

– Bynajmniej. Mam od tego innych aplikantów, młodych, zdolnych ludzi, którzy bez marudzenia robią, o co się ich poprosi.

Zaśmiała się.

– Innymi słowy, nie potrafią sami myśleć. – Nagle spoważniała. – Opowiedz mi o sprawie. Czytałam, że Jarlego aresztowano. Wydostaniesz go?

– Czy go wydostanę? – Spojrzałem na nią zdumiony. – To nie takie proste, Synne.

Zrelacjonowałem wydarzenia, poinformowałem ją o dowodach. Popijała wino, słuchając uważnie, i ani razu mi nie przerwała. Kiedy skończyłem, siedziała cicho, obracając kieliszek w palcach, przyglądając się mu, jak gdyby w połyskliwym czerwonym płynie kryła się odpowiedź na jej wszystkie zmartwienia.

– To co uważasz? – zapytałem po chwili. – Jarle ma problem, prawda?

– A ty co myślisz, Mikael? Myślisz, że to zrobił?

– Jestem jego obrońcą. Nie mam zdania w kwestii winy. Nie obchodzi mnie to.

W końcu podniosła wzrok, spojrzała mi w oczy.

– Nie serwuj mi tych pierdół, Mikael. To nie wywiad ani żadne przyjęcie. To ja, Synne. Co myślisz? Jest winny?

Westchnąłem.

– Synne... Wiem, że go znasz... znałaś... ale dowody wskazują na jego winę. I... i chyba byłby w stanie to zrobić, to znaczy zabić. Widziałem go w akcji, widziałem, do czego jest zdolny. Trochę mnie to przeraża. To agresywny człowiek. Więc jeżeli musiałbym wybrać,

powiedziałbym, że jest winny. Ale nie mam pewności.

Znów zamilkła, tym razem na tak długo, że się zaniepokoiłem.

– Posłuchaj, Synne, sama zapytałaś, mówię tylko, co...

– Tak, rozumiem, Mikael, nie jestem zła. Ale się mylisz. I prokurator też się myli.

– Nie możesz tego wiedzieć, Synne. Ledwo go widywałaś, odkąd dorósł. Ludzie się zmieniają. A Jarle Iversen nie miał lekkiego dzieciństwa.

– Nie wątpię, że byłby w stanie zabić, na pewno masz rację. Ale nie Erlinga. Nigdy, przenigdy nie zabiłby brata.

– Skąd...

– Po prostu wiem. Zostało jeszcze wino? – Nadstawiła kieliszek.

Nalałem jej, a ona upiła kolejny łyk.

– Kiedy Jarle i Erling byli mali, Katrine zmieniała mężczyzn jak rękawiczki. Miała konkubentów, narzeczonych, a może tylko przypadkowych znajomych, wszystko jedno. W okolicy działo się dużo dziwnych rzeczy, ale mimo to ludzi szokowała i bulwersowała moralność Katrine, a raczej jej brak. – Uśmiechnęła się do siebie z nostalgią. – Byłam tylko dzieckiem, ale razem z koleżankami zawsze od razu podłapywałam skandale związane z Katrine i jej facetami. Nie wiedząc do końca, o co chodzi, byłyśmy z jednej strony zafascynowane, a z drugiej oburzone. – Znowu uśmiech, niemal jak grymas. – Nikt nie potępia kobiet szybciej niż inne kobiety. Wcześniej się tego uczyły.

Skinąłem głową bez słowa, gdyż wiedziałem, że zmierza do puenty.

– W każdym razie mężczyźni Katrine rzadko długo wytrzymywali. Znikali po paru tygodniach czy miesiącach, zapewne znudzeni scenami, piciem i niewiernością. Zdarzali się

rozmaici, ale wszyscy pili i imprezowali, a żaden nie był nic wart, tak ich przynajmniej zapamiętałam. Już jako dorosła myślałam, że Katrine należy do kobiet, które przyciągają niewłaściwych facetów. Takich, którzy je wykorzystują, zastraszają, poniżają i biją. Jakby używały ich do potwierdzenia złego wyobrażenia o własnej osobie. – Wypiła jeszcze trochę wina. – Jeden z nich, nie pamiętam nazwiska, ale pamiętam, jak wyglądał, chudy, żylasty gość z zaczesanymi do tyłu, tłustymi włosami, był bardzo brutalny i agresywny. Utkwił mi w pamięci, bo pobił się z innym facetem, którymś z sąsiadów. Sprawił mu solidne lanie. Nie wiem do końca dlaczego, pewnie chodziło o jakąś kłótnię czy imprezę, może sąsiad narzekał na hałasy albo zaatakował Katrine, nie mam pojęcia, ale wszyscy bali się tego typu. Nie był dobry dla chłopców. Pewnego razu Erling... szedł do sklepu, z kartką i pieniędzmi, pewnie miał kupić ojczymowi fajki, wtedy się tak dało, pobiegł, ale upadł, uderzył się i zgubił pieniądze. Stoi mi przed oczami, z poranionymi kolanami, zapłakaną i zasmarkaną twarzą, brudną piąstką ściskającą tych kilka monet, które mu zostały. Płakał częściowo dlatego, że się uderzył, ale głównie ponieważ wiedział, co go czeka, kiedy wróci. I faktycznie, dostał w twarz, ale pewnie oberwałby bardziej, gdyby nie Jarle. – Miała nieobecny wzrok. – Jarle zastąpił ojczymowi drogę, odważny jak lew, i też oczywiście otrzymał cios w policzek. Mimo to wstał i spróbował raz jeszcze. I znów. I znów. Za każdym razem padał na ziemię, dosłownie. Jeszcze teraz widzę tę scenę, czekającego na niego mężczyznę na szeroko rozstawionych nogach, z uśmiechem na ustach, i Jarlego, który znowu wstaje, wyciera krew wierzchem dłoni i atakuje. Tylko po to, żeby jego młodszy brat uniknął lania.

– Jak... jak to się skończyło?

– Facet się poddał. Odwrócił się w końcu i wyszedł. Chyba zrozumiał, że musiałyby pobić chłopaka na śmierć, żeby z nim wygrać. Jarle stał tam, cały zakrwawiony, ale po chwili pomógł młodszemu bratu wstać, pocieszył go, otarł mu krew z twarzy. – Spojrzała mi prosto w oczy. – Jarle Iversen dosłownie oddałby życie za brata. Może i go drażnił, wyzywał, zmuszał do bycia twardszym czy zdolniejszym, niż Erling był w rzeczywistości, ale kiedy przychodziło co do czego, zawsze się za nim wstawiał. Jarle wiedział, że tylko on odpowiada za Erlinga. Nigdy by go nie zabił. Nigdy.

Nie byłem tego pewien. Umiałem sobie wyobrazić, że Jarle, jak każdy wychowawca, poczuł rozczarowanie, kiedy syn albo młodszy brat nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Pomyślałem, że tego typu frustracje mogą czasem wziąć górę. Ale nie powiedziałem tego Synne, gdyż jej historia i tak zrobiła na mnie wrażenie.

Potem poszliśmy na przystanek. Autobus przyjechał od razu, więc Synne uściśnęła mnie szybko i wskoczyła do środka. W głowie czułem lekki, przyjemny szum alkoholu. Nagle przestałem mieć ochotę na powrót do domu. Odwróciłem się i prawie wpadłem na kogoś, w kim ze zdumieniem rozpoznałem Steinara Taulego.

– Cześć, Steinar – powiedziałem. – Jak tam?

– Dobrze – wymamrotał, ale miał rozbiegane spojrzenie i wypieki na twarzy, jakby z powodu silnego podniecenia lub gorączki. – Muszę lecieć – uciał i szybko oddalił się w przeciwnym kierunku. Patrzyłem na niego, zastanawiając się, dlaczego zachował się tak dziwnie, ale zaraz porzuciłem tę myśl i wybrałem się na poszukiwanie wina i towarzystwa.

Tej nocy w snach nawiedzili mnie Jarle i Erling. Widziałem twarz Erlinga, mokrą od łez i brudną, widziałem też Jarlego,

zaciętego i zakrwawionego. Przed nimi stał mężczyzna. Wiedziałem, że jest zły i groźny. Górował nad chłopcami, rzucał na nich cień, a ja bałem się, co im zrobi. Ale najbardziej przerażało mnie to, że nie dostrzegałem jego twarzy. W sylwetce było coś znajomego, czułem, że wiem, kto to jest, lecz gdy próbowałem się przyjrzeć, w miejscu jego twarzy odkrywałem jedynie głębokie, nieprzeniknione cienie.



## Rozdział 30

Zdecydowałem, że spotkamy się u mnie, na neutralnym gruncie, poza tym wiedziałem, że Kirsten nie miałaby ochoty znowu oglądać dawnej kancelarii Bjørna.

– Mam tyle wspomnień związanych z tym miejscem – powiedziała. – Muszę próbować żyć dalej, a wizyta w tym biurze to ostatnia rzecz, jakiej mi trzeba. Albo stoi nienaruszone, dokładnie takie samo jak za życia Bjørna, i będzie mi o nim przypominać, albo Carlo wszystko tam pozmieniał, a wtedy będę tylko smutna i zła z tego powodu. Nie chcę tam iść.

Carlo przekazał Kirsten pisemną propozycję odkupienia całej działalności Bjørna, jego portfolio, wszystkich aktywów, wyposażenia kancelarii – całego pakietu. Wykonał gruntowną pracę, wycenił każdą sprawę, oszacował wartość firmy, przeprowadził szczegółową inwentaryzację. Do tego wymienił wszystkie urządzenia, które dzielił z Bjørnem, takie jak faks, centrala telefoniczna i kopiarka.

– Posłuchaj, Kirsten – rzekł. – Chcę ci przedstawić jak najlepszą ofertę. Szanuję cię i wiem, że Bjørn... chciałby, abym o ciebie zadbał. Ale jednocześnie moje działania powinny być rozsądne z handlowego i ekonomicznego punktu widzenia, chyba to rozumiesz. Nie mogę tak po prostu wyrzucać pieniędzy z pobudek sentymentalnych. Zapoznaj się z ofertą, mam nadzieję, że ją

przyjmiesz. Moja oferta – zamachał kartkami trzymanymi w dłoni – nie podlega negocjacom. Ale nie dlatego, żeby utrudnić ci życie. Jest po prostu na granicy opłacalności. Próbuję ci tylko powiedzieć, Kirsten, że nie mamy tu do czynienia ze zwyczajnymi negocjacjami. Szanuję cię i bardzo lubię Bjørna. Dlatego dałem ci maksymalną możliwą cenę. – Zamilkł, po czym dodał: – To co powiesz?

Odkaszlnąłem i rzekłem:

– Proponuję, żebyś zostawił nas na parę minut samych, Carlo. Jeżeli nie miałbyś nic przeciwko wyjściu na korytarz, wówczas moglibyśmy...

– Oczywiście, oczywiście. – Zdążył już wstać. Był wysoki i potężny, ale poruszał się zaskakująco lekko. – Naturalnie macie tyle czasu, ile wam trzeba. Rozumiem, że to ważne dla Kirsten.

– I co, Mikael? – spytała, kiedy zamknął za sobą drzwi. – Rzeczywiście jest taki miły i hojny, jak to opisuje, czy robi wokół siebie typowy dla prawników szum?

Zaśmiałem się.

– Cóż, dość gruntownie przestudiowałem jego propozycję, poradziłem się też rewidenta. Pomocny był zwłaszcza efektywny system list godzinowych, którego używał Bjørn. Według mojej oceny, z którą zgodził się rewident, oferta Carla Jensena jest bardzo atrakcyjna. Tak bardzo, że nie myli się, mówiąc o granicy opłacalności dla niego jako nabywcy.

– O rany – odezwała się Kirsten. – Nie spodziewałam się tego.

– Nie? Carlo nie wydawał ci się szczodłą osobą?

– Nie o to chodzi. Po prostu nie sądziłam, że jego firma aż tak dobrze sobie radzi.

– Naprawdę?

Machnęła ręką.

– Pewnie się mylę. Takie odniosłam wrażenie na podstawie sporadycznych komentarzy Bjørna.

– Cóż, w każdym razie to jego problem. Radzę ci zatem przyjąć ofertę od razu, zanim zmieni zdanie.

Carlo rozpromienił się i uścisnął Kirsten.

– Tak się cieszę, że jesteś zadowolona – powiedział. – Męczyłoby mnie, gdybyśmy się rozstali, a ty czułabyś się wykorzystana w tej smutnej sytuacji.

Jego słowa były jak zwykle trochę nienaturalne, ale wydawał się wzruszony, a ja nie wątpiłem, że naprawdę tak myśli.

– Posłuchaj, Carlo – zacząłem. – Mogę zamienić z tobą słówko w innej sprawie, zanim pójdziesz?

Po wyjściu Kirsten posłał mi pytające spojrzenie.

– Iversenowie – wyjaśniłem. – Sprawa przeciwko Jarlemu Iversenowi.

– Ach! Właśnie. Przeczytałem w gazecie, że go bronisz.

– Tak. Ale nie wiedziałem, że ich znasz.

– Jak...?

– Katrine Iversen powiedziała mi, że reprezentowałaś ją w sprawie związanej ze Służbą Ochrony Praw Dziecka. Nie sądziłem, że zajmujesz się tym obszarem prawa.

Uśmiechnął się krótko.

– Właściwie to się nie zajmuję. Ale w przypadku Katrine... Wspólny znajomy nalegał, żebym jej pomógł, więc to uczyniłem.

– Rozumiem. Chodziło o ustanowienie opieki rodzicielskiej?

– Tak. Służba chciała odebrać jej młodszego syna, Erlinga.

– Zapobiegłeś temu?

– Tak, zgadza się. – Zawahał się chwilę. – Myślisz, że stałoby się

lepiej, gdybym przegrał wtedy tę sprawę? Że uratowałyby to Erlinga? Sam miałem takie myśli... po usłyszeniu wiadomości o jego śmierci, a później o tym, że to Jarle go zabił.

Pokręciłem głową.

– Nie, nie o to mi chodzi, Carlo. Tak nie można myśleć. Nie wiem, ile spraw... do ilu przestępstw i tragedii doszło po uniewinnieniu kogoś dzięki mojej pracy. Nie ma sensu tak tego interpretować.

– Nie. Pewnie nie. – Siedział przez chwilę wpatrzony w pustkę, po czym dodał: – Więc o co ci chodziło, Mikael? To stara sprawa i nie wiem...

– Potrzebuję świadków, którzy znają tę rodzinę, a odniosłem wrażenie, że miałeś z nimi pewien kontakt.

– Owszem, ale nie wiem, czy zdołam ci pomóc.

– To sprawa karna, Carlo. W sprawach karnych nawet najmniejszy trop jest niezwykle cenny. Zakładam, że poznałeś rodzinę także z dobrej strony? Potrzebuję kogoś, kto opowiedziałby mi o relacjach między chłopcami. O tym, czy byli do siebie przywiązani, czy się kochali, tego typu rzeczy.

– Okej... Chyba mógłbym to zrobić, jeśli miałoby ci to pomóc.

Wstałem.

– Świetnie. Nie wiadomo, czy zajdzie taka potrzeba. Oskarżenie może zostać wycofane, mogą pojawić się inni świadkowie, dużo może się zdarzyć. Skontaktuję się z tobą, jeśli będę musiał.

Kirsten na mnie czekała.

– Chciałam ci tylko podziękować za pomoc, Mikael. To miło z twojej strony. Bardzo mi pomogłeś też ostatnim razem... po śmierci Bjørna... Szkoda, że tak głupio później wyszło. Właściwie nie podziękowałam ci za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

Machnąłem ręką.

– Nie ma sprawy, Kirsten. Wyglądasz już dobrze. Lepiej się czujesz?

Wzruszyła ramionami.

– Pewnie tak. Tak, lepiej. Czas płynie, a ból... może nie znika, ale mniej dokucza. Jeszcze we mnie tkwi, ale teraz przypomina raczej tępe pulsowanie. – Jej uśmiech zbladł. – Czasami... czasami na chwilę całkiem o tym zapominam. Kiedy zajmie mnie coś w telewizji, jakaś książka, cokolwiek, nagle orientuję się, że przez pewien czas nie myślałam o Bjørnie. Wtedy mam wyrzuty sumienia, ale to chyba oznaka zdrowia.

– Chyba tak. – Zawahałem się chwilę, ale kontynuowałem. – A list znaleziony w domku? Myślałaś więcej... Zaakceptowałaś...?

Nie znajdowałem słów.

– Czy zaakceptowałam to, że Bjørn był pedofilem? Nie, Mikael, nigdy tego nie zaakceptuję. – Mówiła beznamiętnym, zdecydowanym głosem.

– Uważam, że...

– Wiem, co uważasz, Mikael. Rozumiem nawet, że doszedłeś do takich wniosków w związku z tym, co się stało, w związku ze sprzeniewierzeniem, z samobójstwem, z tym wszystkim. Ja też widzę, że układa się to w pewną całość, że jest w tym logika, ale...

– To nie... – zacząłem, lecz znów mi przerwała.

– Ale nie mogę tego zaakceptować. Znałam go, był moim mężem na dobre i złe i nie wierzę w to. – Powoli pokręciła głową. – Długo nad tym myślałam, lecz po prostu nie potrafię się z tym pogodzić. Ale dotrę do prawdy.

– Mam nadzieję, Kirsten.

Byłem pewien, że dosłyszała powątpiewanie w moim głosie, jednak uśmiechnęła się tylko uśmiechem kruchym jak skorupka

jajka i zapewniła, że to mnie pierwszego poinformuje, kiedy już odkryje, co naprawdę się stało.

## Rozdział 31

– No – powiedziała makijażystka – teraz będzie dobrze.

Na koniec szybko przesunęła po moich skroniach pędzlem, posłała mi zawodowy uśmiech i oświadczyła, że to wszystko. Spojrzałem na swoją twarz w lustrze – miała dziwny, nienaturalny kolor – i nie omieszkałem zwrócić dziewczynie uwagi.

– Ale w telewizji wypadnie świetnie. Za to gdybyśmy pana nie umalowali...!

Na korytarzu na swoją kolej czekał Jesper Juul. Kiedy mnie ujrzał, jego oblicze rozpromieniło się w ten sam otwarty i szczery sposób, który zapamiętałem.

– Brenne! – Wyciągnął dłoń. – Miło pana znowu widzieć.

Nie mogłem również się nie uśmiechnąć, gdyż miał w sobie coś, co wywoływało natychmiastową sympatię, co sprawiało, że każdy napotkany człowiek czuł, że znajduje się w centrum jego uwagi. Makijażystka najwyraźniej też to spostrzegła – usłyszałem cichy głos Jespera Juula, a następnie jej głośny, perlisty śmiech. Pomyślałem, że bez problemu mógłby zajść dużo dalej niż do tej pory. Miał wszystko, czego trzeba, aby osiągnąć szczyt na poziomie kraju, nie tylko w polityce lokalnej.

Później wskazano nam miejsca naprzeciwko prezentera, który siedział odprężony, żartując z kamerzystami. Czekaliśmy w ciszy, przyglądając się monitorowi, reklamom, potem czołówce programu,

aż wreszcie mogliśmy wybrać, czy chcemy patrzeć na prezentera na żywo, czy na którymś z ekranów – było to dziwne i nieco niepokojące przeżycie, jakby rzeczywistość została pomniejszona i zreprodukowana. Czułem lekkie podenerwowanie, nagle tętno mi przyspieszyło, a w ustach zaschło, więc wypilem łyk wody. Zerknąłem na Jespera Juula, który wydawał się całkiem opanowany. Wyszczrzył się i puścił do mnie oko.

Wreszcie zaczęliśmy. Prezenter nas przedstawił, uśmiechając się do kamery. Odwzajemniliśmy uśmiech, a Jesper Juul powiedział, że cieszy się z zaproszenia. Ja się nie odezwałem.

– Jesteśmy tu, aby przedyskutować przyszłość parku – zaczął prezenter. – Czy możemy dopuścić do tego, aby najpiękniejszy park w mieście, do tego położony w centrum, został przejęty przez narkomanów? Aby wyparto z niego zwyczajnych ludzi? To dla pana ważna kwestia, prawda, panie Juul?

Juul przytaknął i krótko podsumował stan obecny, właściwie tylko powtarzając słowa prezentera, ale mimo wszystko brzmiał oryginalnie i odkrywczco.

Gdy nadeszła moja kolej, głos odmówił mi posłuszeństwa, musiałem odchrząknąć, odkaszlnąć i napić się wody, zanim się odezwałem. Na początek przeprosiłem, po czym wyjąkałem kilka słów i musiałem zacząć od nowa. Po pół minucie Jesper Juul mi przerwał, tak miękko i elegancko, ale też niespodziewanie, że nie zdążyłem zareagować.

Później było tylko gorzej. Nie znałem telewizyjnych zwyczajów, więc zaplątałem się w nieco zbyt skomplikowaną argumentację, mówiłem za długo, za dużo. Jesper parował krótko i zwięźle, do rzeczy, posługując się językiem nagłówków prasowych i partyjnych sloganów. Zdałem sobie sprawę, że adwokaci może niekoniecznie



nadają się do dyskusji telewizyjnych, że nasz retoryczny styl, systematyczny i logiczny sposób budowania wypowiedzi tutaj nie zdaje egzaminu. Z kolei Jesper Juul, polityk, w którymś momencie zrozumiał naturę tego medium. Może skończył kurs. W każdym razie miał nade mną przewagę. Próbowałem jeszcze coś tłumaczyć, ale sam czułem, że mi to nie wychodzi, że sprawiam wrażenie osoby nieścisłej, nie zaś – rozważnej.

– Więc co powinniśmy, pana zdaniem, z nimi zrobić? – zapytałem nieco za głośno. – Narkomani muszą przecież też mieć jakieś swoje miejsce. Nie możemy sprawić, żeby zniknęli.

Uśmiechnął się do mnie.

– Nie powinni w każdym razie przesiadywać w parku. Już czas oddać go zwykłym ludziom.

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie, panie Juul – odparłem.  
– Co mamy z nimi zrobić? Gdzie mają się podziać?

– Rozumiem pana stanowisko, mecenasie. W końcu to z nich pan żyje, to pańscy klienci, więc potrzebne jest panu ich zaufanie i sympatia. – Rozłożył ręce. – Jednak myślę, że większość osób, które... zachowują w tej kwestii neutralność i bezstronność... zgodzi się ze mną, że zaszło to już za daleko. Chcemy odzyskać park.

Jego bezczelność i bezwstydnosc na chwilę odebrała mi głos.

– Naprawdę insynuuje pan, że... – zacząłem, ale nie udało mi się powiedzieć nic więcej, gdyż prezenter mi przerwał. Nasz czas się skończył, więc podziękował nam za przybycie.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Jesper Juul posłał mu kolejny promienny uśmiech, a ja kiwnąłem głową, zaciskając usta.

Później, na chodniku pod budynkiem telewizji, kiedy wreszcie znaleźliśmy się sam na sam, zastąpiłem mu drogę.

– Co to, do cholery, było?

– Co?

– Stwierdziłeś, że moje stanowisko wynika z chęci odniesienia korzyści finansowej! To lekka przesada!

Zaśmiał się.

– Ach, to! Witamy w świecie polityki, Mikael. – Zobaczył, że nie odwzajemniłem jego uśmiechu, i szybko spoważniał. – Posłuchaj, to nic osobistego. Ja... Nie, my, politycy, uciekamy się do wszelkich możliwych sztuczek. To normalne. Jeżeli za każdym razem miałbym się o to obrażać, nie zostałoby mi czasu na nic innego. – Położył mi dłoń na ramieniu. – Rozumiem, że może to być nieprzyjemne za pierwszym razem, ale nie powinieneś tak tego odbierać. Mam dla ciebie pełen szacunek, podziwiam cię za to, co robisz, i naprawdę liczę, że nie... Chodźmy się napić, ja stawiam.

Dostrzegł, że nadal jestem poirytowany.

– Posłuchaj, może posunąłem się za daleko, w takim razie przepraszam, nie chciałem.

Nie mogłem zaprzeczyć. Czułem, że zachowuję się nierozsądnie i niegrzecznie, a swoją złością poważnie naruszam ogólnie przyjęte zwyczaje, więc dałem się przekonać, poprowadzić ulicą, i spróbowałem otrząsnąć się ze wzburzenia.

Wznieśliśmy toast kieliszkiem koniaku, ale nadal byłem nieco rozdrażniony, co Juul zauważył.

– Raz jeszcze przepraszam, Mikael – powiedział.

Skinąłem głową.

– W porządku. Kiedyś pogodzę się z tym, co mi zrobiłeś. Jednak twoja wroga postawa wobec najsłabszych członków społeczeństwa...

Zaśmiał się krótko.

– I tutaj się mylisz. Wcale nie jest tak, że nie przejmuję się ludźmi, którzy... mają problemy. Przez lata pracowałem w wakacje

na obozach letnich dla dzieci z ubogich domów. Był to łączony projekt gminy i Lions Clubu. Co lato byłem tam kierownikiem, poświęcałem na to prawie cały urlop, rok w rok. I nie była to płatna praca, tego możesz być pewien. Dlatego wypraszam sobie naskakiwanie na mnie za brak uspołecznienia.

– Nie potrzebowałeś chyba pieniędzy, skoro mogłeś polegać na starym rodzinnym majątku.

Uniósł brwi.

– Na jakiej podstawie tak sądzisz?

Zawahałem się, wzruszyłem ramionami.

– Chyba wszyscy to wiedzą. Przecież nosisz dobre, stare nazwisko...

Wybuchnął głośnym, szczerym śmiechem.

– Tak, mam dobre, stare nazwisko. I właściwie tyle tylko pozostało z rodzinnego majątku. Możliwe, że jeszcze równie dobra opinia. Na mój majątek składa się trzypokojowe mieszkanie w centrum i parę procent udziału w kamienicy. To wszystko. Muszę sam zarabiać na chleb, jak każdy.

Poczułem, że się rumienię.

– Przepraszam. Myślałem, że...

– To nic. Wiele osób popełnia ten błąd. Byliśmy zamożną rodziną jeszcze nie tak dawno temu. Jednak mój ojciec... był dobrym, kulturalnym człowiekiem, ale kiepskim przedsiębiorcą. Przed samą śmiercią zdążył stracić wszystko. – Znów się uśmiechnął. – Ale wybaczę ci twoje uprzedzenia, jeżeli ty wybaczysz mi mój sposób prowadzenia dyskusji.

Jesper Juul okazał się dobrym kompanem. Zaimponował mi wiedzą i obyciem, a przy tym nie brakowało mu sporej dozy autoironii.

– To ważne w polityce – stwierdził. – W niewielu dziedzinach równie łatwo o zbyt nabożny stosunek do samego siebie, o atakowanie innych swoim nadmuchanym ego.

Uśmiechnąłem się.

– Tak, zdążyłem to zauważyć. Ale ty taki nie jesteś?

– Staram się zachować pewne wyczucie proporcji. – Wzruszył ramionami. – Poza tym... nie należę do postaci krajowego formatu. Marnemu lokalnemu politykowi łatwiej chyba o pokorę niż tym, którzy rzeczywiście dotarli na szczyty władzy.

– Z pewnością – przytaknąłem. – Ale powiedz mi... dlaczego sam nie dotarłeś na szczyt? Masz chyba wszystkie niezbędne cechy. Ludzie, którzy obecnie są tam, na górze, nie robią szczególnie dobrego wrażenia.

Jego śmiech zabrzmiał głośno i dźwięcznie.

– Powiniennem pewnie podziękować... Dość dwuznaczny komplement, chyba jeszcze takiego nie słyszałem.

Zaśmialiśmy się razem.

– Tak wyszło. Ale nie chciałem...

– Nie, nie, rozumiem. A i pytanie jest uzasadnione. Zastanawiałem się nad tym i z całą skromnością muszę przyznać, że były pewne siły w partii, które sądziły, zachęcały mnie do... – Nagle się zamyślił, jego spojrzenie stało się nieco odległe. – Do podjęcia się ważniejszych zadań.

– Więc dlaczego nie...?

Westchnął.

– Uprawianie polityki na wysokim szczeblu wiąże się z pewnymi kosztami. Wiele za sobą pociąga. Dużo uwagi, człowiek jest... wnikliwie obserwowany, szczegółowo analizuje się jego życie, nie można się nigdzie ruszyć, nie będąc rozpoznanym. Na takim

stanowisku nie ma za dużo miejsca na sprawy osobiste. A ja jestem człowiekiem, który ceni sobie... prywatność.

– Rozumiem.

Nagle powrócił jego uśmiech, zaraźliwy, niemal konspiratorski.

– Tak, wszyscy mamy swoje tajemnice, prawda, Mikael?

Wzdrygnąłem się, jakby dawne wspomnienie właśnie powstało z martwych, i uniosłem w jego stronę kieliszek:

– Owszem. Wszyscy mamy swoje tajemnice.

Nieco później przeprosiłem i poszedłem do toalety. Nagle poczułem się wyczerpany, ociężały i ospały, a także lekko otępiały od alkoholu i ze zmęczenia. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio jadłem, i na samą myśl o posiłku zaburczało mi w brzuchu.

Myjąc ręce, patrzyłem w lustrze na spuchniętą twarz, szkliste, zaczerwienione oczy. Jakbym od dawna chodził pijany. Złożyłem dłonie, napełniłem je zimną wodą i zanurzyłem w niej twarz. Poczułem chłód na skórze. Po chwili powtórzyłem zabieg, a moje samopoczucie nieznacznie się poprawiło.

Kiedy wróciłem do stolika, Jesper Juul pisał wiadomość na komórce.

– Dostałem SMS od Carla – wyjaśnił. – Siedzi w innym barze przy tej samej ulicy i zastanawia się, czy jestem na mieście. Pójdiesz tam ze mną?

Pokręciłem głową.

– Nie, mam już dość. To był długi dzień. – Zawahałem się. – Ty i Carlo... to dziwne, że się przyjaźnicie.

– Dlaczego?

– No cóż... Chodzi mi tylko o to, że... wydajecie się zupełnie różni. Uśmiechnął się.

– I pewnie jesteśmy. Ale z czasem odkryliśmy, że mamy wspólne

zainteresowania.

– Ach tak?

– Tak. Dzielimy między innymi pasję do muzyki klasycznej. Gramy razem, on na fortepianie, ja na skrzypcach. Interesujesz się muzyką, Mikael?

– Nie, szczerze mówiąc, nie za bardzo.

– Hm. Szkoda. Nie wiesz, co tracisz.

Wstałem.

– W każdym razie na dziś mi wystarczy. Było mi miło.

Mocno uścisnął moją rękę.

– Tak. Mam nadzieję, że to powtórzymy... że pozostaniemy w kontakcie.

## Rozdział 32

Prokurator generalny przygotował akt oskarżenia przeciwko Jarlemu Iversenowi, więc pojechałem do więzienia, żeby przekazać klientowi nowinę.

Nie opuściła go agresja. Czasami odnosiłem wrażenie, że żarzy się mu pod skórą niczym popiół w wypalonym ognisku, jednak pobyt w areszcie go zmienił, uczynił bardziej ociężałym, zrezygnowanym, zmęczonym. Nie poddał się, ale brzemień dni, które tam spędził, tygodni i miesięcy w prawie całkowitym odosobnieniu, spoczywało mu na barkach, wbijając go w ziemię, pokazując, iż młodość i siła nie trwają wiecznie, wypełniając jego spojrzenie z wolna zakradającym się cieniem przerażenia. Mówił ciszej, podczas naszych spotkań siedział na ogół spokojnie, nie krążył już tam i z powrotem, i tylko jego dłonie pozostały niecierpliwe, podenerwowane, ruchliwe, jakby skupiały wszystkie jego obawy.

Długo milczał po tym, jak przekazałem mu nowinę, tak długo, że pomyślałem, iż nic nie powie, więc otworzyłem już usta, aby przerwać ciszę, wtedy jednak wreszcie uniósł głowę i na mnie spojrzał.

– Co to oznacza?

– Że odbędzie się proces.

Skinął głową.

– Tak podejrzewałem. – Głęboko westchnął. – Naprawdę myślą,

że zabiłem Erlinga. Wszyscy tak myślą.

– Tego się obawiam.

– Dlaczego nigdy nikt mi nie wierzy?

– Dowody... – zacząłem, ale pokręcił głową.

– Nie o to mi chodzi. Nie tylko w tej sprawie. Zawsze... – rozłożył ręce – ...zawsze tak było. W szkole, na osiedlu. W domu. Nigdy nikt mi nie wierzył. Kiedy działo się coś złego, kiedy ktoś zrobił gdzieś coś okropnego, zawsze to mnie obwiniano. Nigdy nikt mi nie ufał. W końcu nie było już sensu zaprzeczać.

Zastanowiłem się chwilę.

– Często tak jest. Nie wiem, dlaczego niektórych zawsze... się wini. Poza tym, że...

– Poza tym, że co?

– Podejrzewam, że dość często faktycznie dopuszczałeś się różnych okropieństw. To pewnie dlatego.

Podniósł wzrok i już miał ciętą ripostę na końcu języka, ale ujrzał mój uśmiech i się zdziwił. Wtedy też się uśmiechnął. I zaśmiał.

Zdałem sobie sprawę, że nigdy nie słyszałem jego śmiechu. Śmialiśmy się wspólnie, szczerze i dużo dłużej, niż powinniśmy, jeśli wziąć pod uwagę tylko mój komentarz. Jarle wyrzucał w ten sposób z siebie całą frustrację, złość i bezradność. Śmiał się aż do łez, a ja mu wtórowałem, aż rozboleł mnie brzuch. Nie wiedziałem, dlaczego się śmieję, poza tym, że również ja dawno tego nie robiłem.

Także dłonie mojego ojca były niespokojne. Prawa tarła bezustannie udo, jakby chciała pozbyć się niewidzialnej plamy. Podobnie jak reszta jego ciała, dłonie z biegiem lat stały się chude i kościste, kłykcie przypominały korzenie, a sieć błękitnych żyłek na wierzchu – gałęzie drzewa. Zdawało mi się, jakby z ojca



zdrapywano kolejne warstwy, gdyż podczas każdego naszego spotkania był nieco chudszy, nieco bardziej przejrzysty; moim oczom ukazywała się coraz większa część jego wewnętrznej struktury.

Wstał po dolewkę kawy, a ja ujrzałem kość biodrową, ostro zarysowaną pod szerokimi spodniami.

– Jesz tu dosyć, tato? – zapytałem. – Karmią cię przyzwoicie?

Uśmiechnął się.

– Oczywiście, że mnie przyzwoicie karmią, Mikael. Jedzenie jest naprawdę dobre.

– Myślę, że mocno schudłeś. Musisz jeść.

Wzruszył ramionami.

– Nie mam apetytu.

– Musisz jeść – powtórzyłem, co wystarczyło, by go zirytować.

– Jem tyle, ile chcę.

– Tak, tak, tato, oczywiście. Ale bardzo schudłeś.

Jego rozdrażnienie zniknęło równie szybko, jak się pojawiło.

– Pewnie tak. Może powinienem więcej się ruszać. Może to by pomogło na apetyt.

Jego słowa wywołały we mnie wyrzuty sumienia. Nie mógł już sam wychodzić, gdyż tracił orientację i bał się, że nie znajdzie drogi powrotnej. Domu opieki nie było stać na organizowanie spacerów ze starcami. Jeśli chciałby wyjść, to ja musiałbym zabrać go na przechadzkę. Stale to planowałem, ale rzadko udawało mi się te plany zrealizować.

– Możemy chodzić na spacery – zaproponowałem. – Przyjdę jutro, jeżeli pogoda dopisze, chcesz?

– Zobaczymy, Mikael.

Kiedy jechałem do domu, ściemniło się. Mokry asfalt był czarny

i śliski jak olej, światła sygnalizacji i czerwone światła hamowania jaśniały przede mną jak rozżarzony strumień lawy. Płynąłem w stronę centrum. Blask miasta odbijał się w chmurach, tworząc na niebie tajemniczy, ognisty nimbus.

Był piątkowy wieczór, co można było stwierdzić także po natężeniu ruchu drogowego. Dawno nie wychodziłem na miasto, więc poczułem nagłą ochotę odwiedzenia kilku barów i pubów, wmieszania się w tłum obcych ludzi, picia i śmiechu, czucia rytmu nocnego życia i basów muzyki wibrujących w przeponie, patrzenia na dziewczyny śmiejące się rozchyłonymi, czerwonymi wargami.

Pojechałem do domu, przebrałem się i znów wyszedłem w mrok. Ku dźwiękom bluesa i śmiechom dobiegającym z barów i pubów, ku woni dymu papierosowego na rogach ulic, ku hałaśliwej młodzieży, wydekoltowanym kobietom na wysokich obcasach i mężczyznom posyłającym im łakome spojrzenia.

Na mieście roiło się od ludzi, głównie młodych, ale nie byłem jedynym podstarzałym kawalerem znudzonym samotnym siedzeniem w domu. W drugim pubie, do którego zajrzałem, przy narożnym stoliku dostrzegłem grupkę panów w średnim wieku: kilku dziennikarzy i jednego ekonomistę, jednego adwokata bankruta oraz paru facetów, o których nie wiedziałem nic poza tym, że od wieków widywałem ich na mieście, a ich twarze stanowiły równie znajomy element wyposażenia tego lokalu, co obrazy i cytaty na murach.

Ujrzeli mnie i zawołali po imieniu, unosząc spienione kufle piwa, jak gdyby z ulgą, że znaleźli kolejnego towarzysza, który nie może znieść pustki własnego domu, który nie pasuje do schematu. Dlatego przyjęli mnie z otwartymi ramionami, wezwali kelnera i wcisnęli mi złotą szklankę w rękę, przyozdabiając nieco zbyt

rozradowane twarze w nieco zbyt szerokie uśmiechy. Pierwszy łyk smakował niebiańsko.

Śmiech odbijał się od ścian, szklanki opróżniano i napełniano. Pojawiło się trochę nowych ludzi, głównie mężczyzn, sporadycznie jakaś kobieta. Kilka osób zniknęło. W trakcie wieczoru niektórzy wpadli w sentymentalny nastrój, inni znowu w przyływie refleksji odczuwali potrzebę długich, zawiłych monologów. Nie miałem nic przeciwko, włączałem się do rozmów i wyłączałem z nich, płynąłem z nurtem, pozwalając alkoholowi przejąć nade mną kontrolę.

Późnym wieczorem towarzystwo się rozproszyło. Mieliśmy się gdzieś przenieść, do jakiegoś dłużej czynnego lokalu, ale ludzie byli zbyt pijani, dosłownie odpadali po drodze, zatrzymywali się, znikali, w tajemniczy sposób traciliśmy ich z oczu. Nagle zostałem sam. Odkryłem, że stoję przed jakimś barem, ale nie pamiętałem już, czy było to miejsce, do którego zamierzaliśmy pójść.

Nocny, przejmujący chłód zwiastujący nadejście jesieni przeniknął alkoholowe zamroczenie. Wzdrygnąłem się. Stałem, lekko się wahając, zastanawiając się, czy powinienem poczekać na resztę. Odwróciłem się, by sprawdzić, czy ktoś nie nadchodzi, a wtedy za sobą usłyszałem otwierające się drzwi. Po chwili śmiech, cichy, zachrypnięty i bardzo dobrze mi znany. Śmiech Kari.

Odwróciłem się odruchowo i ujrzałem ją nie więcej niż metr ode mnie. Od razu ją rozpoznałem. Jej płaszcz, włosy, wszystko było takie, jak być powinno, jak lubiłem. Ale ona mnie nie widziała. Nie widziała mnie, bo twarz miała zwróconą w stronę mężczyzny, który ją obejmował, do którego się śmiała, któremu zarzuciła ręce na szyję i którego całowała.

Stałem jak wryty, gapiąc się na nich z niedowierzaniem, aż skończyli się przytulać, aż ich usta się rozłączyły. Dostrzegłem jej

wilgotne wargi i koniuszek języka i poczułem mdłości, jakbym właśnie zobaczył coś obrzydliwego. Nadal mnie nie widziała, wpatrywała się tylko w niego, wysokiego mężczyznę o krótko ostrzyżonych włosach. Męskiego. Silnego. Dobrze ubranego w drogi garnitur i płaszcz. Nigdy go nie spotkałem. Był ode mnie młodszy, chyba w wieku Kari, a może nawet jeszcze młodszy.

Znienawidziłem go już w momencie, gdy zawrócili i ruszyli przed siebie chodnikiem, oddalając się ode mnie. Wciąż mnie nie zauważyła, szła zatopiona w ciasnym uścisku, odwzajemniając go. Patrzyłem, jak znikają za rogiem. Wtedy wsadziłem rękę w kieszenie i ruszyłem za nimi.

Szedłem szybko, aż znalazłem się jakieś dziesięć, dwanaście metrów za nimi, później zwolniłem tempo i utrzymywałem odległość. Szli przez centrum, w mieście nadal było tłoczno, więc nie bałem się, że mnie zauważą. Gdy opuścili bardziej ruchliwe ulice, trzymałem się nieco dalej, o ile to było możliwe, chowałem się w cieniu, uważając, by moje kroki nie odbijały się echem od bruku.

Nie wiem, co myślałem czy czułem, skupiałem się tylko na tym, aby mnie nie zobaczyli i abym ja nie stracił ich z oczu. Przez cały czas, gdy patrzyłem, jak przechodzą przez żółte snopy światła latarni, a ich cienie stają się krótsze, by zaraz całkiem zniknąć i na powrót się wydłużyć, tkwił we mnie krzyk, który tylko ja sam słyszałem.

Raz się zatrzymali pośrodku pustej ulicy, zwrócili ku sobie i znowu pocałowali. Wyobraziłem sobie, że facet leży na jezdni, a jego krew tworzy ciemną kałużę na jeszcze ciemniejszym asfalcie.

Poszli dalej. A ja za nimi.

Jego ręka wokół jej talii. Czasami opuszczał ją niżej, na biodro, lekko, jakby przypadkiem muskał jej pupę, a ja dokładnie

wiedziałem, co czuje pod dłonią. Jej krzywiznę, przyjemny w dotyku łuk, poruszające się mięśnie, stały ciężar, krągłą miękkość.

Ścisnęło mnie w gardle, mój wzrok jakby się pogorszył, nie widziałem wyraźnie. Obie postaci migotały mi przed oczami. Tarłem powieki, jakbym miał pod nimi piach, jakby coś wpadło mi do oka. Po chwili przeszło.

Zatrzymali się przed niewyróżniającym się murowanym budynkiem, jednym z wielu przeciętnych domów przy przeciętnej ulicy. Widziałem, jak Kari grzebie w torebce, wyjmując klucz, wsadza go w zamek. Żadnych wątpliwości, żadnej dyskusji między nimi, czy powinien z nią pójść czy nie, po prostu otworzyła drzwi i oboje weszli do środka. Jakby robili to już wielokrotnie.

Zbliżyłem się, stanąłem na chodniku naprzeciwko wejścia, ukryłem się w cieniu bramy. Przyjrzałem się budynkowi po drugiej stronie, jego ciemnym oknom. Wtedy na piętrze zapaliło się światło, najpierw w jednym pokoju, później w drugim.

Przez chwilę widziałem w oknie Kari, aż on objął ją od tyłu, a ona odwróciła się do niego.

Stali tak przez moment, aby później, nie wypuszczając się z objęć, powoli przejść w głąb pokoju, zniknąć mi z oczu.

Później widziałem ich już tylko oczyma wyobraźni, splecionych w namiętym miłosnym uścisku, a w mojej gorączkowej fantazji jawiła mi się twarz Kari, wykrzywiona w grymasie żądz i szaleństwa, bez zahamowań, taka, jakiej nigdy jeszcze nie widziałem.

Nie wiem, jak długo tam stałem. Wiem tylko, że dużo później Kari nagle zjawiała się w oknie. Była naga. Chwyciła zasłonki i zastygła w bezruchu, trwała tak niczym posąg, z rozłożonymi

rękoma, jakby ją ukrzyżowano. Byłem pewien, że mnie zobaczyła. Po kilku sekundach zasunęła zasłonki nagłym, zdecydowanym ruchem.

Następnego dnia byłem rozdygotany i przybity. Nie mogłem się pogodzić z tym, co zrobiłem, nie wierzyłem, że naprawdę śledziłem ją aż do domu, że w nocnej ciszy stałem pod jej oknami, a przede wszystkim, że ona mnie zobaczyła. Za każdym razem, gdy o tym pomyślałem, w moim ciele wzbierał niepokój, nieprzyjemne uczucie tak silne, że wieczorem wyciągnęło mnie z domu. Znalazłem ciemny, cichy bar, usiadłem w rogu i zamówiłem koniak. Wypiłem i poprosiłem o kolejny, a potem podjąłem decyzję, opróżniłem kieliszek jednym haustem i wyszedłem na ulicę w poszukiwaniu wolnej taksówki.

Pół godziny później wchodziłem cicho po schodach ciemnego, niskiego budynku. Nie wiedziałem nawet, czy jest w domu albo czy będzie chciała mnie przyjąć. Może była na mieście, może odwiedzała ją mężczyzna, może wyjechała. Zadzwoiłem do drzwi i minęła prawie wieczność, zanim ujrzałem cień ruchu za wizjerem. Po chwili zabrzączał łańcuch i drzwi się uchylły.

Elsa Støle miała na sobie o wiele za duże spodnie od piżamy i cienką bawełnianą koszulkę. Przyjrzała mi się, a później, bez uśmiechu, rzekła:

- Sądziłam już, że nie przyjdiesz. Długo to trwało.
- Ale to nic nie szkodzi, prawda?

Nie odpowiedziała, tylko wciągnęła mnie do przedpokoju, a ja wziąłem ją na ręce i zaniósłem do sypialni. Była gorąca jak piec, ja zaś zapadłem w jej ciepło, pozwalając płomieniom całkowicie mnie oczyścić z grzechu, winy i żalu. Elsa Støle była moim piekłem,

wiłem się w bólu i rozkoszy, płonąc w jej żarze.

## Rozdział 33

Światło poranka kłuło mnie w oczy niczym nóż, niemiłosiernie i bezlitośnie. Odwróciłem się, wbiłem głowę w poduszkę, próbując odciąć się od rzeczywistości, ale po chwili się poddałem i wróciłem do poprzedniej pozycji. Rzucałem się na łóżku, nie mogąc odnaleźć sennego ukojenia, a zarazem nie chcąc wyjść na spotkanie dnia. Z tyłu głowy myśli szykowały się do ataku, cały miniony tydzień, ostatni wieczór, wszystko, czego nie chciałem pamiętać, do czego nie chciałem wracać.

Byłem sam w łóżku, ale poduszka obok mnie nadal nosiła ślad głowy Elsy Støle. Zarówno łóżko, jak i cały pokój wypełniał jej zapach. Czulem woń kobiety, łona, seksu, potu i starych perfum, lekką nutę whisky z na wpół pełnej szklanki przy łóżku oraz dymu papierosów. Ten zestaw opowiadał całą historię.

Dotarł do mnie dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi, a następnie odgłosy z kuchni. Drzemałem, zawieszony pomiędzy snem a jawą, aż usłyszałem dzwoniący daleko telefon i stłumiony głos rozmawiającej osoby.

Do pokoju weszła Elsa. W dłoniach trzymała kubki z parującą kawą, w kąciку ust wisiał zapalony papieros. Mrużyła oczy, chroniąc je przed dymem. Bez słowa podała mi jeden kubek. Chwyciłem go, na wpół usiadłem na łóżku, podmuchałem na parującą powierzchnię. Ona zajęła miejsce obok, zerknęła na mnie



znad kubka z kawą, posłała mi lekki, trochę nieobecny uśmiech.

– Dzień dobry – odezwała się.

Miała na sobie cienką, krótką podomkę z podobnego do jedwabiu materiału pokrytego orientalnym wzorem. Siedziała z podciągniętymi nogami, bezwstydna, całkiem zrelaksowana, dokładnie taka sama jak w nocy. Kobieta bezpruderyjna, znakomicie czująca się we własnym ciele. Poczulem uderzenie żądy. Dostrzegła to w moich oczach, uśmiechnęła się i zmieniła pozycję.

– Dobrze spałeś? – zapytała. Odchrząknąłem, skinąłem głową i napiłem się wrzącej kawy. Siedzieliśmy tak przez moment całkiem odprężeni. Pochyliła się naprzód, aby zgasić papierosa w popielniczce na stoliku nocnym, a wtedy ujrzałem jej piersi, małe i płaskie, niemal chłopiące, lecz o zaczerwienionych, wystających sutkach. Wsunąłem dłoń pod cienki materiał, chwyciłem brodawkę kciukiem i palcem wskazującym. Elsa nie zaprotestowała, tylko przez chwilę patrzyła na mnie spokojnie, po czym odsunęła się i wstała płynnym ruchem.

– Wyjęłam ci świeży ręcznik – powiedziała. – Leży na komodzie obok prysznic.

Zanim wszedłem do kuchni, ubrany i z mokrymi włosami, zdążyła usmażyć boczek i jajecznice. Jadłem, a ona paliła, patrząc na mnie.

– Ty nie jesz? – zapytałem, na co wzruszyła ramionami.

– Później. Nie jadam śniadań. – Uśmiechnęła się przelotnie, zaciągnęła papierosem, po czym wypuściła dym ustami i wciągnęła go nosem. – Przez kilka godzin wystarczą mi fajki i kawa.

Skinąłem głową, żując. Kiedy skończyłem, sprzątnęła ze stołu i umyła naczynia.

– Dzwoniła Katrine – powiedziała, obrócona do mnie plecami. – Nie zdradziłam jej, że u mnie jesteś.

– Dobrze. Tak będzie chyba najlepiej. – Zawahałem się. – Trudno z niej cokolwiek wydobyć. To znaczy o chłopcach.

– Tak. Chyba nadal jest w szoku. Oczywiście za dużo pije i próbuje to wyprzeć, na ile się da. – Krótki śmiech. – Ja też tak robię. Za dużo piję. Ale ktoś przecież musi dotrzymywać jej towarzystwa.

– Tak. W każdym razie niezbyt mi pomaga.

– Katrine jest... nie jest głupia, nie o to chodzi, ale jest... nie przejmuje się za bardzo ludźmi, którzy ją otaczają. Gdybyś zapytał ją, jaka jestem, nie wiedziałaby pewnie, co odpowiedzieć, może poza kilkoma powierzchownymi uwagami.

– Ale tu chodzi o jej synów!

– No i? Kocha ich... na swój sposób... ale inni ludzie zawsze odgrywali dla Katrine drugoplanową rolę. Jak sądzisz, dlaczego chłopcy wpadli w takie tarapaty?

Zastanowiłem się.

– Wobec tego dlaczego się z nią przyjaźnisz?

Zaśmiała się.

– A dlaczego nie? Możemy razem pić i imprezować, a poza tym mnie nie dręczy. To mi wystarcza.

Nie drażyłem tematu.

– Chyba znałaś Erlinga i Jarlego?

– Jarlego. Znam Jarlego. Erlinga niezbyt.

Zapytałem ją o relacje między braćmi.

– Nic nie wiem – odparła. – Nie znam ich na tyle.

– Okej. Spróbuję znowu zapytać Katrine. Przecież coś musi wiedzieć. Ale wydaje mi się, że nie chce, abym ją odwiedzał. To

szaleństwo. Przecież próbuję w końcu uratować jej syna. Można by pomyśleć, że...

- Katrine wmówiła sobie, że Jarle zostanie uniewinniony.
- To nie takie proste.
- Wiem, ale Katrine tego nie rozumie. Albo nie chce zrozumieć.

W przedpokoju, gdy miałem już iść, a ona stała oświetlona od tyłu, tak że przez cienką podomkę widziałem zarys jej ciała, znów poczułem falę pożądania, więc zbliżyłem się i pochyliłem, by ją pocałować. Odwróciła głowę, nadstawiając policzek zamiast ust.

- Nie chcę, żebyś tu wracał, Mikael.
- Dlaczego? Myślałem, że... To było dla mnie...

Uśmiechnęła się.

– Nie zachowuj się jak idiota. Nie chodzi o seks, było przecież całkiem w porządku.

- To o co? Dlaczego nie możemy...?

– Przecież w gruncie rzeczy tego nie chcesz – powiedziała. – Nie mam nic przeciwko przypadkowemu seksowi, nie potrzebuję też związku, ale...

- Ale co?
- Wiem, kiedy się mnie wykorzystuje.
- Wykorzystuje? Ja nie...

– Ciii, Mikael. Wiem, że przyszedłeś tu wczoraj, żeby coś albo kogoś zapomnieć, coś wyprzeć ze świadomości, z czegoś się otrząsnąć. Nie wiem dokładnie, o co chodziło, ale wiem, że tak właśnie jest. I nie chcę, żeby moi kochankowie w ten sposób mnie wykorzystywali.

Nie znalazłem na to odpowiedzi. Patrzyłem tylko na nią, aż znów się uśmiechnęła, szybko cmoknęła mnie w usta i rzekła:

- W porządku, Mikael, nic się nie stało. Mam nadzieję, że to ci

pomogło, przynajmniej na chwilę. – Jej uśmiech znikł. – Nigdy nie pomaga na dłużej.

## Rozdział 34

Minęły dwa miesiące, zanim zadzwoniono z sądu z informacją o terminie rozpoczęcia procesu, dwa miesiące, w trakcie których nie wydarzyło się nic poza tym, iż zima wolno odeszła, niezauważenie przechodząc w równie ponurą, wilgotną i zimną wiosnę.

– Mam nadzieję, że będzie pan mógł we wrześniu – powiedziała kobieta z sądu. – Potem aż do Gwiazdki nie mamy wolnych terminów.

Przekartkowałem kalendarz i potwierdziłem swoją dostępność.

– Świetnie. W takim razie sprawa już idzie wyżej.

Jej to pasowało, a jeszcze bardziej korzystał na tym Jarle Iversen, który nie musiał niepotrzebnie spędzić pół roku w areszcie. Tego jej nie powiedziałem.

– We wrześniu? – zdziwił się Jarle, gdy do niego zadzwoniłem.

– Tak. W połowie września. Już niedługo.

– Żartujesz? To jeszcze ponad cztery miesiące! Oszaleję tu do tego czasu.

W jego głosie pobrzmiwało lekkie, niemal niesłyszalne drżenie.

– Jutro do ciebie wpadnę – obiecałem. – Będziemy mogli o tym pogadać.

Wyruszyłem rano. Co dziwne, świeciło słońce, a wzdłuż drogi do więzienia zieleńły się brzozy. Jarle wyglądał na wycieńczonego

i nieco zdenerwowanego.

– Schudłeś – stwierdziłem, na co wzruszył tylko ramionami.

– Nikt nie utrzymuje wagi w więzieniu. Albo ze stresu traci się apetyt, albo z otępienia jesz za dużo. Jedno z dwóch. Już wolę być chudy niż gruby.

– Okej. – Uśmiechnąłem się. – A termin we wrześniu jest tak naprawdę dość dobry. Istniało ryzyko, że zostaniesz tu o wiele dłużej.

– Wiem. Tylko że...

– Dni się dłużą, rozumiem to. Ale wyszedłeś z izolatki, a lato minie szybko. Już to przerabiałeś, Jarle. Niektórzy się tu załamują. Ty jesteś wystarczająco twardy, żeby dać radę.

– Tak – mruknął, spoglądając w ziemię. Moja próba dodania mu odwagi chyba się nie powiodła. – A co ze sprawą? – zapytał po chwili. – Coś nowego?

Pokręciłem głową.

– Nie, właściwie to nie. Usiłowałem wyciągnąć od twojej matki coś na temat ciebie i Erlinga, relacji między wami, ale niewiele wskórałem.

– Raczej ci się nie uda. Nie jest za dobra w takich sprawach.

– Ale Synne powiedziała co nieco o tym, jak was zapamiętała.

Uśmiechnął się.

– Tak, Synne. Właściwie miała opiekować się tylko Erlingiem, ale zakradałem się do nich prawie codziennie. Chyba jej to nie przeszkadzało. Chodziliśmy na spacerunki albo bawiliśmy się na placu zabaw.

– Tak właśnie mówiła. Opisuje wasze relacje jako bliskie, ale nie byliście w końcu zbyt duzi, kiedy się wyprowadziła. Jak... Później też spędzaliście razem dużo czasu?

– No, pewnie tak, ale byłem wtedy starszy i miałem swoje sprawy...

– Aha.

– Wiesz, dziewczyny i tak dalej. Nie we wszystko chce się mieszać młodszego brata, co nie?

– Nie, oczywiście.

– Tyle że Erling... Nie tak łatwo było się go pozbyć. Przyklejał się do mnie, chociaż prosiłem, aby szedł do domu. Chociaż go przepędzałem, groziłem laniem, on nigdy nie szedł. Trzymał się tylko trochę z boku, chował za krzakami czy coś... Wiedziałem, że tam jest. Cholernie mnie to wkurzało. Co wieczór... jak miałem wracać do domu... obojętnie, ile godzin musiałby czekać, zawsze się zjawiał.

– I wracaliście razem?

– Tak. – Westchnął. – Cokolwiek bym robił. Nie było sensu się go pozbywać. – Wzrok Jarlego zdradzał, że jest zatopiony w myślach. – Tak... tak cholernie się bał.

– Bał?

– Tak, bał się wszystkiego. Wieczorami, nawet kiedy był dość duży, wpęłał do mojego łóżka. Chciałem... żeby zmęźniał, próbowałem nauczyć go, jak się nie bać, a przynajmniej jak tego nie okazywać, co nie?

– Mhm.

– Ale Erling... nie wiem... chyba za bardzo się bał... wszystkiego. Chyba nie mógł sobie z tym wszystkim poradzić. Powiedziałem... powiedziałem...

– Co powiedziałeś, Jarle?

– Powiedziałem mu, że nie ma się czego bać. Że niebezpieczeństwa tkwią tylko w jego głowie, że tylko je sobie

wyobraża. Że musi wziąć się w garść. – Przełknął ślinę, zacisnął pięści. – Ale się pomyliłem, co nie? Nie wszystko tkwiło w jego głowie. Coś groźnego... istniało naprawdę.

Ostatnie słowa wyszeptał, boleśnie wzdychając. Potem przechylił się wolno przez stół, ujął głowę w ręce i zaczął płakać.

Szlochał bezgłośnie, a jednak głowa trzęsła mu się, jakby miał gorączkę. Długo tak siedział. Po chwili położyłem dłoń na jego ramieniu. Nie wiem, czy to zauważył, jednak nie zrobił nic, żeby ją zrzucić. Minęły miesiące, odkąd znalazł brata z podejrzanym gardłem, ale wcześniej chyba nie płakał z tego powodu.

Teraz jednak to robił. Płakał przez wspomnienia, przez wszystko, co było i co nigdy się nie stało.

Gdy wreszcie uniósł głowę, miał czerwoną, spuchniętą twarz i oczy pełne czystej rozpacz.

– On mi się śni – powiedział. – Co noc śni mi się Erling. To całkiem dobre sny. Robimy razem różne rzeczy, całkiem zwyczajne. Oglądamy telewizję, kopujemy piłkę, takie codzienne sprawy. Kiedy się budzę, jestem nawet zadowolony, rozmyślam o innych rzeczach, które moglibyśmy wspólnie robić. I wtedy przypominam sobie, że nie żyje. Że nigdy już go nie zobaczę, nigdy z nim nie porozmawiam, nigdy nic z nim nie zrobię. I za każdym razem, gdy o tym myślę, mam ochotę rozwalić tę celę, strażników, wszystkich.

W jego twarzy, w wyrazie jego oczu było coś szczególnego. Jakbym miał przed sobą dziecko, które nie rozumie, co się dzieje wokół, usiłuje pogodzić się ze światem, z rzeczywistością, lecz nie potrafi. W tamtej chwili uwierzyłem, że nie zabił brata.

– Może powinieneś porozmawiać z psychologiem. Zadzwoń, gdzie trzeba, zobaczę, co uda się zrobić. W każdym razie musisz wytrzymać do procesu. Dasz radę.



W milczeniu kiwnął głową, spróbował wyprostować ramiona, ponownie włożyć maskę. Wykrzywił usta w wymuszonym uśmiechu, jednak wszystko na nic. Zajrzałem za tę fasadę i już nigdy nie był dla mnie taki sam.

– Nie martw się, Jarle. Wyciągnę cię z tego, przyrzekam – powiedziałem, chociaż zdawałem sobie sprawę, że może mi się nie udać. W mojej branży nie powinno się składać obietnic.

## Rozdział 35

W następnym tygodniu pogoda nagle się zmieniła, temperatura bez ostrzeżenia poszybowała do ponad dwudziestu stopni. Pociłem się w samej koszuli z krótkimi rękawami, szukając adresu Carla Jensena. Mieszkał w spokojnej dzielnicy. Duże drewniane domy o ostro zakończonych dachach stały na wpół ukryte za ciężkimi dębami i ponurymi świerkami, a wzdłuż wąskich, krętych drózek pięły się szpalery buków, tworzące nieprzeniknione mury między ogrodowymi bramami.

Gdy zadzwoniłem parę dni wcześniej z pytaniem, czy możemy porozmawiać o sprawie, zaproponował, abym do niego przyjechał.

– W ten sposób połączymy przyjemne z pożytecznym – stwierdził, na co ja ochoczo przystałem.

Dom, który wreszcie znalazłem, okazał się starym budynkiem w szwajcarskim stylu, ale był świeżo odmalowany, z nowymi oknami i drzwiami wejściowymi. Ogród tworzył zarośniętą symfonię chaotycznie rozrzuconych krzewów i kwiatów. Kiedy zadzwoniłem, nikt nie otworzył.

Odczekawszy kilka minut, podążyłem wąską żwirową ścieżką otaczającą dom. Po drugiej stronie powietrze wisiało ciepłe i nieruchome, przepełnione kwiatową wonią. W cieniu starego dębu owady bzyczały w pojedynczych promieniach słońca przedostających się przez listowie. Schody z artystycznie rzeźbioną

poręczą prowadziły do zabudowanej werandy, na której stały stół i dwa krzesła.

Drzwi werandy były szeroko otwarte, dobiegała z nich muzyka. Opera. Dwa głosy splatające się z sobą w niezwykłym, czystym jak szkło tonie, unoszące i pieścące się nawzajem, rozbawione niczym dwa ptaki tańczące pod sklepieniem nieba. Stałem chwilę, poruszony pięknem tej sceny i samej muzyki, po czym wspiałem się po schodach.

Carlo Jensen siedział pośrodku werandy, ubrany w białą koszulę i białe spodnie. Jego wielkie, ciężkie ciało wyglądało, jakby kołysało się na czubkach palców u stóp. Miał zamknięte oczy, głowę odrzucił w tył, a na twarzy malował się zachwyt. Poruszał dłońmi, kreśląc nimi różne kształty i wzory w zaciemionym wnętrzu. Dyrygował muzykami. Scena ta była w pewien sposób tak prywatna, tak obnażająca duszę, że poczułem się jak podglądacz. Odwróciłem się i zszedłem do ogrodu, gdzie czekałem.

Kiedy muzyka ucichła, zawołałem: „Halo!”, a on zjawił się w drzwiach z uśmiechem na ustach i mnie przywitał. Podane przez niego białe wino było dokładnie tak dobre, jak obiecał. Rozmawialiśmy o Iversenach.

– Kto polecił cię Katrine?

Wzruszył ramionami.

– Znajomy, któremu... winien byłem przysługę. Miałem wątpliwości, nie czułem się wystarczająco kompetentny, aby zająć się tego typu sprawą, ale okazało się, że to niezbyt skomplikowane. Na szczęście poszło dobrze.

Skinąłem głową.

– Okej. Co możesz mi powiedzieć o rodzinie?

Zastanowił się chwilę.

– W pewien sposób ich lubiłem. Zarówno Jarle, jak i Erling mieli swoje dobre strony. Katrine w zasadzie też. Ale to rodzina dysfunkcyjna. Inaczej nie można ich nazwać.

– Wiem. Mam jednak nadzieję, że mimo to przydasz mi się jako świadek. Nie jestem pewien, czy Jarle jest winny.

– Obyś się nie mylił. W każdym razie wydaje mi się, że kochał brata.

Godzinę później oparłem się w fotelu i podziękowałem mu.

– Pomoże ci to?

– Chyba tak. Na pewno trochę.

– To dobrze – powiedział, wstając. – Dość na dziś o Iversenach. Może zostaniesz na obiad?

Odparłem, że nie chcę sprawiać kłopotu.

– Bzdura. Zaraz przyniosę nową butelkę i rozpalę grill. Siedź, ja to załatwię.

Pomimo swoich rozmiarów Carlo Jensen poruszał się lekko, szybko i efektywnie. Siedziałem w cieniu na werandzie, sącząc wino, podczas gdy on w zadziwiająco krótkim czasie rozpalił grill, nakrył do stołu, zrobił sałatkę, a wreszcie podał nam filety z zębacza.

Danie idealnie pasowało do ciepłej pogody. Jedliśmy, pijąc wino i plotkując o kolegach po fachu. Później, gdy cienie się wydłużyły, wyjął duże kieliszki i drogi koniak.

– Słyszałem, że widzisz się z Jesperem Juulem – rzekł.

– Tak, zgadza się. Spotykamy się co jakiś czas. To miły człowiek.

– Owszem. Jesteśmy... dość bliskimi przyjaciółmi.

– Mówił, że razem grywacie. Nie znam się za bardzo na muzyce, ale to, co leciało, kiedy przyszedłem, było piękne.

– Podobało ci się?

– Tak.

Wstał, poszedł do salonu i włączył tę samą operę. Siedzieliśmy w milczeniu, ponownie skąpani w dźwiękach. Po wybrzmieniu ostatnich tonów w wieczornym powietrzu zobaczyłem, że Carlo Jensen ma łzy w oczach.

– To twój dom rodzinny? – zapytałem, głównie po to, aby ukryć swoje krępujące wzruszenie.

Roześmiał się dźwięcznie.

– Mój dom rodzinny? Nie, bynajmniej. Pochodzę z... jak to mówią... zupełnie innych sfer. – Dolał nam trunku. W ciemności wydawał się bardziej ponury niż kiedykolwiek. – Kiedy dorastałem, mieszkałem z matką. Nie miała pieniędzy ani... perspektyw.

– A co z twoim ojcem?

– Ojciec był prawdopodobnie Hiszpanem. Nie jestem pewien, ale ta hipoteza wydaje się sensowna, zważywszy na to, iż mnie po nim nazwano. Imię Carlo, niepasujące za bardzo do nazwiska, to wszystko, co mi po nim zostało. Nie mogę go obwiniać, prawdopodobnie nie wie nawet o moim istnieniu. – W zamyśleniu wpatrywał się w koniakówkę, delikatnie poruszając złotym płynem. – Moja matka... miała słabość do mężczyzn. Zwłaszcza do Latynosów. Szczerze mówiąc, to była dominująca cecha jej charakteru. „Twój ojciec był taki piękny, Carlo – mawiała. – Przystojny, ciemny i ognisty”. – Znowu się zaśmiał. – To dość nieprzydatna informacja dla chłopaka chcącego się czegoś dowiedzieć o swojej przeszłości, o tym, kim jest i skąd pochodzi.

Taki to był wieczór. Aksamitny letni wieczór, dość ciemny, aby pozwolić na odrobinę anonimowości, uczynić rozmowę bardziej poufałą i prywatną niż zwykle. Opowiadałem o własnym dzieciństwie spędzonym z ojcem. Carlo mówił o swoim marzeniu,

by stać się kimś, o ambicjach, z których matka wraz ze swoją rodziną tylko się śmiała, o cichym triumfie powodzenia.

Jedynym zgrzytem było moje pytanie o to, czy był kiedyś żonaty i dlaczego mieszka sam. Kiedy odparł, że tak już się ułożyło jego życie i w zasadzie mu to odpowiada, pochylił się i dotknął dłonią mojego kolana, ja zaś odniosłem wrażenie, że w jego oczach odczytuję pytanie. Nie przywiązałem to tego większej wagi. Byłem wstawiony i wmówiłem sobie, że to nic nie znaczy, że to przypadek, a tak w ogóle nie obchodzi mnie jego orientacja. Kiedy dziękowałem mu za przyjemny wieczór, w ogóle już nie pamiętałem o tym epizodzie.

## Rozdział 36

Kirsten zadzwoniła pewnego wtorku. Ujrzałem jej imię na wyświetlaczu komórki, ale nie odebrałem, gdyż rozmawiałem właśnie z klientem. Zadzwoniła ponownie późnym popołudniem, w środku mojej poobiedniej sjesty, i kolejny raz podczas telewizyjnych wiadomości. Zdałem sobie sprawę, że nie mam ochoty z nią rozmawiać.

Kiedy komórka zapiszczała, zrozumiałem, że Kirsten zostawiła mi wiadomość, ale zwlekałem z odsłuchaniem jej, wolałem pooglądać telewizję i sprzątnąć nieco w kuchni. Dopiero po jedenastej połączyłem się z pocztą głosową, żeby wysłuchać zniecierpliwionej Kirsten. „Och, Mikael! Odbierz telefon, to irytujące! Posłuchaj, czegoś się dowiedziałam, a mówiłam, że tobie powiem pierwszemu. Wiedziałam, że coś się nie zgadza, Mikael. To takie proste... ale najlepiej będzie, jak sama ci pokażę. Proszę, przyjedź do mnie wieczorem, to sam zobaczysz, że miałam rację, że coś tu jest nie tak. W sumie to dość nieprzyjemne. Przyjedź, jak późno tylko chcesz... no, przed pierwszą w nocy. Okej?”

Nie miałem ochoty znowu się w to mieszać, nie wierzyłem też, że znalazła coś ważnego. Z mojego doświadczenia wynikało, że kiedy ktoś nie chce pogodzić się z rzeczywistością, wówczas nie przekonają go żadne argumenty i dowody. Przez wszystkie lata dość miałem takich klientów. Osoby ocalałe z wypadków, ludzi,

którzy stracili swoich najbliższych i nie mogli uwierzyć, że stało się to przez przypadek, z powodu czyjejś bezmyślności czy zwykłego pecha. Potrzebowali czegoś więcej, kozła ofiarnego, powodu, którego można by się uchwycić i który wyjaśniłby bezsens tragedii. Tacy ludzie nie pojmowali, że śmierć jest częścią życia. Myślałem, że nie mogę już więcej zrobić dla Kirsten, jednak tak bardzo nalegała, była tak podekscytowana, że nie miałem serca jej zignorować.

Na ulicach było prawie pusto, właściwie napotkałem jedynie taksówki. Jechałem w stronę lotniska, aż do końca autostrady, a później parę kilometrów bocznymi drogami. Na osiedlu Kirsten panowała całkowita cisza. Nie widziałem ani jednego człowieka, nawet nikogo wyprowadzającego psa. Większość domów spowijała ciemność, w każdym razie od strony ulicy. Również u Kirsten nie paliły się światła, co trochę mnie zdziwiło. Nawet oświetlenie zewnętrzne było zgaszone. Reflektory mojego samochodu na krótką chwilę omiotły jej podjazd, kiedy skręciłem w bramę, a biały żwir ścieżki ogrodowej zamigotał niczym kryształki lodu, lecz kiedy wyłączyłem silnik, wszystko na powrót pogrążyło się w mroku.

Wysiadłem z auta i poczułem na skórze nocny chłód oraz wilgoć. Letnie ciepło trwało tylko kilka dni, teraz wszystko wróciło do normy. Dźwięk dzwonka rozległ się głucho w głębi domu, ale nikt nie otworzył. Zadzwoiłem jeszcze raz, i znów, lecz nadal nikt nie odpowiadał.

Zakląłem, pewien, że zasnęła pomimo deklaracji, że mogę przyjechać do pierwszej. Odwróciłem się już, żeby wrócić do domu, ale zanim wsiadłem do auta, zmieniłem zdanie. Było późno, a ja pokonałem długą drogę w porze, kiedy wolałbym leżeć we własnym łóżku. Wyjąłem więc z kieszeni telefon i wybrałem numer komórki



Kirsten, lecz otrzymałem tylko grzeczną wiadomość, że abonent wyłączył aparat lub znajduje się poza zasięgiem.

Po połączeniu się z jej numerem stacjonarnym usłyszałem sygnał wolnej linii, a kiedy znowu podszedłem do drzwi, z wewnątrz dobiegł mnie dźwięk dzwonka, słaby, powtarzający się. Nadal jednak nikt nie odbierał. Sprawdziłem drzwi. Były zamknięte.

Ze schowka w samochodzie wyjąłem latarkę i skierowałem strumień światła do środka przez okienko w garażu. Musiałem przytknąć twarz do szyby, żeby cokolwiek zobaczyć, i wówczas dostrzegłem błysk czarnego lakieru. Jej samochód.

Trawnik układał się miękko pod moimi stopami, gdy po śliskiej, mokrej murawie schodziłem ostrożnie po zboczu na tyły domu. Taras wyłożono płytkami i zastawiono ciężkimi meblami ogrodowymi, które zagęszczały głęboką ciemność pod zadaszeniem. Za matowymi szklanymi drzwiami prowadzącymi do salonu na poziomie piwnicy nie mogłem dostrzec światła. Przypuszczałem, że będą zamknięte, ale pociągnąłem na próbę najbliższe z nich i drgnąłem, kiedy bezgłośnie przesunęły się w bok. Zasłona uniosła się w przeciągu, powiewając jak ciemny żagiel. Odsunąłem ją i wszedłem do środka.

W pomieszczeniu nie można było nic dojrzeć. Grube zasłony nie wpuszczały światła, więc pokój spowijały egipskie ciemności. Zapaliłem latarkę, którą nadal trzymałem w dłoni, i omiotłem promieniem wewnątrz: białe kanapy, wypolerowany na połysk stół ze stojącą na nim brudną filiżanką po kawie, nagły kontrast karmazynu i jasnej żółci z obrazu na ścianie, barek z butelkami i szklankami odbijającymi się złotymi refleksami. Pokój był pusty, tak jak się spodziewałem. Wspiąłem się po schodach, położyłem dłoń na kontakcie, ale coś kazało mi nie włączać światła, więc

oświetliłem sobie drogę latarką.

Wszedłem do korytarza, ujrzałem szeregi butów. Później do kuchni, gdzie czujny promień ujawnił okruszki i brudne talerze oraz minął karteczki z notatkami i kolorowe pocztówki na drzwiach lodówki. Wreszcie wkroczyłem do głównego salonu. Był duży, otwarty na jadalnię, z dwiema grupami miejsc do siedzenia. Pierwsza, mocno przeszklona część pod otwartym sklepieniem wychodziła na szeroki balkon, dalej zaś trzy stopnie prowadziły w dół, do ciemniejszej, przytulniejszej części z solidnym kominkiem z szarego kamienia. Stałem, węsząc, gdyż wyczułem nieznaną, nieprzyjemny zapach.

– Kirsten – odezwałem się cicho, a później nieco głośniej: – Kirsten, jesteś tu?

Ruszyłem wolno naprzód. Coś zaślniło na parkiecie w świetle latarki, pochyliłem się więc i rozpoznałem okruchy szkła, cienkie, ostre kawałki, jak z żarówki. Delikatnie przemieszczałem promień na boki, aż zobaczyłem przesunięty stolik, obok zaś przewróconą lampę.

Zapach stał się intensywniejszy. Zapach metalu, miedzi, ciężko i słodko atakujący nozdrza. Nagle mnie zemdliło, musiałem kilkakrotnie przełknąć ślinę. Zmusiłem się, by iść dalej. Oświetliłem stopnie aż do części z kominkiem. Ujrzałem ciemną plamę, samotną kroplę. Ktoś rozlał na podłogę wino. Więcej kropli, regularny wzór na parkiecie. I dalej, jeszcze gęstszy wzór, kropelki łączące się w rzeczki, aż wreszcie w jezioro koło nogi kanapy. Połyskliwe, błyszczące, rubinowe jezioro.

Pośrodku promienia latarki – dłoń.

Biała, szczupła kobieca dłoń, dłoń o czerwonych paznokciach, ze złotym refleksem obrączki.

Zatoczyłem łuk wokół kanapy, próbując nie wdepnąć w krew, i oświetliłem głowę oraz tułów Kirsten Groven. Leżała na brzuchu, z czerwonymi i splątanymi włosami, w czerwonym morzu. Mdłości wróciły ze zdwojoną siłą. Musiałem walczyć, aby nie zwymiotować. Oddychałem głęboko przez nos, na chwilę zamknąłem oczy.

Wreszcie na powrót je otworzyłem, raz jeszcze spojrzałem na Kirsten, na jej długie, szczupłe nogi ze stopami zwróconymi do wewnątrz. Miała na sobie szarą spódnicę, która podsunęła się w górę. Z przykrością dostrzegłem majtki, miękką krągłość pupy. Już miałem się pochylić, aby obciągnąć spódnicę, ale się powstrzymałem. Zamiast tego zmusiłem się, by spojrzeć na jej głowę. Obejrzałem ranę w skroni, otwarty krater pokryty włosami, krwią i białymi odłamkami kości. Wiedziałem, że Kirsten nie żyje, a jednak ostrożnie wyciągnąłem dłoń i opuszkami palców dotknąłem szyi. Nie wyczułem pulsu.

Wstałem, wróciłem tą samą drogą, którą przyszedłem, i opuściłem dom. Usiadłem w aucie. Nagle uderzyła mnie fala chłodu, aż zadrzałem. Musiałem uruchomić silnik i włączyć ogrzewanie. Moje palce były odrętwiałe i niezdarne, więc dopiero po kilku próbach udało mi się wybrać numer alarmowy, lecz kiedy się z nim połączyłem, zdołałem opisać, co się stało, zadziwiająco rzeczowym, spokojnym głosem.

– Jest pan pewien, że nie żyje? – zapytał głos w słuchawce.

– Absolutnie pewien – odpowiedziałem.

Później mogłem już tylko czekać.

## Rozdział 37

Kirsten pochowano tydzień później, a nabożeństwo odprawiono w tej samej kaplicy, w której pół roku wcześniej odbył się pogrzeb jej męża. Widziałem tam wiele tych samych osób co poprzednio, a także parę nowych twarzy, głównie kobiecych. Pomyślałem, że to przyjaciółki albo koleżanki Kirsten. W pierwszym rzędzie siedział brat Bjørna Simen z żoną i nikt poza tym. Nikt z rodziny Kirsten. Zdałem sobie sprawę, że nic mi nie wiadomo o jej przeszłości, z wyjątkiem ogólników o problemach w dzieciństwie.

Pastor także nie wyjaśnił za bardzo sprawy. Mówił ogólnie o trudnych warunkach, o dziewczynie, która w młodym wieku wyrwała się z domu, aby żyć na własną rękę, która doszła do czegoś dzięki inteligencji i sile woli. Zastanawiałem się nad prawdziwą historią Kirsten.

Siedziałem sam, ze śpiewnym głosem pastora w tle, pozwalając myślom swobodnie krążyć w głowie. Białą trumnę otaczały kwiaty i wieńce, jeden z nich był ode mnie, chociaż go nie widziałem. W trumnie leżała Kirsten. Na ogół nie myślimy o tym podczas pogrzebów. W niektórych kulturach zmarli spoczywają w otwartych trumnach, właściwie przygotowani, aby żałobnicy mogli pożegnać się ze znaną, a może i kochaną twarzą. U nas tak nie jest. My odgradzamy się od śmierci, dosłownie przykrywamy ją wiekiem, przyjmując wobec niej równie antyseptyczną i chłodną postawę, co

w stosunku do wszelkich innych nieprzyjemnych zjawisk. Jednak ja widziałem prawdziwą śmierć Kirsten, nieocenzurowaną i brutalną, czułem zapach krwi, widziałem odłamki kości niczym białe kamienie w czerwonym pejzażu, a także jej puste, wpatrzone w nicość oczy i zastanawiałem się, czy ujrzę w nich cień przerażenia, które musiała czuć w ostatniej chwili. Nie mogłem tego zapomnieć.

Zamknięta trumna wcale mi nie pomagała. Nosilem w sobie obraz takiej Kirsten, jaką widziałem po raz ostatni. Od momentu, kiedy ją znalazłem, cały czas we mnie tkwił, wieczorem przed zaśnięciem oraz gdy budziłem się w środku nocy, zlany potem i wyczerpany, przepełniony mieszanką wściekłości, rozpacz i niemocy, która wysysała ze mnie siły i czyniła dni długimi, niemal bez końca.

Później mogłem tylko uścisnąć dłonie brata Bjørna i jego żony, choć wydawało mi się to niewłaściwe. Kirsten była witalną i energiczną kobietą sukcesu w pełni życia, a teraz jak gdyby nic po sobie nie zostawiła. Ani dzieci, ani rodzeństwa, ani rodziców. Tylko teściów, przyjaciół i znajomych. Czułem, że o niej zapomnimy. Już w bladym popołudniowym słońcu i zimnym wietrze przed kaplicą zaczęliśmy ją zapominać, kierować myśli ku żywym, ku temu, co zjemy na obiad, ku pracy, dzieciom i partnerom. Dla nikogo na świecie Kirsten nie miała największego znaczenia, nie była podstawą całego życia. Jedynie dla Bjørna, który sam zmarł.

Wszystko to wydawało się smutne, bezsensowne i przybijające. Skinąłem głową kilku starym znajomym, zamieniłem z nimi parę nic nieznaczących słów. Wreszcie podszedł do mnie Carlo Jensen, jak zawsze nienagannie ubrany, duży i ciężki, a jednak elegancki.

– To okropne – odezwał się. Widziałem, że znowu płakał. – Nie

więcej niż... Spotkaliśmy się zaledwie parę tygodni temu. To niepojęte. Zupełnie bez sensu.

– Tak – przyznałem. – Zgadza się.

Nie mieliśmy sobie nic więcej do powiedzenia, więc staliśmy w ciszy.

– Nie widziałem nikogo z rodziny Kirsten – zacząłem po chwili. – Co z nimi? Pastor jedynie robił aluzje, a Kirsten nigdy nie wspominała o swojej przeszłości, w każdym razie nie mnie.

– To podobno okropni ludzie – rzekł. – Bjørn twierdził, że to cholerna familia.

– Więc nie miała z nią kontaktu?

Pokręcił głową.

– Chyba tylko wtedy, kiedy próbowali pożyczać pieniądze, ale Bjørn skutecznie ukrócił te praktyki.

– Taak. Chyba jednak powinni byli przyjść, chociaż dla zachowania pozorów.

Nic nie odpowiedział, tkwił tam tylko niczym wycieńczony cyrkowy niedźwiedź, więc się z nim pożegnałem. Skinął mi głową i przez chwilę widziałem w nim jednego z tych chłopaków, którzy zawsze zostają z boku po wyborze drużyn, chłopaków, których nikt nie chce, którzy są zbędni.

Ktoś zapytał, czy nie pójde do kawiarni, ale pokręciłem głową. Nie tym razem. Nie mogłem znieść myśli o spekulacjach, o lekko tłumionej ekscytacji zwykle wywoływanej przez zabójstwa, o mieszance przerażenia i fascynacji.

Dwa dni później do moich drzwi ostrożnie zapukał aplikant Hans Olav. Dawno u nas nie był, a ja nie znałem go zbyt dobrze.

– Wejdz – rzekłem. – W czym mogę pomóc?

Wyglądał trochę niepewnie.

– Cóż, to nieco... niemiła sprawa. Nie wiedziałem do końca, co powinienem...

– Siadaj. Zaczynaj od początku.

Pokręcił głową.

– Nie, klient czeka na mnie w biurze.

– No więc?

– Właśnie o to chodzi. Rozumiem, że jest pan... był... dobrym przyjacielem mecenasa Grovena i jego żony.

– Tak?

– Przyszedł do mnie dzisiaj nowy klient. Chodzi o spadek. Okazuje się, że to brat Kirsten Groven. Szuka pomocy w sprawie spadku po niej. Mówi, że ma testament. Pomyślałem, że może powinniśmy... Nie wiedziałem, co robić.

Wstałem.

– Dobrze, że do mnie przyszedłeś. Przyjrzyjmy się temu bratu.

Mężczyzna musiał okropnie dużo palić. Wydzielał z siebie woń popiołu i smoły, którą przesiąknięte były jego krótka dżinsowa kurtka i brudne spodnie, a także siwe włosy i stalowoszary zarost. Miał żółtobrunatne palce. Nawet skóra jego twarzy, pokryta siatką drobnych zmarszczek, była sina od nikotyny i stałego niedoboru tlenu.

Przedstawił się jako Lars Knut Sture i przywitał ze mną dość grzecznie, jednak jego wzrok pozostał chłodny i pytający, a twarz twarda i brutalna jak często używana, zaciśnięta pięść. Z trudem dostrzegałem podobieństwo do Kirsten Groven.

– W czym problem? – zapytał. – Sprawa nie jest chyba na tyle trudna, żeby musiało się nią zajmować kilku adwokatów?

– Nie – odparłem. – Ze sprawą nie będzie problemu, jeśli się nią zajmiemy. Jestem starszym partnerem w tej firmie i to ja decyduję

o tym, czy będziemy mogli panu pomóc. Jest pan bratem Kirsten Groven?

– Zgadza się.

– Byliście rodzeństwem biologicznym czy przyrodnim?

Na moment się zmieszał.

– Mieliśmy tę samą matkę i ojca, jeżeli o to panu chodzi.

– Tak. Czy rodzeństwa jest więcej?

– Pięcioro.

– Ach tak. Rozumiem, że chodzi o testament. Mogę na niego zerknąć?

Podał mi go, ale w jego oczach kryła się pewna niechęć.

– Co ma...?

– Chwileczkę – poprosiłem.

Testament był krótki i rzeczowy. Kirsten Groven zostawiała cały majątek swojemu bratu Larsowi Knutowi Sturemu. Od strony formalnej dokument wydawał się w porządku, podpisało go dwóch świadków i nosił datę sprzed około pół roku. Oddałem go Sturemu.

– Dlaczego akurat panu, a nie któremuś z pozostałego rodzeństwa?

– Przypuszczam, że tego właśnie sobie życzyła. – Jego twarz była zdecydowanie zmrożona. – To będziecie mogli mi pomóc?

– Chyba nie – powiedziałem. – Zarówno pana siostra, jak i jej mąż byli moimi znajomymi. Znam także brata Bjørna. Obawiam się, że może dojść tutaj do konfliktu interesów, a tego nasza firma by nie chciała. Potrzebuje pan kompetentnych adwokatów bez podobnych obciążeń. Jestem pewien, że Hans Olav kogoś panu poleci.

Wyglądał na dezorientowanego i zirytowanego zarazem.

– Znał pan moją siostrę?



Skinąłem głową.

– Tak.

– I nie weźmie pan tej sprawy?

– Zgadza się. – Przyglądałem mu się przez chwilę, po czym dodałem: – Nie było pana na pogrzebie. Ani nikogo innego z rodziny.

Posłał mi puste, nieprzyjazne spojrzenie.

– No i...?

Wzruszyłem ramionami, ale jego obojętność obudziła we mnie wściekłość, wzbierającą w przeponie niczym fala.

– Tak tylko myślałem. To... nietypowe.

– Jesteśmy nietypową rodziną – burknął. – Sam znajdę innego adwokata.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, odwróciłem się do Hansa Olava.

– Masz jego adres?

– Tak.

– Dobrze. Prześlij mi go mailem.

Lars Knut Sture mieszkał na wysepce położonej na południowy zachód od miasta, jednym z licznych skrawków lądu wychodzących ku otwartemu morzu, rozrzuconych niczym zapomniane zabawki na horyzoncie, pośród wąskich cieśnin i niewielkich zatoczek z małymi gospodarstwami i wioskami wciśniętymi między wzgórza, jak gdyby próbowały skryć się przed dzikością żywiołów. Latem to jeden z piękniejszych krajobrazów na świecie, skąpany w łagodnych pastelowych barwach oraz woni wrzosu i świeżo skoszonej trawy. Zimą ziemia jest tam jałowa i pusta, świat rysuje się w czerni i bieli, jakby wilgotny, lodowaty zachodni wiatr wysysał z krajobrazu życie i kolor.

Zadzwońiem do starego znajomego, Thomasa Olsena. Dorastał tam, a ja spędziłem z nim w dzieciństwie parę radosnych wakacyjnych tygodni. Później wyjechał do stolicy, ukończył szkołę policyjną i przepracował w Oslo kilka lat, ale po jakimś czasie zatęsknił za domem, więc gdy tylko pojawił się wakat na lokalnym posterunku, wysłał swoją kandydaturę. Od tamtej pory mieszkał w rodzinnych stronach. Kiedy obecny szef odejdzie na emeryturę, to on przejmie jego obowiązki.

– Co możemy uczynić dla miejskiej elity prawniczej? – zapytał, kiedy się przedstawiłem. – Wiesz, że cały dzień jesteśmy na zawołanie takich jak ty.

– Wiem, Thomas. Uwielbiam dzwonić do was, służalczych wieśniaków i rybaków, tylko po to, żebyście mogli bić pokłony. To dobre dla obu stron.

– I...?

– Potrzebuję informacji o niejakim Larsie Knucie Sturem. Nic o nim nie wiem poza powierzchownym pierwszym wrażeniem, jakie na mnie zrobił.

– Które mówi ci, że...?

– Że wolałbym nie być jego wrogiem.

Zaśmiał się.

– Jego przyjacielem też wolałbyś nie być, Mikael, uwierz mi. Chcesz oficjalną wersję czy dołożyć jeszcze plotek i pogłosek?

– Poproszę pełen pakiet.

– Okej. Z oficjalną częścią pójdzie szybko. Lars Knut Sture odsiedział trzynaście lat za zabójstwo z premedytacją, ale to było już dość dawno temu. Na początku lat osiemdziesiątych zabił tutaj faceta. Kłócili się o kobietę, o ile pamiętam.

– Aż tak!

– No, ale jak mówię, wyszedł już dawno.

– I zgrzeczniał.

– Nie do końca, lecz jest starszy i bystrzejszy, wie, co robi. Chyba nie planuje znowu wpaść, jednak nadal sieje tutaj trwogę. Ludzie boją się Larsa Knuta Sturego, naprawdę się boją, aż bledną i przełykają ze strachu ślinę, i całkiem się zamykają, gdy tylko odpowiednio na nich spojrzy.

– Ma rodzinę?

Krótki śmiech.

– Nie wiem, czy rodzina to właściwe słowo. Chyba nie ma dzieci, tylko rodzeństwo i kuzynostwo... Sturowie to klan, a nie rodzina. Jest ich dużo, sami zadymiarze i tępaki. Pijacy, dziwki i inny element.

– I mają pewnie mnóstwo dzieciaków?

– Zgadza się. Kiedyś zawładną światem.

Zaśmiałem się.

– Jeszcze nie teraz. Czy powinienem wiedzieć coś jeszcze?

Zastanowił się chwilę.

– Cóż, myślimy, że siedzi po uszy w sprzedaży narkotyków.

– Tam u was?

Chyba musiał dosłyszeć niedowierzanie w moim głosie.

– Tak, właśnie tutaj. Myślałeś, że tylko w miastach są z tym problemy? Niestety nie. Lars Knut Sture w każdym razie ma dobre kontakty w mieście.

– Okej. Ale nic na niego nie macie, tak? To tylko przypuszczenia?

– Nie możemy mu nic udowodnić, jeżeli o to ci chodzi. Ale to nie przypuszczenia, jesteśmy całkiem pewni. I prędzej czy później coś na niego znajdziemy.

– Okej – powiedziałem. – Dziękuję bardzo, Thomas.

– Nie powiesz mi, o co chodzi?

– Może, ale nie teraz. Najpierw chcę się trochę zastanowić.

Nie musiałem myśleć zbyt długo. Dzięki odrobinie wysiłku dotarłem do oficera kierującego śledztwem w sprawie zabójstwa Kirsten. Przez telefon wydawał się znużony i pozbawiony werwy, jakby rozmawiał ze mną z poczucia obowiązku, ale nie wierzył, że mu się to na coś przyda. Przekazałem mu to, co wiedziałem o rodzinie Kirsten, o odwiedzinach Larsa Knuta Sturego w naszej kancelarii i o testamencie.

– I twierdzi pan, że wcześniej usiłował pożyczyć od siostry pieniądze?

– Tak. To znaczy nie wiem, czy to on czy ktoś z rodzeństwa. Carlo Jensen, wspólnik Bjørna Gro...

– Wiem, kto to.

– Okej, a więc Carlo powiedział mi, że rodzina Kirsten kilka razy próbowała pożyczać od niej pieniądze, ale została odprawiona z kwitkiem. Nie odniosłem też wrażenia, żeby Kirsten chciała mieć z nimi cokolwiek wspólnego. Dlatego cały ten testament wydaje się nieco dziwny. Poza tym...

– Tak?

– Nikt z nich nie zjawił się na pogrzebie.

Pomyślał chwilę.

– Okej, sprawdzimy to. – A po chwili, jakby się zreflektował: – Dziękuję za telefon, Brenne.

Kilka dni później obudziłem się kolejnego mokrego, niezbyt ciepłego ranka, a nagłówki porannej prasy znów dotyczyły zabójstwa Kirsten. Jej brat został zatrzymany jako podejrzany o zamordowanie siostry.

Przeczytałem wszystko, co znalazłem, ale nie dowiedziałem się

zbyt wiele. Niedużo było tam faktów, za to mnóstwo spekulacji. Tylko jedna informacja miała pewne znaczenie. Z artykułu wynikało, że Kirsten zostawiła korzystny dla brata testament. Podano też, iż policja uznała testament za fałszywy. Chociaż nie powiedziano nic wprost, nietrudno było zgadnąć, że zdaniem policji taki właśnie mógł być motyw zabójstwa.

Uniosłem filiżankę, wypilem łyk kawy, spojrzałem przed siebie. Po moim ciele rozchodziło się ciepło zadowolenia.

## Rozdział 38

Parę dni później, bez ostrzeżenia, moje życie legło w gruzach. Obudziłem się i odkryłem, że w ciągu jednej nocy świat stał się mrocznym i bezbarwnym miejscem. Wstanie z łóżka wymagało pełnej siły woli. Chodzenie do pracy wydawało się bezcelowe, lecz mimo wszystko zdobyłem się na to.

Przez następne dni siedziałem za biurkiem, spoglądając przed siebie pustym wzrokiem. Rysowałem na kartce bezsensowne kształty i piłem kawę. Próbowałem pracować. Otwierałem teczki, czytałem listy i inne dokumenty, usiłowałem pisać, ale bez skutku. Mój mózg jakby się wyłączył, a myśli zastygły w gęstym syropie. Odeszły nawet słowa, którymi zazwyczaj sypałem jak z rękawa, więc te parę zdań, które zdołałem napisać, brzmiało nieporadnie. Doskonale wiedziałem, co się dzieje. Moja reakcja po odejściu Kari nauczyła mnie, czym jest depresja. Rozpoznawałem jej smak, zapach i dotyk jak starego wroga, a nawet wiedziałem, dlaczego przyszła.

Znalazłem Kirsten w kałuży krwi na podłodze salonu. Później działałem na autopilocie. Wziąłem udział w policyjnym przesłuchaniu, pracowałem, nawet pomogłem wykryć jej mordercę. Nie wsłuchiwałem się jedynie we własne uczucia. Zdałem sobie sprawę, że cały czas czekałem na tę reakcję, jakby jakaś nieświadoma część mnie zarejestrowała drobne znaki dysfunkcji,

ciche szmery i wibracje w silniku zwanym Mikael Brenne, podczas gdy moja świadomość koncentrowała się na drodze przede mną, wciskając pedał gazu.

Chociaż wiedziałem, że mam depresję, i pojmowałem jej przyczyny, to jednak nie potrafiłem się jej pozbyć. Nawet zrozumienie sposobu działania całego świata nie przywróciłoby koloru moim dniom, które nieustająco pozostawały równie ubogie i bez życia. Chodziłem do pracy, ale nie udawało mi się nic zdziałać. Z czasem zacząłem bać się telefonów, nie dawałem rady z nikim rozmawiać, więc zablokowałem połączenia przychodzące. Wszystkich rozmówców przekierowywano do centrali, gdzie informowano ich, że oddzwonię. Ale nie robiłem tego. Wziąłem za to urlop. Powiadomiłem recepcjonistkę, że nie będzie mnie kilka tygodni, wróciłem do domu, wyciągnąłem wtyczkę telefonu i poszedłem spać.

Pierwszy tydzień przeleżałem pod kołdrą, przy zasuniętych zasłonach i wyłączonym świetle. Spałem prawie cały czas i niemal nic nie jadłem. Kiedy po tygodniu wstałem, byłem osłabiony i drżący jak po długiej, poważnej chorobie, później jednak trochę mi się poprawiło. Powoli wracał apetyt, zacząłem się wybierać na krótkie spacerki.

Pod koniec drugiego tygodnia poszedłem w góry.

Świeciło słońce, które mnie grzało, ale wiał też zimny wiatr, goniący chmury po niebie i kłujący w policzki chłodem, kiedy wspinałem się na szczyt. Zostawiłem za sobą zabudowania. Spokojnie pokonywałem ciasne zakręty wzdłuż górskiego grzbietu za domem, świadom swojej słabej kondycji. Dokuczały mi mięśnie ud, a łydki zesztyniały i zaczęły boleć jeszcze przed dotarciem na pierwszą grań.

Doszedłem do ukrytego między pagórkami jeziorka o ciemnej, niemal nieruchomej toni. Jeden jego koniec pokrywał kobierzec zielonych lilii wodnych. Jako dzieci przychodziliśmy się tutaj kąpać. Zawsze się przyłączałem, ale nigdy nie odważyłem się wskoczyć do środka. Ktoś mi powiedział, że długie łodygi lilii, ledwie widoczne, kręte, zielone liny w ciemnej toni, owijają się wokół kończyn nieświadomych pływaków, wikłając ich w niedającą się przerwać sieć i wolno ciągnąc na dno. Latami śniły mi się te lilie. Nawet jako dorosły nie kąpię się w leśnych stawach.

Ruszyłem dalej. Nagle pomyślałem o Kirsten i ze zdumieniem odkryłem, jak bardzo wyparłem ją z umysłu. Przez czternaście dni ani jej, ani Bjørnowi nie poświęciłem nawet jednej myśli, jednak teraz wspomnienie o nich zjawilo się w mojej głowie wyraźne i jasne, a żal ukłuł mnie jak nóż.

Wezbrało we mnie uczucie podobne do paniki. Ścisnęło mnie w gardle, serce zaczęło galopować naprzód, wymknęło się spod kontroli, całe ciało nagle zlał pot i musiałem stanąć. Po kilku sekundach czy minutach wszystko wróciło do normy, a ja tkwiłem pośrodku ścieżki, rozedrgany i słaby, z trudem łapiąc powietrze. Dwie starsze panie idące w przeciwnym kierunku popatrzyły na mnie najpierw zdziwione, później zaś lekko zmartwione.

Po chwili poszedłem dalej. Przy schronisku Brushytten zaatakował mnie zimny wiatr z północy, a na wąskiej, prowadzącej na szczyt drodze wzdłuż zbocza musiałem naciągnąć szalik na twarz, by ochronić podbródek i policzki.

Gdy minąłem szczyt, odwróciłem się plecami do wiatru, ale musiałem uważać, aby nie upaść na śliską, błotnistą ziemię między kamieniami na ścieżce. Dotarłszy do połowy pierwszego zejścia, napotkałem rozwidlenie. Idąc w lewo, wyszedłbym na płaskowyż;



droga była trudna, więc nie miałem problemu z podjęciem decyzji. Nie znalazłbym na to dość sił. Kolana już drżały mi od skakania po kamieniach, toteż poszedłem dalej prosto, przez sosnowy zagajnik, aż dotarłem do starej tamy w szczelinie u zbiegu gór. Grubo ciosane kamienie tworzyły na końcu potężne stopnie przypominające piramidę.

Usiadłem na jednym z nich, na samym dole, by zjeść drugie śniadanie i odpocząć. Już się nie bałem, nie męczyły mnie też złe wspomnienia. Gdy tam siedziałem, znów się przejaśniło, a ja zamknąłem oczy i uniosłem twarz ku niebu. Słońce było tylko czerwoną plamą pod powiekami.

Poszedłem dalej doliną. Nie byłem jeszcze w połowie drogi, kiedy słońce zniknęło za górą po prawej stronie. Szybko ściemniło się i ochłodziło. Ostatni odcinek biegł wzdłuż miejskiego zbiornika wody pitnej. Tafla była szara niczym łupek, a między pniami drzew przy drodze zaczęły się zbierać chmury. Spieszyłem się do domu, czując ból łydek. Odcisk na prawej pięcie wydawał się wystarczającym dowodem na to, jak dawno używałem górskich butów, więc w myślach obiecywałem już sobie poprawę.

W domu czekała na mnie baranina z kapustą. Wieczorem zacząłem ziewać już o wpół do dziesiątej i niedługo później się położyłem. Śnili mi się Bjørn i Kirsten. Widziałem ich zawieszonych w niewyraźnej, ciemnej wodzie, mieli otwarte usta i puste oczy. Ich włosy lekko targał niewidoczny prąd. Wokół ich ciał, rąk i nóg wiły się sieci lilii wodnych, szarozielone, kręte łodygi, jakby schwytał ich gigantyczny pająk. Płynąłem do nich, chciałem ich uratować, ale nie byłem zaskoczony, gdy poczułem pierwszą chłodną, oślizgłą łodygę wokół stopy.

Walczyłem z nią, wrywałem się, lecz wiedziałem, że to na nic,

a zamiast strachu czułem rezygnację i żal.

Przed moimi oczami, niczym połyskliwe kule w półmroku, rosły bańki wydostającego się z moich płuc powietrza. Widok był piękny, ale wypuszczałem ich coraz mniej, zmalowały też, pojawiały się rzadziej. Wreszcie całkiem się skończyły, została tylko ciemność.

## Rozdział 39

Wyprawa w góry mi pomogła, chociaż następnego dnia miałem zeszywniałe stawy. Czułem się lepiej, poranne wstawanie nie było już mordęgą, wracał mi apetyt. Męczyły mnie tylko napady paniki podobne do tego, którego doświadczyłem w górach. Zjawiały się nieoczekiwanie i bez wyraźnego powodu.

Nagle, podczas zmywania naczyń albo w drodze do sklepu, paraliżował mnie strach. Na niczym się nie skupiał, nie bałem się niczego szczególnego, jednak potężne, obezwładniające uczucie przerażenia sprawiało, że pot występował na całe moje ciało, a płuca pracowały jak po wysiłku fizycznym. Za każdym razem odnosiłem wrażenie, jakbym stał na krawędzi przepaści, bezdennej, czarnego wąwozu, i miał zaraz przerwać łączącą mnie ze światem nić. W tych chwilach sądziłem, że jeśli stracę nad sobą kontrolę, to już nigdy nie będę taki sam. Ale mi przechodziło. Ataki mijały po kilku sekundach lub minutach, sam nie wiem. Zostawiały mnie słabego, roztrzęsionego, zlanego potem i z zapachem własnej trwogi w nozdrzach.

Bywały tygodnie, kiedy działo się to codziennie.

Pewnego wieczoru usłyszałem dzwonek do drzwi. Na zewnątrz stała Synne. Miała na sobie adidas, dzinsy i luźną bluzę, włosy upięła w kucyk, nie była umalowana i wyglądała jak dziecko.

– Cześć – odezwała się. – Właśnie przechodziłam.

– Cześć.

Po paru sekundach:

– Mogę wejść?

Bez słowa odsunąłem się na bok i wpuściłem ją do ciemnego przedpokoju.

– Chcesz... chcesz kawy? – zapytałem, po czym zdałem sobie sprawę, że od kilku tygodni nie rozmawiałem z drugim człowiekiem.

– Nie, dzięki – odparła, ale po chwili zmieniła zdanie. – Albo tak, może wypiłabym filiżankę.

Zagotowałem wodę i zrobiłem dla nas kawę rozpuszczalną. Synne stała oparta o framugę drzwi między kuchnią a salonem, przesuając wzrokiem to po mnie, to po wnętrzu. Na chwilę ujrzałem wszystko z jej perspektywy: stertę brudnych naczyń na kuchennym blacie, wyłożone pół chleba i trochę dodatków do kanapek, zużyte torebki herbaty, stare gazety, okruszki i plamy na stole. A w salonie jeszcze więcej gazet, jakieś czasopisma, brudne kubki i zwinięty papierek po czekoladzie.

– Przepraszam za ten bałagan, ale mam wolne – powiedziałem obronnym tonem. – Lubię sobie czasem pofolgować.

Pokręciła głową, jakby trochę zniecierpliwiona.

– To nic.

– Aha. – Poglądziłem się po twarzy; dłoń natrafiła na kilkudniowy zarost. – Jak tam... w kancelarii?

Posłała mi szybkie, badawcze spojrzenie, aż wreszcie wypaliła:

– Wiesz... wiesz w ogóle, ile czasu zostało do procesu? Wiesz?

– Do procesu Jarlego?

– Tak, jasne, że Jarlego!

– Chyba jeszcze trochę – wymamrotałem. – Wszystko będzie dobrze. – Tak naprawdę miałem bardzo mgliste pojęcie, kiedy muszę stawić się w sądzie.

– Boże drogi, Mikael, dwa tygodnie! Dwa tygodnie, a ty ledwie ruszyłeś sprawę!

– No nie, przecież...

– Okej, może przesadzam, ale nie mijam się też mocno z prawdą. Czeka cię... nas... mnóstwo roboty.

– Spokojnie, Synne, nie przejmuj się tak.

Pochyliła się i spojrzała mi w oczy.

– Nie, Mikael, nie będę spokojna. Nie tym razem. Ta sprawa coś dla mnie znaczy.

– Wiem.

– Naprawdę? Nie widać.

– No cóż...

– Nie możesz zawieść Jarlego.

– Nie zawiodę...

– To ja wciągnęłam cię w tę sprawę. Ja... nie dałam rady pomóc Erlingowi... próbowałam, ale się nie udało...

– Synne, nie wolno ci...

– Po prostu zniknął mi z oczu. Nie dotarłam do niego. Chciałam mu pomóc, ale nie mogłam... – Przeszedł ją dreszcz. – Kiedy zobaczyłam go tam, jego oczy, krew... Nigdy tego nie zapomnę. Jakbym jeszcze raz go zawiodła.

– To bez sensu myśleć, że...

– Nie zamierzam zawieść Jarlego. Choćbym miała cię zanieść do biura na własnych plecach, zadbam, żebyś zrobił, co do ciebie należy, i wy dostał tego chłopaka z więzienia! Co z tobą, Mikael? Dlaczego nie pracujesz?! Co ci się stało?!

Ostatnie słowa wykrzyczała mi w twarz. W jej oczach dostrzegłem łzy. Pochyliłem się, ująłem jej dłoń.

– Przepraszam, Synne. Nie płacz. Wszystko będzie dobrze. Chodź, weź kawę, usiądziemy w salonie.

Opowiedziałem jej o moim kiepskim samopoczuciu, o depresji, o tym, że nie mogłem pracować. Słuchała w ciszy, a kiedy skończyłem, spojrzała na mnie zmartwiona.

– Trzeba było iść do lekarza, Mikael. Albo do psychologa.

– Może. Ale już mi przeszło, więc to nic nie znaczy. Jutro wrócę do kancelarii i zajmę się wszystkim. Nie przejmuj się.

– Może nie powinieneś być brać tej sprawy? Jeśli nie jesteś zdrowy... to... Jarle zasługuje na adwokata... w szczytowej formie.

Wstałem.

– Najgorsze już za mną, Synne. I jestem najlepszym adwokatem, na jakiego Jarle może liczyć. Naprawdę myślisz, że mógłby mu się trafić ktoś lepszy ode mnie? Jeżeli tak, to na pewno nie od ręki. Jeśli zmieni adwokata, czeka go kolejne pół roku w areszcie. Tego chcesz?

Na jej twarzy malowało się zwątpienie.

– Wiem, co potrafisz, Mikael, nie w tym rzecz. Ale jeżeli nie jesteś zdrowy, to może...

– Synne, nie martw się. Wydostanę chłopaka. Obiecuję ci, że wygram tę sprawę. Idź już, zobaczymy się jutro wcześniej rano.

– Okej – westchnęła, wstając. – Skoro jesteś pewien.

– Jestem – powtórzyłem. Nie powiedziałem jej o napadach paniki. Nie chciałem jeszcze bardziej jej niepokoić. Po raz drugi przyrzekłem wygrać sprawę, najpierw Jarlemu, a teraz Synne. Nigdy wcześniej tego nie robiłem. W sądzie nie ma przecież gwarancji. W sprawach karnych brak miejsca na litość. Na nic

zdają się obietnice i wielkie słowa, nie istnieją żadne niezawodne sposoby. O życiu lub śmierci decyduje wiedza, umiejętność właściwej oceny sytuacji, przygotowanie, a wreszcie przypadek. Jedno niefortunne sformułowanie, niewłaściwa odpowiedź, chwilowy brak uwagi, ból głowy ławnika, ból zęba sędziego – i wszystko może lec w gruzach bez względu na zdolności obrońcy.

Złożyłem obietnicę, której mogłem nie dotrzymać, co wydało mi się złym znakiem, niedobrą wróżbą.

## Rozdział 40

– Przeanalizujemy listę świadków – zaproponowałem. – Masz ją?  
Nic nie mogę znaleźć w tym przekłętym...

– Proszę – powiedziała Synne. – Tu jest. Nie mamy ich zbyt wielu.

– Raczej nie. Słucham.

– Tak. – Odchrząknęła. – Adwokat Carlo Jensen. Był prawnikiem Katrine, kiedy Służba Ochrony Praw Dziecka próbowała odebrać jej opiekę nad Erlingiem.

– W porządku. Rozmawiałem z Carlem, nie muszę się nim martwić.

Spojrzała na mnie zdziwiona, gdyż nie wiedziała o moich kontaktach z Jensenem.

– Okej. Następny jest Sigbjørn Grønner.

– Hę? A to kto?

– Pracodawca Jarlego. Prowadzi... chyba firmę dekarską. Jarle pracował tam z przerwami.

– Okej. Może powiedzieć coś znaczącego?

Wzruszyła ramionami.

– Chce być świadkiem i ma pozytywne zdanie o Jarlem. A czy będzie to miało jakieś znaczenie? Kto wie?

– W porządku. Następny?

– Katrine Iversen.



– Tak, Katrine. – Westchnąłem.

– Chcesz wziąć ją do sądu?

– Nie. Albo może. Nie wiem, Synne. Przecież ona jest zupełnie bezużyteczna. Nie da się z nią porozmawiać ani czegokolwiek z niej wyciągnąć.

– To prawda, ale może się wydać trochę dziwne, jeśli nie wezwiemy jej na świadka. W końcu jeden jej syn jest oskarżony, a drugiego zabito. To byłaby katastrofa, gdyby ławnicy podejrzewali, że Katrine wątpi w niewinność Jarlego.

– Racja. Może i tak. Zobaczymy jeszcze. – Wyprostowałem się i poczułem ukłucie w kręgosłupie po długim dniu w biurze. – To wszyscy?

– Nie, jeszcze jedna osoba. Eli Jahr.

– Nie pamiętam...

– Z ochrony dzieci.

– Myślisz, że to mądre posunięcie?

– Chyba tak. Krótko z nią rozmawiałam. Dość dobrze zna rodzinę. Służba Ochrony zajmowała się nimi przez lata, zanim pojawił się pomysł przejęcia opieki, więc kobieta nieźle zna Jarlego, Erlinga i Katrine. Pogadam z nią jeszcze i sporządzę dla ciebie notatkę, okej?

– Tak, niech będzie. – Ziewnąłem. – Chyba już czas skończyć na dziś. Jestem padnięty.

Nagle w jej spojrzeniu pojawiło się zwątpienie.

– Wszystko w porządku?

– Tak, tak. Jestem tylko zmęczony. Boże, Synne, jest siódma wieczorem, pracowaliśmy cały dzień.

– Tak, rozumiem. Pomyślałam tylko, że...

– Wiem, co pomyślałaś. Wszystko gra.

Po krótkiej chwili zaczęła:

– Jarle...

– Co z nim?

– Nie... nie pójdziesz do niego? Wychodzi z siebie. Nie zliczę, ile razy już dzwonił.

– Co mu powiedziałaś?

– Że jesteś chory.

– A nie że wziąłem urlop?

– Urlop tuż przed sprawą o zabójstwo? Nie.

– No dobrze. – Potarłem czoło. – Rozumiem, że się stresuje, ale naprawdę nie dam rady tam dzisiaj pojechać. Przekaż mu, że zjawię się w więzieniu jutro rano.

– Okej.

Nieco później Synne znowu zajrzała do mojego gabinetu.

– Rozmawiałam z Jarlem. Załatwione.

– Świetnie.

– Uciekam.

– Dobrze. Tylko się ogarnę i też idę.

Zniknęła za drzwiami, a ja znienacka przeraziłem się ogromem pracy, która mnie czekała. Niespodzianie poczułem, że potwornie brakuje mi czasu i nie mam nad niczym kontroli. Musiałem przeczytać mnóstwo papierów, przejrzeć akty prawne, przygotować zeznanie Jarlego... Aż zacisnął mi się żołądek. Wtuliłem głowę w ramiona i spróbowałem sobie wmówić, że to normalne, że zawsze tak jest. Prawie mi się udało, ale nie do końca. Przed każdym dużym procesem pojawia się moment nagłego zrozumienia, że to już zaraz, że nie zostało zbyt wiele czasu, wkrótce wszystko się zacznie na poważnie. W takich chwilach dopada mnie strach i stres, a efekt przypomina wyładowanie w układzie nerwowym.

Teraz jednak było inaczej. Tym razem nie ogarnęło mnie jedynie nerwowe napięcie, lecz podstępna, czyhająca w ukryciu panika, która lada moment mogła przejąć nade mną władzę. Moje ciało zlał pot.

Siedziałem bez ruchu, dopóki mi nie przeszło.

W drodze do domu kupiłem książkę, nad którą wieczorem spróbowałem się skupić. Zdeterminowany, by lektura zajęła miejsce rozmyślań, z trudem brnąłem przez kolejne strony, broniąc dostępu do mojej głowy zarówno żywym, jak i umarłym. Czytałem, podczas gdy oni się dobijali, żądni uwagi, ja jednak wypierałem ich ze świadomości, zagłębiałem się w świat powieści, aż wreszcie fikcja wzięła górę, wciągnęła mnie i wszystko było dobrze.

Wreszcie tak się zmęczyłem, że z trudem utrzymywałem oczy otwarte, i jakoś dotoczyłem się do łóżka. Gdy tylko przyłożyłem głowę do poduszki, rzucili się na mnie wszyscy naraz.

Wszystkie moje zjawy. Wszystkie sny. Wszystkie porażki.

Zanim zasnąłem, noc zdążyła się już niemal skończyć.

– Mogłeś zadzwonić – powiedział z wyrzutem. – Prawie chodziłem po ścianach przez... przez to, że nic nie wiedziałem. Dni mijają, proces się zbliża... – Rozłożył ręce. Zabrakło mu słów, by opisać swoje uczucia.

Dręczyły mnie wyrzuty sumienia, gdyż doskonale rozumiałem, jak bardzo klienci siedzący w areszcie są uzależnieni od kontaktu ze swoim obrońcą, jak ważne jest dla nich uczucie, że ktoś się nimi zajmuje, że sprawa pozostaje pod kontrolą. Nie mają nikogo innego.

– Przepraszam, Jarle. Ale jak już mówiłem, byłem chory. Rozumiem, że fatalnie się czujesz, ale oto jestem. I mamy dość czasu, żeby zrobić wszystko, co trzeba.

– Okej – mruknął. – Chociaż i tak...

Przerwałem mu.

– Przede wszystkim musimy załatwić ci nowe przesłuchanie.

– Dlaczego?

– Już o tym mówiliśmy. Poza zabójstwem jesteś oskarżony także o uszkodzenie ciała w bójkę pod sądem. Chcę jak najmniej się na tym skupiać, mieć jak najmniej świadków w tej sprawie. Ten incydent świadczy o tym, że masz skłonności do przemocy, i obawiam się, że może rzutować na główną sprawę.

– Ach tak. – W jego głosie pobrzmiwało zwątpienie.

– Poza tym wolałbym nie działać wbrew swoim przekonaniom. Bez względu na to, co ludzie myślą, adwokaci nie kłamią świadomie przed sądem.

Wykrzywił usta, jakby to oświadczenie nie przypadło mu do gustu.

Wstałem.

– Porozmawiam z policją w sprawie terminu przesłuchania. Na pewno odbędzie się wkrótce.

– Okej, w porządku. I niedługo znowu przyjedziesz?

– Tak.

– Jesteś już zdrowy, prawda?

Poklepałem go po ramieniu.

– Owszem. Nie martw się, wszystko będzie dobrze, Jarle. Pogadamy za parę dni.

Skinał głową, ale widziałem jego niepokój, nerwową energię tuż pod powierzchnią, która wcale mi się nie podobała. Doskonale pamiętałem, jak zachowywał się tuż po zatrzymaniu, jaki był agresywny i zestresowany. Gdyby pokazał się w sądzie w takim stanie, sam wydałby na siebie wyrok.

– Spokojnie, Jarle – powtórzyłem. – Widzimy się za kilka dni.

## Rozdział 41

Może dopiero co zasnąłem, a może było to tuż przed zaśnięciem, nie wiem. W każdym razie dzwonek telefonu zabrzmiał równie brutalnie, co dźwięk piły tarczowej – był ostry, gwałtowny, nieproszony, niemal bolesny. Po omacku poszukałem słuchawki, upuściłem ją i znowu chwyciłem. Głowę miałem otępiałą, a palce zdrętwiałe i niezdarne.

– Halo – odezwałem się do głosem przypominającym stukot zardzewiałych wagonów kolejowych nocą. – Halo!

– Mikael? To ty, Mikael? – odpowiedział ktoś tak cicho, że niemal szeptem.

– Synne? Coś się stało?

Po drugiej stronie zapanowała cisza, a ja usiadłem na łóżku, próbując zebrać myśli.

– Synne – powtórzyłem. – Co się dzieje?

– Przestraszyłam się.

– Przestraszyłaś się? Czego?

– Bo... ktoś tu zagląda. Z mieszkania po drugiej stronie ulicy. Ktoś na mnie patrzy.

– Tak? A nie możesz zasunąć zasłon?

– Mikael! Nie rozumiesz... Tam nie powinno nikogo być! To puste mieszkanie. Nikt nie mieszka w tym domu. Ale ktoś się tam zakradł.

Wreszcie mój umysł zaczął pracować.

– Okej. Jesteś bezpieczna?

– Nie, Mikael. Nie jestem. Tak się wystraszyłam, nie wiedziałam...

– Jadę – postanowiłem, a kiedy zsunąłem nogi z łóżka, wzdrygnąłem się, poczuwszy pod stopami zimną podłogę. – Zostań w domu, zachowuj się normalnie, jakby nic się nie stało. Zaraz tam będę.

– Nie trzeba...

– Zaraz tam będę, Synne – powtórzyłem i odłożyłem słuchawkę.

Zegar na desce rozdzielczej wskazywał za kwadrans pierwszą w nocy, ulice były puste i ciche, sporadycznie przejeżdżały tylko taksówki. Trząśłem się za kierownicą, gdyż jesień przyszła na dobre, a ogrzewanie jeszcze nie zdążyło zadziałać. Okna parowały, więc musiałem stale je przecierać, żeby cokolwiek widzieć. Po chwili opuściłem o kilka centymetrów boczną szybę, co rozwiązało problem skraplania, ale za to nocne powietrze ukłuło mnie w twarz jak nożem.

Jechałem wzdłuż gór, ponieważ ta droga była krótsza od trasy przez centrum, jednak ulice tutaj ciągnęły się kręte i wąskie. Zbliżając się do mieszkania Synne, zmniejszyłem prędkość tak, że tylko odrobinę przewyższała tempo marszu, a ostatni odcinek pokonałem, tocząc się wolno w dół na jałowym biegu. Wzdłuż chodnika stało mnóstwo samochodów. Wzruszyłem ramionami i zaparkowałem pośrodku przejścia dla pieszych. Otworzyłem schowek, z którego wydobyłem latarkę. Ostrożnie zatrzasnąłem za sobą drzwi i zamknąłem je ręcznie. Przeszedłem kawałek chodnikiem naprzeciwko mieszkania Synne, jak najbliżej ściany budynku. Znalazłszy się dokładnie vis-à-vis drzwi Synne,

zerknąłem w stronę okien i ujrzałem zasunięte firanki. Zawahałem się. W tym miejscu stykały się ze sobą dwa niemal identyczne bloki. Nie wiedziałem, w którym z nich siedzi podglądacz.

Najbliższe drzwi spowijała ciemność. Podeszedłem do nich, chwyciłem klamkę. Okazały się zamknięte na klucz. Na domofonie widniały nazwiska, ale w słabym świetle nie zdołałem ich odczytać. Zresztą mogły być nieaktualne, mogły należeć do ludzi, którzy dawno się wyprowadzili. Znowu zerknąłem na okna Synne, dostrzegłem ruch zasłonki i wyglądającą twarz. Zobaczyła mnie i nagle pokręciła głową, a po chwili, na wypadek gdybym nie zrozumiał, wskazała dłonią sąsiedni budynek.

Zakląłem i szybko poszedłem dalej. Ktokolwiek ją obserwował, musiał pojąć, że porozumiewa się z kimś na ulicy. Następne drzwi wejściowe również były zamknięte. Na domiar złego zabito je deskami. Od dawna nikt tędy nie wchodził ani nie wychodził, ale między budynkami znajdowało się wąskie przejście, szerokie może na półtora metra. Otwór zagrodzono deskami. Po chwili wahania zrobiłem parę kroków w tył, żeby się rozpędzić, i doskoczyłem do przeszkody. Przytrzymałem się jej górnej części, jedną stopę oparłem o róg domu obok, o wylot rynny. Odpychałem się i wspinałem, aż wreszcie przerzuciłem ciało na drugą stronę. Oddychając ciężko i jęcząc, prawie przewaliłem się przez płot, a przy okazji wykręciłem sobie ramię, gdy próbowałem się przytrzymać, i poczułem ostry ból w kostce podczas niezdarnego lądowania. Narobiłem trochę hałasu, więc stałem potem chwilę w mroku, częściowo, aby odzyskać oddech, a częściowo sprawdzając, czy nie obudziłem sąsiadów. Nic nie usłyszałem, więc ostrożnie ruszyłem naprzód ciemnym przejściem między wysokimi ceglanyimi ścianami. Pod stopami czułem śmieci i stosiki czegoś



przypominającego kamyczki. Trudno szło się po ciemku. Zapaliłem latarkę i oświetliłem sobie drogę. Trochę pomogło; ujrzałem, że idę po stercie rozbitych cegieł i starych dachówek.

Nagle wydało mi się, że coś przed sobą słyszę, więc przystanąłem na moment. Nasłuchiwałem. Dobiegło mnie drapanie, później cichy trzask i znów nastała cisza.

Szedłem dalej, aż dotarłem do podwórza. Śmieci, deski, rolki starej papy, mnóstwo cegieł. Po drugiej stronie dziedzińca znajdowały się kolejne dwa stare murowane budynki, położone trochę niżej. Do ich części podwórza prowadziły stare schody. W dole nie było widać niczego, wszystko tonęło w mroku.

Odwróciłem się i ujrzałem drzwi do piwnicy. Były zamknięte na klucz. Przesunąłem po nich światłem latarki, zobaczyłem, że nie ma klamki, a w jej miejscu zieje dziura. Sprawdziłem ziemię za sobą i w słabym świetle znalazłem coś wyglądającego na starą piłkę do metalu. Wcisnąłem jej cienki koniec w miejsce klamki, pokręciłem. Coś kliknęło. Drzwi ustąpiły i wkroczyłem w ciemność.

Wewnątrz pachniało pleśnią i czymś jeszcze, czymś nieokreślonym, zgniłym i przyprawiającym o mdłości. Poruszałem się jak najciszej, deptając stare śmieci, aż wreszcie pokonałem korytarz prowadzący w głąb, do schodów. Wspiąłem się po nich. Ostrożnie pchnąłem drzwi na górze i znalazłem się na głównej klatce schodowej. Poniżej ujrzałem szkielet wózka dziecięcego oraz szereg skrzynek pocztowych, do których ktoś się włamał – wszystkie drzwiczki wisiały otwarte na oścież. Poszedłem na górę. Próbowałem iść pod samą ścianą, aby uniknąć skrzypienia. Na każdym piętrze znajdowało się tylko jedno mieszkanie. Na parterze zastałem otwarte drzwi, prowadzące w ciemność. Zawahałem się, ale ruszyłem dalej.

Na pierwszym piętrze drzwi były zamknięte.

Na drugim uchylone.

Kilka razy głęboko odetchnąłem, delikatnie je pchnąłem i wszedłem. W korytarzu panował mrok, ale w pokojach wychodzących na ulicę było trochę jaśniej – na tyle, abym mógł się przekonać, że nikogo tam nie ma. Przemieszczałem się między nimi, a dźwięk moich kroków rozbrzmiewał głucho na parkiecie. Po drugiej stronie ulicy widziałem rozświetlone okna Synne, za zasłonką poruszał się jej cień, ostro zarysowany na tle cienkiej tkaniny.

W pomieszczeniu, które musiało być salonem, stał stary fotel skierowany w stronę okna, jedyny mebel w całym mieszkaniu. Nic nie wskazywało na to, że wcześniej ktoś tam przebywał. Żaden ślad nie zdradzał niczyjej obecności. Nic nie sugerowało, że ktoś mógł obserwować Synne. Nic poza niemożliwym do pomylenia zapachem tytoniu, unoszącym się w powietrzu niczym niewidzialna wizytówka.

Synne otworzyła mi drzwi przestraszona i zmartwiona.

– Widziałam cię tam – powiedziała. – Albo przynajmniej światło twojej latarki. To byłeś ty, prawda? Już chciałam dzwonić na policję.

Dosłyszałem lekkie drzenie w jej głosie, zauważyłem napięcie ust.

– Dobrze, że tego nie zrobiłaś – stwierdziłem.

– Nic nie znalazłeś?

Pokręciłem głową.

– Fałszywy alarm, Synne. Mogę cię zapewnić, że nikogo tam nie było i nie mogło być od bardzo dawna.

Jej wargi zaczęły drżeć.

– Och, Mikael, przepraszam. Byłam pewna, że widziałam... Tak się bałam.

Chwyciłem ją w ramiona, przytuliłem.

– Ciii, Synne. Nie płacz. Już dobrze. Nie płacz.

Trochę później, kiedy się uspokoiła, siedzieliśmy na kanapie, pijąc herbatę. Pokręciła głową.

– Nie jestem sobą, odkąd... odkąd znalazłam Erlinga. Czuję... nie wiem... czuję strach. I mam wrażenie, jakby ktoś mnie pilnował. Ciągłe wydaje mi się, że ktoś na mnie patrzy, śledzi mnie. – Zaśmiała się wstydliwie. – To pewnie nerwy, ja wiem, Mikael, ale nie potrafię...

– To nic takiego, Synne. Przejdzie ci, obiecuję. Przejdzie. Nie masz się czego bać.

Wracając do domu, musiałem trzymać kierownicę oburącz, żeby stłumić drzenie palców. Wściekłość ścisnęła mi gardło, wywoływała ból głowy i metaliczny smak na języku. Zdołałem się opanować u Synne, uśmiechałem się do niej, byłem spokojny i powściągliwy, kłamałem, nie chcąc, żeby jeszcze bardziej się wystraszyła.

Ale ktoś był w tym pustym mieszkaniu.

Ktoś ją obserwował, bacznie się przyglądał, pożądał jej. Wnikał w jej świat. Przypomniałem sobie pełne uwielbienia spojrzenie Steinara Taulego, kiedy szli razem do sądu, a także listy, które jej przysyłał, i moje spotkanie z nim, pozornie przypadkowe, po tym, jak odprowadziłem Synne na autobus. Pamiętałem jego podnieconą twarz, uciekający przede mną wzrok, i jeszcze mocniej ścisnąłem kierownicę.

## Rozdział 42

Mimo iż spałem tylko parę godzin, następnego ranka jako pierwszy zjawiłem się w kancelarii, z przekrwionymi oczami, a jednak dziwnie ożywiony. Słuchając gulgotu ekspresu do kawy, usiłowałem rozgryźć nasz komputerowy system archiwizacji danych. Właśnie kolejny raz go zmieniliśmy, więc jak zwykle wszystko, co powinno być przejrzyste i łatwe w użyciu, wydawało mi się całkowicie niedostępne. W końcu zadzwoniłem do recepcjonistki, która nadal była w domu i właśnie popijała śniadanie kawą. W tle słyszałem marudzenie jej dzieci, podczas gdy instruowała mnie, jak posługiwać się systemem.

– Dziękuję, Evo – powiedziałem, kiedy poszukiwana przeze mnie sprawa wreszcie się wyświetliła. – Znalazłem, co chciałem.

Trzy minuty później musiałem zadzwonić do niej ponownie, aby zapytać o miejsce przechowywania klucza do pomieszczenia z archiwami. To również mi wyjaśniła, tak samo cierpliwie i uprzejmie. Znowu podziękowałem.

– Nie ma sprawy, Mikael. Myślisz, że mogę już iść pod prysznic?

– Pewnie – odparłem. Dopiero później zrozumiałem ironię.

Nie musiałem nawet wyciągać całego archiwum sprawy. Szukałem jedynie adresu widniejącego na okładce. Zapisałem go na żółtej karteczce i poszedłem do swojego gabinetu. Tam wypłem kawę, nasłuchując głosów pierwszych rannych ptaszków

przychodzących do kancelarii, wyglądając przez okno, rozważając wszystkie za i przeciw. Zastanawiałem się, co powinienem zrobić. Próbowałem jak najbardziej racjonalnie ocenić sytuację, jednak im dłużej myślałem, tym bardziej narastała we mnie wściekłość.

Dopiłem kawę, wstałem i wyszedłem.

Dom pokrywała odrapana farba. Był wykrzywiony od wiatru, nieduży, jednopoziomowy, kryty papą. Stał tuż przy drodze na lotnisko niczym wspomnienie innych czasów, lat pięćdziesiątych, kiedy liczyło się zapewnienie ludziom dachu nad głową, a estetykę i luksus uważano za zbyteczne, a przynajmniej nieistotne. Ogród składał się z paru metrów kwadratowych zwiędłej trawy i zaniedbanego ozdobnego krzewu pośrodku, resztę podwórza wysypano żwirem i przerobiono na parking.

Siedziałem w aucie po drugiej stronie ulicy. Z domów jednorodzinnych w sąsiedztwie sączył się umiarkowany, lecz równomierny strumień mężczyzn udających się do swoich zajęć, dzieci idących do szkoły, matek odwożących pociechy do przedszkola, a później jadących do pracy. O dziewiątej ruch ustał. Przez następny kwadrans zauważyłem jedynie przechodzącego powoli starszego pana z psem, później zapanował spokój. Za opuszczonymi roletami domu, który obserwowałem, również nie dostrzegałem śladów życia.

Wysiadłem z auta. Pod stopami zachręścił żwir. Na środku podwórza, przed wejściem stała błękitna toyota corolla ze starszego rocznika, najbardziej powszechny i bezbarwny ze wszystkich samochodów. Chwilę nasłuchiwałem pod drzwiami, ale z wewnątrz nie dobiegały żadne dźwięki. Wreszcie zadzwoniłem.

Musiał jeszcze na wpół spać, bo otworzył drzwi niemal na oścież, zanim zarejestrował, kto za nimi stoi. Wtedy spróbował zatrzęsnąć

mi je przed nosem, ale zdążyłem w porę mu to uniemożliwić, blokując je stopą i barkiem. Naparłem na skrzydło resztą ciała, odepchnąłem go i zamknąłem za sobą. Przekręciłem zamek.

– Cześć, Steinar – przywitałem się. – Nie masz ochoty na odwiedziny?

Nie odpowiedział i nie patrzył mi w oczy, utkwiał wzrok w podłodze. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, był ubrany w znoszone spodnie w kolorze khaki i wypuszczoną na wierzch szarą koszulę, ale stopy miał bose, co sugerowało, że dopiero wstał z łóżka, ledwie narzucił coś na siebie, zanim otworzył drzwi.

– Nie masz chęci na odwiedziny? – powtórzyłem i tym razem odpowiedział.

– Czego chcesz? Dlaczego tu przyjechałeś?

– Wiesz, dlaczego tu przyjechałem, Steinar – warknąłem. – Dobrze wiesz.

Pokręcił głową.

– Nie.

– Śledzisz Synne. – Zbliżyłem się o krok. – Pilnujesz jej, podglądasz ją z bloku po drugiej stronie ulicy.

– Wcale nie.

– Owszem, Steinar. A ja nie chcę, żebyś to robił.

Steinar Taule coś wymamrotał.

– Co powiedziałaś?

– Nie masz dowodów – wybąkał, a jego wzrok na krótką chwilę napotkał mój, tylko na sekundę, jednak to wystarczyło, bym dostrzegł w nim opór i nienawiść. To przelało czarę goryczy. Jego odpowiedź i spojrzenie wystarczyły, żeby coś we mnie pękło. Uderzyłem go tak mocno, że głowa walnęła w ścianę. Krzyknął, popatrzył na mnie w szoku i z niedowierzaniem, unosząc dłoń do

twarzy.

– Nie mam dowodów?! – ryknąłem, po czym znów trafiłem go w twarz, a następnie drugą ręką w przeponę. Powietrze uszło z niego jak para z przeciekającego kotła. Wolno opadł na kolana, a wreszcie całym ciężarem ciała na podłogę. Leżał oparty o ścianę, z podkurczonymi nogami. – Nie mam dowodów?! Co ty sobie, kurwa, wyobrażasz?! Czy ja ci wyglądam na gliniarza? Wydaje ci się, że jesteśmy w sądzie? Wiem, co robisz. Wiem. I masz z tym skończyć! Rozumiesz? Skończyć!

Przez cały czas, kiedy ciskałem w niego słowa, zadawałem mu ciosy, najpierw pięściami, a później czubkami butów.

– Rozumiesz, co mówię, Steinar? Rozumiesz, że to ma się skończyć?

Powstrzymał mnie widok krwi wypływającej zza jego przyciśniętej do twarzy dłoni, zaskoczyła mnie jej ilość, jej ostra, niemal ostrzegawcza barwa. Stałem nad nim z zaciśniętymi pięściami, próbując się opanować.

Mój urywany oddech. Skomlenie Steinara Taulego jak zbitego psa. Widok krwi kapiącej przez jego palce na sine linoleum przywołał odległe wspomnienie i nagle mnie zemdliło. Stałem tak chwilę, bez ruchu, aż zrobiłem krok w tył, wyprostowałem się.

– Nigdy więcej się do niej nie zbliżaj.

Podniósł wzrok, opuścił ręce i odsłonił rozbite usta, obficie krwawiący nos oraz, prawie zamknięte, podpuchnięte oko.

– Ale ona mnie kocha – poskarżył się cienkim głosem, jakby cały świat go nie rozumiał.

Na sekundę znowu zapłonął we mnie gniew i uniosłem rękę do ciosu, ale chwila zaraz minęła. Byłem wypalony, pusty, chciałem tylko stamtąd odejść.

– Ona cię nie kocha, Steinar – powiedziałem dobitnie. – Nie znosi cię. Uważa cię za wstrętnego gada. Nie chce cię widzieć na oczy. Nie rozumiesz, że to ona mnie tutaj przysłała, żebym się ciebie pozbył?

Nie odezwał się, tylko pokręcił głową, jakby nie wierzył własnym uszom.

– Ale nawet jeśli w to nie wierzysz – ciągnąłem – powinieneś uwierzyć w coś innego. Jeżeli jeszcze raz się do niej zbliżysz, zabiję cię. W to powinieneś wierzyć, Steinar.

Błysk w jego oczach mówił, że wierzy.

W drodze do domu zadzwoniłem do kancelarii, aby zostawić wiadomość, że tego dnia nie przyjdę. Wróciwszy do siebie, zrzuciłem ubrania i poszedłem pod prysznic. Spłukałem pot i krew z dłoni. Otarte kłykcie piekły, zwłaszcza na prawej ręce, przypominając mi, co zrobiłem. Byłem niespokojny, podenerwowany, a jednocześnie głowa mi ciążyła i zaczynała boleć.

Synne zadzwoniła, żeby zapytać, czy jestem chory, ale zbyłem ją niemal wrogo, więc dość szybko odłożyła słuchawkę.

W końcu zabrałem się do sprzątanía piwnicy, posortowałem i wyrzuciłem różne rzeczy, zamiotłem ją i uporządkowałem. Po południu zamówiłem przez telefon pizzę, którą dostarczono po półgodzinie. Później wziąłem kolejny prysznic, spocony i wycieńczony po fizycznej pracy, i pozwoliłem sobie na parę kieliszków koniaku.

Dopiero gdy się położyłem, zdołałem określić, co mnie trapi. Nie chodziło o przemoc. Nie byłem dumny z tego, co zrobiłem, ale chyba nie zraniłem Steinara Taulego zbyt poważnie, poza tym nie potrafiłem mu współczuć. Martwiła mnie jednak świadomość tego, dlaczego tak się wściekłem. Powodem nie była tylko troska



o Synne. Pobiłem Steinara Taulego, ponieważ pamiętałem, jak sam się zachowałem pod domem Kari. Jak w lustrze widziałem łączące nas podobieństwo.

## Rozdział 43

Z pewną obawą poszedłem na przesłuchanie Jarlego. Nie mogłem nie myśleć o ostatnim przesłuchaniu, a po Jarlem widziałem, że ma podobne odczucia, chociaż żaden z nas nic nie mówił. Gdy dotarliśmy do właściwego pokoju, śledczy Olsen czekał tam już razem z wysokim, szczupłym i piegowatym mężczyzną, który przedstawił się jako Oddvar Huse.

– No, Iversen – odezwał się Olsen. – Nie wiem, czy zdejmowanie kajdanek to w twoim przypadku dobry pomysł.

Jarle popatrzył na niego przez chwilę.

– Zrobi pan, jak uważa – stwierdził. – Ale jeżeli śledczego Hammera nie będzie w pobliżu, powinno pójść dobrze.

Minęło kilka sekund, po czym Olsen z szerokim uśmiechem wydobyl z kieszeni kluczyk.

– Zaryzykujemy – powiedział, a później wszystko było w porządku. Olsen pytał i pisał na komputerze z prędkością karabinu maszynowego, Jarle rozsądnie odpowiadał. Ja się nudziłem. Oddvar Huse wyglądał, jakby spał.

Skończyliśmy w półtorej godziny, prędko przeczytaliśmy wydruk i Jarle się podpisał.

– Też pan podpisze, panie mecenasie? – zapytał Olsen, ale pokręciłem głową.

– Nie. Wiem, że niektórzy tak robią, ale to bzdura. To nie moje

zeznanie.

Olsen założył Jarlemu kajdanki.

– Chcesz się przejść na dziedziniec na papierosa, przewietrzyć się, zanim wrócisz do aresztu? – zapytał nagle.

Jarle popatrzył na niego ze zdziwieniem, lecz skinął głową.

– Chętnie.

Poszedłem z nim, stałem obok, kiedy palił. Olsen stanął parę metrów dalej, żeby zostawić nas w spokoju. Brama wychodząca na ulicę za budynkiem policji była otwarta, widzieliśmy przechodzących spiesznie ludzi, kobietę z wózkiem dziecięcym, kilkoro uczniów. Dwie młode dziewczyny spoglądały z uśmiechem w górę. Przetoczyło się przed nami parę samochodów i motocykl. Dźwięki miasta, zapachy miasta. Asfalt. Spaliny. Było dość zimno, maksymalnie dziesięć stopni, a chmury przepuszczały jedynie drobne promienie słońca, ale Jarle stał w samej koszulce, nie przejmując się temperaturą. Rozejrzał się wokół, wyprostował plecy. Zobaczyłem, jak rozszerzają się jego nozdrza – zasysał wrażenia. Nagle pojąłem, czym jest siedzenie miesiącami w zamknięciu. Jak chudą dietę dla duszy i zmysłów stanowi pobyt w więzieniu.

Może Olsen też to wyczuwał, bo nic nie powiedział, kiedy Jarle zapalił kolejnego papierosa. Obaj staliśmy tylko w milczeniu, nie przeszkadzając mu, aż słońce całkiem zniknęło, obłoki skłębiły się nad nami, a cień deszczowej chmury ciemnym welonem przysłonił niebo na północnym zachodzie.

Tego samego dnia musiałem wziąć udział w posiedzeniu w związku z aresztowaniem. Nie miałem czasu ani ochoty, ale zatrzymano mojego starego klienta, jednego z recydywistów, którzy towarzyszyli mi od początku kariery. Synne była zajęta czymś

innym i brakowało wolnych aplikantów, dlatego poszedłem sam.

Klient uśmiechnął się na mój widok.

– Brenne! Nie sądziłem, że masz jeszcze czas dla takich drobnych przestępców jak ja – rzekł, a ja odwzajemniłem uśmiech i ucieszyłem się, że przyszedłem.

– Pewnie, że mam dla ciebie czas.

Zatrzymano go z pięcioma gramami heroiny, więc mogłem tylko wygłosić swoją zwyczajową mowę o bezsensowności wsadzania narkomanów za kratki za posiadanie małych ilości narkotyków.

Sędzia wysłuchał mnie uprzejmie, po czym zdecydował o aresztowaniu mojego klienta na cztery tygodnie.

– Wiesz, jak jest – powiedziałem, kiedy skończyliśmy. – Ale może dobrze ci zrobi przerwa. Jesteś jakiś chudy i zmęczony.

– Może – przyznał i podreptał do wyjścia, wymizerowany i kościsty między dwoma potężnymi policjantami.

Pakowałem dokumenty, kiedy znów skrzypnęły drzwi do poczekalni.

– Więcej aresztowań? – zapytałem sędziego, który nadal siedział na swoim miejscu.

– Tak – odpowiedział. – Jeszcze dwa.

– Pracowity dzień – skomentowałem. – Miłego popołudnia.

– Nawzajem.

W poczekalni stało dwóch policjantów oraz mężczyzna zwrócony do mnie plecami. Odwrócił się, kiedy usłyszał zatraskujące się za mną drzwi, a ja rozpoznałem go, gdy tylko wyczułem ostry, drażniący nozdrza zapach starego popiołu i nikotyny.

– No proszę – mruknął. – Brenne. Mikael Brenne.

Mimowolnie zerknąłem na jego przeguby i ujrzałem na nich kajdanki. Spostrzegł to i się zaśmiał.

– Nie musisz się bać. W każdym razie nie tu i teraz.

– Czy to groźba?

Puścił moje pytanie mimo uszu.

– Co z ciebie, kurwa, za adwokat, Brenne? Żeby wydać własnego klienta glinom! To niepojęte.

Nagle poczułem wzbierającą we mnie wściekłość, narastającą czerwoną falę. Miałem ochotę przyłożyć mu prosto w te szeroko uśmiechnięte usta i brązowe zęby. Zamiast tego zbliżyłem się o krok i powiedziałem cicho:

– Nie jesteś i nigdy nie byłeś moim klientem. I niby dlaczego nie miałbym cię wydać, świniu? Zabiłeś Kirsten, swoją rodzoną siostrę! Żałuję, że nie jestem twoim adwokatem, choć w zasadzie, Sture, wolałbym być prokuratorem i zadbać o to, żebyś dostał trzydzieści lat. Naprawdę mam nadzieję, że cię zamkną i wyrzucą klucz!

Mój wybuch zszokował go na tyle, że cofnął się o krok, lecz tylko jeden, a zanim skończyłem mówić, na jego twarzy znów pojawił się ten pogardliwy uśmiech.

– Ale z ciebie idiota, Brenne. Jesteś, kurwa, tak samo głupi jak policja. Musicie zrozumieć, że nie zabiłem Kirsten.

– Chyba jednak tak. Ten testament...

– Tak, tak, był fałszywy. I co z tego? Gdybyście trochę ruszyli głowami, zrozumielibyście, że istnieje związek między zabójstwem Kirsten a śmiercią Bjørna. Naprawdę wierzycie, że to przypadek?

– Może Bjørna też zabiłeś – podsunąłem uczynnie.

– Byłem wtedy za granicą. – Nagle jego głos się zmienił, stał się tak cichy, że niemal niesłyszalny. – Nie zabiłem ani Bjørna, ani Kirsten. Dlaczego nikomu tutaj nie chce się chwilę pomyśleć? Dlaczego chociaż raz nikt mnie nie posłucha?

Odwrócił się ode mnie i zamilkł. Zostawiłem go, wyszedłem

z duchoty sądowej piwnicy na świeże powietrze, do zwyczajnych ludzi idących spiesźnie, zajętych własnymi sprawami. Ciężko i szybko oddychałem, gdyż konfrontacja z Larsem Knutem Sturem wyprowadziła mnie z równowagi.

Przeciąłem dziedziniec, skinąłem głową znajomemu, za kwaciarnią skręciłem i ujrzałem drzwi kancelarii, które jawiły mi się niczym bezpieczna przystań, jednak panika narastała już we mnie jak kwiat rozwijający płatki do słońca. Sprawiała, że pociemniało mi przed oczami, że poczułem, jakbym się dusił, tonął. Po omacku wstukałem kod zamka, usłyszałem kliknięcie, wpadłem na klatkę schodową. Tam runąłem na dolny schodek, oparłem głowę na kolanach i uwolniłem strach, poddałem mu się. Całe moje ciało drżało, szczekałem zębami.

Kiedy mi przeszło, wstałem. Uginały się pode mną kolana, byłem zlany potem. Chwyciłem aktówkę i wezwałem windę. Gdy drzwi się otworzyły, wyszedł z niej Peter.

– Cześć – zacząłem. – Wcześniej skończyłeś?

– Co z tobą, Mikael?

– Słucham?

– Wyglądasz, jakbyś był chory. Jesteś blady jak ściana i czoło masz spocone. Co...

Zaśmiałem się, ale sam słyszałem, że mój śmiech jest wymuszony.

– To tylko coś z brzuchem. Samo minie.

– Synne powiedziała mi... jak się ostatnio czułeś.

– Co?

– Oczywiście, że mi powiedziała. Tak w ogóle to zapytała mnie o radę, zanim pojechała wtedy do ciebie. Wiem, że było ci ciężko, Mikael. Nie próbuj mydlić mi oczu bólem brzucha. – Położył mi

rękę na ramieniu. – Już dawno powinieneś być ze mną porozmawiać. Boże drogi, przecież jestem twoim partnerem, a poza tym przyjacielem.

– Może – wymamrotałem.

– Posłuchaj, Mikael. Jeżeli nie... jeżeli nie jesteś na sto procent gotów, chyba nie powinieneś brać udziału w procesie Jarlego Iversena.

– Co? Co ty mówisz?!

– To nieprofesjonalne. Każdemu człowiekowi należy się jak najlepsza obrona, Mikael, bez względu na to, kim jest i co zrobił. Jeśli nie jesteś w pełni sił, chyba nie możesz jej zapewnić? Myślę, że nie powinieneś w tym stanie iść do sądu.

– Dzięki, ale potrafię ocenić, kiedy mogę iść do sądu, a kiedy nie.

– Mikael, nie bądź taki...

– Zamierzam uczestniczyć w tym procesie, Peter. – Usta mi zeszytniały z gniewu i oburzenia. Naprawdę się wkurzyłem. – Wezmę udział w procesie tego chłopaka, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu. Sprawię, żeby go uniewinniono, słyszysz?! Uniewinnią go, do cholery!

Peter popatrzył na mnie przez chwilę, pokręcił głową i odszedł.

Tego wieczoru wierciłem się w łóżku, podczas gdy ciemne, gęste niczym asfalt godziny z wolna mijały. W moich myślach stale pojawiał się Lars Knut Sture, jego wściekłość, obietnica przemocy, którą emanował. Wyglądał mi na mordercę. Miał oczy mordercy i typową dla morderców pogardę wobec innych ludzi, ich strachu i słabości, ale mimo to nie byłem już pewien, że to on zabił Kirsten. Jego słowa oraz sposób, w jaki je wypowiedział, zasiały we mnie ziarenko wątpliwości. Odsuwałem od siebie te natarczywe myśli, gdyż musiałem się zająć czymś innym. Czekało mnie

przygotowanie do procesu, dużo pracy. Wiedziałem, że muszę się wyspać, być w jak najlepszej formie, ale to tylko pogarszało sprawę. Myślałem o Kirsten, o Bjørnie i Erlingu.

Nad ranem się zdrzemnąłem. Śniło mi się, że Kari jest jedną z nich, że zajęła miejsce wśród zmarłych, zabitych i z maltretowanych, i obudziłem się zlany potem, z krzykiem protestu rozbrzmiewającym echem w uszach.

Odpowiedź nadeszła z nocy za oknem, od sowy polującej tuż przed świtem, a wtedy w mojej głowie zakiełkowała nowa myśl – czy raczej przecucie, świadomość niedostrzeżonych związków i ukrytego wzoru – jednak równie szybko znikła, opuściła mnie, zanim tak naprawdę się urodziła, ja zaś wreszcie naprawdę odpłynąłem, zapadłem w wilgotny, niespokojny sen, podczas gdy noc powoli stawała się dniem.



## Rozdział 44

Eva zatrzymała mnie w recepcji, gdy wróciłem do kancelarii ze spotkania na mieście.

– Mikael! – zawołała. – Dobrze, że cię widzę.

– Tak?

Wciągnęła mnie za ladę i na zaplecze.

– Co tam, Evo? Czyżbyś wreszcie uległa popędom i zapragnęła mi się oddać?

Uśmiechnęła się trochę krzywo.

– A chciałbyś tego, Mikael? Nie, mam dla ciebie większe wyzwanie.

Zaciekawiła mnie.

– Peter dowiedział się, czystym przypadkiem, gdy spotkał córkę, że Finn kończy siedemdziesiąt lat.

– Kiedy?

– Jutro.

– Boże! To co mamy...

– Coś zorganizujemy na lunch. Zamówię kanapki, ciasto, parę butelek szampana.

– Świetnie. – Zmarszczyłem czoło. – A jakiś prezent? Nie powinniśmy czegoś kupić?

– Owszem. Peter powiedział, żebyś coś załatwił.

– Dlaczego ja? Dlaczego sam nie może się tym zająć? Albo ty? Nie

możesz czegoś zorganizować?

– Peter jest w sądzie, a ja mam na głowie te pozostałe rzeczy. Zadanie spada więc na ciebie. – Jej uśmiech nie był do końca miły.

– Niełatwo się z tobą współpracuje, Mikael.

Godzinę później byłem spocony, zmęczony i zły. Chodziłem od sklepu do sklepu, nie mogąc znaleźć niczego odpowiedniego. W największym centrum handlowym w śródmieściu wjechałem ruchomymi schodami na piętro i się zatrzymałem. Wyjąłem komórkę, odszukałem numer Synne.

– Tak?

– Mówi Mikael.

– Wiem. O co chodzi? Jestem zajęta.

– Czym?

– Czytaniem raportów w naszej sprawie – odparła. – Coś mi się rzuciło w oczy. Nie wiem, czy na coś się przyda, ale powinniśmy to sprawdzić.

– Zajmiesz się tym później. Potrzebuję pomocy.

– W czym?

Wyjaśniłem.

– Boże drogi, Mikael...

– Naprawdę potrzebna mi pomoc.

– Gdzie jesteś?

To również wyjaśniłem.

– Okej. Będę tam za... pięć minut. Ale to będzie twoja wina, jeśli schrzanimy proces.

Czekałem na nią zadowolony na piętrze. Było czwartkowe popołudnie, tuż po godzinach pracy, więc centrum handlowe pękało w szwach. Dzieciaki trzymały się razem w małych grupkach, obok

mnie przemykały kobiety i mężczyźni chcący wstąpić do jakiegoś sklepu w drodze do domu, do tego dochodziły panie na poważnych zakupach, często występujące parami, obciążone torbami, o skoncentrowanym spojrzeniu i zdecydowanym kroku. Oparłem łokcie o poręcz i spojrzałem w dół na nich wszystkich, zagonionych i zestresowanych, młodych i starych, na wózki dziecięce i sklepowe.

Dostrzegłem Synne. Wydawała się nieco podenerwowana. Pomyślałem, że się spieszyła, że przyszła najszybciej, jak mogła. Krzyknąłem do niej, a ona uniosła głowę i spojrzała na mnie. Uśmiechnęła się. Odwzajemniłem uśmiech, uniosłem dłoń i pomachałem do niej.

Wbiła się w kolejkę do ruchomych schodów, w ścisk wolno poruszających się osób, znów na mnie zerknęła, trochę zrezygnowana, a trochę niecierpliwa.

Moją uwagę przykuł pewien ruch za nią. Przez tłum szybko przemykała jakaś męska postać, przeciskała się, odpychała zaniepokojonych i zirytowanych ludzi. Mężczyzna miał na głowie czapkę z daszkiem, która kryła jego twarz w cieniu, ale było w nim coś znajomego, acz niezidentyfikowanego, co sprawiło, że w mojej głowie rozdzwonił się alarm.

Zaniepokoiłem się i otworzyłem usta, aby ostrzec Synne, ale nagle się zawahałem, gdyż nie wiedziałem, czego się boję i co powinienem krzyknąć. Dopiero kiedy stanął za jej plecami, na tyle blisko, by jej dotknąć, rozpoznałem go, jednak było już za późno.

Przesypały się ostatnie ziarenka w klepsydrze.

Twarcz miała nadal zwróconą ku mnie, nadal z krzywym uśmiechem na ustach. Mina Synne wyrażała rozdrażnienie ściskiem, ale też oczekiwanie i radość.

Cieszyła się na mój widok. Uśmiechała się, aż nagle wyczytała

coś w moich oczach. Musiała ujrzeć w nich strach, musiała zauważyć, że próbuję wykrzyknąć ostrzeżenie, sprzeciw wobec tego, co miało nastąpić. Zobaczyła, że coś jest nie tak, ale nie rozumiała co. Jej uśmiech zastąpiło zakłopotanie, a następnie zmartwienie.

I szok.

Szok, pod wpływem którego szeroko otworzyła oczy, kiedy ostrze noża po raz pierwszy wbiło się w jej plecy, rozcięło mięśnie, ścięgna, żyły, nerwy.

I ból.

Ból, który kazał jej otworzyć usta i odrzucić głowę w tył, aż ścięgna szyi napięły się niczym struny, aż wreszcie wydała z siebie krzyk, nieartykułowany dźwięk, protest przeciwko temu, co się z nią działo, kiedy nóż trafiał ją raz za razem.

Mój świat rozsypał się niczym obraz w kalejdoskopie, złożony z bezsensownych, niespójnych elementów, dokładnie jak wtedy, gdy taśma filmowa w starym projektorze ojca wyskakiwała czasem z podajnika, powodując chaos na ekranie.

Przez moment mignęła mi twarz Steinara Taulego, wykrzywiona w grymasie, o zębach obnażonych w wyrazie dzikości czy przerażenia, jakby nie pojmował do końca, co robi.

W oczach Synne ujrzałem pęknięcie, które przypominało tłuczony obcasem buta lód na kałuży.

Steinar Taule odwrócił się, zaczął oddalać od niej bokiem, torował sobie drogę przez zwartą masę ludzi.

Synne powoli osunęła się na ziemię, zniknęła w tłumie, przepadła, jakby pochłonęło ją ciemne leśne jezioro. Nagle, po krótkiej chwili, rozległy się wrzaski. Zapanował chaos. Krzyczano, żeby ktoś wezwał karetkę. Że kogoś zraniono. Jakaś kobieta pochyliła się nad Synne i wyprostowała zszokowana, gapiąc się na

swoją dłoń, jakby należała do kogoś innego.

Dłoń pełną świeżej, czerwonej krwi.

Ja sam stałem z wyciągniętą ręką, jakbym próbował zażegnać niebezpieczeństwo. Żaden mięsień w moim ciele nie drgnął, odkąd pojąłem, że coś jest nie tak, nie wydobyłem z siebie nawet dźwięku, jak gdybym bezruchem mógł zatrzymać czas.

Jednak czas płynął, a Synne leżała na plecach pośrodku kręgu gapiów. Otaczała ją kałuża krwi, powiększająca się wolno, ale nieuchronnie jak przypływ.

## Rozdział 45

Pogrążony w półmroku pokój, łóżko z nieruchomą postacią. Poza tym nic z wyjątkiem urządzeń o mrugających czerwono i zielono światełkach, małych monitorach i cyfrowych wyświetlaczach pokazujących tajemnicze, niezrozumiałe informacje, które migotały, poruszały się, tworzyły wzory. Ze wszystkich tych maszyn i urządzeń biegły przewody i rurki skłębione wokół Synne, oplatające ją pajęczą siecią przywodzącą na myśl jakiś dreszczowiec. Jakby jej ciało przejęły obce formy życia.

Przypuszczałem, że jest podłączona do znajdującej się gdzieś w pobliżu centrali, gdzie jacyś kompetentni ludzie dzięki rzutowi oka na monitory i wyświetlacze mogli uzyskać wszelkie istotne informacje na temat jej stanu. Otrzymać potwierdzenie, że żyje.

Ja nie mogłem. Nic w zalewie elektronicznych impulsów i mrugających diod nie sugerowało życia. Nie zdradzała tego również postać na łóżku. Nie widziałem ruchów klatki piersiowej. Nie wyczuwałem też pulsu; moje palce, zdętwiałe i nieczułe od wielogodzinnego trzymania jej dłoni, nie były już w stanie rozróżnić tętna.

Myślałem, że umarła.

A jednak wiedziałem, że tak nie jest. Wiedziałem, że gdyby zanikły oznaki życia, zawyłyby alarmy, z trzaskiem otworzyłyby się drzwi, ludzie wbiegliby do środka i cicho, acz energicznie rzuciliby

się ku Synne. Ktoś uprzejmie, choć zdecydowanie wyprowadziłby mnie z pokoju, podczas gdy inni robiliby wszystko, aby zmusić do dalszej pracy ciało, które dało za wygraną, przestało działać. Zmusiliby serce do bicia, płuca do nabierania i wypuszczania powietrza, a słabe elektryczne impulsy do dalszego wysyłania sygnałów przez uśpiony mózg.

Wiedziałem to wszystko, gdyż w ciągu ostatniej doby spędzonej przy łóżku Synne zdarzyło się to już dwa razy. To znaczy wydawało mi się, że minęła doba. A może więcej. Może dwie. Dlatego wiedziałem, czy raczej zakładałem, że Synne żyje, chociaż jej woskowa twarz wyglądała jak maska pozbawiona życia i ciepła.

Nikt nie mógł mi nic powiedzieć. Czy będzie żyła, czy nie. Mówiono za to o ciosach zadanych nożem, o tym, ile ich było, w co trafiły, jakie istotne organy uszkodziły. Wygłaszano litanie bezsensownych, medycznych szczegółów, ale nikt nie umiał mi odpowiedzieć na jedyne znaczące pytanie.

Czy będzie żyła.

Czy nie.

Osiem godzin spędziła na stole operacyjnym. Osiem godzin, podczas których ja siedziałem w poczekalni, przemierzałem korytarze, stałem przed głównym wejściem, trzęsąc się z zimna i ze strachu. Nieznajomy mężczyzna spojrzał mi w twarz, zapalił papierosa i podał bez pytania. Chociaż wcześniej nie paliłem, zassałem dym jak powietrze, aż do filtra. Później kupiłem dziesięciopak.

Zjawiła się policja, chcąc zabrać mnie na komendę na przesłuchanie, ale odmówiłem. Zostałem za to przesłuchany w poczekalni przez cichego, mocno zbudowanego śledczego, którego nigdy wcześniej nie spotkałem. Nie zadawał więcej pytań, niż

musiał, a odpowiedzi pilnie zapisywał w notesiku, który prawie ginał w jego wielkich dłoniach.

– Steinar Taule – powiedziałem. – To on to zrobił.

– Jest pan pewien?

– Absolutnie. Widziałem go. Spojrzał prosto na mnie. Stałem przy poręczy na piętrze i patrzyłem. Nie... nie mogłem nic na to poradzić.

– Oczywiście, że nie. – Zawahał się chwilę. – Wie pan, dlaczego to zrobił?

Skinąłem głową.

– Tak. Zrobił to, bo ją kochał.

Nie zrozumiał, o co mi chodziło.

– Byli w związku?

– Nie. On był jej klientem. Był... jak to się mówi... śledził ją. Był nią opętany.

– *Stalker*. Tak to się nazywa po angielsku. Chyba nie mamy na to lepszego słowa.

– Tak. – Zakryłem twarz dłońmi. – Nie będzie trudno go dorwać. Zapewne znajdziecie go w domu.

Gdy podałem mu adres, wstał.

– Dokonam zgłoszenia, żeby można było zacząć poszukiwania. Dziękuję panu. Formalne przesłuchanie uzgodnimy później, kiedy...

– Tak.

Przyszedł Peter, a może też inni ludzie, nie pamiętam dokładnie. Ale na pewno Peter. Przesiedział ze mną kilka godzin, trochę mi to pomogło.

– Próbowałem poinformować rodzinę – powiedział.

– Tak?



Wzruszył ramionami.

– Jest jedynaczką. Ojciec nie żyje. Ojczym również. Matka... nie da się z nią tak łatwo skontaktować. Pracuje w jakiejś organizacji dobroczynnej i jest teraz w Afryce, gdzieś z dala od cywilizacji. Pracodawca próbuje przekazać jej wiadomość i sprowadzić ją do domu, ale... – rozłożył ręce – ...parę dni zajmie, zanim się tu zjawi.

Skinąłem głową. Po chwili zapytał:

– Będzie dobrze? Przeżyje, Mikael?

Popatrzyłem na niego niemo. Nie znałem odpowiedzi.

Spałem. Obudziło mnie nagłe szarpnięcie. Siedziałem na krześle, z głową na krawędzi stojącego przede mną łóżka. Przełała się przeze mnie fala przerażenia, uczucie, że znowu zawiodłem, kolejny raz przegrałem. Musiałem czuwać, pilnować jej. To decydowało o wszystkim. O życiu i śmierci. Nikt inny się nią nie opiekował, więc gdybym zasnął, mógłbym ją stracić. Po chwili moja głowa znów opadła, więc wstałem i zacząłem chodzić w kółko po pokoju, żeby nie zasnąć. Szczypały mnie oczy, usta miałem suche, czasami zataczałem się, jakbym był pijany. Ale chodziłem. Tam i z powrotem, cztery metry w przód, cztery w tył, chodziłem, aż poczułem się tak, jakbym miał runąć na podłogę.

Nagle zjawiała się pielęgniarka. Chwyciła mnie za rękę.

– Jadł pan coś i pił? – zapytała, a kiedy nie odpowiedziałem, tylko popatrzyłem na nią bez zrozumienia, dodała: – Musi pan przyjmować pokarm i płyny, bo inaczej przybędzie nam jeszcze jeden pacjent. Proszę zaczekać, coś panu przyniosę.

Wróciła z jedzeniem i piciem, a ja posłusznie zulem i przełykałem, nie czując smaku, jakbym pochłaniał karton, który popijałem wodą. Woda dobrze mi zrobiła. Potem znowu chodziłem tam i z powrotem.

– Jest w dobrych rękach – zapewniła pielęgniarka cicho. – Może pan iść do domu odpocząć i wrócić później.

Tylko pokręciłem głową.

Chodziłem, dopóki nie zabrakło mi sił. Później siedziałem na krześle, trzymając bladą, zimną, nieruchomą dłoń Synne. Przywarłem do niej, jakby tylko to utrzymywało nas oboje przy życiu.

Zasnąłem.

Gdy się obudziłem, w półmroku obok mnie siedziała Kari. Chyba nawet się nie zdziwiłem, po prostu zarejestrowałem jej obecność. Od razu ją rozpoznałem, jasne włosy, loki, twarz, usta, wysokie kości policzkowe. Wszystko.

Zauważyła, że nie śpię, i zerknęła na mnie spokojnie.

– Mikael – rzekła. – Przyjechałam, gdy tylko usłyszałam, co się stało.

– Dobrze – odparłem. Jedynie tyle zdołałem powiedzieć.

Długo tak siedzieliśmy, obok siebie, w ciemności, nic nie mówiąc. W pewnym momencie chwyciła moją rękę. Jej dłoń była sucha i ciepła. Chwila minęła, nim zorientowałem się, że płaczę, że po policzkach ciekną mi łzy, równy, cichy strumień łez.

– Nie płacz, Mikael. Wszystko będzie dobrze. Myślę, że będzie dobrze. Myślę, że ona z tego wyjdzie.

Nie wiedziałem, czy ma rację, ale wiedziałem, że płaczę nie tylko z powodu Synne. Płakałem nad wszystkim. Nad samym sobą. Nad Kari. Nad tym, co mieliśmy, a co przepadło, i po raz pierwszy nad nienarodzonym dzieckiem, które straciliśmy.

Płakałem też, bo to moje własne wybory i czyny doprowadziły do tego czuwania przy szpitalnym łóżku. To, że stałem pod domem Kari, moja wściekłość na Steinara Taulego, lanie, które mu

spuściłem, jak również to, co mu powiedziałem, doprowadziły do nieodwracalnego punktu kulminacyjnego. Nadal słyszałem swój głos: „Ona cię nie kocha. Nie znosi cię. Nie rozumiesz, że to ona mnie tutaj przysłała, żebym się ciebie pozbył?”.

Słowa, które wypowiedziałem bez zastanowienia, nieświadom konsekwencji. Byłem pewien, że to nie ciosy i kopniaki doprowadziły Steinara Taulego do obłądu, ale rozczarowanie, rozpacz i poczucie zdrady przez ukochaną. To dlatego musiała zginąć.

Moje słowa coś w nim poruszyły, pogrążyły go w mroku i desperacji, a wreszcie doprowadziły nas do tego pokoju i pozbawionej życia twarzy Synne równie niezawodnie, jak gdybym to ja sam chwycił za nóż.

Tak właśnie myślałem, ale nie powiedziałem o tym Kari. Siedziałem tylko, trzymając ją za rękę, a łzy bez końca ciekły mi po policzkach.

Nieco później pochyliła się ku mnie i rzekła:

– Musisz się przespać, Mikael.

Pokręciłem głową na znak protestu, ale ona przyłożyła mi palec do ust.

– Ciii. Popilnuję jej, przyrzekam. Ale ty musisz się przespać, bo padniesz na twarz.

Poszła po pielęgniarkę, a później zaprowadziła mnie do pokoju obok, zmusiła, bym położył się na łóżku, przykryła i pogładziła po twarzy.

– Tej nocy, Kari – zacząłem. – Tej nocy, kiedy mnie widziałaś...

– Cicho, Mikael – odparła. – Cicho. Nie myśl o tym.

Jej dłoń chłodno i miękko dotykała mojej skóry. Podobało mi się to uczucie. Szybko zasnąłem.

## Rozdział 46

W jednej chwili spałem, a w następnej byłem zupełnie obudzony, całkowicie pewien, gdzie jestem i co się stało. Nie było to miękkie przejście, nie przypominało przyjemnego, na wpół świadomego stanu, w którym resztki snu nadal kryją się w zakamarkach umysłu, bo rzeczywistość nie zdążyła jeszcze nabrać ostrości i wyraźnych konturów. Po prostu się obudziłem, zdjęty tym samym strachem co wcześniej.

Odrzuciłem kołdrę na bok i odkryłem, że jestem w samych bokserkach i podkoszulku. Pozostałe ubrania, ładnie złożone, znajdowały się na krześle; marynarkę elegancko przewieszono przez oparcie.

„Kari – pomyślałem. – To musiała być Kari”.

Pomieszczenie było puste, stało w nim tylko łóżko. Linoleum chłodziło stopy. Drzwi w jednej ze ścian prowadziły do łazienki. Wysikałem się, umyłem dłonie i twarz. Ujrzałem ją w lustrze – zmęczoną i spuchniętą. Oczy miałem zaczerwienione, a usta popękane. Potarłem dłonią chropowaty podbródek i policzki. Czarne i białe włoski zarostu sprawiały, że wyglądałem na wyjątkowo wycieńczonego i starszego niż w rzeczywistości, podobnego do podstarzałego gangstera o obliczu zdradzającym życie w grzechu.

Kari spała. Siedziała na krześle przy łóżku Synne, ale pochyliła

się naprzód, ułożyła ręce na krawędzi posłania, na nich spoczęła jej głowa. Patrzyłem na nią. Twarz miała zwróconą do mnie, na wpół zasłoniętą włosami, usta półotwarte; z kącika ściekła strużka śliny, plamiąc wilgocią rękaw swetra. Bez zastanowienia ostrożnie otarłem jej usta, odsunąłem włosy z czoła, a wtedy powieki Kari powędrowały w górę jak za naciśnięciem guzika.

– To tylko ja – powiedziałem.

Wyprostowała się, przeciągnęła, skrzywiła i pomasowała sobie plecy. Wolno wstała z krzesła.

– Zasnęłam.

– Tak. To nic. – Wykonałem gest dłonią w stronę Synne. – Jak tam? Jakież zmiany?

Pokręciła głową.

– Nie i właściwie nie da się nikogo nakłonić do mówienia. Ale zajrzał tu jeden lekarz, który stwierdził, że to dobry znak, że jej stan jest stabilny od tak dawna. – Znów się przeciągnęła, ziewnęła. – A jak ty się czujesz, Mikael? Sen pomógł? Wyglądasz lepiej.

– Czuję się dużo lepiej – zapewniłem, a po chwili dodałem: – Cieszę, że przyjechałaś. Co... Dlaczego...?

– Usłyszałam w radiu o tym, co się stało, i miałam... okropne przeczucie, że mogło chodzić o Synne. Opis pasował. No i zadzwoniłam do Petera. – Wzruszyła ramionami, niemal jakby się wstydziła. – Wiedziałam, że tu będziesz. Pomyślałam, że... kogoś potrzebujesz.

– Cieszę się, że przyszłaś – powtórzyłem. – Bardzo. Ale się nie spodziewałem.

– Och, Mikael – westchnęła. – To nie... – Zabrakło jej słów, zrobiła więc krok w moją stronę, oparła głowę na mojej piersi. – Nie mogę...

Nic nie powiedziałem, tylko ją objąłem.

Po kilku minutach ostrożnie oswobodziła się z uścisku. Ziewnęła.

– Twoja kolej na sen – stwierdziłem. – Wracaj do domu i idź do łóżka. Teraz ja tu posiedzę.

Później, chyba następnego dnia, do pokoju Synne zakradł się policjant, ten sam ociężały, małowówny śledczy, z którym już rozmawiałem. Nie pamiętałem jego nazwiska, a może w ogóle go wcześniej nie podał, teraz jednak przedstawił się jako Holgersen.

W półmroku siedzieliśmy obok siebie, rozmawiając cicho, niemal szeptem.

– Złapaliśmy go – powiedział. – Steinara Taulego. Patrol zatrzymał go na ulicy.

– Przyznał się?

– Nie. W ogóle z nami nie gada, nie wydaje się zdrowy na umyśle. Nie mamy pewności, czy jest poczytalny.

Wzruszyłem ramionami.

– Może i nie.

Chwycił swoją teczkę, położył ją na udach, otworzył i wyjął z niej kilka kartek, które mi podał.

– A to co?

– Pana zeznanie, Brenne.

– Złożyłem zeznanie?

Westchnął.

– Rozmawiał pan ze mną. Steinar Taule jutro rano stanie przed sądem, który ma zdecydować o jego tymczasowym aresztowaniu. Najpewniejszy sposób, aby do tego doprowadzić, to zeznanie naocznego świadka. Możliwe, że podczas naszej poprzedniej rozmowy zapomniałem o wstępnych formalnościach niezbędnych do przeprowadzenia przesłuchania. Jeżeli zechce pan to teraz

wykorzystać przeciwko mnie, panie mecenasie, będę musiał poprosić pana o udanie się ze mną na komisariat w celu odbycia nowego, formalnego przesłuchania. – Kolejne westchnięcie. – Albo może pan przeczytać to, co napisałem, sprawdzić, czy wszystko się zgadza, i podpisać. Żebyśmy mogli wsadzić tego gnoja za kratki, zanim znów zrobi komuś krzywdę.

Przeczytałem i podpisałem.

Godziny zlewały się z sobą, czas w pogrążonym w półmroku pokoju przestał mieć sens. Mój zegarek zdawał się nie działać, jak należy, stał w miejscu, a potem błyskawicznie przeskakiwał o kilka godzin. Postanowiłem na niego nie patrzeć. Kari wróciła, więc się przespałem. Potem znowu ją zmieniłem. Czasami siedzieliśmy razem, obok siebie, jak starzy małżonkowie. Nie rozmawialiśmy za dużo, ale niekiedy trzymaliśmy się za ręce, czując ciepło naszych dłoni. Nie wiedziałem, co to oznacza, czy to w ogóle coś znaczy poza tym, że było nam to potrzebne, niczym przeciwwaga do widoku Synne, przypomnienie o życiu w obliczu groźby śmierci.

Bo Synne zniknęła. Bładła, malała, kurczyła się na moich oczach, stawała się dzieckiem, chorym dzieckiem, małą dziewczynką w poczekalni śmierci. Kolory opuściły jej twarz, wyciekły niczym samo uchodzące z niej życie, aż policzki, wargi, wszystko stało się białe jak kość, bezbarwne, jakby spowiła ją zimowa noc. Została tylko cisza, blade powierzchnie, cienie.

W którymś momencie minął mój szaleńczy żal. Zastąpiła go swego rodzaju akceptacja, cicha rozpacz, desperacja nieznająca nadziei. Coraz mocniej ścisnąłem dłoń Kari, kiedy przychodziła, trzymałem się jej kurczowo jak zalęknione dziecko.

Przyjechała matka Synne. Miała za sobą kilkudniową podróż, zmęczenie i strach odcisnęły piętno na jej twarzy. Przywitałem się

z nią, a ona ujęła moją rękę i przedstawiła się. Posłała mi mechaniczny uśmiech, ale nad moim ramieniem już szukała wzrokiem swego dziecka.

– Od kilku dni jej stan jest stabilny – powiedziałem. – To chyba dobry znak.

– Oczywiście – przytaknęła.

Widziałem jednak, że moje słowa do niej nie dotarły. Usiadła na krawędzi łóżka, chwyciła dłoń Synne. Jej wargi się poruszały. Nie wiedziałem, czy się modli, czy rozmawia z córką. Nagle stałem się zbyteczny, obcy. Nie miałem tam nic do roboty, więc zostawiłem ją przy łóżku, dorosłą kobietę pochyloną nad swą jedyną, umierającą córką.

Na zewnątrz świtało. Po raz pierwszy od dawna pomyślałem o Jarlem Iversenie, o zbliżającym się procesie, o tym, co jeszcze nie zostało załatwione. Byłem wycieńczony i pusty, perspektywa rozprawy wydawała się nie do zniesienia, jednak wiedziałem, że muszę dać z siebie wszystko.

Musiałem to zrobić dla siebie, dla Jarlego, ale przede wszystkim dla Synne. To była ostatnia rzecz, o jaką mnie poprosiła – żebym uratował Jarlego. To dla niej wiele znaczyło, może nawet więcej, niż podejrzewałem. W jakiś sposób obwiniła się za opuszczenie tych chłopców przed laty. Chociaż jako dorosła zrozumiała, że była wówczas zbyt młoda, że nie mogła nic zrobić, by ich ocalić, nic to nie dało. Cały czas nosiła w sobie poczucie winy, a po śmierci Erlinga uznała, że jego również zawiodła. Został jej tylko Jarle.

Wierzyłem mu, czułem, że jest niewinny, ale nawet gdyby tak nie było, zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, by go zwolniono.

Dla Synne.

Nie wierzyłem już, że przeżyje, i nie mogłem dla niej nic zrobić.



Nic poza dotrzymaniem obietnicy. Poza uratowaniem Jarlego.

Gdy wracałem do domu, za moimi plecami wstało słońce, które oblało szczyty gór złotym blaskiem. Niebo jaśniało czystym błękitem, jakby dopiero powstało, jakby ten dzień został właśnie stworzony. Było pięknie, ale nogi mi ciążyły, serce zaś wypełniał ołów.

## Rozdział 47

Szczypały mnie oczy i bolał żołądek – zbyt wiele kawy, za mało jedzenia. Mimo to dalej czytałem, przesuwałem palcem po papierze, mamrotałem coś do siebie, żeby zachować koncentrację. Byłem wycieńczony, ale kierowały mną świadomość ogromnego spóźnienia, poczucie braku czasu i pewność, że nie zrobię wszystkiego, co trzeba, przed rozpoczęciem procesu.

Zadzwoił Jarle Iversen, zresztą nie po raz pierwszy. Podczas mojego pobytu w szpitalu ponoć sterroryzował centralę. Komputer pękał w szwach od coraz bardziej naglających wiadomości. „Dzwonił Jarle Iversen”. „Jak najszybciej oddzwoń do Jarlego”. „Jarle Iversen mówi, że masz się z nim natychmiast skontaktować”.

Zatelefonowałem do więzienia i zostawiłem wiadomość, że odwiedzę Jarlego następnego dnia. Nie rozmawiałem bezpośrednio z nim, gdyż spodziewałem się wybuchu hysterii, a nie miałem na to sił ani czasu. Najpierw musiałem trochę poczytać. Zeznania świadków. Raporty wewnętrzne policji. Raport z sekcji zwłok. Raport z Instytutu Toksykologii Sądowej. Raporty rekwizycji. Masa, góra papierów, nieskończona rzeka zdań, morze słów, które musiałem pokonać przed dotarciem do bezpiecznej przystani na drugim brzegu. Za dużo pracy.

Jak zwykle w przypadku sprawy o zabójstwo, dokumentacja rozrosła się do niebotycznych rozmiarów. Rzeczy drobne i duże,

ważne i nieważne. Zajęto się wszystkim, wszystko zbadano i zapisano. Większość informacji nie miała znaczenia, ale niektóre mogły być istotne. Problem w tym, że nie mogłem z góry wiedzieć, co się przyda i gdzie tego szukać. Droga do celu nie była prosta.

Wypiłem jeszcze trochę kawy i poszedłem do toalety, żeby opłukać twarz zimną wodą. Przejrzałem się w lustrze. Szara, ziemista cera, zaczerwienione oczy, zapadnięte policzki, panika w oczach. Wróciłem do gabinetu i czytałem dalej, strona za stroną, aż słowa i linijki zaczęły skakać mi przed oczami i rozbolała mnie głowa.

Wtedy wreszcie chwiejnym krokiem poszedłem do domu, do na wpół opróżnionej lodówki, paru kromek suchego chleba, które zjadłem z rozsądku, i do łóżka. Do ciemności. Do wirujących myśli, które wymknęły się spod kontroli, faktów wyrwanych z kontekstu, urywków dokumentów, pozostałych zadań, niesprawdzonych kodeksów. Do Jarlego Iversena. Wiedziałem, że muszę przygotować jego zeznanie. Wszystko, co musiałem zrobić, wirowało mi w głowie, podczas gdy czas upływał, przeciekał między palcami, a godziny dzielące mnie od procesu znikały jedna za drugą. Wreszcie się poddałem i wziąłem małą białą tabletkę na sen.

Wstałem bladym świtem, żałując swojej decyzji. Przez tabletkę byłem senny i ociężały, zmysły miałem przytępione. Jeszcze długo, nawet już w kancelarii, myśli przychodziły powoli i przypominały wymagające naostrzenia narzędzie. Mimo to pracowałem dalej, czytałem dokument za dokumentem, choć miałem wrażenie, jakbym przedzierał się przez grzęzawisko, bagienny krajobraz. Mozolnie, z trudem, bez końca.

Myślałem o Synne. Przez większość czasu trzymałem ją na odległość, obudowałem się murem z papierów, żeby mnie nie

nawiedzała, ale raz po raz przedostawała się do mojej głowy. Leżąc w łóżku, blada jak prześcieradło, jak białe ściany wokół niej i firanki powiewające lekko w przeciągu. Przypominała mi się cisza panująca w jej pokoju. Cisza, która narastała, tłumiąc odgłosy ruchu ulicznego za oknem, dźwięki dobiegające z korytarza, szybkie kroki pielęgniarek, stukanie tac z instrumentami, ciche, zmartwione głosy, aż wszystko wokół Synne milczało.

W ten sposób o niej myślałem. Nie była dla mnie ani żywa, ani umarła. Znajdowała się gdzieś pomiędzy. W międzyczasie. Na krawędzi.

Czytałem dalej, aby wygrać sprawę. Bo tylko to mogłem zrobić.

Wiedziałem, że Synne sporządziła jakąś notatkę o świadkach, byłem pewien, że widziałem ten dokument, ale nie mogłem go znaleźć. Przeszukałem całe biuro, aż wreszcie trafiłem na właściwy plik, niepoprawnie skatalogowany razem z dokumentami do archiwizacji.

„Notatka – świadkowie” – głosił tytuł. Wydrukowałem tekst i zabrałem go do siebie. Synne w pierwszej kolejności opisała Katrine. Przeczytałem to, myśląc, że nie oplaca się powoływać jej na świadka. Katrine o prostu nie miała nic do powiedzenia. Nic, co rzuciłoby światło na jej synów, na to, jak układało im się życie. Następną osobą na liście był Carlo Jensen. Pod jego nazwiskiem widniało jedynie „Mikael z nim rozmawiał”. Chwyciłem telefon i wybrałem numer Carla.

– Cześć – przywitał się. – Miło cię słyszeć. W czym mogę pomóc?

– Nawzajem. Tak tylko myślałem... Mam przed sobą listę świadków w sprawie przeciwko Jarlemu.

– Aha?

– Dostałeś wezwanie?

– Tak, tak.

– I... jesteś gotów zeznawać?

– Tak, tak. – Chwila zawahania w głosie. – Nie wiem, czy jakoś szczególnie ci się przydam...

– Rozumiem, ale nie mam nic innego w zanadru. Musisz się stawić.

– Okej. – Wydawało mi się, że westchnął. – Przyjdę, jeśli mnie potrzebujesz.

– Dziękuję, Carlo.

Później przeczytałem notatkę z rozmowy z byłym szefem Jarlego i stwierdziłem, że najprawdopodobniej z niego zrezygnuję. Zdobył się na same banały. „Jarle to miły chłopak”, „Jarle dobrze pracował”.

Synne nie dokończyła notatki o świadku ze Służby Ochrony Praw Dziecka. Widniało przy niej jedynie nazwisko, Eli Jahr, oraz proste zdanie: „Dobra kandydatka na świadka, zaangażowana i wiarygodna, rozmowna, może trochę zbyt gorliwa”. Chwyciłem telefon.

Eli Jahr wyglądała jak mały ptaszek. Miała ciemne włosy, ciemne oczy i ostrą, lecz żywą twarz. Mierzyła najwyżej metr pięćdziesiąt, budową ciała przypominała dziecko, a jednak promieniowała autorytetem. Uśmiechnęła się do mnie, machając rękoma.

– Nie, nie. To żaden problem – zapewniła. – Najważniejsze, żeby wszystko było w porządku z Synne. – Zmarszczyła czoło zmartwiona. – Bo chyba będzie, co?

Skinąłem głową.

– Taką mam nadzieję.

Otworzyła usta, by zadać następne pytanie – nie zadowolili jej

moja odpowiedź – ale zdążyłem ją ubiec.

– Co może mi pani powiedzieć o Iversenach?

Wyraz jej twarzy zmieniał się równie szybko jak pogoda w tym mieście. Teraz emanowała z niej troska i rezygnacja.

– Katrine Iversen – zaczęła – to chodząca katastrofa. Powinniśmy byli przejąć opiekę nad tymi chłopcami, kiedy jeszcze byli mali.

– Próbowaliście, prawda?

– Tak, próbowaliśmy z Erlingiem, ale nie otrzymaliśmy poparcia komisji. – Wzruszenie ramion. – Miała zdolnego adwokata, który nazywał się...

– Carlo Jensen, czyż nie?

– Tak. Naprawdę zdolny. A nasz konsultant... był nowy w branży, niedoświadczony. Nie udało nam się dość dobrze przedstawić faktów. Jednak mogliśmy zainterweniować dużo wcześniej. Prawdopodobnie również w sprawie brata. Ale – znów wzruszenie ramion – Erling miał się gorzej. Sprawa była dużo poważniejsza. Wolałabym...

– Dlaczego uważa pani, że Erling miał się gorzej?

Popatrzyła na mnie zaskoczona.

– Czy to nie oczywiste? Ponieważ był wykorzystywany. Wykorzystywany seksualnie.

– Jest pani pewna? To znaczy macie na to dowody? Wiecie, kto...

– Jasne, że nie. Wówczas coś byśmy z tym zrobili.

– Więc jak pani może...

– Nie potrafię nic udowodnić i nie wiem, kto to zrobił. Ale nie wierzę, żeby mały chłopiec zaczął molestować inne dzieci, nie doświadczwszy wcześniej czegoś podobnego.

– Chyba nie może pani mieć co do tego pewności.

Jej brązowe oczy błysnęły.

– Owszem, mogę. Dzieci kształtują się pod wpływem środowiska i swoich przeżyć. Jeżeli stają się... złe... jeśli uciekają się do przemocy albo atakują innych, dzieje się tak, ponieważ ktoś je tego nauczył.

Zastanowiłem się chwilę.

– Myśli pani, że to matka?

– Nie.

– Dlaczego nie? Bo kobiety nie...

– Proszę nie zgrywać głupka, panie mecenasie. Oczywiście, że kobiety mogą wykorzystywać dzieci. Ale Erling gwałcił chłopców. Co oznacza, że sam był molestowany przez mężczyznę.

– Czy to aby nie przesada? Świat chyba nie jest tak prosty?

Jej spojrzenie nagle wypełnił smutek.

– Niestety świat jest bardzo prosty. Przyczyna i skutek. To wy, prawnicy, próbujecie go skomplikować. Ale dzieci... dzieci stanowią lustrzane odbicia dorosłych, których spotkali. A wielu dorosłych jest... złych. Albo nieużytecznych. Bywa, że to to samo.

– Podejrzewa pani kogoś?

– Nie. Pytałam Erlinga i oczywiście wszystkiemu zaprzeczał. Tak jest najczęściej. Ale...

– Tak?

– Widziałam... poznałam w jego oczach strach, kiedy zadałam mu pytanie. Zawsze tak jest. Ludzie, którzy molestują dzieci, grożą im najstraszliwszymi okropieństwami... Że one albo ich rodzice pójdą do więzienia, albo że umrą... Grożą im wszystkim. – Pokręciła głową. – Tacy ludzie... tak bardzo boją się zdemaskowania, że nie ma rzeczy, której by nie zrobili, aby tego uniknąć.

Kiedy wyszła, zostałem sam z myślami. W jej słowach była

pewna oczywista i niepodważalna logika. Może i Eli Jahr wypowiadała się nieco zbyt stanowczo, lecz coś mi mówiło, że ma rację. Nie rozumiałem, dlaczego sam już dawno na to nie wpadłem, ale przecież tyle się działo. Najpierw zabójstwo Erlinga, później oskarżenie Jarlego. Problemy i śmierć Kirsten. Tyle wydarzeń, tyle rzeczy odciągało moją uwagę od tego, od czego tak naprawdę wszystko się zaczęło – od molestowania. Od Erlinga wykorzystującego dzieci. Miałem tyle innych rzeczy na głowie, że nigdy nie zadałem sobie tego pytania. Pytania obrońcy. Dlaczego? Dlaczego Erling molestował małe dzieci?

Próbowałem odsunąć tę sprawę na bok, powrócić do przygotowań do procesu, ale nie mogłem. Ktoś wykorzystywał Erlinga. Ktoś molestował go seksualnie. Nie wiedziałem gdzie, kiedy ani kto, nie wiedziałem nawet, czy to ważne, ale mój instynkt krzyczał, że tak właśnie jest.

Zanim pojechałem do więzienia, zapowiedziałem się Jarlemu przez telefon. Zgodnie z oczekiwaniami nawrzeszczał na mnie. Dałem mu się wyżyć, ale po paru minutach mu przerwałem, obiecując, że będzie mógł dokończyć po moim przyjeździe. Po drodze minąłem znak wskazujący zjazd na przedmieścia, gdzie mieszkał. Nie potrafiłem opędzić się od myśli o tym, czego doświadczył Erling. W moich uszach odbijały się echem ostatnie słowa Eli Jahr. „Tacy ludzie – powiedziała – tak bardzo boją się zdemaskowania, że mogą dopuścić się wszystkiego”.

Zastanawiałem się, czy to „wszystko” mogłoby obejmować zabójstwo. Niemal minąwszy zjazd, zakląłem głośno i ostro skręciłem. Jarle czekał już tak długo, że mógł poczekać jeszcze trochę. Obiecałem sobie, że nie zajmie to więcej niż pół godziny.



## Rozdział 48

Ostatnim razem skradałem się po tej klatce schodowej jak złodziej, mijając drzwi Katrine Iversen w obawie, że dowie się o nocy, którą spędziłem u Elsy Støle. Tamten epizod nadal budził we mnie nieprzyjemne uczucia, może z powodu mojej słabości, mieszania życia prywatnego z zawodowym, a może z powodu żądy, która nadal mnie dopadała na myśl o Elsie. Niechętnie zerknąłem w górę, spodziewając się niemal, że ujrzę ją, jak kołysząc się, schodzi po schodach – szczupła, lecz o szerokich biodrach i z tajemniczym, choć zarazem zachęcającym uśmiechem na ustach – jednak nikt się nie zjawił. I nikt nie otworzył mi drzwi.

Wiedziałem, że dla Katrine to wczesna pora, że prawdopodobnie odsypia wczorajsze picie, ale było wpół do jedenastej, a ja nie zamierzałem dłużej czekać. Pragnąłem zadać jej kilka pytań i byłem pewien, że zdoła mi pomóc, jeśli tylko zechce.

Raz jeszcze wcisnąłem dzwonek.

I znów.

Po kilku minutach wydało mi się, że słyszę cichy głos zza drzwi, a później ujrzałem za wizjerem cień, który pojawił się i zniknął, jak gdyby ktoś zerknął na klatkę.

Walnąłem pięścią w drzwi.

– Katrine! – krzyknąłem. – Tu Mikael Brenne. Otwieraj!

Wreszcie usłuchała. Oczy miała przekrwione, makijaż

rozmazany, usta zaś suche i spękane. Niemal fizycznie odczułem jej kaca, gdy spojrzała na mnie z mieszanką bólu i niechęci.

– Czego chcesz?

Przekroczyłem próg, a kiedy przecisnąłem się obok niej, dopadł mnie kwaśny zapach pijaństwa oraz niemytego ciała.

– Muszę z tobą porozmawiać. Weź prysznic, Katrine, a ja zrobię kawy.

W jej oczach pojawił się błysk irytacji, oporu wobec tego, że wkroczyłem w jej życie i zacząłem wydawać rozkazy, ale zaraz potem zniknął. Nie miała siły protestować, więc tylko skinęła głową i poszła do łazienki. Chwilę później usłyszałem szum wody w rurach.

Włączyłem ekspres do kawy, umyłem dwie filizanki, przepłukałem termos stołowy i wszedłem do salonu. Panował tam taki sam nieład jak zawsze. Dopiero po jakimś czasie zorientowałem się, że kupiła meble. Nowy i z pewnością elegancki skórzany zestaw prawie zniknął już pod stertami brudnych ubrań.

Minęła wieczność, zanim usłyszałem skrzypienie drzwi od łazienki. Po kilku minutach Katrine weszła do salonu, ubrana w koszulkę i znoszone dżinsy. Wilgotne włosy zasłaniały jej twarz. Zmarszczki wokół ust stały się chyba głębsze i wyraźniejsze od czasu, kiedy widziałem ją po raz pierwszy, a nad górną wargą pojawiła się sieć cienkich linii. Podałem Katrine filizankę z kawą. Przyjęła ją bez słowa i ostrożnie wypić łyczek z parującego naczynia.

– Lepiej? – zapytałem.

– Czego chcesz?

– Myślałem o jednej sprawie... a właściwie się zastanawiałem.

Brak odpowiedzi. Czekała na ciąg dalszy.

– Chodzi o Erlinga. Zastanawiam się, czy... w pewnym momencie się zmienił.

Wydawała się zdezorientowana.

– Jak to?

– Czy nagle się zmienił, zaczął inaczej zachowywać, stał się... niemożliwy albo smutny czy coś. Może zauważyłaś u niego zmiany, których nie potrafiłaś wyjaśnić czy zrozumieć? Tego typu rzeczy. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Chyba tak.

– No i? Zauważyłaś coś takiego?

Potarła skronie.

– Ja... trudno powiedzieć. Nie wiem. Tyle się działo... przecież dzieci stale się zmieniają, nie? – Gestykulowała niewyraźnie. – Zawsze coś jest... poza tym była ich dwójka. Trochę mi się zlewają z sobą. – Napotkała mój wzrok. – Dlaczego się nad tym zastanawiasz?

– Chodzi o sprawę, w której oskarżony był Erling. O dzieci, które molestował. Myślę, że robił to, ponieważ sam był molestowany.

– Nie.

– Jak to?

– Nie był – oznajmiła beznamiętnie.

– Nie twierdę, że zrobiłaś coś złego, Katrine, wydaje mi się tylko, że mógł doświadczyć...

Teraz bez trudu wyczytałem z jej oczu wrogość.

– Ta sprawa... On nie zrobił tego, co oni mówili! I... nie był molestowany. Dlaczego rozsiewasz plotki... wymyślasz o nim historie... On nie żyje, jest martwy! Nie możesz zostawić go w spokoju?! Musisz w taki sposób szargać jego imię? Co z ciebie w ogóle za adwokat? – Jej głos nabrał przeszywającego,

histerycznego brzmienia. – Wypieprzaj stąd, Brenne, nie chcę cię słuchać, jeżeli masz rozgłaszać takie historie, to ja...

Wstałem.

– Katrine, uspokój się, pomyśl chwilę. To może mieć znaczenie dla sprawy Jarlego. Nawet w Służbie Ochrony Praw Dziecka sądzą, że mogło do tego dojść.

Palnąłem głupstwo, powołując się na Służbę. Poderwała się na nogi tak prędko, że kawa przelała się przez krawędź filiżanki.

– Służba Ochrony Praw Dziecka! Ci... idioci!

– Katrine! Posłuchaj, to...

– Nie! Wynoś się. Nie chcę tego słuchać.

Już nie krzyczała, ale tylko dlatego, że nie była w stanie. Popatrzyłem jej w twarz, w oczy, i dałem za wygraną.

Dziesięć minut później siedziałem już w innej kuchni z kubkiem kawy w dłoniach. Margaret, dziewczyna Erlinga, patrzyła na mnie wyczekująco zza drugiego końca stołu, podczas gdy mówiłem. Nie mogłem nic wyczytać z jej nieprzeniknionej twarzy. Była tylko nastolatką, ale i tak czułem się niepewnie. Gdy zapytałem, co u niej, jedynie wzruszyła ramionami, jakby moje pytanie nie miało sensu. Może faktycznie tak było.

Kiedy skończyłem, milczała tak długo, że zacząłem się zastanawiać, czy mnie w ogóle słuchała.

– Pytałam go o tę sprawę z dziećmi – odezwała się wreszcie.

– Tak? I co powiedział?

– Że miał wtedy tripa i że nigdy by do tego nie doszło, gdyby nie był naćpany. Że przesadził. Że to nic nie znaczyło.

– Uwierzyłaś mu?

Wzruszyła ramionami.

– Nie zauważyłam nic... nienormalnego u Erlinga.

– Jeśli chodzi o seks? To znaczy, że był pod tym względem normalny?

Wierciła się chwilę.

– Tak. Był normalny. Było nam razem dobrze. Chyba nie zastanawiałam się nad tym za bardzo. No i... dużo wtedy braliśmy.

– Tak, rozumiem.

– Ale mieliśmy plany.

– Jak to?

– Wiedzieliśmy, że bierzemy za dużo, że trochę nad tym nie panujemy, nie? Ale było tyle rzeczy, ta sprawa Erlinga, brat, który ciągle go gnębił, żeby się ogarnął, i nigdy nie był zadowolony... Mój ojciec i matka Erlinga. Wszyscy nas męczyci, cały czas tylko marudzili. – Po raz pierwszy, odkąd ją spotkałem, trochę się ożywiła. – Nie potrzebowaliśmy ich, poradzilibyśmy sobie sami. Mieliśmy plany.

– Jakie?

– Chcieliśmy wyjechać. Na odwyk do Hiszpanii. Mają tam klinikę... Wymieniają ci całą krew, stajesz się nowym człowiekiem! A później byśmy tam zostali, wypoczywalibyśmy, Erling i ja...

Musiała dojrzeć niedowierzenie w moich oczach.

– Naprawdę byśmy tak zrobili! Zarezerwowaliśmy nawet miejsca, możesz sprawdzić!

– Wierzę ci, Margaret – zapewniłem, nie ujawniając, co myślę. Że wymiana krwi to nie wszystko. Że nie pomogłaby im nawet wymiana całego ciała, ponieważ uzależnienie tkwi w głowie, w duszy, w labiryntach umysłu. Nie było sensu tego mówić. I tak nigdy nie pojechaliby razem do Hiszpanii.

– Więc nie sądzisz, że mógł być molestowany? – zapytałem po chwili.

– Tego nie powiedziałam. Nie wiem. W każdym razie nic mi nie mówił.

Westchnąłem, miałem już wstać, kiedy odezwała się znowu.

– Ale coś... było. Jeden facet.

– Co masz na myśli?

– Był taki stary facet, który ścigał Erlinga. Erling mieszkał w tym domku... nie tylko po to, żeby ukryć się przed Jarlem. Szukał go jeden staruch. Którego on nie chciał widzieć.

– Bał się go?

– Tak. To znaczy nie wiem. Ale ten dziad wypytywał wszędzie o Erlinga, a Erling nie chciał go widzieć. Tyle wiem.

Popatrzyłem na nią, dziewczynę podobną do wróbla, małą i drobną, o piersiach ledwie rysujących się pod swetrem, całkiem przeciętnej twarzy już noszącej ślady uzależnienia, nieco za dużym nosie, pryszczatej cerze. Jednak oczy miała ciemne, twarde, nieprzeniknione. Nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć, ale chyba nie było sensu jej przyciskać.

– Mogę porozmawiać z kimś jeszcze? Czy Erling miał jakichś dobrych kumpli, kogoś, komu się zwierzał?

– Może Stiana.

– Gdzie go znajdę?

– Jeśli poczekaś do popołudnia, na pewno będzie w barze z fast foodem w centrum. – Opisała go, a ja zdałem sobie sprawę, że wiem, o kogo chodzi. – Tylko nie mów, że to ja cię do niego przysłałam – dodała, gdy wychodziłem.

– Dlaczego?

– Noo... tak to już tutaj jest.

W barze pachniało zjełczalym tłuszczem, a linoleum było śliskie i zabrudzone. Paru dorosłych klientów czekało cierpliwie na swoje

burgery, w miarę możliwości ignorując to, co działo się w głębi lokalu. Siedziała tam grupka dzieciaków w różnym wieku, a coś w ich postawie sygnalizowało, że to ich terytorium, do którego niepowołani nie mają wstępu. Poszedłem tam, w stronę głośnego śmiechu i elektronicznych dźwięków z automatów do gry, i zatrzymałem się metr od nich. Zobaczyłem chłopaka z pogrzebu, tego z kolczykami. Tego, z którym zderzyłem się w deszczu, gdy wracałem od Elsy. Stiana. Kołysał się na krześle i wcale mnie nie zauważył, pochłonięty rozmową z dziewczyną z pomalowanymi na czarno oczami i grubą warstwą samoopalacza na twarzy.

Spojrzał jednak na mnie nieco starszy, krótko ostrzyżony chłopak w czarnej bluzie z kapturem, o ciężkich, szerokich policzkach.

– Spadaj – odezwał się.

Pokręciłem głową.

– Chcę tylko...

– Spadaj – powtórzył beznamiętnie, nie zmieniając wyrazu twarzy.

Stian podniósł wzrok. Skinąłem mu głową, ignorując tego w bluzie.

– Mogę zamienić z tobą parę słów?

Chłopak w bluzie wstał.

– Słyszałeś...

Stian był szybszy.

– W porządku – wtrącił się. – Na zewnątrz. – Pochylił się, aby wyszeptać coś do ucha tego w bluzie, i chłopak z powrotem usiadł.

Na dworze wiał ostry wiatr, a zapach deszczu wisiał w powietrzu jak niewypowiedziana obietnica. Stian zapalił papierosa, stanął tyłem do wiatru, osłonił płomień zapalniczki. Zaczęło się ściemniać, a kolczyki na jego twarzy, w dolnej wardze, nozdrzu i brwi

połyskiwały czerwono, kiedy zapalił i głęboko wciągnął dym w płuca.

– Nazywam się Mik...

– Wiem, kim pan jest – przerwał mi. – Adwokatem Jarlego.

To wyjaśniało, dlaczego zechciał ze mną gadać i co szepnął temu w bluzie. To był teren Jarlego. Tutaj ludzie go znali, tutaj miał określoną pozycję, tu cieszył się szacunkiem.

– Zgadza się. Jestem adwokatem Jarlego. I jestem tu z jego powodu, z powodu jego sprawy.

Chyba tylko tyle mogłem powiedzieć, żeby się przede mną otworzył. Gdy zapytałem, czy faktycznie kumplował się z Erlingiem, wzruszył ramionami i zaprzeczył.

– Nie? Co innego słyszałem.

Trochę się wykręcał.

– Może wcześniej, jak byliśmy mali. Ale nie teraz... nie w ostatnich latach.

– Aha?

Błądził wzrokiem.

– On...

– Tak?

– Zabawiał się z małymi chłopcami, nie? Pierdolony zbok!

– A. Dlatego. Rozumiem.

Rzeczywiście go rozumiałem. Pamiętałem reakcję Jarlego na czyny brata, jego wściekłość i zakłopotanie. W tym środowisku panowała więzienna moralność, hierarchia kryminalistów, w której ci, którzy popełniają przestępstwa wobec dzieci, znajdują się najniżej i są narażeni na jeszcze silniejsze, bardziej bezwzględne, a przede wszystkim bardziej namacalne potępienie niż ze strony reszty społeczeństwa.



– Może to zrobił, ale myślę, że stało się to z pewnego powodu – powiedziałem.

– No?

– Myślę, że ktoś go kiedyś molestował. Kiedy sam był dzieckiem. Często to dlatego ludzie tacy się stają.

Jego wzruszenie ramion wyrażało wszystko. Stian najwyraźniej nie przejmował się specjalnie psychologicznymi modelami przyczynowo-skutkowymi. Kontynuowałem:

– Moje pytanie brzmi: czy coś ci o tym wiadomo? O tym, że ktoś wykorzystywał Erlinga seksualnie.

– Skąd miałbym wiedzieć?

Odpowiedź była wymijająca, defensywna.

– Na przykład ponieważ Erling ci powiedział.

– Nie. Nic takiego nie mówił.

Ale jego wzrok był rozbiegany, a przyszcze odbijały się ostrą czerwienią od bladej skóry. Kłamał.

– Posłuchaj mnie, Stian. Jarle jest oskarżony o zabójstwo. O zabicie własnego brata. To może być ważne, może nawet całkiem decydujące dla tej sprawy. Nie ucieszy się, jeśli nie powiesz mi tego, co wiesz. – Odczekałem chwilę, dostrzegłem jego niepewność i dodałem: – A jeżeli ktoś molestował Erlinga... całkiem możliwe, że ta sama osoba go zabiła. Chyba nie chcesz, żeby uszło mu to na sucho, co? Jeśli coś wiesz, musisz mi powiedzieć, Stian.

Minęło kilka minut, zanim zabrał głos.

– To było... lata temu, na cyplu. Wie pan, tam gdzie chodzimy się kąpać. Przez tunel w stronę miasta, a potem...

Skinąłem głową.

– Wiem, gdzie to.

– No. Więc tam. Byliśmy dość mali. Kąпалиśmy się i tak dalej,

cały dzień. To był jeden z tych dni, wie pan, okropnie gorący. Pod wieczór, albo późnym popołudniem, nie pamiętam, przyszedł jeden facet...

– Tak?

Spadły pierwsze krople deszczu, ale Stian jakby tego nie zauważył.

– Erling go znał. Namówił mnie, żeby pójść do samochodu tego faceta. Mogliśmy zarobić parę koron... – Zaśmiał się cicho i nieco chrypliwie. – Byliśmy dzieciakami. Nic nie kapowałem, po prostu poszedłem z nim, bo myślałem, że to ciekawe.

– Co się stało?

– A jak pan myśli? Kazał nam robić... różne rzeczy. Walić mu konia. Erling... mu obciągał, ale ja nie chciałem. Uważałem, że to ohydne. Później dostaliśmy po słowie. Byłem tylko dzieciakiem – powtórzył. – Nic nie kapowałem. Nigdy potem tego nie zrobiłem, chociaż Erling parę razy pytał, czy chcę się przyłączyć. – Napotkał moje spojrzenie, a ja dostrzegłem w jego oczach rozpacz i strach. – Nie jestem gejem czy coś. Byłem dzieciakiem.

– Rozumiem, Stian. Nie tylko ty coś takiego przeżyłeś. To nic nie znaczy. Ile mieliście wtedy lat?

– Chyba dwanaście. Dwanaście albo jedenaście.

– A Erling robił to wcześniej? Z tym samym mężczyzną?

– Tak. Tak przynajmniej mówił.

– Wymienił jego imię?

– Nie.

– Okej. – Zastanowiłem się chwilę. – Musisz zeznać to na policji.

Wahał się.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby nie było to dla ciebie żadnym obciążeniem, ale musisz złożyć zeznanie. – Gdy nadal milczał,

dodałem: – Powiem to Jarlemu. A jeśli nie złożysz zeznania, nie będzie zadowolony.

Zaakceptował porażkę i kiwnął głową. Poczulem ukłucie wyrzutów sumienia.

– Posłuchaj, Stian, możesz opisać tego mężczyznę?

– Po co? Pan go zna.

– Jak to?

– Widziałem go w telewizji parę tygodni temu.

– Co? W jakim programie?

– Podczas debaty. Nie pamiętam do końca, na jaki temat.

– Pamiętasz, na którym kanale...

– Był tam z panem.

– Co?

– Był z panem w telewizji. Brał pan udział w tym samym programie. Chyba wie pan, o kim mowa.

Mój umysł zatrzymał się na kilka sekund, zanim znów zaczął działać.

– O kurde – szepnąłem. – Jesper Juul. O kurde.

Jakiś samochód wjechał na plac przed barem, a w świetle reflektorów ujrzałem nagle tysiące kropli deszczu. Twarz Stiana błyszczała od wilgoci.

– Mogę już wracać? – zapytał. – To wszystko?

– Tak – odparłem i bezwiednie skinąłem głową. Moje myśli wirowały jak opętane. – To wszystko. Dziękuję.

Otworzyła drzwi niemal od razu, ale nie była w lepszym nastroju niż poprzednio. Ewidentnie wróciła do picia.

– Znowu ty, Brenne? Co, kurna, teraz?

– Mam do ciebie pytanie.

Zawahała się.

- Jedno pytanie, Katrine. Nie muszę nawet wchodzić.
- Dobra. Bo nie chcę cię tutaj.
- Świetnie.
- No... to o co chodzi?
- Zastanawiałem się tylko, czy Erling... czy brał udział w letnim obozie, kiedy był mały? Gdy miał około dziesięciu lat?
- W letnim obozie?
- Tak. Takim dla dzieci, które... chcą wyjechać na wakacje. Organizowała to chyba gmina we współpracy z jakimś klubem. Lions czy Rotary. Coś w tym stylu.
- Popatrzyła na mnie podejrzliwie.
- Dlaczego pytasz?
- Boże drogi, Katrine! Próbuję uratować twojego syna od wyroku za zabójstwo. Możesz z łaski swojej odpowiedzieć na pytanie?
- Okej. Zgadza się, przez parę lat jeździł na taki obóz, w sumie chyba dwa czy trzy razy. Dlaczego?
- Tylko tyle chciałem wiedzieć. To potwierdza moje podejrzenia.
- Doskonale pamiętałem głos Jespera Juula, gdy opowiadał mi o swojej pracy podczas obozów letnich dla młodzieży z biednych domów. I pamiętałem jego wyraz twarzy, żarliwość spojrzenia, gdy mi to mówił. „To dla mnie ważne” – powiedział.
- Wzdrygnąłem się.

## Rozdział 49

Długi rząd zamkniętych drzwi. Połyskliwych, pozbawionych wyrazu, brązowych. Anonimowych i biurokratycznych. Pomyślałem, że to mógłby być korytarz w jakimkolwiek urzędzie. W urzędzie skarbowym czy celnym. Nawet w urzędzie ochrony konkurencji, jednak tak nie było. Korytarz znajdował się w miejskiej komendzie policji i nudziłem się tam już od czterech godzin.

Nastał późny wieczór, zbliżała się północ, a wszystkie pokoje zdążyły opustoszeć, z wyjątkiem jednego, gdzie odbywało się przesłuchanie Jespera Juula. Zapytałem, czy mogę wziąć w nim udział, lecz poinformowano mnie, że to wykluczone. Tak im jednak marudziłem, że wreszcie pozwolili mi poczekać na korytarzu.

– Jaki w tym sens? – zapytał prokurator. – Równie dobrze mógłbyś czekać w domu. Zadzwoń zaraz po skończeniu przesłuchania. Wtedy możesz przyjechać i przeczytać zeznanie.

Wiedziałem, że ma rację, lecz mimo wszystko nalegałem, aż w końcu się poddał.

– Dobra, siedź, skoro chcesz, Brenne – powiedział zrezygnowany.  
– Kodeks postępowania karnego nie reguluje tego, kto jak może tracić swój czas.

Przysłuchiwał mi się uważnie, kiedy przyszedłem do jego biura i opowiedziałem mu swoją historię. Bałem się, że uzna to za

adwokacki trik, wymówkę wymyśloną w ostatniej chwili, żeby wprowadzić nieco zamętu i niepewności do sprawy Jarlego, ale słuchał, trochę notował, i ani razu mi nie przerwał. Wreszcie odchylił się na krześle i przez kilka minut wpatrywał się w sufit, stukając ołówkiem o zęby, co powodowało irytujący dźwięk. Nagle z trzaskiem opuścił krzesło na podłogę, popatrzył na mnie i powiedział:

– Hm. A więc Jesper Juul.

Mądrze trzymałem język za zębami. Postukał jeszcze chwilę długopisem, tym razem w stół.

– Wierzysz w to, Brenne? Wierzysz, że to prawda?

Skinałem głową.

– Tak. Również dlatego, że zgadza się to z moim pierwszym wrażeniem w tej sprawie. To znaczy w sprawie Erlinga, nie Jarlego. Chłopak molestował dzieci. Zadałem sobie pytanie, co decyduje, że młodzi ludzie popełniają przestępstwa na tle seksualnym.

– Racja. Fakt, że sami byli kiedyś wykorzystywani.

– Dokładnie tak. Poza tym... to logiczne.

– Na tyle logiczne, by doprowadzić do oczyszczenia twojego klienta z zarzutu morderstwa?

Wzruszyłem ramionami.

– Tak. Ponieważ jest niewinny.

Wykrzywił usta, jakby spróbował czegoś kwaśnego.

– Naprawdę tak myślisz?

– Owszem. Wszystko się zgadza. Zdaniem tej dziewczyny, Erling się go bał. A pedofil bojący się zdemaskowania ma najlepszy na świecie motyw, żeby zabić.

– No, może. O ile to prawda.

Drgnąłem.

– Naprawdę sądzisz, że to wymyśliłem, by...

Pokręcił wolno głową.

– Nie, Brenne, nie sądzę. Ale... muszę to wziąć pod uwagę. Kto mi zagwarantuje, że to nie jest po prostu historia rozpowszechniana przez kumpli Jarlego w celu uratowania go przed wyrokiem za zabójstwo?

– Prawdy można dociec tylko w jeden sposób, a mianowicie poprzez śledztwo.

Westchnął ciężko.

– Pewnie masz rację. Co proponujesz? Przypuszczam, że już się nad tym zastanawiałeś?

Nie zawahałem się ani na moment.

– Przesłuchaj Margaret i Stiana. A później dobierz się do tyłka Jesperowi Juulowi. Nie można dać mu czasu do namysłu. Aresztuj go z całą pompą. Przeszukaj dom. Od razu weź go na przesłuchanie. Bądź agresywny. Wtedy się złamie.

Prokurator rzucił mi nieprzeniknione spojrzenie.

– Hm. Tak. Albo on złamie nas. Jeśli się mylimy, to... – Przesunął dłonią po gardle w sugestywnym geście.

– No więc co zrobisz? – zapytałem po chwili.

– Co zrobię? Sprowadzę go tutaj, oczywiście.

Nie widziałem, jak go przyprowadzili, ale byłem obecny, kiedy nadszedł jego obrońca, starszy, doświadczony i dobrze mi znany. Przywitał się ze mną skinieniem głowy i powiedział coś, czego nie dosłyszałem. Najwyraźniej jednak sądził, że znalazłem się tam z innej przyczyny, w związku z jakimś innym klientem. Nie miałem powodów, by go wyprowadzić z błędu.

Zadzwoiłem do Jarlego, który zachowywał się histerycznie.

– Uspokój się. Chyba rozwiązałem sprawę. Najprawdopodobniej w ogóle nie będziesz musiał stawić się w sądzie.

– Żartujesz! – odparł z niedowierzaniem.

– Nie. Nie mogę nic zagwarantować, ale jestem optymistycznie nastawiony. Pożyjemy, zobaczymy.

Półtorej godziny później do pokoju przesłuchań zapukał policjant, podał kilka kartek. Zgadywałem, że są to pierwsze raporty z przeszukania, więc trzymałem kciuki, myśląc, że nie sporządzono by raportu, gdyby nic nie zostało znalezione.

Minął mnie Holgersen, śledczy odpowiedzialny za sprawę Synne. Przywitał się i popatrzył na mnie zdziwiony.

– Co pan tu robi, Brenne?

– Jestem w związku ze sprawą – powiedziałem, nie mając sił na wchodzenie w szczegóły. – Czekam na koniec przesłuchania.

– Jak ma się pana aplikantka?

Poczułem silne ukłucie w przeponie.

– Ona... czekamy i mamy nadzieję.

– To niedobrze – rzekł. – Ten człowiek, Steinar Taule, powinien był...

– Tak. Jak tam sprawa przeciwko niemu?

– Nadal nic nie mówi, ale na razie to bez znaczenia. Oprócz pana mamy jeszcze kilku świadków, którzy rozpoznali go jako nożownika. Dysponujemy niezbitymi dowodami. Ale czy okaże się poczytalny z punktu widzenia kodeksu karnego, to już inna sprawa.

– Myśli pan, że jest szalony? To znaczy, najwyraźniej tak, ale czy jest psychotyczny? Na tyle, żeby nie mógł zostać ukarany?

Pokręcił wolno głową.

– Naprawdę nie wiem. To nie moja działka. Ale nie ma pan



pojęcia, co znaleźliśmy w jego domu. Był rzeczywiście całkowicie opętany Synne Bergstrøm. Całkowicie. Chyba nie robił nic poza śledzeniem jej. Miał rysunki, fotografie, całe tysiące. I pisał pamiętnik... To najdokładniejszy rejestr, jaki może pan sobie wyobrazić. Gdzie była, kogo spotkała. Sklepy, do których chodziła. Godziny, co do minuty. Opisy osób, z którymi się widziała i rozmawiała. Numery rejestracyjne samochodów parkujących przed jej domem. – Znowu pokręcił głową. – Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Czy jest szalony w świetle prawa? Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że jest totalnie stuknięty w każdym zwyczajnym znaczeniu tego słowa.

– Nie wiadomo, czy będzie to miało jakieś znaczenie. Pewnie wyląduje w szpitalu psychiatrycznym, jeśli nie uda się go wsadzić do więzienia.

– Pewnie tak. – Zastanowił się chwilę. – Ale mamy na niego coś jeszcze.

– Co?

– Był dużo ważniejszą i bardziej aktywną postacią w kręgach narkotykowych, niż przypuszczaliśmy. Na swoje nieszczęście również o tym dużo pisał, odnotowywał ilości i swoich współpracowników.

Uśmiechnąłem się.

– To akurat nie wskazuje na to, że jest psychotyczny. Tylko głupi.

– No nie? Jeden z jego kolegów siedzi już za kratkami. Okazało się, że już wcześniej tam trafił. Dobrze pan go zna.

– O? Kto to?

– Lars Knut Sture. To nie pan postarał się, żeby schwytano go za zabójstwo siostry?

Byłem zdumiony.

– Sture? Tak, to się zgadza. A niech mnie...

– Muszę lecieć, Brenne. Mam nadzieję, że Synne Bergstrøm się polepszy. Skoro się trzyma, to musi być dobry znak.

Chciałem, żeby miał rację.

Za dwadzieścia dwunasta coś zaczęło się dziać. Wyszedł śledczy prowadzący przesłuchanie. Minął mnie, skinął krótko głową i zniknął w innym pokoju parę metrów dalej. Po chwili wrócił, a ja zdałem sobie sprawę, że idzie odebrać wydruk. Chwilę później znowu przyszedł, niosąc pojedynczą kartkę.

„Poprawki – pomyślałem. – Skończyli. Juul, albo jego adwokat, poprosił o poprawkę. Teraz podpisują się pod zeznaniem”.

Czułem, że puls mi przyspieszył.

Miałem wrażenie, jakby minęła cała wieczność, choć w rzeczywistości zaczęli wychodzić zaledwie po pięciu minutach. Najpierw śledczy i prokurator. Później obrońca, a na końcu Jesper Juul.

Widziałem, co się stało, mogłem wyczytać to z jego twarzy i postawy. Jego wzrok przywoływał skojarzenia z ofiarami wojennymi, osobami ocalałymi z katastrof. Wzrok błędzący tysiąc mil stąd, oglądający sceny z innego miejsca i czasu. Tak wyglądały oczy Jespera Juula. Cerę miał poszarzałą, niezdrową, jak u pacjentów z mocno zaawansowanym rakiem, a jego kroki straciły wszelką sprężystość, przypominały chód starca. Albo człowieka w drodze na szafot.

Adwokat trzymał go za rękę. Pochylił się i wyszeptał mu coś na ucho, ale Jesper Juul nie zareagował, był ślepy i głuchy na wszystko poza myślami, które musiały wirować w jego głowie jak stara, zarysowana winylowa płyta. Wstałem z krzesła.

– Witaj, Jesper – odezwałem się cicho.

Minęło kilka sekund, nim się skupił, rozpoznał mnie.

– Mikael – powiedział. – Co ty zrobiłeś? Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

– Co zrobiłem? – Zaśmiałem się krótko, brutalnie. – Pytanie, co TY zrobiłeś, Jesper! Co zrobiłeś Erlingowi Iversenowi i Bóg wie ilu innym dzieciom. – Pokręciłem głową. – Pamiętam, jak zaimponowało mi, że jesteś tak świadomy swoich społecznych obowiązków.

Popatrzył na mnie pusto, bez zrozumienia.

– Twoja wakacyjna praca, Jesper! Obóz letni dla dzieci w trudnej sytuacji materialnej. Wymarzone zajęcie dla pedofila!

– To nie tak, Mikael! Chciałem im tylko pomóc. To był tylko...

Jego głos ucichł. Adwokat popatrzył na mnie, kręcąc głową.

– Chodź, Juul – ponaglił. – Idziemy.

Prokurator wydawał się wykończony, lecz dość zadowolony.

– No? – zagailem. – Słucham.

Przeciągnął się, tłumiąc ziewnięcie.

– Oczywiście wszystkiemu zaprzeczył. Puszył się, oburzał, powoływał na swój status i pozycję. Wiesz, jak jest. Tak. Ale powietrze chyba już z niego trochę zeszło. – Uśmiechnął się sztywno. – Zestresował się, gdy zacząłem zadawać pytania o Erlinga Iversena, ewidentnie mu nie leżały, ale dalej szedł w zaparte. Dopóki nie zobaczył raportu z przeszukania.

– Aha. Tak myślałem. Widziałem, że dostaliście jakieś raporty.

– Tak. Mnóstwo dziecięcego porno na komputerze. Trochę dziewczynek, ale głównie chłopcy. Niektóre rzeczy naprawdę brzydkie. Miał tam też zdjęcia Erlinga Iversena. – Potrząsnął głową. – W sumie to nie do wiary. Nie chodzi o orientację, bo nic

mnie już nie dziwi, ale są tacy nieostrożni! Dlaczego gdzieś tego nie skopiują, nie ukryją? To niepojęte.

– Tak. Ale tym lepiej dla nas.

– Zgadza się. W każdym razie potem całkiem się załamał.

– Przyznał się do molestowania Erlinga?

– Tak. Nagle jakby zupełnie się poddał.

– A... zabójstwo? – Musiałem zadać to kluczowe pytanie. –

Przyznał się do zabójstwa?

– Nie.

– Nie?

– Nie. – Prokurator przerwał. – Ten zarzut nim wstrząsnął.

– No, pewnie!

– W każdym razie wszystkiemu zaprzeczył.

– A ty mu uwierzyłeś? Jasne, że zaprzeczył, też bym tak zrobił, ale to chyba nie znaczy, że jest niewinny, prawda?

Pokręcił głową.

– Wiem, Brenne, wiem. I nie, nie wierzę mu, ale...

– Ale co? Jeśli lepiej mu się przyjrzyście, trochę go przyciśnięcie, to założę się, że...

– Może, zobaczymy.

– Chyba nie wydaje ci się, że...

– Nic mi się nie wydaje, Mikael. Mnie się nie ma wydawać, ja potrzebuję faktów. A na razie nie mamy dowodów wskazujących na to, że Jesper Juul jest zabójcą.

Byłem zszokowany.

– Nie możesz tak myśleć! Przecież to oczywiste, że Juul miał najlepszy na świecie motyw, żeby zabić Erlinga.

– Może i tak, ale...

– Zabił Erlinga, aby nie wydało się, że go molestował! Nawet

ślepy dostrzegłby tutaj związek!

– Motyw to nie dowód.

Byłem tak pochłonięty własnym śledztwem, tak uwiedziony swoimi odkryciami, że nie przemyślałem należycie pewnych kwestii.

– Więc co teraz? Chcesz, żeby mimo to sprawa Jarlego Iversena potoczyła się swoim torem?

– Tak.

– Chyba nie mówisz poważnie! Przecież to oczywiste, że Jesper Juul może być... – Wstałem, podniosłem głos.

– Uspokój się, Brenne. Też to rozumiem, dlatego powiadomiłem śledczych, żeby w pierwszej kolejności zajęli się sprawą Jespera Juula. Użyjemy wszystkich dostępnych środków.

– Powinieneś odroczyć proces, dopóki...

– Ale na razie nie wiem, dokąd doprowadzi nas śledztwo! Jesper Juul może równie dobrze nie mieć żadnego związku z zabójstwem. W takim wypadku twój klient będzie musiał zostać w areszcie na kolejne pół roku, a nawet dłużej. Nie podejmę takiego ryzyka.

– Jesper Juul jest mordercą – powiedziałem. – Popełniasz błąd.

– Jeśli tak się okaże, będę pierwszym, który za niego przeprosi – rzekł stanowczo prokurator. – Jednak chwilowo wszystko pozostaje bez zmian. A teraz wybacz. Mam rozprawę za... – zerknął na zegarek – ...mniej niż sześć godzin. Muszę iść do domu się przespać.

## Rozdział 50

– Wysoki sędzie, szanowna ławo przysięgłych...

Nie wiem, ile już razy słyszałem lub sam wypowiadałem tę formułę, na ogół tak szybko, rutynowo i bez zastanowienia, że brzmiała jak zaklęcie. Wystąpienie prokuratora nie odbiegało od normy. Mówił oschłym, trochę monotonnym głosem, jego styl był rzeczowy, na granicy nudy. A mimo to dobrze sobie radził. Coś w jego cichej, niedramatycznej postawie przekonywało słuchaczy, jakby brak teatralności i szerokich gestów dodawał wiarygodności jego twierdzeniom. Podczas gdy my, adwokaci, machaliśmy rękoma, szeptaliśmy, grzmieliśmy, uwodziliśmy i strasziliśmy, robiliśmy długie, sztuczne przerwy w wypowiedzi albo bez trudu przywoływaliśmy wielkie słowa, ów prokurator zachowywał się wręcz odwrotnie. Był wcieleniem zdrowego rozsądku, przekazywał zwyczajne uwagi zwyczajnym ludziom, a dla ławników łatwo stawał się tym, który stał po stronie prawdy w dezorientującej walce w sali sądowej. Tym, który przedstawiał fakty, podczas gdy my sprzedawaliśmy jedynie puste teorie.

Już wcześniej spotkałem go w sądzie. Znałem jego styl, zdawałem sobie sprawę z zagrożenia, a jednak i tym razem mi zaimponował. W całej swej rzeczowości był niemal hipnotyzujący i złapałem się na tym, że kiwam głową, słuchając jego metodycznej prezentacji faktów, zarówno tego, co niepodważalnie się wydarzyło,

jak i tego, co stało się zdaniem prokuratora. Opamiętałem się wreszcie i przybrałem poważną minę. Czasem ostrożnie kręciłem głową, udawałem, że zapisuję coś w notesie. Rysowałem strzałki i gwiazdki, sztylety i bomby. Cokolwiek, aby oddalić od siebie poczucie nieprzygotowania.

Było to dla mnie nowe doświadczenie i wcale mi się nie podobało. We wszystkich sprawach karnych chodzi o przygotowanie. Im lepiej zna się sprawę, tym lepszą robotę można wykonać w sądzie, najzwyczajniej w świecie. Brałem udział w wielu procesach z udziałem gwiazd palestry, adwokatów, których łączy właśnie to, że nie przygotowują się wystarczająco. Nie mogą. Przechodzą od jednej ciężkiej sprawy do drugiej, niemal bez przerwy, bez czasu i szans na to, by zrobić przed rozpoczęciem procesu to, co powinni. Ufają rutynie, na ogół uchodzi im na sucho nieznanomość faktów, ale nie bronią dobrze swoich klientów.

Zawsze starannie się przygotowywałem, czy do dużych, czy do małych spraw, przyrzekłem sobie, że nigdy nie będę jednym z tych, którzy się nie przykładają, niezależnie od tego, jak znany czy rozchwytywany się stanę. A teraz siedziałem bez planu, pozbawiony kontroli, z żołądkiem ściśniętym niepokojem.

Zaryzykowałem, poświęciłem ostatnie dni na zbadanie wątku pedofila. Przez ten czas powinienem był przygotowywać się do procesu, wykonywać ostatnie szlify, planować mowę wstępną, a przede wszystkim zeznanie Jarlego. Gdy Jesper Juul wytoczył się z pokoju przesłuchań, a jego życie stanęło na głowie, uważałem, że dokonałem słusznego wyboru, że do tego procesu nie dojdzie. Sądziłem, że zwycięstwo jest w zasięgu ręki.

Byłem jak bokser, nadal zamroczony po upadku na deski, który chodzi po ringu z podniesioną gardą, lecz w rzeczywistości przyjął

o jeden cios za dużo, ma nogi jak z waty, słaby refleks, mętlik w głowie i złe przecucia. Teraz już nie wiedziałem, czy postąpiłem właściwie.

Zerknąłem w lewo i zobaczyłem Jarlego na swoim miejscu. Nadal wydawał się przerażony, błędził wzrokiem po sali, patrzył to na sędziów, to na prokuratora, na ławników i z powrotem na sędziów. Widziałem, jak jego prawe udo porusza się pod stołem w górę i w dół niczym metronom, niespokojnie i bez wytchnienia.

Gdy tylko ujrzał mnie tego ranka, nakrzyczał na mnie, tak zdenerwowany i zrozpaczony, że plątał mu się język. Przez chwilę cieszyłem się z obecności strażników i tego, że nadal miał ręce zakute w kajdanki. Próbowałem go uspokajać, dotrzeć do niego, ale minęło dobrych kilka minut, nim się trochę opanował.

– Słuchaj, Jarle – powiedziałem. – Będzie dobrze, mam wszystko pod kontrolą. Będzie dobrze.

– Dobrze? Nienormalny jesteś? Przecież sam mówiłeś, że nie będzie tego procesu! Nie widziałem cię całą wieczność, nic nie zrobiliśmy, zaraz mam zeznawać, a ty twierdzisz, że masz wszystko pod kontrolą?! Jesteś... jesteś...

Zmusiłem go, by usiadł na krześle pod drzwiami sali sądowej.

– Zamknij się i posłuchaj. Nie zostało za dużo czasu do rozpoczęcia procesu. Powiedziałem, że może do niego nie dojść, a nie, że jestem tego pewien.

– Przecież główny przygotowaliśmy, a ja mam...

– Wiem, głupio wyszło, ale myślę, że to bez znaczenia, Jarle. Chyba wiem, kto jest mordercą. To kwestia godzin, najwyżej dni, żeby policja znalazła na niego wystarczająco dużo, by wycofać oskarżenie przeciwko tobie.

– Co? Kto...?



– Nazywa się Jesper Juul, ale to nieważne, później ci wyjaśnię. Nie mamy czasu. Teraz dobrze mnie posłuchaj, a powiem ci, na co najbardziej uważać podczas składania zeznań.

Kiwał głową, gdy mówiłem, ale nie wiedziałem, ile z tego naprawdę do niego dociera. Ścisnęło mnie w brzuchu z niepokoju.

– ...Synne Bergstrøm – powiedział prokurator, a ja drgnąłem, zacząłem znowu słuchać. – Razem z dziewczyną ofiary, Margaret, była ostatnią osobą, która widziała Erlinga żywego. Faktem jest, że do zabójstwa najprawdopodobniej doszło tuż po opuszczeniu przez nią miejsca zbrodni. Wynika to z zeznania lekarza sądowego, które będą mogli państwo usłyszeć. Ponadto wiemy, iż oskarżony przebywał w miejscu zbrodni niedługo po opuszczeniu go przez Synne Bergstrøm. – Przerwał, uniósł kartkę z blatu i odłożył ją na bok. – Wróćę jeszcze do ruchów oskarżonego podczas wieczoru zabójstwa. Na razie chcę tylko podkreślić, że Synne Bergstrøm musiała jako ostatnia widzieć Erlinga żywego... – Podniósł głowę, zatrzymał wzrok na Jarlem, który napotkał jego spojrzenie. Przez kilka sekund patrzyli na siebie przez całą długość sali sądowej. – Z wyjątkiem mordercy.

Po chwili prokurator znów utkwiał wzrok w notatkach.

– Pani mecenas Bergstrøm nie może stawić się w charakterze świadka ze względu na... poważną chorobę. Nie stanowi to jednak problemu. Złożyła zeznanie na policji, nie, dwa zeznania, które odczytam w sądzie. Zakładam, iż obrońca nie wniesie sprzeciwu. – Tym razem zerknął na mnie.

Skinąłem głową na znak zgody. Prokurator kontynuował, a ja znów przestałem słuchać. Nie mówił nic nowego, przynajmniej dla mnie. Dla ławy przysięgłych i sędziów były to ważne informacje, gdyż nie mieli dostępu do dokumentacji śledztwa, o sprawie

wiedzieli jedynie tyle, ile dotarło do nich z telewizji czy prasy. Wprowadzenie oskarżyciela było ich pierwszym zetknięciem z ustalonymi przez policję faktami. Zarówno ławnicy, jak i sędziowie odgrywali tutaj rolę uczniów, oskarżyciel zaś – nauczyciela. Uważnie go słuchali, pilnie notując. Ja przeczytałem wcześniej cały podręcznik, więc teraz się nudziłem.

Zmartwiło mnie jednak coś w wypowiedzi prokuratora. Nie wiedziałem co. Jego słowa nie zawierały nic nowego i, o ile zrozumiałem, nic istotnego dla sprawy. A jednak było w nich coś, co wydało mi się znaczące. Coś, co powinienem pojąć, powiązać z czymś, przeniknąć. Coś. Czuję, jakby swędziało mnie w miejscu, którego nie mogłem osiągnąć. Uporczywie. Natrętnie. Irytująco.

Oskarżyciel skończył i usiadł. Sędzia Lorentzen, kobieta w średnim wieku, o jasnych włosach otaczających głowę niczym kask, pochyliła się w prawo, by szepnąć coś na ucho koledze. Później odwróciła się i popatrzyła na mnie. Coś poruszyło mi się w brzuchu. Odezwała się Zmija, która dotąd leżała spokojnie.

– Panie mecenasie – zwróciła się do mnie sędzia. – Jakież uwagi? Podniosłem się.

– Tak, wysoki sędzie.

Zmija zaatakowała i strach rozlał się po moim wnętrzu, od brzucha do piersi, aż wreszcie sparaliżował mózg. Zamarłem na wpół wyprostowany, oparty o stół, pełen obaw, że runę na ziemię na oczach ławy przysięgłych.

– Panie mecenasie – powiedziała sędzia. – Coś nie tak?

Dopadło mnie to całkiem nieoczekiwanie. Nie miałem ani jednego ataku od wypadku Synne. Dni zlewały się z sobą, najpierw przy jej łóżku, później podczas przygotowań do procesu, a lęk ani razu nie dał o sobie znać. Wyparłem ze świadomości ostrzeżenie

Petera.

– Panie mecenasie?

– Przepraszam, wysoki sędzie – odpowiedziałem głosem, który wydał mi się obcy i ochryply. – Mam problem z kręgosłupem. Mogłbym prosić o pięć minut?

Popatrzyła na mnie zmartwiona.

– Oczywiście. Zarządzam krótką przerwę.

Opadłem na krzesło, ująłem głowę w dłonie i dałem się pochłonać fali paniki.

Siedem minut później mi przeszło. Podniosłem się, nieco rozdygotany, słaby i bliski mdłości, ale atak minął, więc mogłem znów myśleć, mówić i stać prosto. Po drugiej stronie sali siedzieli ławnicy, dziesięcioro obcych mi ludzi. Przyswoiłem sobie ich nazwiska i zawody, ale nie znałem ich marzeń, przekonań, przesądów i wartości, i zdawałem sobie sprawę, że nigdy ich nie poznam. Wszyscy pozostali uczestnicy procesu karnego zyskują w czasie jego trwania ludzką twarz. Mówią, grają, reagują, a pod koniec coś o nich wiem, i z wzajemnością. Ale nie o ławnikach. Oni tylko siedzą w milczeniu, nasłuchując, oceniając. A jednak to do nich musiałem dotrzeć, jeśli chciałem wygrać. Tego dnia nie byłem pewien, czy zdołam to zrobić.

– Usłyszeli właśnie państwo uporządkowaną i systematyczną prezentację sprawy w wykonaniu oskarżyciela – zacząłem. – Większość z tego, co powiedział na temat faktów, chronologii i informacji uzupełniających jest, o ile mogę ocenić, poprawne.

Wypiłem łyk wody ze szklanki, bo już zaschło mi trochę w ustach.

– Zgadza się także większość tego, co prokurator powiedział o Jarlem Iversenie. Przedstawił, co prawda, dość jednostronny

obraz, ale nie da się ukryć, iż Jarle nie miał łatwego dzieciństwa. Dorastał w trudnym środowisku, wśród ludzi prowadzących życie zupełnie nam obce. On także nie żyje jak większość z nas. Zażywa narkotyki, jest notowany, czasem bywa agresywny. Nie należy do osób, które z chęcią widzielibyśmy w domu u boku córki.

Niektórzy lekko się uśmiechnęli. Pozostali tylko wpatrywali się we mnie z wyczekiwaniem.

– Po co to wszystko mówię? To proste. Chcę państwu przypomnieć, dlaczego państwo tu są. Muszą państwo wysłuchać prezentacji dowodów, a pod koniec ocenić przedstawione dowody i wydać wyrok. Dotąd nie zaprezentowano w tej sprawie ani jednego dowodu. Właściwie nawet jeszcze nie zaczęliśmy. Wstępny wykład oskarżyciela nie jest dowodem, a jedynie opinią jednego człowieka, jego interpretacją dowodów i zdarzeń, a więc czymś zupełnie nieistotnym.

Wypiłem kolejny łyk wody, pozwalając im przetrwać moje słowa.

– Widzę państwa reakcję na stwierdzenie, iż zdanie prokuratora jest nieistotne, ale będę się tego trzymał. Jego zdanie jest równie nieistotne, co moje. Jediną ważną rzeczą w tej sprawie jest państwa zdanie. I nie mówię tutaj o zdaniu w chwili obecnej. Mówię o tym, co będziecie państwo uważać po przedstawieniu dowodów. Na razie nie powinni państwo mieć żadnego zdania. Potrzebny jest państwu jedynie otwarty umysł.

Przesunąłem wzrokiem po ławnikach. Słuchali mnie, byli czujni i zaciekawieni. Wyglądali poważnie.

– Jarle Iversen zasługuje na to, by podeszli państwo do sprawy bez uprzedzeń. Nie jest konieczne, aby mu państwo wierzyli, gdyż w sądzie nikt nie ma obowiązku komukolwiek wierzyć. Sąd to arena, na której oskarżony musi pogodzić się z tym, że będzie

oceniany w świetle dowodów. Ale należy mu się trzeźwa, nieuprzedzona ocena jego własnej osoby oraz dowodów, które zostaną przedstawione. W tym sądzie zajmujemy się poważnymi sprawami. W domu czy w dobrym towarzystwie możemy sobie pozwolić na proste rozwiązania czy uprzedzenia. Nie tutaj. Tutaj stawia się inne wymagania, przynajmniej państwu. – Zrobiłem głęboki wdech, przez chwilę rozważałem za i przeciw, aż wreszcie poszedłem na żywioł. – Prawie skończyłem. Proszę mi tylko pozwolić powiedzieć jeszcze jedną rzecz. Oskarżyciel twierdzi, że Jarle Iversen zabił swojego brata Erlinga, twierdzi też, że może przedstawić na to wystarczające dowody. Nie wydaje mi się, aby tak było. Myślę, że Jarle Iversen miał pecha, że znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie i tylko z tego powodu zasiada teraz na ławie oskarżonych. Myślę, że zabójcą jest ktoś zupełnie inny. Mam też nadzieję, że w ciągu najbliższych dni zdołam państwu udowodnić, że się nie mylę.

Usiadłem. Przez chwilę w sali panowała cisza, moje słowa wywarły odpowiednie wrażenie. Ławnicy patrzyli na mnie z odrobiną wyczekiwania, a zarazem zmieszania. Nie wiedzieli do końca, co miały znaczyć ostatnie zdania. Oskarżyciel był pełen dezaprobaty, jakbym powiedział coś niestosownego. Sędzia spojrzała na mnie nieco niepewnie, zastanawiając się, jakie niespodzianki ją czekają. Zadowolony był jedynie Jarle, i dobrze. Właśnie dla niego to powiedziałem, aby odzyskał wiarę w wygraną. Miałem nadzieję, że mu to pomoże, bo oto nadeszła jego kolej.

## Rozdział 51

Pociłem się w todze. Jarle był zanadto ostrożny, za bardzo bał się powiedzieć coś złego. Nie pierwszy raz widziałem takie zachowanie u klienta – podejrzliwe, niemal paranoidalne w wyniku strachu, że każde pytanie oskarżyciela ma ukryte znaczenie, że w każdym zdaniu czai się pułapka. Strach i niepewność sprawiają, że ludzie długo się namyślają przed każdą odpowiedzią, która ostatecznie jest tak krótka i precyzyjna, jak to tylko możliwe, zazwyczaj brzmi jedynie „tak” lub „nie”.

Jarle już szósty raz z rzędu odpowiedział przecząco, krótkim i dobitnym „nie”, bez rozwijania myśli. W efekcie sprawiał wrażenie, jakby nie chciał zeznawać. Jakby miał coś do ukrycia. Prokurator spojrzał na niego z rezygnacją.

– Nie pomaga mi pan za bardzo w rekonstruowaniu tej historii, prawda?

Jarle się nie odezwał.

– Prawda, panie Iversen?

– To pytanie?

Wstałem.

– Przepraszam, że przeszkodzę, panie prokuratorze. Wysoki sędzie?

– Tak, panie mecenasie?

– Czy mogę prosić o dziesięć minut przerwy?

- Panie prokuratorze?
- Rozłożył z rezygnacją ręce.
- Nie ma sprawy.

Wiedziałem, że to moja wina. Po raz pierwszy w życiu znalazłem się w sądzie z nieprzygotowanym klientem i czułem, że cała sprawa może się rypnąć, jeszcze zanim na dobre się zaczęła.

– Musisz się rozluźnić, Jarle – poradziłem. – Zastanawiasz się pięć minut, a potem odpowiadasz półsłówkami. Wydajesz się bardziej winny od bin Ladena.

Popatrzył na mnie z powątpiewaniem.

– A jeśli powiem coś nie tak? Ten oślizgły skurczybyk chce mnie dopaść.

– Nikt nie chce cię dopaść. Zadaje ci zupełnie normalne pytania. Posłuchaj mnie, Jarle. Musisz się rozluźnić, mieć to trochę w dupie. Wszystko będzie dobrze.

– Boję się, że mnie oszukają.

Westchnąłem.

– Uwierz mi, nic ci się nie stanie. Wystarczy, że powiesz prawdę. Ona nie może ci zaszkodzić. Ale musisz przestać... się hamować.

– Spróbuję.

Spróbował i z czasem zaczął opowiadać swoją historię coraz składniej, a prokurator nie musiał już wtrącać dodatkowych pytań. Wreszcie przedstawił, co się wydarzyło tamtego wieczoru. Trochę brakowało mu słów, niekiedy się wahał, ale powoli jego opowieść nabierała kształtów. Nadal był niezdarny i niepewny, a kiedy oskarżyciel zadawał pytania, dopadały go nerwy, lecz mimo to zdołał przekazać coś, co poruszyło słuchaczy i przynajmniej w moim odczuciu dodało mu wiarygodności.

Kiedy skończył, na sali panowała cisza. Ławnicy wbijali w niego wzrok, jakby nagle odkryli w miejscu dla świadków nową osobę, żywego człowieka w skórze niepokornego, trudnego chłopaka, który siedział tam wcześniej.

Prokurator odchrząknął, spojrział na zegarek.

– Nie wiem, wysoki sędzie, zrobiło się już dość późno...

– Tak. Kończymy na dziś, kontynuujemy jutro o dziewiątej. Dziękuję. – Przewodnicząca zniknęła, powiewając za sobą zagłem czarnej togi, za nią spokojniejszym krokiem wyszli dwaj pozostali sędziowie, a następnie kolejka ławników. Sala powoli pustoszała. Podeszedłem do Jarlego. Nadal siedział w miejscu dla świadków, sam pośrodku sali. Wyglądał na wycieńczonego.

– Jak poszło? – zapytał. – Lepiej?

– Lepiej, Jarle – odparłem. – Dużo lepiej. Widzisz? Wystarczyło trochę się rozluźnić.

– Dobrze. To wszystko?

– Nie. Jeszcze jutro będą zadawać ci pytania, ale też dasz sobie radę.

– Oby. Chciałbym, żeby było już po wszystkim.

Ja też tego chciałem.

Pod koniec dnia byłem optymistycznie nastawiony, ale następnego ranka niemal od razu sprawa zaczęła się sypać. Prokurator rzucił się Jarlemu do gardła, zaczął od jego najsłabszych punktów.

– Dlaczego pojechał pan do brata? Po co?

– Właściwie to nie wiem.

– Ach tak? Nie miał pan konkretnego planu?

– Nie.

– Chciał pan z nim porozmawiać?



- Raczej tak.
  - O czym?
  - O różnych rzeczach.
  - Na przykład?
  - Byłem wkurzony, bo...
  - Co?
  - Zabawiał się z... dziećmiakami.
  - Molestował je seksualnie? Przez to był pan zły?
  - Tak.
  - Tak bardzo, że chciał pan go pobić?
  - Nie. To nie było tak. Chciałem... porozmawiać.
  - A on chciał rozmawiać z panem?
  - Jak to? On...
  - Tak, wiem, że pana zdaniem nie żył, kiedy pan dojechał, ale nie to mam na myśli. Chodzi mi o to, co było wcześniej. Czy był zainteresowany rozmową z panem? Chciał, żeby go pan odwiedził?
  - Nie wiem.
  - Dopiero tego samego dnia odkrył pan, gdzie mieszka, nieprawdaż?
  - Tak.
  - Czy to nie dlatego, że nie chciał, aby dowiedział się pan o jego miejscu zamieszkania?
  - Może.
  - Mamy świadków, którzy mogą to potwierdzić.
- Jarle milczał, zerknął tylko na mnie prędko, posłał mi drobny sygnał ratunkowy, ale nie byłem w stanie mu pomóc, bo gdybym spróbował, zostałbym od razu znokautowany. Nie chciałem przerywać, dopóki sytuacja nie stanie się krytyczna.
- Jak pan myśli, dlaczego ukrywał przed panem swój adres?

- Nie wiem.
- Może się pana bał?
- Nie. Byliśmy w dobrych relacjach.
- Ach tak. Nie miał powodów, aby się pana bać.
- Nie.
- Chociaż parę tygodni wcześniej pobił go pan na dworcu.
- To było... nieporozumienie.

Odpowiedź Jarlego zawisła w powietrzu, a prokurator długo się nie odzywał.

– Wysoki sędzie, proszę o krótką przerwę – rzekł wreszcie. – Pięć minut.

Po przerwie przeszedł prosto do następnego tematu.

– Wczoraj, gdy opowiadał pan, jak znalazł brata, nie wspomniał pan, że wziął coś z miejsca zbrodni, prawda?

- Owszem. Powiedziałem, że wziąłem coś z podłogi.
- Zgadza się, faktycznie. Ale czy wspomniał pan, co to było?
- Nie. Nie wiedziałem, co to.
- Ach tak. Ale teraz pan wie, prawda?
- Tak.
- Co to było?
- Pieniądze.
- Może pan mówić nieco głośniej, aby przysięgli słyszeli?
- Pieniądze.
- Właśnie. Osiem tysięcy, czyż nie?
- Chyba tak.
- Ale wtedy pan nie wiedział?
- Nie.
- Co pan zrobił z tym, co pan zabrał? Skoro nie wiedział pan co

to?

Wzruszenie ramion.

– Włożyłem do kieszeni.

– A w drodze do domu?

– Jak to?

– Wrócił pan do domu taksówką, prawda?

– Tak, powiedziałem to wczoraj.

– Właśnie. A co zrobił pan, gdy płacił pan za taksówkę?

– Co ma pan na myśli?

– Zapłacił pan pieniędzmi znalezionymi u brata, czyż nie?

– Tak, chyba tak.

– Właśnie. Wiemy, że pan to zrobił. Na pieniądzech była krew. Zastanawiam się więc – skoro nie wiedział pan, że wziął z miejsca zabójstwa pieniądze – jak to możliwe, że kiedy miał pan zapłacić, wsadził pan rękę do kieszeni i wyjął z niej banknot?

Długa pauza.

– Nie wiem.

– Taak – rzekł prokurator. – To dziwne, prawda?

Zanim oskarżyciel skończył, Jarle wrócił do swego dawnego zachowania. Był tak wściekły, że nie mógł usiedzieć w miejscu. Po jego wzroku i całej postawie widziałem, że zbliża się do punktu, w którym może stracić nad sobą kontrolę i zaatakować. Ławnicy też to zauważyli, pilnowali się niczym ludzie odwiedzający ogród zoologiczny, którzy nagle spostrzegają, że w klatkach brakuje krat, natomiast strażnicy policyjni tym razem siedzieli na samym skraju ławki, bacznie przyglądając się rozprawie.

Był tuż przy samej granicy, ale jej nie przekraczał za sprawą prokuratora, który zachowywał się jak wędkarz – przyciągał zdobycz, by po chwili poluzować żyłkę. Czytał w Jarlem Iversenie jak w książce, manipulował nim, niczym treser lwów trzymał go po

właściwej stronie granicy. Było to frustrujące, lecz również imponujące. Gdy tylko próbowałem się wtrącić, całkowicie mnie ignorował, przekazywał moje uwagi sędzi, kontynuując, jakby nic się nie stało.

Po obiedzie nadeszła moja kolej. Próbowałem coś zdziałać, podobnie jak Jarle, ale nie udało się nam już pozbierać. Prokurator wykonał porządną pracę, wyrządził nam zbyt duże szkody. Pod koniec dnia ławnicy spojrzeli na Jarlego Iversena, a ja bez trudu wyczytałem z ich twarzy mieszankę ciekawości, strachu i odrazy, co oznaczało tylko jedno. Patrzyli na niego i widzieli mordercę.

– Spieprzyliśmy sprawę, co? – zapytał.

– Nie poszło tak dobrze jak wczoraj.

– Oszczędź mi tej gadki. Spieprzyliśmy sprawę.

– Tak – zgodziłem się. – Tak właśnie.

– Mogę za to pójść siedzieć, co? Mogę dostać wyrok. Wiem, widziałem to w ich oczach.

– Nie skażą cię, Jarle. Morderca siedzi w policyjnym areszcie.

– To co ja tutaj robię?

– Daj im trochę czasu, Jarle. Niech skończą śledztwo.

– Nie ma pewności, że znajdą przeciwko niemu dowody.

– Nie, ale myślę, że się przyzna.

– Myślisz?!

– Jeśli nie, wezwę go na świadka i pokażę ławnikom, co to za człowiek, co zrobił, jaki miał motyw, żeby zabić Erlinga. Żadna ława przysięgłych na świecie nie wyda na ciebie wyroku, kiedy skończę z Jesperem Juulem. Zaufaj mi, Jarle. Wiem, co robię.

– Okej – mruknął. – Skoro tak mówisz.

## Rozdział 52

Następnego ranka prokurator zjawił się dopiero, gdy wszyscy pozostali zasiedli w sali, a sekretarz sądu przebierał już nogami, zerkając jednym okiem na zegar.

– Przepraszam – powiedział, wkładając togę. – Zatrzymano mnie w drodze z biura.

Woźny skinął jedynie i otworzył drzwi sędziom. Wkroczyli do środka, poszurali krzesłami, odnaleźli swoje miejsca i przesunęli spojrzeniem po nas wszystkich, stojących grzecznie niczym szkolna klasa. Przewodnicząca kiwnęła głową, wykonała gest dłonią, usiedliśmy, znów zaszurały krzesła, zaszeleściły papiery. Zaczęliśmy.

Świadkowie przychodzili i odchodzili, składali uroczystą przysięgę, nerwowo rozglądali się po sali, niepewni, nieprzywykli do ram i rytuałów, jękali się, lecz jakoś zdołali przedstawić to, co musieli. Ledwie zwracałem uwagę na to, co mówili, miałem niewiele pytań. Moją głowę wypełniały myśli o Jesperze Juulu, o tym, co się z nim działo, dlaczego prokurator o nim nie wspominał. Zacząłem przygotowywać się psychicznie do powołania go na świadka, zastanawiałem się nad dowodami, które musiałbym przedstawić, aby pokazać, że molestował Erlinga. Nie wiedziałem, czy powołać też Stiana; w sumie wolałbym tego uniknąć. Nie nadawał się do sądu.

Wreszcie nadeszła pierwsza przerwa. Zaraz po wyjściu ławników i sędziów podszedłem do prokuratora.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział jeszcze raz, lecz ja machnąłem tylko ręką.

– Co się dzieje z Jesperem Juulem? – zapytałem. – Przyznał się? Oskarżyciel pokręcił głową.

– Nie, Brenne. To dlatego się spóźniłem, zadzwonili do mnie śledczy...

– W takim razie chcę powołać go na świadka – przerwałem mu. – Jest w końcu oczywistym podejrzanym. Chcę także wezwać śledczych, którzy go przesłuchiwali. Przyznał się do molestowania. Nie wycofał się z tego, prawda?

– Nie.

– Ten człowiek ma motyw. Dużo wyraźniejszy motyw niż Jarle. Chcę...

– Tak – przyznał prokurator cicho. – Ma motyw. Ale nie jest mordercą.

– Co? Co mówisz?

– Jesper Juul nie jest mordercą. Ma alibi.

– To... nie wierzę w to! Sprawdziliście je dokładnie? Nie pierwszy raz ktoś przedstawia alibi, które okazuje się...

– Jego alibi ma sens, Mikael. Był na zebraniu rady miasta.

– Rady miasta?

– Tak. Zebranie skończyło się sporo po północy. Jego alibi jest całkowicie niepodważalne. – Błady uśmiech. – Nawet przemawiał mniej więcej w czasie, gdy doszło do zabójstwa.

– Och! – wykrzyknąłem. Tylko tyle zdołałem z siebie wydobyć. Lęk musnął moje nerwy lekko jak ptasie skrzydła, czekałem na atak paniki. Nie nadszedł. Odczuwałem jedynie apatię i pustkę.

Prokurator spojrzał na mnie jakby ze współczuciem. Cała moja strategia obrony właśnie legła w gruzach, a on zdawał sobie z tego sprawę.

W przerwie obiadowej przekazałem tę informację Jarlemu. Siedzieliśmy w jednej z ciasnych cel poczekalni w piwnicy sądu i obawiałem się wybuchu, napadu wściekłości, jednak nie doświadczyłem go. Jarle tylko spojrzał na mnie smutnym wzrokiem i wolno skinął głową.

– Wiedziałem – westchnął. – To było zbyt dobre, żeby mogło być prawdziwe.

– Przepraszam, Jarle. Nie... nie tak miało się wszystko ułożyć.

– W porządku – odparł. – Stało się.

Zdałem sobie sprawę, że Jarle Iversen, pomimo całej swojej agresji i uporu, jest człowiekiem przywykłym do porażek, który nie oczekuje, że świat da mu coś za darmo. W jego oczach widziałem, że pogodził się już z kolejnym niepowodzeniem, że się poddał.

– Ale to do dupy – dodał.

Położył się na wąskiej pryczy i odwrócił do mnie plecami.

Dlatego ja się nie poddałem. Jarle mógł zrezygnować z walki, ale nie ja. Wygłupiłem się, obiecałem coś, czego nie mogłem dotrzymać. Choć wiedziałem, że to nielogiczne i niezgodne z prawdą, czułem, że w pierwszej kolejności zawiodłem Synne. Dręczyła mnie ta myśl, ale jedyne, co mi pozostało, to wgryźć się w sprawę i starać się ze wszystkich sił. Podtrzymywałem na duchu siebie i Jarlego. Promieniowałem pewnością siebie. Byłem spokojny i wyluzowany, a kiedy trzeba – błyskotliwy. Całemu światu jawiłem się jako obrońca wierzący w to, co robi, w sprawę i w klienta, lecz była to tylko powierzchwnia, fasada. Wprawiłem się w magicznych trikach, w sztuce iluzji. Płynnymi ruchami dłoni i powiewającymi połami

fraka, szybkimi zmianami kostiumów i zwodniczymi manewrami usiłowałem zmusić publiczność do uwierzenia w niemożliwe, lecz w głębi duszy wiedziałem, że przegraliśmy.

Na niektóre sprawy wyłączny wpływ ma oskarżony. Obrona może się powieść lub nie, zależnie od jego wiarygodności. Wraz z jej podważeniem wszystko pęka, a w tym przypadku stało się tak już po raz drugi, przy akompaniamencie głośnego, wyraźnego trzasku. Moje własne błędne oceny i złe wybory zniszczyły wszystko, miałem tego świadomość. Dlatego męczyłem się dalej, próbując w samym sobie zasiać wiarę w cuda. Świadkowie przychodzili, składali zeznania, wychodzili. Zadawałem pytania, podważałem ich nadmierną pewność siebie, kwestionowałem ich wszechwiedzę, lecz tak naprawdę nie była to sprawa, w której mógłbym coś zdziałać podczas prezentacji dowodów. Zasadniczy fakt został wyłuszczone: Jarle bez wątpienia znajdował się w miejscu zbrodni, a nikt nie mógł wiedzieć, czy Erling wtedy żył. Jedyne, co można było zrobić, to wierzyć mu lub nie. Ja mu wierzyłem, ale w wielkiej sali sądu apelacyjnego, pod wysokimi, gotyckimi oknami, pod dumnymi spojrzeniami sędziów i wobec sceptycznego znudzenia ławy przysięgłych stało się jasne, że nie wierzy mu nikt poza mną.

Poza mną i Katrine. Przyszła pod koniec trzeciego dnia, a ja musiałem wstać, przerwać prokuratorowi i zauważyć, iż zjawiała się matka oskarżonego. Zastrzegłem, że mogę wezwać ją na świadka, dlatego poprosiłem o zgodę na jej obecność.

– Nie ma chyba problemu, żeby pani Iversen była tutaj obecna, mimo że może będzie zeznawać jako świadek – powiedziała sędzia.

– Czyż nie, panie prokuratorze?

Skinął głową.

– Oczywiście.



Katrine stała przez chwilę z tyłu sali, nieco zakłopotana z powodu skupionej na niej uwagi, trochę niepewna w tej sytuacji, aż sędzia zwróciła się do niej bezpośrednio:

– Proszę zająć miejsce, pani Iversen.

Wtedy ruszyła naprzód między rzędami ławek, odprowadzana spojrzeniami. Stawiała krótkie, nieco chwiejne kroki; zdałem sobie sprawę, że piła, lecz mimo to szła wyprostowana, z uniesioną głową, aż dotarła do pierwszego rzędu. Później przychodziła codziennie i zawsze siadała w tym samym miejscu. I każdego dnia, rano przed rozpoczęciem i po południu po zakończeniu obrad, Jarle zbliżał się do niej, z policjantami o krok za sobą, a ona ścisnęła go i przekazywała mu kilka podnoszących na duchu słów. Chyba codziennie była pod wpływem alkoholu, makijaż sprawiał wrażenie nakładanego po ciemku, no i zawsze, bez względu na pogodę, nosiła okulary przeciwsłoneczne, a jednak byłem z niej dumny. Ona jedna w tej sali stała po naszej stronie. Pewnie mówiło to wszystko o naszej sytuacji, ale cieszyliśmy się, że z nami jest.

Była też obecna podczas zeznania lekarza sądowego. Siedziała tak samo wyprostowana, gdy pokazywał zdjęcia Erlinga, wskazywał palcem i przemawiał beznamiętnie, z resztkami współczucia i ludzkich odruchów schowanymi za ścianą fachowych terminów i wyrażeń. Widziałem miejsce zbrodni, wiedziałem więc, co nas czeka. Pamiętałem widok otwartych drzwi. Krew. Zapach metalu. Poderżnięte gardło Erlinga, podobne do rozwartych ust. Jego oczy, suche i niewidzące, martwe.

Miałem wciąż żywe wspomnienia, mogłem przywołać je w każdej chwili, lecz fotografie z miejsca zbrodni są w pewien sposób gorsze od rzeczywistości. Ostre, jednolite światło zupełnie bezwstydnie zdradza każdy szczegół, nie skrywa żadnej niedoskonałości,

zadnego znamienia czy brudnego paznokcia. Zdjęcia całkowicie odzierają ofiarę z godności, nawet po śmierci.

Słowa lekarza sądowego płynęły równym strumieniem. Siedziałem wyprostowany, udając skupienie, ale słuchałem nieuważnie. W sprawie Jarlego szczegóły nie grały żadnej roli. Zanotowałem tylko jedną rzecz.

– Co z czasem zgonu? – zapytał prokurator. – Może pan coś na ten temat powiedzieć?

Lekarz sądowy przez parę chwil odchrząkiwał, robił zastrzeżenia, omawiał rozmaite metody pomiarowe, lecz wreszcie prokurator zapędził go w kozi róg.

– Między godziną dziesiątą a wpół do dwunastej, kiedy go znaleziono, to pana najlepszy szacunek? Dobrze zrozumiałem?

– Tak. – Brzmiał, jakby kategoryczność sprawiała mu ból.

– Jak bardzo pewien jest pan, że zgon nastąpił w tym przedziale czasowym?

– Jak bardzo pewien?

– Tak. Jak bardzo pewien? – W głosie prokuratora zadźwięczała wyraźna nuta irytacji, którą lekarz sądowy dosłyszał. Chrząknął nerwowo.

– Jestem dość pewien. Na ile mogę. – Znów odchrząknął. – To bardzo prawdopodobne.

– Dziękuję.

Później ja zadałem mu kilka pytań, próbowałem zakwestionować jego określenie czasu zgonu, lecz na próżno. Nie spodziewałem się zresztą niczego innego, pytałem tylko po to, by zapamiętali mnie ławnicy. Zwolniłem go po pięciu minutach. Był to konieczny, ale dla mnie nieistotny świadek. Jak się spodziewałem, ramy czasowe, w których dokonano zabójstwa, nie wykluczały Jarlego jako

sprawcy. Nie było w tym nic zaskakującego.

Kiedy lekarz skończył i opuścił salę, popatrzyłem w dół na publiczność. Katrine Iversen siedziała bez ruchu, napięta, z dłońmi na udach. Jej oczy pozostały jak zwykle niewidoczne, zasłonięte ciemnymi okularami, ale spoza szkieł na policzki spłynął czarny tusz, łązy wyłobiły kanaliki w warstwie podkładu brązującego, przez co jej twarz przypominała stary krajobraz, spustoszony w wyniku erozji i upływu czasu.

Co wieczór odwiedzałem Synne, trzymałem ją za rękę i zdawałem relację z obrad sądu. Mówiłem, co zeznawali świadkowie, co sam robiłem i myślałem. I przy niej starałem się być w dobrym nastroju, mój głos brzmiał lekko i radośnie, próbowałem emanować wiarą i nadzieją, jakby to mogło przywrócić ją do świata żywych. Jednak co wieczór leżała cicha i zimna, a ja w głębi duszy obawiałem się, że zamiast słuchać słów, Synne wsłuchuje się w bicie mojego serca i właśnie dlatego się nie budzi. Nie mogłem jej za to obwiniać. Dlaczego miałaby chcieć wracać do tego pejzażu pogrążonego w ciemności, pokrytego zimnym popiołem?

## Rozdział 53

Jednego dnia skończyliśmy wcześniej. O dwunastej przewodnicząca zastukała młotkiem w stół, informując, że sąd będzie przez pozostałą część dnia zajęty innymi, pilnymi sprawami. Wiedziałem o tym wcześniej, lecz nie zdołałem się zdecydować, czy powinienem wrócić do kancelarii, przygotować się do następnego posiedzenia czy może odwiedzić Jarlego. Ostatecznie nie zrobiłem żadnej z tych rzeczy.

Był ładny dzień, trochę chłodny, ale niebo mogło lada chwila się rozchmurzyć. Poszedłem po samochód i pojechałem do ojca.

Siedział przy kawie, radosny, lecz nie zdziwił się jak zwykle na mój widok.

– Pomyślałem, że możemy się przejechać, tato.

– A masz na to czas, Mikael?

Udaliśmy się na wycieczkę do ruin starego klasztoru na południe od miasta. Gdy byłem dzieckiem, czasami mnie tam zabierał. Lubił historię, więc często żywo opowiadał o średniowieczu i klasztorным życiu. Później biegałem wśród ruin, udawałem, że zgubiłem się w labiryncie, pędziłem między zawalonymi ścianami, przeciskałem się przez kamienne przejścia, kryłem się przed potworami za kolumnami i filarami. Jak zawsze podczas wizyt w miejscach z dzieciństwa poczułem, że i to się skurczyło, zmałało, nie szeptało mi już na ucho opowieści o przygodach i niebezpieczeństwach,

a było jedynie skupiskiem starych murów o dawno zapomnianej historii.

Spacerowaliśmy w słońcu. Ojciec przesunął dłonią po gładkim kamieniu, wypolerowanym po setkach lat użytkowania. Nie mówił za dużo, ale wydawał się zadowolony. Po chwili zrobiło mu się zimno, więc wróciliśmy do samochodu, by ruszyć z powrotem.

– Zjemy coś po drodze, tato?

– Może. A gdzie?

Nie mieliśmy zbyt wielu miejsc do wyboru. Zatrzymaliśmy się w centrum handlowym i znaleźliśmy wolny stolik w typowej kafejce, pozbawionej uroku i cech szczególnych. Ojciec rozglądał się wokół, patrzył na mijających nas zagonionych ludzi i się uśmiechał.

– To miejsce tętni życiem – odezwał się, a ja pomyślałem, że te słowa mówią wszystko o stagnacji, jaka od pewnego czasu panowała w jego życiu. Powinienem częściej zabierać go na wycieczki.

– Co zjesz, tato?

– Nie wiem. A ty?

Obaj wybraliśmy kakao, do tego bułki z brązowym serem, które dziwnie dobrze nam smakowały. Kątem oka dostrzegłem cień, więc podniosłem wzrok i ujrzałem starszą kobietę o znajomej twarzy, której jednak nie potrafiłem powiązać z nazwiskiem.

– Panie mecenasie – zaczęła. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale przechodziłam właśnie i zobaczyłam pana tutaj... Pomyślałam, że się przywitam.

– Jasne – powiedziałem. – Miło mi. To mój ojciec. Nie wiem, czy pani...

Ojciec uniósł się nieco, przywitał i przedstawił.

– Øen – odparła. – Harriet Øen.

Nadal nie wiedziałem, skąd ją znam. Posłałem jej wymuszony uśmiech.

– Jest pani na zakupach...?

– Tak, często tutaj przychodzę. Teraz, na emeryturze, bywam tu prawie codziennie. Tak, jakiś czas temu skończyłam pracować, wstąpiłam w szeregi emerytów. Nie brakuje mi kancelarii. Ale brak mi oczywiście mecenasa Grovena. To był dobry człowiek.

Wreszcie ją skojarzyłem. Harriet Øen, wieloletnia sekretarka Bjørna Grovena. Nic dziwnego, że jej nie pamiętałem, spotkałem ją tylko raz, gdy analizowałem papiery Bjørna.

– Jakaż to straszna tragedia – westchnęła, zwrócona do nas obu.

Ojciec skinął głową, nieco zdezorientowany.

– Nie dość, że mecenas Groven... zmarł. To jeszcze jego żona... – Pokręciła głową. – To takie straszne. Prawie codziennie o nich myślę. I... o tym, że nie poszłam na pogrzeb. Nie dałam rady, ale wiem, że powinnam była.

– Nic się nie stało – pocieszyłem ją.

– Tak... Powinnam była tam pójść, ale... Wie pan, że rozmawiałam z nią w dniu zabójstwa? Nie mogę się z tym pogodzić. Zadzwoiła, zapytała o jakieś daty sprzed lat. Była taka miła, wypytywała o moje plany, podziękowała za wszystkie lata przepracowane z jej mężem. Była dobrym człowiekiem...

Słowa wypływały z niej wartkim strumieniem. Nie pamiętałem, żeby była aż tak rozmowna, może zmieniła się na emeryturze. Ojciec wydawał się nieco oszołomiony, a ja przytakiwałem tylko, aż skończyła.

– Miło było panią spotkać – pożegnałem się, ona zaś uśmiechnęła się i odeszła równie nagle, jak się zjawiła.

– Gadatliwa kobieta – stwierdził ojciec sucho. Skinąłem głową,

zamyślony. Pani Øen powiedziała coś, co poruszyło trybiki w moim mózgu, coś, na co powinienem był zareagować, zwrócić uwagę. Coś istotnego.

Zerwałem się na równe nogi.

– Widziałeś, w którą stronę poszła? Poczekaj tu, zaraz wracam – rzuciłem i wybiegłem z kafejki w tłum ludzi. Wyciągałem szyję, rozglądałem się na boki, ale nigdzie nie widziałem pani Øen. Wybrawszy kierunek, szybko ruszyłem w prawo. Przesuwałem spojrzeniem z boku na bok, usiłowałem zaglądać do mijanych sklepów. Przeszedłem spory kawałek, zanim dałem za wygraną i zawróciłem. Znajdowałem się już prawie na wysokości kafejki, gdy ujrzałem ją wychodzącą z perfumerii tuż przede mną. Uśmiechnęła się.

– Dzień dobry ponownie – odezwałem się, trochę zasapany. – Zastanowiło mnie... coś... co pani powiedziała.

– Tak?

– Tak. – Musiałem przełknąć ślinę z podniecenia. – Powiedziała pani, że pani Groven, Kirsten, zadzwoniła do pani tego samego dnia, gdy ją zabito.

– Tak.

– I że pytała o jakieś daty.

– Owszem.

– Czy pytała może o trzeci maja 2002 roku?

– Trzeci maja... Tak, wie pan, chyba rzeczywiście... to całkiem możliwe. – Spojrzała na mnie ze zdumieniem. – Skąd pan...?

– Co chciała wiedzieć? Co Bjørn robił tego dnia?

– Tak, zgadza się.

– I zdołała jej pani odpowiedzieć?

– Oczywiście, sprawdziłam w jego terminarzu.

– I...?

– Był w sądzie w pewnej sprawie z zakresu zagospodarowania przestrzennego, nie pamiętam dokładnie gdzie. Chyba na wschodzie kraju.

Nagle poczułem w uszach pulsowanie krwi, a w ustach mi zaschło.

– Dlaczego pyta pan o te sprawy? O co...?

– Później wyjaśnię. To może być ważne. – Zastanowiłem się parę sekund, po czym dodałem: – Proszę nie mówić nikomu o tej rozmowie. W każdym razie nie w ciągu najbliższych kilku dni.

– Nie?

– To ważne, pani Øen. Proszę mi obiecać, że pani tego nie robi.

– Tak, tak. Oczywiście, obiecuję, skoro to ważne.

W drodze do domu prawie w ogóle nie odzywałem się do ojca. Chyba go to nie zmartwiło. Mój umysł pracował na wysokich obrotach, podczas gdy próbowałem posortować nowe informacje oraz, co nie mniej istotne, zrozumieć ich znaczenie.

Na odchodne go uścisnąłem.

– Na razie, tato. Uważaj na siebie.

– Na razie, Mikael. Dobrze było cię zobaczyć.

Jego ramiona wydawały się ostre i kanciaste pod moimi dłońmi, kościste, pozbawione mięśni. Uderzyła mnie świadomość, że niedługo już go tu nie będzie, że znika na moich oczach, z każdym dniem coraz bardziej, zarówno jego ciało, jak i umysł. Przez chwilę zastanawiałem się, czy o tym wie i czy się boi, lecz jego oczy były jasne, błękitne i uśmiechały się do mnie jak oczy dziecka.

– Ciebie też było dobrze zobaczyć, tato.

Moje myśli nadal krążyły jak opętane, kiedy jadłem obiad, jednak brakowało im struktury i kierunku. Były to raczej



przeczcucia i przeświadczenia, a nie logiczne wnioski. Nie pozbyłem się wrażenia, że czegoś nie dostrzegam, jakiegoś związku czy głównego wątku.

Po obiedzie zasnąłem na kanapie. Nawiedziły mnie dziwaczne, chaotyczne sny. W jednej chwili, przepełniony nienazwanym strachem, biegłem bez celu przez ciemny las, a w drugiej wędrowałem ciasnymi, klaustrofobicznymi korytarzami z nieskończoną ilością drzwi po każdej stronie. Niektóre z nich otwierałem. Za jednymi siedziała płacząca kobieta. Za innymi krzychał do mnie mężczyzna, wściekły z powodu źle zaadresowanego listu.

Zanim się ocknąłem, zdążyło się ściemnić. Głowa mi ciążyła, a ciało nie chciało się obudzić. Ubrałem się i wyszedłem. Powietrze było świeże i ostre, pachniało jesienią, niesło woń zwiędłych liści i palonych w ogródkach roślin. Z przyjemnością rozprostowałem nogi i wystawiłem twarz na chłód. W myślach analizowałem słowa pani Øen, próbowałem wydobyć ich znaczenie.

Bjørn Groven miał alibi na trzeci maja 2002 roku. Co oznaczało, że to nie on molestował. List został sfałszowany. W ten sposób znikало uzasadnienie malwersacji i samobójstwa, a ja wróciłem do punktu wyjścia. Pozostawało jedynie niezrozumiałe, pozbawione motywu i sensu sprzeniewierzenie środków.

„Nie – pomyślałem – to nie tak”. Czując smagnięcie chłodu na plecach, zdałem sobie sprawę, że wiem coś więcej, coś, czego wcześniej nie byłem świadomy. Ktoś sfabrykował list i zostawił go w domku letniskowym, list pozornie wyjaśniający wszystko, co stało się z Bjørnem. Ktoś chciał, żeby śledztwo i moje własne dochodzenie utknęły, żeby o śmierci Bjørna zapomniano.

Nie mogłem nic z tym zrobić. Następnego ranka musiałem wrócić

do sądu, świadków, coraz bardziej zarozumiałego prokuratora i coraz bardziej przybitego klienta. Nie mogłem pozwolić sobie na rozproszenie czy odwrócenie uwagi w samym środku procesu o zabójstwo, wiedziałem, że wszystkie nierozwiązane kwestie muszę zostawić w spokoju do momentu zakończenia sprawy. Ale nie potrafiłem o nich zapomnieć. Nie wiedziałem, co się stało oraz dlaczego do tego doszło, nie dostrzegałem motywów ani związków i nie zbliżałem się do rozwiązania, a jednak czułem, że ktoś jest na wolności. Że ktoś się ukrywa. I zabija.

## Rozdział 54

W charakterze świadków zeznawali strażnicy z przydworcowego centrum handlowego, którzy widzieli szarpaninę między Jarlem i Erlingiem. Jednego z nich sytuacja tak przerosła, że prawie cały czas milczał, drugi zaś był za bardzo gadatliwy i pewny siebie.

– Pana kolega zeznał, że przyszlście na miejsce, kiedy Erling leżał na ziemi – powiedziałem. – I że nie widzieliście wymiany ciosów.

– To on tak twierdzi.

– Oczywiście. Moje pytanie brzmi: jak to możliwe, że pan widział kilka ciosów? Całą serię: lewy prosty, później prawy hak i kolejny lewy cios, czyż nie tak pan to opisał?

– Tak.

– A więc widział pan całą serię ciosów, natomiast pana kolega nie widział nic.

– Może nie ma tak dobrego wzroku jak ja.

– Możliwe. Twierdzi on, że gdy otrzymaliście wiadomość o bójce, byliście na zewnątrz. Kiedy przyszlście, mniejszy z rywali leżał już na ziemi. Chociaż widzi pan lepiej od kolegi, chyba nie potrafi pan patrzeć przez ściany? Jest pan w końcu tylko strażnikiem, prawda? Nie nazywa się pan przypadkiem Clark Kent, co?

Poczerwieniał jak burak. Usłyszałem nieco złowrogie pomrukiwanie publiczności, ale w sumie nie robiło mi to różnicy.

Jarle pobił Erlinga na dworcu autobusowym, szczegóły nie miały znaczenia.

Krótko ostrzyżony mężczyzna, z którym Jarle bił się pod sądem, zajął miejsce dla świadków i przeszył Jarlego wściekłym spojrzeniem. Cały czas wpatrywał się w niego czarnymi oczyma, a Jarle gapił się również, tak samo arogancko i agresywnie. Nie podobało mi się to. Ławnicy widzieli twarz Jarlego, nie świadka. A to Jarle potrzebował współczucia i dobrej woli. Zadałem ostrzyżonemu tylko kilka pytań. Chciałem się go jak najszybciej pozbyć.

Później zeznawał właściciel pola kempingowego. Przez swoje naburmuszenie, przetłuszczone włosy i grubo ciosaną twarz wyglądał równie przerażająco jak ostatnio, gdy go widziałem.

– Kto płacił za domek letniskowy? – zapytałem, gdy nadeszła moja kolej.

– Chłopak – odburknął.

– Ma pan na myśli Erlinga Iversena? Ofiarę?

– No, mówię przecież. Ten szczeniak.

– Nie sądził pan, że jest zbyt młody, żeby mieszkać tam bez opieki?

– Nie. Poza sezonem mam wielu tymczasowych gości. Nie obchodzą mnie, dopóki płacą. Niektórzy są nic niewarci.

Popatrzyłem na niego. Szkoda, że miał alibi na wieczór, gdy popełniono zabójstwo, bo był okropnie nieprzyjemną personą. Ławnicy spoglądali na niego z niesmakiem. Gdybym obwinił go o śmierć Erlinga, pewnie z radością by mi uwierzyli.

– Dziękuję – mruknąłem. – Nie mam więcej pytań.

Taksówkarz, który zabrał Jarlego z okolic miejsca zabójstwa, był

nadmiernie pewny siebie i niesympatyczny, pyskaty i stanowczy, przez co wszystkich drażnił. Zarówno prokurator, jak i sędzia zwrócili mu uwagę, że za dużo gada, nie odpowiada na pytania i wyciąga bezpodstawne wnioski.

– To on! – zawołał, drżącym palcem wskazując Jarlego, gdy poproszono go o identyfikację nocnego pasażera. – To morderca! Tam siedzi!

Gdy nadeszła moja kolej, chwilę się zastanowiłem i pokręciłem głową.

– Dziękuję – powiedziałem. – Świadek jest tak irytujący, że nie dam rady o cokolwiek go spytać.

Za to stwierdzenie zarobiłem od sędzi reprimendę wraz z cieniem uśmiechu. W gruncie rzeczy i tak nie mogłem nic zrobić z tym świadkiem. Jarle naprawdę pojechał taksówką z miejsca zbrodni do domu i zapłacił banknotami poplamionymi krwią brata.

Jednym z ostatnich świadków był pryszczaty policjant w okularach, skromny chłopak wyglądający na maksymalnie osiemnaście lat. Opowiedział o rozmaitych listach połączeń telefonicznych sprawdzonych przez policję. Jeden z numerów komórkowych należał do Synne. Zadzwoiła do mnie w noc zabójstwa, piętnaście po dziesiątej.

– A więc gdy kwadrans po dziesiątej wykonała telefon, jechała właśnie do domu po odwiedzinach u Erlinga?

– Właśnie. Tak przynajmniej zeznała podczas przesłuchania: że właśnie od niego wyjechała. – Zerknął na swoją listę. – Zgadza się to też z nadajnikiem użytym podczas rozmowy.

Prokurator zerknął na mnie.

– Chyba może to potwierdzić mecenas Brenne, prawda?

Wzruszyłem ramionami.

– Zadzwoiła tego wieczoru. Niewykluczone, że o tej godzinie. Jak sama mówiła, właśnie opuściła pole kempingowe i była w samochodzie, w drodze do domu.

Gdy na liście prokuratury zostało dwóch świadków, oskarżyciel popatrzył na ławników przysypiających w ciepłym, ciężkim powietrzu końca dnia, wstał i oświadczył, że chce pominąć ostatnie osoby. Przystąpiłem na to bez oporów.

Sędzia rozejrzała się po sali i oznajmiła, że na dziś wystarczy.

– Już prawie weekend – powiedziała. – Wszyscy jesteśmy zmęczeni, ławnicy również. W poniedziałek zaczniemy od świadków obrony. Miłego weekendu.

Wymamrotaliśmy to samo jak uczniacy.

Prokurator kiwnął do mnie głową. Wyglądał na zadowolonego i zrelaksowanego. Wiedział, że sprawa podąża w dobrym dla niego kierunku.

Jarle wydawał się wycieńczony. Poklepałem go po ramieniu i obiecałem, że zadzwonię.

Gdy się spakowałem i już miałem wychodzić, zobaczyłem, że Katrine nadal siedzi na swoim miejscu. Podeszedłem do niej.

– Katrine – odezwałem się. – Jest weekend. Idź do domu odpocząć.

Wstała, nieco sztywno i chwiejnie. Z jej ust dolatywała woń alkoholu.

– Nie wierzę już, że będzie dobrze – powiedziała. – Jest niewinny, ale chyba zostanie skazany.

– Nie – odparłem. – Nie myśl tak. – Ale te słowa nawet w moich uszach zabrzmiały pusto i nieprzekonująco, ona zaś tylko pokręciła głową, posłała mi smutne spojrzenie i odeszła.

## Rozdział 55

Następnego ranka obudziłem się wcześniej, zbyt wcześniej. Na zewnątrz nadal panowała ciemność, jedynie słabe lśnienie szarości zdradzało nadchodzący świt. Leżałem, próbując na powrót zasnąć, ale bez skutku. Niepokój zgromadzony w moim ciele był zbyt silny, zmusił mnie do wstania z łóżka, pójścia pod prysznic, później do kuchni, lecz nawet po porządnym śniadaniu nie potrafiłem usiedzieć z filiżanką kawy w wykuszu w salonie, tak jak robiłem zawsze wtedy, gdy miałem dość czasu.

Kiedy zamknąłem za sobą drzwi kancelarii, ciemnej i cichej w sobotę, było najpóźniej wpół do dziewiątej. Zaparzyłem kawę i poszedłem do swojego gabinetu. Chciałem zapomnieć o niepokoju dzięki pracy, ale nie mogłem się wystarczająco skoncentrować. Siedziałem, kartkując bez celu dokumenty, niesystematycznie i bez skupienia. Wodziłem wzrokiem po stronach, które znałem już na pamięć.

Nieco później usłyszałem, jak ktoś otwiera drzwi. Wstałem, by sprawdzić, kogo niepokój lub stres przywiódł do firmy w sobotni poranek. Ku mojemu zdumieniu ujrzałem Finna, starszego partnera kancelarii. Finn już dawno wkroczył w wiek emerytalny i nie pracował na pełen etat.

– Cześć – przywitałem się. – Co ty tu robisz?

Lekko drgnął, bo nie zauważył, jak się zbliżam.

– Mikael? Nie słyszałem cię. – Uśmiechnął się. – Żonę odwiedziła właśnie siostra. Nie znoszę tej kobiety. Pomyślałem, że równie dobrze mógłbym trochę popracować. Napijesz się ze mną kawy?

Podążyłem za nim do jego gabinetu, opadłem na obszerny fotel i przyglądałem się, jak Finn z wielkim namaszczeniem i wielokrotnie cmokając, zapala brzydsko pachnącą fajkę.

– No – odezwał się z zachwytem, gdy wreszcie mu się udało. – Powiedz mi, jak ci idzie ta sprawa. Sprawa Iversena, tak się chyba nazywa?

– Niezbyt dobrze – przyznałem i choć nie zdecydowałem się na to świadomie, opowiedziałem mu wszystko. O moich błędnych ocenach, o Jesperze Juulu, którego miałem za mordercę, o swoich napadach paniki. Wylewałem z siebie wątpliwości i niepewność, a także wyrzuty sumienia. Finn pykał fajkę, wydmuchując wielkie, błękitne chmury dymu, kiwał głową, czasem chrząkał, lecz poza tym mi nie przerywał.

– Hm – odezwał się, gdy wreszcie skończyłem. – Nie wiem, czy popełniłeś aż tyle błędów, Mikael...

– Napad lęku w sądzie...

– To nic dobrego, zgodzę się. Może nie powinieneś być brać tej sprawy. Może zaryzykowałeś, to niewykluczone. Ale chyba poszło nieźle, co? Jeden jedyny napad, który minął, zanim ktokolwiek coś zauważył. A gdybyś tego nie zrobił, to pewnie długo nie odważyłbyś się pójść do sądu.

– Może masz rację.

– Miałeś pecha, Mikael. Ten Jesper Juul był dobrym tropem. Zrobiłbym to samo co ty. Pomyliłeś się, ale przecież nie mogłeś tego wiedzieć. Odnoszę wrażenie, że zapewniłeś klientowi najlepszą obronę, jakiej można by się spodziewać w tej sytuacji. Bardzo



odczułeś brak Synne, ale to już siła wyższa. Nie, Mikael, za dużo od siebie wymagasz. Nie zawsze czyni się cuda. – Wskazał na mnie fajką, aby podkreślić swoje słowa. – Jesteś dobrym obrońcą, masz dobre przeczucia. Zaufaj im i przestań myśleć o wszystkim, na co nie masz wpływu. A teraz idź sobie i wymyśl coś mądrego, żebym ja też mógł popracować.

Parę godzin później zajrzał do mojego gabinetu.

– Lecę, Mikael. Powodzenia ze sprawą.

– Dziękuję.

Zawahał się chwilę.

– Synne... pewnie nic u niej nowego?

– Nic. – Pokręciłem głową.

– Cóż, no tak. Brakuje mi jej.

Synne zeszła na dalszy plan, zepchnąłem myśli o niej do osobnej przegródki w mózgu. Przez Finna sobie o niej przypomniałem. Mnie również jej brakowało. Zawsze towarzyszyła mi w sądzie podczas dużych rozpraw, utrzymywała porządek w papierach, zajmowała się klientem, notowała, a przede wszystkim była osobą, z którą mogłem porozmawiać, podzielić się pomysłami, zanim je wykorzystałem. Teraz zostałem sam.

Wstałem i poszedłem do jej pokoju. Zasiadłem za biurkiem. Zdawało mi się, że nadal wyczuwam jej zapach, woń perfum, szamponu, młodej kobiety. Pod blatem stała para kaloszy, jakby czekając, aż wróci i wsunie w nie stopy. Na biurku w ładnym rzędzie leżały długopisy i ołówki. Notes z zapiskami czytelnymi tylko dla niej. Dokumenty dotyczące sprawy. Pośrodku otwarta teczka. Nagle przypomniałem sobie ostatnie słowa Synne skierowane do mnie, jej głos przez telefon.

„Czytam właśnie raporty – powiedziała. – Coś rzuciło mi się w oczy. Nie wiem, czy to coś znaczy, ale powinniśmy to sprawdzić”.

Spojrzałem na teczkę. Była otwarta na protokole konfiskaty z domku kempingowego. Przeczytałem szczegółową listę wszystkich przedmiotów znajdujących się w domku, zarówno należących do Erlinga, jak i zapewne będących częścią wyposażenia, jak sprzęt kuchenny czy świecznik. Nic nie przykuło mojej uwagi, poza jedną rzeczą, której wcześniej nie zauważyłem. W kieszeni kurtki policja znalazła pieniądze, sześć tysięcy koron. Żaden majątek, ale jednak spora kwota. Wiedziałem, że narkomani często mają duże ilości gotówki, jednak zacząłem się zastanawiać.

Przeczytałem protokół raz jeszcze, tym razem dokładniej.

Było tam mnóstwo ubrań. Większość ewidentnie Erlinga, ale część mogła należeć do Margaret. Kurtki i spodnie. Stos swetrów. Buty. Wiele nadal z metkami.

Sięgnąłem po kolejną teczkę; przerzucałem dokumenty, aż znalazłem raporty wewnętrzne policji. Przekartkowałem je ponownie i znalazłem to, co utkwiło mi w pamięci, lecz co z początku uznałem za zupełnie nieistotny szczegół.

„Ponieważ wiele ubrań było nowych, niżej podpisany sprawdził we właściwych sklepach, czy mogły zostać skradzione. Na ile udało mi się ustalić, do kradzieży jednak nie doszło”.

Raport podpisał sierżant policji Bjørnstad.

Głowa swędziała mnie jak opętana, jakbym dostał wszy, co nieomylnie znaczyło, że trafiłem na jakiś ślad. Osiem tysięcy koron, które Jarle zabrał z miejsca zbrodni. Sześć tysięcy w kieszeni kurtki. Ubrania warte... może dziesięć tysięcy. Na pewno dziesięć. Narkotyki za... Wróciłem do pierwszej teczki, przeczytałem fragment dotyczący konfiskaty środków odurzających. Rozmaite

pigułki, w sumie ponad sto. Piętnaście gramów haszyszu. Dziesięć gramów kokainy. Resztki heroiny w sreberku. Niezbyt wielkie ilości, ale warte parę koron, też przynajmniej dziesięć tysięcy. Zliczyłem wszystko i otrzymałem sumę prawie dwudziestu pięciu tysięcy. Do tego czynsz za wynajem domku.

Dużo pieniędzy jak na szesnastolatka.

## Rozdział 56

– Co tym razem? – brzmiały jej pierwsze słowa, wypowiedziane tak zrezygnowanym tonem, że można by pomyśleć, iż męczyłem ją codziennie.

– Cześć, Margaret – powiedziałem. – Jest twój ojciec?

– Nie. Wyszedł.

– A ty siedzisz w domu w sobotni wieczór?

Wzruszyła ramionami.

– Wyjdę później. Czego pan chce?

– Mogę wejść na chwilę? Nie potrwa to długo.

Przeszła do kuchni. Nie zaproponowała mi kawy, tylko opadła na krzesło i patrzyła wyczekująco.

Nie usiadłem, stałem wpatrzony w nią tak długo, aż zrobiła się niespokojna i spuściła wzrok.

– Co jest?

– Pamiętasz, co mówiłaś mi ostatnim razem, gdy tutaj byłem? To o waszych planach? O pomyśle podróży do Hiszpanii, najpierw na odwyk, a potem żeby tam zostać, odpocząć i się zrelaksować?

– Aha?

– Powiedziałaś, że nawet zamówiliście miejsce w klinice.

– Tak było! – Spojrzała na mnie trochę zdenerwowana. – Dlaczego miałabym kłamać?

Pokręciłem głową.

– Nie twierdzę, że kłamiesz, Margaret.

– To co...?

– Zastanawiam się, kto miał zapłacić za pobyt i terapię.

– Jak to?

– To droga terapia, nierefundowana przez władze. Koszt dla dwóch osób przekracza sto tysięcy. Kto miał za to zapłacić?

Zamilkła. Jej szyja pokryła się z wolna ostrą czerwienią.

– Od początku wiedziałem, że o czymś mi nie mówisz, Margaret.

– Nieprawda.

Zignorowałem jej protest.

– Dużo czasu zajęło mi dopasowanie wszystkich elementów układanki. Wszystkie te ubrania w domku kempingowym. Duże ilości narkotyków. Walająca się wszędzie gotówka. A u ciebie w salonie – wskazałem dłonią – antyczny telewizor, podczas gdy w twoim pokoju wielki ekran LCD i lśniąca nowością zestaw grający.

Już nie protestowała, tylko patrzyła na mnie z rezygnacją.

– Chyba coś ci zostało? Ile schowałaś?

Jej twarz przybrała wrogi wyraz.

– No, Margaret. Albo zaczniesz mówić, albo pójdziesz ze mną na komendę. To jak będzie? Ile ci zostało?

– Sto siedemdziesiąt tysięcy – wyszeptała.

– A ile miał Erling?

– Nie wiem. Więcej. Dużo.

– Skąd pochodziły pieniądze, Margaret? Popatrz na mnie! Skąd je wzięliście?

– Nie wiem.

– Margaret!

– Mówię, że nie wiem. To prawda. Pytałam go, ale nie chciał

powiedzieć.

Uwierzyłem jej.

– A jak ty myślisz?

Pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że nikogo nie zabił.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Ja... bałam się, że coś zrobił... coś straszego. Dlatego przeczytałam wszystkie gazety z prawie całej jesieni zeszłego roku, tylko żeby sprawdzić, czy nie było wtedy jakichś spraw, które... które by to wyjaśniły. Ale nic nie znalazłam. Żadnego morderstwa ani napadu, nic z tych rzeczy. Wtedy... już się tak nie bałam.

– Okej. Dziękuję, Margaret.

– Co pan teraz robi?

– Zrobi? Z czym?

– Z... pieniędzmi.

Zastanowiłem się. To była duża suma. Spojrzałem na jej twarz. Pomimo młodego wieku wyglądała na wyczerpaną, miała matowe oczy i pozbawione połysku włosy.

– Nic. Na twoim miejscu pojechałbym na ten odwyk.

Na dworze panował chłód, a na niebie widać było gwiazdy. Mój samochód stał na parkingu dla gości wspólnoty mieszkaniowej, w tym samym miejscu, gdzie parkowałem podczas wizyt u Katrine. Stałem tam w ciemności. Przede mną po prawej znajdowało się mieszkanie Katrine, w oknie widziałem światło. Wyżej, u Elsy Støle, również się paliło.

Był sobotni wieczór. Prawdopodobnie naląła sobie whisky, w usta włożyła papierosa, a z głośników sączyła się muzyka. Poczułem ukłucie pożądania i przez chwilę zastanawiałem się, czy powinienem tam pójść. Sądziłem, że mnie przyjmie pomimo tego, co

ostatnio powiedziała. Przez moment zatęskniłem za smakiem kobiety, za suchą, ciepłą skórą, jej dłońmi, ale odsunąłem od siebie te myśli. Odwróciłem się plecami do bloków, światła i pokus, spojrzałem w mrok po drugiej stronie. Zobaczyłem strome wzgórza i pagórki otaczające osiedle, ich czarne, ostre sylwetki na tle nocnego nieba. A nad nimi gwiazdy. Morze odległych, migoczących, zimnych gwiazd.

Pomyślałem o tym, co powiedziała Margaret, i nagle dostrzegłem związek tam, gdzie wcześniej go nie było, wzór, który zarysował się w miejscu, w którym wcześniej widziałem jedynie chaos luźnych wątków. Nagle ujrzałem zarys, sylwetkę kogoś, kto dotąd krył się w cieniu, w mroku, a teraz stał się widoczny.

Autostrada przypominała rzekę światła. Odczuwałem napięcie, oczekiwanie, jakbym stał na progu nieznanego pomieszczenia. Myśli wirowały mi w głowie jak na oszalałej karuzeli, skojarzenia, powiązania i pomysły pojawiały się i znikwały w zawrotnym tempie. Byłem nakręcony, straciłem kontrolę i nagle zorientowałem się, że jadę za szybko, że dawno przekroczyłem ograniczenie prędkości. Wcisnąłem hamulec, zjechałem na prawy pas i spróbowałem się uspokoić.

Dotarwszy do domu, zjadłem i położyłem się, ale po dziesięciu minutach w łóżku pojąłem, że to bez sensu, że nie zasnę. Nie mogłem znieść myśli o długiej, niespokojnej nocy, więc wstałem po ostatnią tabletkę na sen. Po dwudziestu minutach pochwyciła mnie ciemność, zatrzymała karuzelę w głowie, zwolniła bicie serca, objęła mnie i przyniosła wytchnienie.

Obudziłem się z obrazem Steinara Taulego przed oczami. Nieoczekiwanie przypomniałem sobie rozmowę z sierżantem

Holgersenem w korytarzu komendy tamtego wieczoru, gdy Jesper Juul został przyprowadzony na przesłuchanie. Przypomniałem sobie, co powiedział o Steinarze, o jego szaleństwie i handlu narkotykami. Promień słońca padał pod kątem przez firanki, oślepiający blask dzielił na dwoje mój pokój, podłogę, łóżko i kołdrę. Wtedy, zupełnie bez wysiłku czy choćby próby refleksji, jak gdyby ostre światło dnia wystarczyło, aby uporządkować niejasności i odsłonić tajemnice, niespodziewanie zrozumiałem wszystko. Co się stało. I co powinienem zrobić.

Wstałem z łóżka. Nie miałem już czasu.



## Rozdział 57

– Dzień dobry państwu – przywitała się sędzia Lorentzen, przesuając wzrokiem po sali, by prędko upewnić się, czy wszystko jest tak, jak powinno być w jej królestwie, czy wszyscy dotarli na miejsce, są gotowi i właściwie się prezentują. – Widzę, że pierwszy świadek obrony już się zjawił. Myślę więc, że możemy zaczynać.

Skierowała wzrok w stronę Carla Jensena, stojącego pośrodku sali w miejscu dla świadków. Tego dnia starannie dobrał strój – ciemny garnitur, błękitną koszulę i niebieski krawat. Włosy miał jak zwykle gładko zaczesane, a buty wypolerowane. Uprzejmie pozdrowił sędzię skinieniem głowy.

– Mecenasiu Jensen, oczywiście doskonale pan zna treść przysięgi, ale i tak będzie pan musiał ją złożyć. Czy przysięga pan...

– Wysoki sędzie!

– ...mówić... przysięga pan...

Powoli wstałem. Posłała mi rozdrażnione, lodowate spojrzenie. Zaskoczyłem ją, wybiłem z rytmu. Wiedziałem, że powinienem był poczekać do zakończenia przysięgi, więc zakląłem w duchu.

– Panie mecenasiu?

– Przepraszam, wysoki sędzie, przerwałem nie w porę, proszę o wybaczenie.

Odwilż nie nadeszła.

– A jakież był powód tego... przerwania nie w porę?

– Chodzi o moją listę świadków, wysoki sędzie. Mam jeszcze jednego świadka, którego chciałbym wezwać. Pomyślałem, że najlepiej będzie od razu to wyjaśnić.

– Tak? A kto to?

Odchrząknąłem.

– Steinar Taule, wysoki sędzie.

Głowa prokuratora wystrzeliła w górę niczym pies myśliwski, który w locie pochwyił cietrzewia. Zobaczyłem, jak marszczy brwi, próbując przypomnieć sobie, skąd zna to nazwisko.

– Kto to jest i o czym ma zeznawać?

– Steinar Taule jest mężczyzną, który niedawno prawie zadźgał nożem moją aplikantkę Synne Bergstrøm. Wysoki sąd na pewno orientuje się z gazet...

Przerwała mi machnięciem ręki.

– Tak, tak. A jaką odgrywa rolę w tej sprawie?

Prokurator właśnie wstawał.

– Nie chciałbym wchodzić w szczegóły, wysoki sędzie, ale jest on...

– To śmieszne i całkowicie niedopuszczalne! – Głos prokuratora grzmiał, odbijając się od ścian. Nigdy nie słyszałem, żeby mówił takim tonem. Natychmiast się zjeżyłem.

– Nie może pan wiedzieć, co chcę...

Twarz sędzi emanowała chłodem bliskim punktu zamarzania. Jej głos również.

– To moja sala sądowa. Jako prowadząca obrady nie życzę sobie takiego zachowania. Dotyczy to obu stron, jasne?

– Tak, wysoki sędzie.

– Tak, wysoki sędzie. Przepraszam.

– A zatem... Panie prokuratorze, proszę bardzo. Komentarze do

wniosku obrońcy o wezwanie... – prędkie spojrzenie w leżący przed nią notes – ...Steinara Taulego na świadka.

– Dziękuję, wysoki sędzie. Sprzeciwiam się temu. Wzywianie nowego świadka w ostatniej chwili jest pozbawione sensu i niezgodne z kodeksem postępowania karnego. Przyczyną jest oczywiście konieczność przygotowania się obu stron do prezentacji dowodów. – Rozłożył ręce. – Ponadto obawiam się, że to tylko tani chwyt mecenasa Brennego, który usiłuje zasiać wątpliwość tam, gdzie jej nie ma, aby w ostatnim momencie zwyczajnie wprowadzić zamieszanie i w ten sposób wpłynąć na ławników. To niedopuszczalne i sprzeczne z dobrą praktyką prawniczą.

– Panie mecenasie, czy taki jest pański zamiar? Jeżeli tak, mogę pana zapewnić, że ten sąd nie spojrzy na niego przychylnym wzrokiem.

– Nie, wysoki sędzie, to nieprawda. Zeznanie Steinara Taulego może być decydujące dla kwestii winy w tej sprawie.

Prokurator pokręcił głową.

– No naprawdę, wysoki sędzie. Steinar Taule przebywa w areszcie jako oskarżony za próbę zabójstwa. To osobnik cierpiący na zaburzenia psychiczne, który wyobrażał sobie, że jest w związku z panią Bergstrøm. Śledził ją przez ponad pół roku, a wreszcie omal jej nie zabił. – Rozłożył ręce. – Nic nie wskazuje na to, żeby cokolwiek łączyło go z tą sprawą, jest to wręcz nieprawdopodobne. Nigdzie w naszej sprawie nie ma nawet śladu, który prowadziłby do Steinara Taulego.

– Obrona?

Odczekałem kilka sekund, dość długo, aby zaczął się wahać.

– Jeżeli pan prokurator uważnie zapozna się z dokumentacją, to w protokole z konfiskaty znajdzie wzmiankę o dużej liczbie pigułek.

Na miejscu zbrodni znaleziono rohypnol, amfetaminę i różne inne tabletki, a także sporo twardych narkotyków.

Kolejna sztuczna przerwa. Po twarzy prokuratora widziałem, że przeczuwa, co zaraz nastąpi.

– Erling Iversen prawdopodobnie kupił te narkotyki od Steinara Taulego, wielokrotnie skazywanego za sprzedaż tego typu substancji. To zawodowy handlarz. Gdyby ten młody funkcjonariusz w okularach, który był tu w piątek, ten od list połączeń telefonicznych, ponownie stawiał się w sądzie, mógłby nam pokazać, że Erling wielokrotnie dzwonił do Steinara Taulego w okresie poprzedzającym zabójstwo. Steinar Taule jest wmieszany w tę sprawę, policja jedynie tego nie wykryła. – Znów na chwilę zamilkłem. – Poza tym Steinar Taule bez trudu chwyta za nóż. Erlinga Iversena zabito nożem. Chcę, aby Steinar Taule zeznawał jako świadek.

Prokurator usiadł. Wiedział, że nic nie może zrobić. Sędzia kiwnęła głową.

– W porządku, panie mecenasie. Ale powinien pan mieć coś konkretniejszego niż czyste spekulacje.

– Mam, wysoki sędzie. Mam.

– Oby. Czy mecenas Jensen, który spokojnie przeczekał cały ten spektakl, mógłby teraz złożyć przysięgę? Zakładam, że nadal chce pan, aby zeznawał.

Zastanowiłem się chwilę.

– Ech, tak, chyba tak będzie najlepiej. Powinno pójść szybko.

## Rozdział 58

Carlo Jensen złożył przysięgę.

– Proszę bardzo, panie mecenasie. Oto pański świadek.

– Dziękuję, wysoki sędzie – odparłem, po czym posłałem uśmiech Jensenowi. – Przepraszam, że musiał pan czekać, kiedy ustalaliśmy... to wszystko. Ale sam jest pan adwokatem, więc na pewno pan rozumie.

Spokojnie odwzajemnił mój uśmiech.

– Oczywiście – odpowiedział. – Wiem, jak to jest.

– Taak. Znalazł się pan tutaj, ponieważ zna pan rodzinę Iversenów. Właściwie to już od wielu lat, prawda?

Znowu uśmiech.

– Owszem. Znam ich od... niech no pomyślę... odkąd Erling miał... chyba jedenaście lat. A więc od pięciu lat.

– Właśnie. A jak pan ich poznał?

– Byłem adwokatem Katrine, to jest pani Iversen. Skontaktowała się ze mną w związku ze... sprawą, w której potrzebowała pomocy.

– Była to sprawa o opiekę nad dzieckiem, prawda?

– Tak, zgadza się.

Przesłuchania świadków nigdy nie przebiegają identycznie, ale najlepiej, jeśli pytający wcześniej się przygotowuje. Nie oznacza to zapisania sobie każdego pytania. Wręcz przeciwnie, potrzebna jest

pewna elastyczność i przytomność umysłu, pozwalająca na poruszenie ewentualnych ciekawych wątków pobocznych. Dlatego wcześniej przygotowana lista pytań na ogół jedynie przeszkadza. Wystarczy, aby prowadzący rozmowę orientował się w tematach wymagających poruszenia oraz w kolejności, w jakiej należy to zrobić. Poza tym dobry adwokat musi mieć odpowiednie wyczucie rytmu. Przesłuchanie świadka jest dialogiem składającym się z pytań i odpowiedzi, każdy mówi po swojemu, elegancko lub z trudem, lakonicznie lub szczegółowo. Adwokat musi to wszystko wyłapywać, płynąć z prądem, przerywać tylko wtedy, gdy to konieczne. To jak taniec – adwokat prowadzi, jednak cały czas musi uważać na partnerkę.

Carlo Jensen był profesjonalistą. Dobrym partnerem do tańca. Prowadziłem go przez tematy, rozmawialiśmy o rodzinie, o sprawie sądowej, o Katrine, Jarlem i Erlingu, o ich osobowościach i relacjach. Jego właściwie sformułowane odpowiedzi padały lekko i bez wysiłku. Doszedłem do wniosku, że może jednak radzi sobie całkiem nieźle jako adwokat. Z jakiegoś powodu nigdy nie traktowałem go poważnie, nigdy nie zdołałem wyobrazić go sobie w sądzie, ale posiadał powagę, autorytet i umiejętność precyzyjnego wyrażania myśli.

Mimo wszystko sala się nudziła.

Publiczność, ławnicy, sędziowie i prokurator – wszyscy wiercili się niecierpliwie na krzesłach, ukradkiem zerkając na zegarki. Doskonale wiedziałem dlaczego. Czekali na Steinara Taulego. Zajmowałem się błahostkami, wątkami pobocznymi i zupełnie obojętnymi kwestiami, podczas gdy oni czekali na potencjalnego mordercę.

Wzięłem głęboki wdech. Czułem niepokój w żołądku i drzenie

w koniuszkach palców, serce zaczęło mi bić szybciej. Wahałem się, całkiem jakbym stał jako chłopiec na szczycie dziesięciometrowej trampoliny. Wiedząc, że nie ma już drogi odwrotu, że trzeba zaraz rzucić się w lśniący błękit nieba, w pustkę, w wieczność.

Nadszedł czas, by iść naprzód.

– Tak na zakończenie, mecenasie Jensen... Powiedział pan, że widywał Erlinga w okresie, kiedy z powrotem przeprowadził się do Katrine. Właściwie dlaczego? Chyba zasadniczo wykonał pan już swoją pracę?

– Zgadza się, ale z czasem nawiązałem dobre stosunki z rodziną i chociaż nie było podstaw, aby Katrine straciła opiekę nad synem, mimo wszystko potrzebowała pomocy.

– I pan jej pomagał?

Rozłożył ręce.

– Na początku Służba Ochrony Praw Dziecka zapewniała jej jakąś osobę kontaktową, która odciążała ją w obowiązkach, ale kiedy to się skończyło, spróbowałem sam przejąć tę rolę.

– Tak... To godne podziwu.

– Nie wiem, po prostu czułem, że...

– Czy dalej utrzymywał pan kontakt z Erlingiem?

– Tak, chociaż z czasem w mniejszym stopniu.

– Aż do jego śmierci?

– Ee, w pewnym sensie.

– Nie odwiedził go pan tego wieczoru, gdy został zabity, prawda?

– Nie. Co...?

– Przepraszam. To było głupie pytanie. Pomyślałem, że może przypadkiem... Niemądrze z mojej strony. Oczywiście zeznałby pan policji, gdyby pan tam był.

– Oczywiście.

Przerwałem na chwilę i w rozkojarzeniu zacząłem przeglądać papiery leżące na stole.

– Panie mecenasie? – odezwała się sędzia.

– Tak?

– Skończył pan? – Wydawała się wyraźnie zniecierpliwiona.

– Tak, prawie. Tylko jedna rzecz...

Czas skoczyć. Czas, by rzucić się z dziesięciu metrów. W niebieską, pustą przestrzeń.

Spojrzałem na Carla Jensena, na okrągłą, pełną twarz, jego czarne, nadal gładko zaczesane do tyłu włosy, idealne, bez jednego wystającego loka. Uśmiechnąłem się do niego, a on do mnie, pewien, że zaraz skończy, że wróci do biura, pracy, klientów, czekających dokumentów. Gotów, by dalej żyć.

– Zastanawia mnie tylko, panie Jensen, kiedy zaczął pan molestować Erlinga?

Zadałem pytanie, nie podnosząc głosu, tym samym spokojnym tonem, którym cały czas mówiłem. Chyba dlatego nie zrozumiał, co powiedziałem. Ale też dlatego, że zupełnie się tego nie spodziewał.

Myślał, że jest bezpieczny.

– Co takiego?

Już się nie uśmiechał. Jego twarz była pusta, bez wyrazu, jak wyłączony ekran telewizyjny, niezapisana strona.

– Zastanawia mnie, kiedy zaczął pan molestować Erlinga Iversena. Czy po tym, jak pański przyjaciel Jesper Juul polecił pana jako adwokata? Wiem, że to dzięki niemu zyskał pan to zlecenie, Katrine to potwierdziła. I wiem, że Jesper Juul sam molestował Erlinga, przyznał się do tego policji. Interesuje mnie tylko to, czy od początku wykorzystywaliście go razem, czy, że tak powiem, przejął pan po nim pałeczkę. Jak to było?



Jego blada twarz, wpatrzona we mnie bez zrozumienia, powoli oblała się czerwienią, która niczym nadchodzące wody przyływu rozprzestrzeniała się nad kołnierzykiem, na szyi, policzkach, aż wreszcie dotarła do nasady włosów. Na wpół wstał z krzesła, wetknął palce pod kołnierzyk, poruszył niemo ustami. Przez chwilę bałem się, że dostał wylewu.

– Może to nie takie ważne, kiedy pan zaczął – ciągnąłem. – Ważne są raczej konsekwencje molestowania seksualnego, które zawsze niszczy życie ofiar, jednak w tym przypadku konsekwencje były jeszcze gorsze niż zwykle. Pana czyny bezpośrednio przyczyniły się do śmierci trzech osób.

Jensen wreszcie odzyskał głos, lecz z jego gardła dobył się szept, a nie ryk.

– Jest pan szalony – wybełkotał. – Zupełnie szalony.

– Nie. Nie szalony. Może trochę wolno myślący, ale nie szalony. – Wskazałem go dłonią. – Wszystko zaczęło się od tego, że Erling żądał pieniędzy. Groził, że pana zdemaskuje, jeśli pan nie zapłaci. Wysoki sędzie, wszyscy powinniśmy byli zwrócić uwagę na to, że u zmarłego znaleziono za dużo pieniędzy. Nowe ubrania, narkotyki i gotówkę. O wiele za dużą kwotę jak na szesnastolatka.

Po twarzy prokuratora, po sposobie, w jaki złożył usta, widziałem, że nagle też to zrozumiał i że sam wcześniej o tym nie pomyślał.

– Problem w tym, że nie był pan zbyt zamożny, mecenasie Jensen. Zbadałem tę sprawę. Okazuje się, że pańska firma nie radziła sobie najlepiej. Rok temu prowadzono przeciwko panu postępowania egzekucyjne, otrzymywał pan wezwania do zapłaty. Nie miał pan z czego opłacić milczenia Erlinga. Dlatego ukradł pan pieniądze z konta dla klientów swojego kolegi, Bjørna Grovena.

Przypuszczam, że sam też poczęstował się pan okrągłą sumką. Bo czemu nie? W każdym razie pana problemy finansowe zniknęły.

Pokręcił głową.

– To śmieszne!

Puściłem jego słowa mimo uszu.

– Później zabił pan Bjørna Grovena, aby ukryć kradzież, czyż nie?

Znów pokręcił głową.

– Nie.

– I zostawił pan u niego list z pogrózkami Erlinga Iversena, tak aby wyglądało, że to on wykorzystywał dzieci. List ten jednak tak naprawdę był skierowany do pana.

– Nie, nie. To po prostu... – Próbował opędzić się ode mnie rękoma, jakby bronił się przed rojem owadów.

– A kiedy żona Bjørna Grovena, Kirsten, odkryła, że jej mąż nie mógł być adresatem tego listu, że miał alibi, zabił pan również ją, nieprawdaż?

– Jest pan szalony. To obłąd. – Jego protesty miały w sobie pewną bezsilność, anemiczność, jakby właściwie się już poddał. Twarz pozostała czerwona, poluzował też kołnierzyk, aby poprawić dopływ powietrza. – Obłąd – powtórzył ledwie słyszalnym głosem.

Wreszcie prokurator wstał.

– Wysoki sędzie – rzekł. – To... to nie do końca normalne! I... i chociaż prokuratura nie uważa... tych kwestii za nieciekawe, jednak... nie wiem, jakie właściwie one mają znaczenie. W końcu mecenas Brenne mówi tu o zupełnie innej sprawie.

– Zgadza się – przyznała sędzia Lorentzen. – I jest to sprawa, a może i dwie sprawy, o których nic nie wiemy, dlatego niełatwo będzie ocenić... znaczenie czy też poprawność pańskich twierdzeń,

mecenasie Brenne, ani nam, sędziom, ani ławie przysięgłych. I – dodała, posyłając mi zimne spojrzenie znad krawędzi okularów – to przykre, ponieważ kieruje pan wobec świadka wyjątkowo poważne oskarżenia.

Pokręciłem głową.

– To nie jest odrębna sprawa. W gruncie rzeczy to ta sama sprawa. Wszystko wydarzyło się z powodu molestowania Erlinga Iversena. Zabójstwo Bjørna Grovena oraz jego żony Kirsten. Również z tej przyczyny został zamordowany sam Erling – aby nie mógł zdradzić, czego doświadczył. Zabił go mężczyzna, który go wykorzystywał. Carlo Jensen.

Jensen wstał. Ja również.

– Nie może pan tak po prostu... nie może pan na prawo i lewo... rzucać takich oskarżeń! Tak nie wolno! – W akcie desperacji zwrócił się w stronę sędziów. – Przecież nie może! Muszą go państwo powstrzymać!

– Świadek ma rację, wysoki sędzie! – wybuchnął prokurator. – Są pewne granice...

– A... a co ze Steinarem Taule?! – zawołał Carlo. – Co z nim? Czy nie miał też zeznawać jako świadek? Czy nie powiedział pan, że to on to zrobił?

Sędzia odwróciła się w moją stronę.

Kiwnąłem głową.

– Steinar Taule, tak. Nożownik. Owszem, będzie zeznawał, jeśli to konieczne. Ale nie, nie powiedziałem, że on to zrobił.

Prokurator podniósł wzrok.

– Właśnie tak pan powiedział, Brenne.

– Nie. Wcale nie. Powiedziałem, że jego zeznanie może mieć decydujące znaczenie dla kwestii winy w tej sprawie. I to prawda. –

Zamachałem kartką. – Jak państwo wiedzą, Steinar Taule śledził przez pewien czas moją aplikantkę Synne Bergstrøm. Detektyw prowadzący tę sprawę powiedział mi, że Taule miał dziennik, w którym dokładnie notował wszystkie obserwacje poczynione podczas śledzenia Synne. Godziny, miejsca, sklepy, w których robiła zakupy, nawet numery rejestracyjne samochodów zaparkowanych przed jej domem. Wszystko to Steinar Taule zapisywał w dzienniku.

Zamilkłem na chwilę, wypilem łyk wody. Przestali mi przerywać. Słuchali. Spojrzałem na Carla Jensena. Dobrze utrzymana fasada wyglądała, jakby lada moment miała rozpaść się w drobny mak. Włosy opadły mu na czoło, twarz połyskiwała od potu, kołnierzyk miał rozpięty, krawat przekrzywiony. A w jego oczach widziałem świadomość nadchodzącej katastrofy. Przez kilka sekund wytrzymałem jego spojrzenie.

– Wiemy też, że Synne Bergstrøm odwiedziła Erlinga tego wieczoru, gdy go zabito. Opuściła go kwadrans po dziesiątej. Niedługo później, za dwadzieścia jedenasta, Jarle znalazł brata zamordowanego. W krótkiej przerwie między obiema wizytami Erling Iversen został zabity. Ta kartka, wysoki sędzie, jest kopią zapisu z dziennika Steinara Taulego. – Znów nią zamachałem. – Dopiero w ostatni weekend zdałem sobie sprawę, jak duże znaczenie ma ten dziennik. Również tego dnia Steinar Taule śledził Synne Bergstrøm. Aż na miejsce zbrodni. A później pilnie zapisał wszystko, co usłyszał, zobaczył i przeżył.

Kolejna przerwa. Na sali panowała całkowita cisza.

– Dziennik umiejscawia samochód mecenasa Carla Jensena oraz osobę odpowiadającą jego rysopisowi na parkingu tuż przy polu kempingowym, tego wieczoru, gdy doszło do morderstwa. Kiedy

Synne Bergstrøm stamtąd odjeżdżała, wspomniana osoba zmierzała w przeciwnym kierunku, w stronę domków kempingowych. Wysoki sędzie, Steinar Taule widział i opisał zabójcę. I nie mam wątpliwości, że będzie mógł zidentyfikować mecenasa Jensena jako tę osobę.

Skierowałem wzrok na Jensena, który jednak przestał już na mnie patrzeć. Usiadł, podparł głowę dłońmi, jakby był zmęczony.

– Zabiłeś Erlinga Iversena, Carlo, czyż nie?

Nie usłyszałem odpowiedzi. Siedział tylko, zasłaniając twarz rękoma. Jego ramiona lekko drżały; płakał. Nie pierwszy raz. Płakał już, gdy rozmawialiśmy o śmierci Bjørna Grovena, płakał też na pogrzebie Kirsten. Carlo Jensen był człowiekiem sentymentalnym, bez trudu okazującym uczucia, pozornie łączącym się w smutku z innymi. Zrozumiałem jednak, że to iluzja, że choć łatwo się wzruszał, w jego zachowaniu brakowało szczerości. Teraz płakał nad samym sobą, nad swoim zmarnowanym życiem, nad błędami, które popełnił, i losem, który przypadł mu w udziale. Wreszcie ronił prawdziwe łzy.

Opuścił dłonie na stół i spojrzał na mnie smutnym wzrokiem umierającego psa.

Daleko było mi do jego sentymentalizmu. Nie żałowałem Carla Jensena, nie współczułem mu w niedoli. Odczuwałem jedynie głęboką, szczerą satysfakcję.

## Rozdział 59

Carlo Jensen nie odpowiedział.

– Mecenasiu Jensen – odezwała się sędzia. – Ma pan nam coś do powiedzenia?

Nawet nie podniósł wzroku. Wstałem.

– Czy mogę zaproponować krótką przerwę? Rozumiem, że pojawiło się dużo informacji, nowych zarówno dla ławy przysięgłych, jak i wszystkich pozostałych osób w sali, i możemy potrzebować czasu, żeby je przetrwać. Poza tym chciałbym porozmawiać z prokuratorem. W świetle tego, co właśnie usłyszeliśmy, uważam, że...

Mój głos z wolna umilkł, przepadł w otaczającej mnie ciszy. Patrzyłem na sędziego, lecz mimo to kątem oka dostrzegłem Carla Jensena, który powoli wstał z krzesła, uniósł dłoń i wskazał na mnie. Odwróciłem się do niego i omal nie wybuchnąłem śmiechem, tak absurdalny i nierzeczywisty ujrzałem widok. Carlo Jensen trzymał w dłoni pistolet. Płaski i czarny pistolet, który wydawał się nazbyt mały, by zrobić komukolwiek krzywdę. Przypominał zabawkę. Carlo uniósł drugą rękę.

Kliknięcie.

Ogłuszający dźwięk ładowanego magazynka.

Pistolet nie wydawał się już mały i niegroźny. Z wolna uwaga osób w sali przeniosła się ze mnie na Carla Jensena. Na jego ciało,

następnie na rękę, a wreszcie na samą dłoń. To na końcu wyciągniętej ręki, na czarnym, matowym, brzydkim pistolecie zatrzymały się wszystkie spojrzenia.

– Mecenasiu Jensen – napomniała sędzia, ostrym jak brzytwa głosem przecinając ciszę. – Mecenasiu Jensen, nie wolno panu...

Pistolet przemieścił się krótkim łukiem, aż wskazał prosto na nią.

– Zamknij się! – warknął Carlo Jensen. – Zamknij się, babo!

Przez krótką, absurdalną chwilę dobrze go rozumiałem. Spędziłem w sądzie pół życia, pełnego wtrąceń, upomnień oraz prawniczej arogancji, i rozumiałem, że trzymając w dłoni pistolet, nie mógł się oprzeć pokusie nakazania sędzi milczenia.

Popatrzyła w lufę, parę razy szybko zamrugła i posłuchała go. Publiczność wreszcie pojęła, co się dzieje, więc ławki za Carlem ogarnął niepokój – najpierw rozległo się tam jedynie mamrotanie, później szelest ostrożnie przemieszczanych ciał i stóp. Pojąłem, że lada moment może wybuchnąć panika. Przygotowałem się. Do najbliższego wyjścia po prawej miałem trzy metry. Kątem oka widziałem drzwi.

– Cisza! – ryknął nagle Carlo Jensen. – Cisza, bo będę strzelał! – Odwrócił się prędko w stronę publiczności, dał im zajrzeć w wylot lufy, po czym wrócił do poprzedniej pozycji tak szybko, że nie zdążyłem zareagować. – Siadać! Zastrzelę pierwszego, kto spróbuje opuścić salę.

Zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Ustały wszelkie ruchy i zniknęły dźwięki, tylko jakaś kobieta płakała. Nie widziałem, kto to, ale też nic mnie to nie obchodziło. Na ułamek sekundy dostrzegłem Katrine Iversen w pierwszym rzędzie, ledwie metr za Jensenem, oddzieloną od niego jedynie barierką. Zdjęła okulary

przeciwsłoneczne i w zdziwieniu patrzyła na Carla przekrwionymi, nierozumiejącymi oczami.

Lufa pistoletu, która z początku wskazywała na mnie, a później na sędzie, po czym jak promień radaru przesunęła się przed publicznością, błyskając otwartym wylotem i pozwalając wszystkim na moment doświadczyć wieczności, wróciła do punktu wyjścia. Niczym igła kompasu obracała się intensywnie w koło w poszukiwaniu swojego magnetycznego bieguna północnego, teraz zaś odnalazła właściwy kierunek. Uspokoila się.

Ponieważ to ja byłem biegunem północnym.

Lufa miała kształt okrągłej, czarnej dziury.

A tuż nad nią jedno oko Carla Jensena także przypominało okrągłą, czarną dziurę, niezmiennie wpatrzoną w moją osobę. Oko równie puste, pozbawione ludzkich uczuć i nadziei, równie zgubne jak lufa pistoletu.

– Ty – odezwał się głośno. – Ty, Brenne. Ty... – Pokręcił głową, jakby nie potrafił znaleźć słów, by opisać to, co mu uczyniłem. – Wszystko zniszczyłeś. Wszystko zniszczyłeś! – Powtórzył to zdanie, nie mogąc inaczej wyrazić tego, jak jestem potworny.

Chciałem mu odpowiedzieć. Odnaleźć słowa, które do niego trafią, które przywrócą spokój jego spojrzeniu, przywołają go do porządku i sprawią, że lufa powoli powędruje ku ziemi. Ważne, pełne sensu słowa odbijały się w mojej głowie rykoszetem. Słowa, które mogłyby zażegnać niebezpieczeństwo. Które pozwoliłyby mi żyć.

Znajdowałem się w sądzie. Na miejscu obrońcy. To było moje miejsce na ziemi, to, w którym najsprawniej działałem i najlepiej się czułem. Tu byłem królem, a sala rozpraw była moim królestwem. To ja tu rządziłem. Za pomocą słów. Łagodnych.



Twardych. Słów, które uwodziły, wabiły, przymilały się, ale też smagały gniewem, zgłaszały żądania oraz wyrażały pogardę i kpinę. Słowa były moim orężem i to tu, w tej sali, w tym miejscu, używałem ich z największą radością i najlepszym skutkiem. Tutaj dzięki moim słowom świat kręcił się zgodnie z moją wolą.

Ale nie tego dnia.

Teraz, w tej chwili, brakowało mi słów. Struny głosowe odmówiły mi posłuszeństwa i milczałem, chociaż nie miało to w sumie większego znaczenia. Słowa przestały się liczyć. Nie mogły już pomóc.

Pistolet drżał, a ja wiedziałem, że czas się skończył.

Wystrzał okazał się zadziwiająco głośny i ostry. Całkowicie zagłuszył dźwięk damskiej torebki uderzającej Carla Jensena w głowę. Torba musiała ważyć kilka kilogramów, sądząc po efekcie jej działania, gdy z świstem zawirowała i przywaliła Jensenowi w skroń. Przez to strzał trafił w sufit, a sam Jensen padł na ziemię.

Tuż za nim stała Katrine Iversen, wrzeszcząc:

– Zabiłeś mojego syna, ty chuju! Zabiłeś mojego syna!

Na jej twarzy, nie tak dawno jeszcze zdumionej, teraz malowała się wściekłość. Mimo alkoholowej mgiełki w głowie Katrine wreszcie pojęła, co się stało. Torebka znowu świsnęła na pasku niczym śmiertelna broń, podczas gdy jej właścicielka spróbowała przekroczyć barierkę oddzielającą ją od Jensena.

On zaś leżał jak długi na podłodze, lecz w dłoni nadal trzymał pistolet. Potrząsnął głową niczym mokry pies, aby odzyskać świadomość, a po chwili podciągnął pod siebie nogę i podparł się na rękę, żeby wstać. Katrine raz jeszcze się zamachnęła; chciała ponownie uderzyć go w głowę, ale nie trafiła, pasek był za krótki. Torebka runęła na ziemię z głuchym, ciężkim hukiem. Po mojej

lewej policjanci, którzy mieli pilnować Jarlego, siedzieli nieruchomo, wciąż byli w szoku. Sędziowie właśnie wychodzili zza swojego stołu. Prokurator kulił się na czworakach pod stołem, a ławnicy kłębili się w przejściu, biegnąc do wyjścia.

Ja nie byłem w stanie się ruszyć. Moje ciało nadal czekało na kulę, która przeleciała mi koło głowy. Mięśnie odmówiły posłuszeństwa. Myśli przestały krążyć. Mogłem jedynie czekać na następny pocisk.

Uratowało mnie chyba to, że Carlo nie potrafił się zdecydować, do kogo najpierw strzelić. Do mnie, w którego cały czas się wpatrywał spojrzeniem przepełnionym ślepą, instynktowną nienawiścią, czy do Katrine Iversen, która dalej chciała zmiażdżyć mu czaszkę. Tę sekundę zawahania wykorzystał Jarle.

Po miesiącach frustracji podczas pobytu w więzieniu, w sądzie, na przesłuchaniach, po niezliczonych godzinach, kiedy musiał się powstrzymywać, zachowywać dorośle i odpowiedzialnie, Jarle Iversen nareszcie mógł pokazać swoje prawdziwe oblicze. Zrobić to, w czym był najlepszy i co przychodziło mu bez trudu.

Kopnął Jensena w przeponę, po czym brutalnie wykręcił trzymającą pistolet rękę. Napadnięty wydał z siebie głośny, ostry krzyk bólu, a pistolet upadł na ziemię; dwa palce u prawej dłoni Jensena wystawały pod dziwnym, krzywym kątem. Później Jarle metodycznie kontynuował dzieło zniszczenia.

Trzeba było dwóch policjantów i mojej własnej osoby, by go powstrzymać. Zanim to nastąpiło, twarz Carla Jensena pokryła się krwią do tego stopnia, że ledwo dało się go rozpoznać. Chwyciłem Jarlego od tyłu i odciągnąłem go na bok. Wyrywał się, kopał leżącego człowieka, ale razem z policjantami wreszcie odsunąłem go wystarczająco daleko.

– Puść mnie, dopadnę go! – zawołał, a spojrzenie miał dzikie. – Zabiję go!

Wiedziałem, że nie żartuje, więc trzymałem go z całych sił. Wreszcie się uspokoił.

– Właśnie sprawiłem, że zostałeś oczyszczony z zarzutu morderstwa, Jarle – powiedziałem mu prosto do ucha. – I za cholere nie dam ci popełnić zabójstwa na oczach sędziów i ławników.

## Rozdział 60

Jesienne powietrze było czyste, a słońce świeciło blado i słabo. Blask sączył się przez gałęzie, zakradał między krzewy i drzewa, rzucając chwiejne cienie na żwirowe ścieżki, po których spacerowaliśmy. Synne trzymała mnie za rękę, stawiając krótkie, ostrożne kroki; była jak krucha starsza pani, mocno uczepiona mojego łokcia. Po raz pierwszy wyszła na dwór i chociaż temperatura pozostawiała wiele do życzenia, a lekkie podmuchy z północy raz po raz podwiewały nasze ubrania, jej policzki były zaczerwienione, z ust zaś nie schodził uśmieszek.

Obudziła się kilka dni po zakończeniu procesu. Nikt nie pamiętał o tym, żeby do mnie zadzwonić, dlatego wszedłem do pokoju bez żadnych oczekiwań, tylko z towarzyszącym mi już od jakiegoś czasu lękiem, że jej nie zastanę, i ujrzałem ją przebudzoną. Była nadal słaba, jej ciało spowijały wężyki i przewody, lecz miała otwarte oczy. Kiedy mnie przed sobą zobaczyła, uśmiechnęła się lekkim, ostrożnym, wątłym uśmiechem, a ja zacząłem płakać.

Teraz spacerowaliśmy po cmentarzu tuż za szpitalem, po wąskich żwirowych alejkach między nagrobkami, prowadzących donikąd, skręcających, rozwidlających się, odbijających w bok, by zaraz zejść się z powrotem niczym rzeka, która wkrótce wpadnie do morza.

Po chwili Synne się zmęczyła, więc usiedliśmy na ławce, by

odpocząć. Kawałek dalej starsza kobieta klęczała przy grobie, wyrwijąc chwasty, sprzątając i porządkując.

– Niektórzy tak się starają. – Synne skinęła głową w stronę kobiety.

– Tak. Albo chcą pamiętać zmarłych.

– Czyż nie wszyscy tego chcą?

Wzruszyłem ramionami.

– Może. Ale czasami chcemy też zapomnieć.

Nic na to nie powiedziała. Nieco później zerknęła na mnie z ukosa.

– Nie rozumiem...

– Czego?

– Jak doszedłeś do tego, że to Carlo Jensen.

– Ja... Było kilka czynników. Po pierwsze list szantażysty.

– Jak to?

– Kiedy Harriet Øen powiedziała mi, że Bjørn miał alibi na dzień, kiedy Erling został wykorzystany po raz pierwszy, zrozumiałem, że list nie mógł być skierowany do niego. Ale wtedy utknąłem w miejscu.

– Dlaczego?

– Pomyślałem, że wobec tego list musiał zostać sfalszowany, jednak była to idiotyczna myśl. List nie był fałszywy. Nie mógł być. Wówczas nie zawierałby odniesienia do określonego dnia, na który Bjørn mógł bez problemu znaleźć alibi. Po co fałszerz miałby aż tak ryzykować?

– Tak, to jasne.

Skinąłem.

– Właśnie. Jedynym logicznym wyjaśnieniem było to, że list jest prawdziwy. Pozostawało jedynie pytanie, do kogo został

skierowany.

– Kiedy to zrozumiałeś?

– O wiele za późno. Potem zorientowałem się, tak samo jak ty, że Erling miał zdecydowanie za dużo pieniędzy.

– Mogły pochodzić ze sprzedaży narkotyków. Mógł się tym zajmować.

– Wiem, ale tak nie było. Skonfrontowałem z tym Margaret, która pękła i przyznała, że Erling miał pieniądze. Dużo pieniędzy. O wiele więcej, niż mogłoby zarobić na narkotykach. Poza tym Margaret by się zorientowała.

– Pewnie tak.

– Właśnie. Więc tyle wiedziałem. Wykorzystywany seksualnie chłopak posiadający o wiele za dużo pieniędzy. Napisany przez molestowanego chłopaka list, który wypłynął u Bjørna Grovena. Trzy i pół miliona, które zniknęły z konta Bjørna w tym samym czasie, kiedy Erling się wzbogacił. Nie miałem wątpliwości, że te sprawy się z sobą łączą.

Zastanowiła się.

– Tak, w porządku. Ale Carlo... skąd przyszedł ci do głowy Carlo Jensen?

– Nie mogłem być pewien, nie na początku, chociaż wydawał się najbardziej prawdopodobny. Wszędzie się pojawiał. Wspólnik Bjørna. Adwokat Iversenów. A przede wszystkim przyjaciel Jespera Juula, który, jak odgadłem, wykorzystywał Erlinga.

– Więc w sądzie po prostu zaryzykowałeś?

– Nie. Wtedy już wiedziałem, że to Carlo. Pamiętaj, że zabito też Kirsten.

– No i co z tego?

– Lars Knut Sture powiedział, że muszę być idiotą, skoro nie

widzę związku między śmiercią Bjørna i Kirsten. Miał rację. Na pewno nieprzypadkowo zabito Kirsten tego samego dnia, gdy odkryła, że Bjørn nikogo nie wykorzystywał. A jedyną osobą, poza mną, która wiedziała, że Kirsten odkryła coś ważnego, była Harriet Øen, stara sekretarka Bjørna, jej jednak nie podejrzewałem.

– Nadal nie rozumiem...

Uśmiechnąłem się.

– Zrobiłem bardzo prostą rzecz. Zadzwoiłem do pani Øen i zapytałem, czy mówiła komuś o rozmowie telefonicznej z Kirsten. Gdy powiedziała, że podczas rozmowy stał koło niej Carlo Jensen, który później spytał ją, po co dzwoniła Kirsten, zyskałem pewność. Ujrzałem w nim pająka pośrodku sieci. Wtedy sprawdziłem jego finanse. Wszystko się zgadzało.

– Ale jak? Jak Carlo mógł ukraść pieniądze z tego konta?

Wzruszyłem ramionami.

– Pewnie znał kody dostępu Bjørna. Policji powiedział co innego, ale w kancelariach to normalne, że więcej osób ma dostęp do kont, na wszelki wypadek. U nas są to Peter i Finn. Dlaczego w przypadku Bjørna Grovena i Carla Jensena miałyby być inaczej?

Synne się zamyśliła.

– Rozumiem. A kiedy mamy do czynienia z przelewami przez internet, nie można sprawdzić, kto wykonał operację, wiadomo tylko z którego komputera.

– Właśnie. Bjørn musiał się w tym zorientować i to dlatego do mnie zadzwonił. Niestety wcześniej wyjechałem. Przypuszczalnie postanowił więc sam przeprowadzić konfrontację z Carlem. To był błąd. Carlo go zastrzelił i upozorował samobójstwo.

– Tak. Pewnie masz rację. – Zadrzała, gdyż było dość chłodno. – Przyznał się do winy?

– Kto? Carlo Jensen?

– Tak.

– Nie wiem, raczej nie. Ale zostanie skazany. Zebraliśmy dość dowodów przeciwko niemu.

– Świetnie.

– A ty, Synne? Jak ty się czujesz?

Przez chwilę milczała.

– Dobrze.

– Nie odczuwasz żadnych... następstw?

– Mam sny. – Szybki uśmiech. – Ale za dnia jest całkiem okej. Niedługo do ciebie wrócę.

– To super – odparłem. – Brakuje mi cię.

W drodze do szpitala była zmęczona.

– Wczoraj odwiedziła mnie Kari.

– Ach tak?

– Powiedziała... Rozumiem, że przez jakiś czas siedzieliście przy mnie na zmianę.

– Tak.

– Jak się między wami układa? Myślisz, że do ciebie wróci?

Pomyślałem o Kari, o naszym związku. Zadzwoiłem do niej po zakończeniu sprawy. Wypiliśmy razem kawę, a ja zapytałem, czy widzi dla nas nadzieję. W oczach stanęły jej łzy i odpowiedziała, że nie wie.

– Nie. Nie wiem. Chyba nie.

Synne wsparła się ciężko na moim ramieniu.

– Nie podziękowałam ci, Mikael.

– Za co?

– Za Jarlego. Dotrzymałeś obietnicy. Uratowałeś go. Erling... Erling nie żyje. Ale przynajmniej uratowałeś Jarlego.



Popatrzyła na mnie i się uśmiechnęła. Miała bladą twarz, cienie pod oczami i zapadnięte policzki, a jednak wyglądała rozpaczliwie młodo. W jej oczach, gdzieś za uśmiechem, dostrzegałem błaganie. Zmusiłem się do odwzajemnienia uśmiechu.

– Tak – odparłem. – Właśnie tak. Uratowałem Jarlego.

## Rozdział 61

Koniec procesu był wielkim dniem dla Iversenów. Stali się bohaterami chwili, we wszystkich gazetach publikowano ich zdjęcia i wywiady z nimi, wszędzie wychwalano ich za siłę działania i heroiczną odwagę. Pewnie na to zasługiwali. Gdyby nie interwencja Katrine, Carlo Jensen by mnie zabił. Wiedziałem, że mam dług wdzięczności wobec niej i w pewien sposób także wobec Jarlego, który tego dnia w sądzie zareagował szybciej i efektywniej od innych, wliczając w to policję.

Mój wkład w zdemaskowanie Carla Jensena został nieco przyćmiony przez kult Katrine i Jarlego. Nie poświęcono mi choćby pół szpalty. Synne oburzyła się z tego powodu, ale ja nieszczególnie się tym przejmowałem.

– Oboje żyjemy, Synne – powiedziałem.

Inni również nie docenili mojej pracy. Sędziowie i prokurator byli wściekli.

– Mogłeś najpierw przyjść do mnie, Brenne! – uniósł się prokurator. – Wykrywanie przestępstw to nasze zadanie. Zachowałeś się idiotycznie. Ten... cyrk, który urządziłeś, mógł kosztować kogoś życie.

– Tak, mnie – zaznaczyłem, ale nie zrobiło to na nim wrażenia.

Przewodniczący sądu apelacyjnego powiedział mniej więcej to

samo. Nie był zachwycony strzelaniną na sali sądowej. Żadnego z nich nie obeszło, że rozwikłałem zagadki trzech zabójstw.

Jednak na dłuższą metę status bohaterów i artykuły prasowe nie mogły uratować Iversenów przed nimi samymi. Pojechałem do nich miesiąc później, kolejnego pochmurnego popołudnia, kiedy wiał ostry północny wiatr. Wszedłem po tych samych stopniach w tej samej klatce schodowej, Katrine zamknęła za mną drzwi i zorientowałem się, jak niewiele się tam zmieniło.

Daleko jej było do trzeźwości, chociaż zegar wskazywał zaledwie piątą. Sterty ubrań wydawały się jeszcze większe, popielniczki – bardziej przepełnione, a powietrze – kwaśne i duszne. Nową sofę zdobiły już plamy i ślady przypalenia; wyglądała mniej więcej tak samo jak poprzednia kanapa. Brudne talerze, na wpół opróżnione szklanki, stare gazety – wszystko pozostało bez zmian.

Katrine ucieszyła się na mój widok, zaproponowała mi piwo, a następnie kawę, ale prędko pojąłem, że daję jej kolejną okazję, aby na nowo przeżyła swą wielką chwilę, stwarzam możliwość ponownego opowiedzenia tej samej historii. Podejrzywałem, że jej znajomym już dawno znudziło się słuchanie. Opowiadała, wstawiała, by pokazać, jak machnęła torebką, jak gdyby zapomniała, że ja również tam byłem i przeżyłem to samo co ona, że także wziąłem udział w tych wydarzeniach.

– Ja też tam byłem, Katrine – zauważyłem wreszcie delikatnie, a ona zaśmiała się trochę zawstydzona i oczywiście przyznała mi rację, lecz niewiele to pomogło. Musiała skończyć, skoro już zaczęła, ja zaś wychwyciłem drobne przekłamanie, ozdobniki, sztuczne przerwy, wszystko to, co charakteryzuje wielokrotnie już snutą opowieść. Katrine Iversen występowała ze swoim przedstawieniem.

Nagle wszedł Jarle, nieco zaskoczony i odrobinę zakłopotany.

Miał świeże strupy na kłykciach i ranę nad okiem. Był niespokojny, mówił w egzaltowany, trochę nieskładny sposób. Przypuszczałem, że jest na spidzie, ale nie zapytałem go o to. Chciałem zaproponować mu pomoc w znalezieniu pracy czy szkoły, lecz wtedy pokazał mi nowy tatuaż na przedramieniu, słowo „Killer” zapisane gotycką czcionką. Skinąłem głową i nie wspomniałem o pracy ani szkole.

Spędziłem tam prawie godzinę. W tym czasie żadne z nich nie podziękowało mi za pomoc. Żadne nie wspomniało też Erlinga ani nie wykazało zainteresowania, by poznać szczegóły tego, co tak naprawdę stało się z ich synem i bratem, dowiedzieć się, jaki był faktyczny przebieg wydarzeń. Molestowanie Erlinga stanowiło zamknięty rozdział w historii Iversenów, do którego żadne z nich nie chciało wracać. Ich życie toczyło się dalej z góry wyznaczonym torem, jak gdyby los specjalnie dla nich wytyczył stałą trasę. Nieuchronnie zmierzali ku swoim końcowym stacjom i ani ja, ani nikt inny niewiele mógł z tym zrobić.

Zamknąłem za sobą drzwi i zszedłem na podwórze, nieco zawiedziony z powodu własnych nierealistycznych oczekiwań. Klatka schodowa była tak samo brudna i zniszczona jak zawsze. Na zewnątrz wzmógł się północny wiatr. Wetknąłem ręce do kieszeni, po czym wolno ruszyłem na parking. Po kilku metrach odwróciłem się i spojrzałem w górę. Okna mieszkania Katrine i Jarlego były zasłonięte, ale na ostatnim piętrze mignęła mi jakaś postać. Już prawie uniosłem rękę, aby pomachać, gdy doszedłem do wniosku, że się pomyliłem. Nikogo tam nie było.

Minąłem plac zabaw. Furtka wisiała krzywo na zawiasie. W piaskownicy leżało wiaderko bez uchwyty i dwie plastikowe łopatki, jedna żółta, a druga czerwona, tak wyblakłe od wiatru

i niepogody, że musiały znajdować się tam od lat. Mocne podmuchy wprawiały w ruch huśtawki, jakby popychały je niewidzialne dłonie. Przez moment widziałem tam małego chłopca, który z radością coraz wyżej unosił się ku niebu, ale po chwili zniknął, porwany przez wiatr, podobny do dymu lub mgły.

Jakby nigdy się nie urodził.

Ten sam lodowaty wiatr porwał i mnie, chciał mnie unieść jak wirujące jesienne liście, przeszył poły płaszcza łopoczące wokół moich kolan i sprawił, że do oczu napłynęły mi łzy. To wiatr. Byłem pewien, że to wiatr.

## Posłowie

W niniejszej powieści sprawa przeciwko Jarlemu Iversenowi jest rozpatrywana bezpośrednio przez sąd apelacyjny. W rzeczywistości tak się nie dzieje. Sprawy zabójstw trafiają najpierw do sądu rejonowego, a następnie do sądu apelacyjnego. System ten sprzyja praworządności, ale nie sprawdza się w budowaniu napięcia w powieści kryminalnej, dlatego też pozwoliłem, aby w tym przypadku rzeczywistość ustąpiła miejsca dramaturgii.

Bergen, listopad 2007 r.

*Chris Tvedt*

Tytuł oryginału norweskiego: *Skjellig grunn til mistanke*

Copyright © CAPPELEN DAMM AS, 2009

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”,  
Warszawa 2013

Projekt okładki *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*

Zdjęcia na okładce:

© Icefront | Dreamstime.com

© Stock.xchng

Zdjęcie autora:

© Fredrik Arff

Wydano z pomocą finansową NORLA.

Redaktor prowadzący *Anna Garbal*

Opieka merytoryczna *Magdalena Korobkiewicz*

Korekta *Katarzyna Sobiepanek-Szczęсна, Joanna Morawska*

Redakcja techniczna *Agnieszka Czubaszek*

Przygotowanie pliku do konwersji *Agnieszka Dwilińska-Łuc*

ISBN 978-83-10-12503-3

Plik wyprodukowany na podstawie *W mroku tajemnic*, Warszawa 2013



[www.wnk.com.pl](http://www.wnk.com.pl)

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.

02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c

tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,

faks 22 643 70 28

e-mail: [naszaksiegarnia@nk.com.pl](mailto:naszaksiegarnia@nk.com.pl)



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl  
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa  
e-mail: kontakt@elib.pl  
[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)